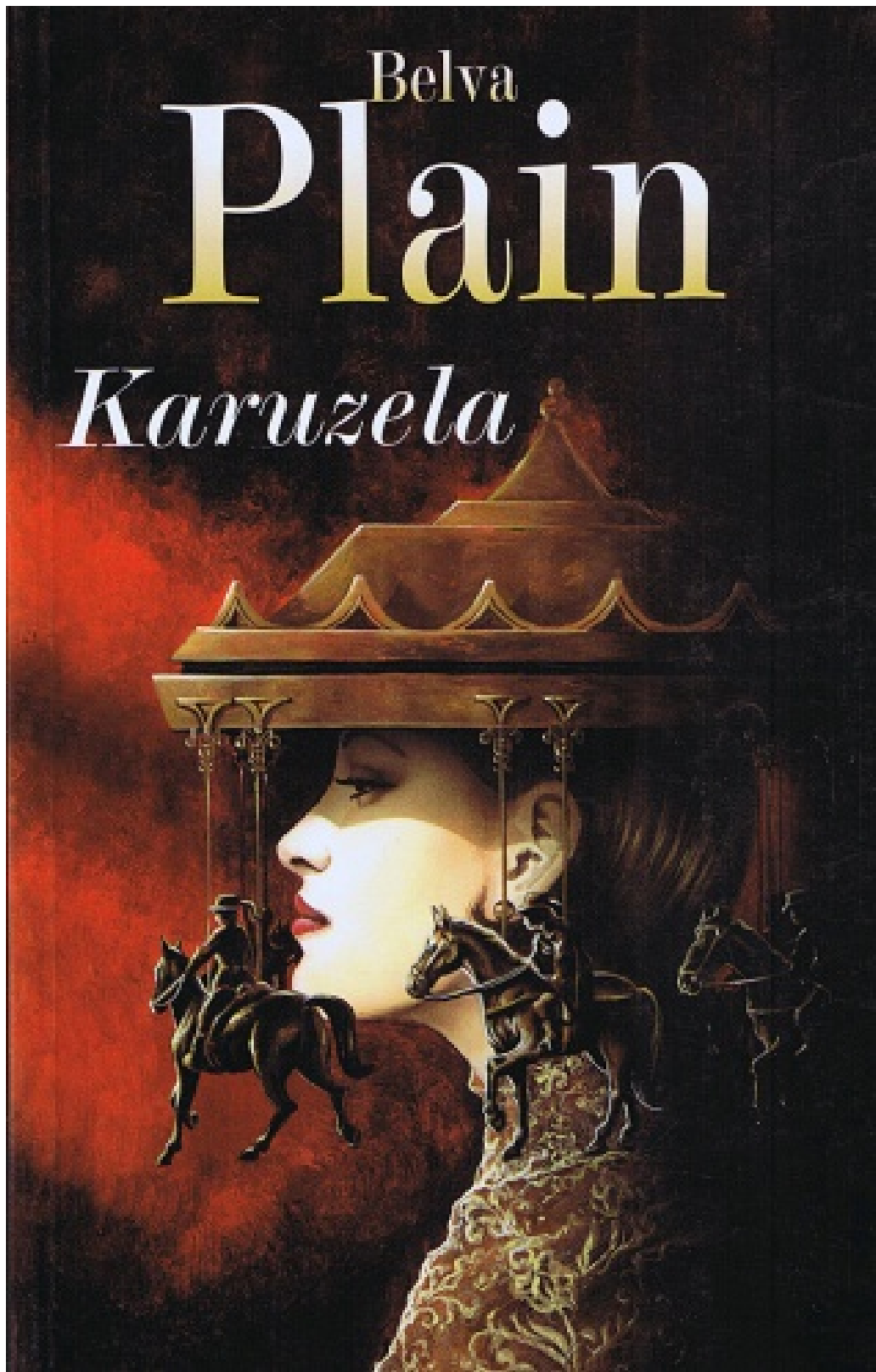


Belva
Plain
Karuzela



Plain Belva

Karuzela

Greyowie od kilku pokoleń odgrywali dominującą rolę w życiu miasta Scythia. Oliver Grey, niezwykle szanowany patriarcha rodu, zdecydował się wycofać z interesów i przekazać firmę Grey's Foods w ręce swoich dwóch synów i siostrzeńca Dana. Niestety, rodzinnej firmie, od której pomyślności zależy też los wielu mieszkańców miasta, zagraża wewnętrzny rozłam. Na światło dzienne wychodzi bowiem ponury proceder uprawiany przez uroczego starszego pana. Ujawnienie tajemnicy z nieodległej przeszłości wywołuje lawinę dramatycznych wydarzeń.



Na stole w salonie na piętrze stała karuzela. Wysoka jak weselny tort, wykonana z czystego srebra, przyciągała promienie światła lampy i odsyłała je, jeszcze mocniejsze i wyraźniejsze, w najciemniejsze kąty pokoju. Była prawdziwym arcydziełem sztuki złotniczej. Konie tańczyły w miejscu, siedzące na ich grzbietach dzieci miały na główkach ozdobione wstążkami kapelusze, nad górną balustradą powiewały chorągiewki, zupełnie jakby poruszał nimi wiatr. Filigranowe figuynki utrzymane były w stylu rokoko.

Bezsensowna, ekstrawagancka zabawka. A jednak karuzela łączyła swym istnieniem najistotniejsze momenty życia kilku osób. Narodziny miłości. Smutek. I wreszcie - morderstwo...

Rozdział pierwszy

Marzec 1990

Nie była jeszcze gotowa, by wrócić do domu i stawić czoło komukolwiek, ani pięcioletniej córeczce, ani rocznej. Nie była też gotowa na odbieranie telefonów i uprzejme rozmowy, nie po tym, co wydarzyło się w ciągu ostatniej godziny. Sally Grey nigdy jeszcze nie czuła się tak przybita, taka mała, jakby fizycznie skurczona. Siedziała teraz za kierownicą samochodu i uciekała z miasta.

Na pierwszej wyżynie łańcuchu górskiego, ciągnącego się w kierunku Kanady, ustawiono platformę obserwacyjną, najprawdopodobniej dla wygody turystów. W to wietrzne, ponure popołudnie nie było tu jednak żywej duszy i właśnie dlatego Sally zaparkowała tuż obok. Poniżej leżała Scythia, stare miasto, którego niewielkie fabryczki otaczało pasmo nowo wybudowanych bungalowów i autostrad. Dalej, ku wschodowi, zachodowi i południu widniały nie kończące się pola okolicznych farmerów. Na północy linię horyzontu przesłaniały ciemne góry.

Tu i ówdzie mrugały rozsiane w dolinie światelka, po lewej stronie zaś, gdzie znajdowała się główna siedziba firmy Grey's Foods, lśnił owal mocnego, żółtego światła. Z tym miejscem związana była co najmniej jedna czwarta mieszkańców miasta - część z nich pracowała w firmie, inni stanowili rodziny zatrudnionych. Zresztą pozostałe trzy czwarte także korzystały w jakiś sposób z hojności rodziny Grey, która ufundowała i miejską bibliotekę, i szpital, i baseny.

- Myśli pani, że takie rzeczy nie zdarzają się w rodzinie takiej jak pani rodzina - powiedziała ta kobieta, lekaika. Rozumiem panią.

Nie, nie rozumiem mnie pani, pomyślała Sally. Uwaza pani,

ze cierpię na poczucie wyższości, że czuję się wolna od wad i klęsk zwykłych ludzi, że jestem paskudną, głupią snobką Tymczasem ja myślałam tylko o tym, jacy byliśmy szczęśliwi jak czyste było nasze życie. Czyste - słowo rodem z epoki wiktoriańskiej! Tak czy inaczej, wydawało mi się najbardziej odpowiednie. W naszym życiu aż do dziś nie było nic brudnego.

Gdzieś w tym owalu światła pracuje teraz Dan, pochylony nad blatem biurka. I o niczym nie wie. Ale dziś wieczorem będzie musiał się dowiedzieć. A jeśli okaże się to prawdą -choć nie, to nie może być prawda, oczywiście że nie -Dan wpadnie w rozpacz. Jego dziecko! Jego ukochana Tina

Nie, nie mam najmniejszych wątpliwości. Wasza Tina była molestowana. Molestowana seksualnie.

Doktor Lisie wyjaśniła już szczegółowo swój punkt widzenia, lecz Sally nadal wpatrywała się w nią bez słowa Lekarka miała miłą, kwadratową twarz i spokojny, pełen dystansu sposób bycia i chociaż nie mogła być starsza od Sally wytwarzała wokół siebie aurę autorytetu wspartego wiedzą i kompetencją.

Przywołuje mnie do porządku, tak to właśnie brzmi zupełnie jakbym była nastoletnią uczennicą, a nie kobietą, która ma za sobą mnóstwo doświadczeń, która ze swoim aparatem fotograficznym zjeżdżała cały świat, kraje oddychające spokojem i pogrążone w szaleństwie wojny, której zdjęcia publikowano we wszystkich znanych magazynach i czasopismach. Sęk w tym, że chyba po prostu poczułyśmy do siebie niechęć. Dlaczego opowiada mi takie zwariowane rzeczy?

Sally rozejrzała się po sporym, ascetycznie urządzonej gabinecie, jakby spodziewała się znaleźć tu jakąś ucieczkę przed słowami lekarki. Niedrogie biurko i krzesła były nowe Wiszące na ścianach dyplomy miały dość świeże daty Okna wychodziły na tyły zniszczonego trzypiętrowego biurowca w zaniedbanej części centrum miasta. Niezbyt miłe przygnębiające miejsce i nie było w nim żadnej ucieczki. Ale przecież tę lekarkę poleciło jej kilka zaufanych osób!

- To niewiarygodne - powiedziała Sally gwałtownie.
- Wręcz przeciwnie, nietrudno w to uwierzyć
- Nie wierzę pani. Nie chcę uwierzyć. Jak mogła pani nawet o tym pomyśleć?

- To naturalne, że się pani buntuje. Jaki rodzic chciałby uwierzyć w coś takiego?

- To niewiarygodne.

- Ale prawdopodobne, pani Grey.

- Przecież mieszkam z Tiną! Kąpię ją, myję i nigdy nie widziałam żadnego śladu...

- Nie musiało dojść do penetracji. Jak pani doskonale wie, istnieją inne sposoby.

W głowie Sally natychmiast pojawiły się odrażające obrazy. Czowała, jak palą ją pod czaszką, jak prą coraz mocniej...

- Tak, wiem, czytałam o tym. Ale jakim cudem może pani być taka pewna? Czy Tina coś pani powiedziała?

- Nie wprost, nie słowami. Dzieci rzadko tak postępują. Za bardzo się boją.

- Więc pytam, skąd pani wie?

- Korzystam z pewnych metod. Na przykład, dzieci bawią się lalkami. Te, które ja im daję, mają wszystkie szczegóły anatomiczne. Obserwuję dziecko, rozmawiam z nim i słucham tego, co mówi samo do siebie.

- Proszę mi powiedzieć, co mówi Tina. Dokładnie tak, jak pani to zapamiętała.

Lekarka sięgnęła po okulary do czytania. Jak długo szukała etui w torbie, jak długo je wkładała! Sally nie mogła już znieść tych tortur.

Teraz, kiedy zaczęła przypominać sobie wszystko w samochodzie, poczuła, że za chwilę rozboli ją głowa.

- Na przykład to. Dziesiątego, w piątek, podczas przedostatniej wizyty. Cytuję: „Trzeba zdjąć majteczki, a potem wkłada się tę rzecz...”.

- Nie!

- „Tu przykładają się usta...”.

- Nie!

- Potem Tina chwyciła lalkę, rzuciła ją przez cały pokój i rozplakała się. Czy dobrze się pani czuje, pani Grey? Jeżeli pani chce, mogę przerwać.

- W porządku, wystarczy. Wiem, o co chodzi.

To wtedy zaczęło ogarniać ją przerażenie. Poczwała nagły, przeszywający ból w piersi, a spocone ręce zacisnęły się kurczowo, aż pierścionek wbił się w skórę palca. Wtedy także

wyprostowała się i wzięła głęboki oddech. Wiedziała, że jeżeli ulegnie panice, pójdzie na dno.

- Tina nigdy nie zostaje z obcymi - powiedziała zdecydowanym głosem. - Bez przerwy jest pod opieką - moją jeśli jestem w domu, lub cudownej niani, wspaniałej, oddanej starszej pani, która pomaga opiekować się Susanną, moją młodszą córeczką, i czuwa nad całym domem w czasie mojej nieobecności. Jak wspominałam, jestem fotografikiem, nigdy jednak nie przebywam poza domem dłużej niż kilka dni. To po prostu niemożliwe, pani doktor. Nie rozumiem tego. Musiała pani postawić błędną diagnozę.

- Wobec tego jak wyjaśni pani to, co Tina mówiła do lalki?

- Cóż, dzieci w tym wieku zaczynają dopiero odkrywać pewne sprawy, prawda? Jestem pewna, że w jej grupie w przedszkolu są dzieci, które mają starsze rodzeństwo i z ich ust dowiadują się o seksie. Telewizja wyświetla zdecydowanie za dużo filmów ze scenami seksu. My nie pozwalamy Tinie oglądać filmów dla dorosłych, ale nie wszyscy rodzice przestrzegają tej zasady i dlatego różne takie informacje trafiają do reszty dzieci.

Lekarka czekała cierpliwie. Nauczono ją sztuki obserwacji i uważnego słuchania ludzi. Sally zdawała sobie z tego sprawę i wyprostowała się jeszcze bardziej.

- Jak minął poprzedni tydzień? - zapytała lekarka

No, właśnie, wracajmy do rzeczywistości, pomyślała Sally. Zaraz podam pani parę faktów, a pani powie mi, jak mam sobie z nimi poradzić, oczywiście, jeżeli pani potrafi to zrobić. Porozmawiajmy o faktach, nie o fantazjach.

- Było tak samo - powiedziała ucziwie. - Raz lepiej raz gorzej. Czasami zachowywała się jak przeciętna pięciolatka a czasami nie.

- Proszę opisać ten drugi przypadek.

- Nauczycielka mówiła mi, że w szkole nadal zdarza jej się uderzyć jakieś dziecko, a nawet ugryźć. W domu też miała zmienny humor. I nadal codziennie moczy się w nocy. Ciągle pyta, kiedy odwieziemy Susannę do szpitala. Tłumaczę jej to bardzo starannie i cierpliwie, ale ona wciąż zadaje to samo pytanie. Wydaje mi się, że w tym właśnie tkwi sedno problemu, pani doktor.

- Właśnie w tym? Czy nic z tego, co powiedziałam, nie poruszyło pani?

- Jestem z Tiną przez cały czas, jestem jej matką. W domu również bawi się lalkami, więc chyba zauważyłabym, gdyby działo się coś dziwnego, nie sądzi pani? Na pewno powiedziałaby mi, gdyby ktoś... Gdyby ktoś zrobił jej coś złego.

- Niekoniecznie, jak już mówiłam. Najprawdopodobniej wcale by nie powiedziała. Dziecko może mieć w takich sytuacjach niejasne poczucie winy. Wyczuwa, że coś jest źle, chociaż nie potrafi tego wyjaśnić. Zdarza się również, że obawia się zdradzić osobę, która je molestowała. Może nawet darzyć tę osobę pewnego rodzaju sympatią. To wszystko nie jest takie proste, pani Grey.

Sally milczała.

- Naprawdę powinna pani poważnie się nad tym zastanowić - odezwała się lekarka łagodnie. - Jeżeli nie jest pani jeszcze przekonana, mogę przytoczyć więcej przykładów zachowań Tyny, które dają do myślenia.

Sally uniosła dłoń.

- Nie. Proszę, nie.

- Pani się boi, pani Grey.

- Doktor Lisie, proszę mi wierzyć, cenię pani wiedzę, ale błędy się zdarzają. Nawet pani może popełnić błąd i w tym wypadku właśnie tak jest. Biorąc pod uwagę nasz styl życia, to, co pani sugeruje, jest zwyczajnie niemożliwe.

- Ludzie zawsze tak uważają, dopóki sami się nie przekonają, że jest inaczej.

- Do narodzin małej wszystko było w porządku. Nie mieliśmy żadnych problemów, żadnych. Może posądzi mnie pani o przesadę, jeżeli powiem, że Dan i ja wiedliśmy zaczarowane życie. Przypuszczam, że niektórzy ludzie mówią coś takiego, aby zafałszować obraz rzeczywistości, ale przecież to byłoby głupie. Jak mogłabym zwrócić się do pani o pomoc

i jednocześnie kłamać? Nasz dom jest naprawdę dobrym miejscem. Chciałabym, żeby każde dziecko mogło mieć taki dom i takiego ojca jak Dan. W każdą niedzielę przygotowujemy razem posiłki, Dan jest dumny z mojej pracy, kochamy się. To był szczęśliwy dom i na pewno Tina musiała czuć tę atmosferę. Wszyscy mówili, że jest takim pogodnym, słonecznym dzieckiem...

Mówiła coraz szybciej. Teraz, odtwarzając to sobie w samochodzie, doszła do wniosku, że musiała zrobić na doktor Lisie wrażenie głupiutkiej kobietki. Ale wtedy nieomal straciła panowanie nad sobą, mało brakowało, a zadałaby kłam pozie pewnej siebie, nieco chłodnej kobiety.

Doktor Lisie obserwowała ją poważnym, baczным spojrzeniem. Trudno było je wytrzymać, ale nie mogła odwrócić wzroku, ponieważ świadczyłoby to o utracie pewności siebie. Patrzyła więc lekarce w oczy, czasem tylko zerkając przelotnie na zapuszczony magazyn po przeciwnej stronie ulicy. Jej głos przycichł, lecz doktor Lisie niczego nie komentowała. Muszę stąd uciec, pomyślała Sally. Jutro poszukamy innego psychologa. Ta kobieta, niezależnie od tego, kto ją polecił, przypomina chirurga, który daje pacjentowi tylko miesiąc życia, jeżeli natychmiast nie podda się operacji. To oburzające.

- Na razie jasne jest dla mnie jedno: na pewien czas muszę zrezygnować z pracy - ciągnęła. - Aż do chwili, gdy Tina wróci do normalnego stanu. I tak zrobię. Jestem pewna, że ogólnie rzecz biorąc z Tiną nie dzieje się nic złego.

- Zna pani wszystkie objawy i mimo to uważa pani, że nie dzieje się nic złego? Dziewczynka bije i gryzie inne dzieci, nie pozwala się przytulić, boi się, kiedy pani wychodzi z domu...

- Chodzi mi o to, że... Cóż, na pewno dzieje się z nią coś złego, ma pani rację. Dlatego ją tutaj przyprowadziliśmy. Czuję, że muszę poświęcić jej więcej uwagi, dopóki nie pogodzi się z pojawieniem się w domu drugiego dziecka i zdecydowanie mam zamiar...

- Popelnia pani poważny błąd, pani Grey.

Zabrzmiało to jak klątwa. A wszystko opierało się wyłącznie na niepewnych podstawach, na przypuszczeniach, na podręcznikowych teoriach. Sally wstała i włożyła płaszcz.

- Więc proszę mi coś doradzić - powiedziała sucho.

- Radzę, aby nadal przywoziła pani Tinę na terapię do mnie albo, jeżeli ja pani nie odpowiadam, do kogoś innego. I radzę, aby dokładnie ją pani obserwowała. To dziecko jest ofiarą molestowania, pani Grey.

Kiedy wyłączyła silnik, w samochodzie zrobiło się chłodno, więc ciaśniej owinęła szyję szalikiem i założyła rękę.

Molestowana. Straszne słowo.

Czy to możliwe? Kto mógłby zrobić coś takiego? Ojciec jednego z dzieci, które odwiedzała Tina? W myśli sporządziła listę wszystkich koleżanek i kolegów swojej córki. Ten umysłowo upośledzony mężczyzna na wiejskiej drodze w pobliżu domu jej rodziców, kilka miesięcy temu? Absolutnie niemożliwe. Babcia Tiny była wprost fanatycznie ostrożna. Nie, niemożliwe.

Ale doktor Lisie była przekonana o słuszności swojej diagnozy. Czy lekarz może popełnić tak ogromny błąd? Naturalnie. Prawie codziennie czytuje się o tym w gazetach. A jednak nie jest to sytuacja, która zdarza się codziennie.

Musi wziąć się w garść i wracać do domu. Miasto lśniło wieloma tysiącami świateł, elektrycznych kropeczek w płaszczu nadchodzącej nocy. Było już późno. Sally przekręciła kluczyk w stacyjce i ruszyła pod górę.

Po obu stronach drogi gęsto rosły sosny i modrzewie. W ścianach zieleni tu i ówdzie widać było kamienne bramy wjazdowe, długie podjazdy, a czasami, choć rzadko, piękne domy. Tuż za zakrętem, po lewej stronie, znajdowała się brama do Hawthorne, ogromnej siedziby rodziny Grey. To tu przyjechał siedmioletni Dan, aby zamieszkać u krewnych po śmierci obojga rodziców, którzy zginęli w katastrofie lotniczej. Za domem skrytym wśród drzew w odległości kilkuset metrów od drogi zaczynał się las, osiem tysięcy akrów nietkniętego ludzką ręką, dziewiczego lasu. Las ten stanowił własność Greyów, ale za ich zgodą wstęp mieli tu wszyscy, którzy chcieli podziwiać piękno przyrody. Było tak od wielu pokoleń. Sally uważała, że Greyowie są niezwykłą rodziną.

Parę kilometrów dalej, na porośniętej trawą polanie, stał biały dom o zielonych okiennicach, prosty, ładny dom, jakich wiele w Nowej Anglii. Dom Sally i Dana. Zawsze myślała, że jej dom bardzo różni się od Hawthorne i innych siedzib Greyów. Nic dziwnego - ona sama urodziła się przecież i wy chowała w stanie Maine, Dan również nie był typowym Greyem, dlatego wybrali właśnie taki dom. Na schodach siedział wielki nowofundland. Jego obecność sprawiała, że cały obraz sprawiał wrażenie ilustracji w sentymentalnej książce, piękny domek, ładny pies, brakowało tylko dziecka, które

usiadłoby obok wielkiego zwierzęcia, otaczając jego kark ramieniem.

Tina czasami siadała obok psa i obejmowała go mocno. Nowofundland był jedyną „osobą”, do której się teraz przytulała. Czarująca mała dziewczynka w sukience z falbankami i z kokardami w warkoczach rzadko była ostatnio miła i rzadko okazywała komukolwiek czułość. Wycieczki, na które kiedyś wszyscy czekali z niecierpliwością, stały się teraz powodem do niepokoju, ponieważ rodzice nie wiedzieli, jak Tina się zachowa. A w nocy, kiedy w końcu zasypiała, mieli wreszcie wolną chwilę, aby spokojnie poczytać albo porozmawiać. Ale prawdziwy spokój zniknął bezpowrotnie. Co stało się z rodziną z obrazka? Co stało się z czarującą, słodką dziewczynką?

Czy to możliwe, że nie chcę uwierzyć w diagnozę tej kobiety, bo nie przypadłyśmy sobie do gustu? Dlatego że, mówiąc bez ogródek, poczułyśmy do siebie niechęć? Jeżeli tak, to jest to głupi powód. Sama nie wiem...

Tina kończyła właśnie w kuchni kolację w towarzystwie pani Dugan, zwanej przez wszystkich „Nianią”.

- Cześć, kochanie. Och, ten budyń wspaniale wygląda i pachnie...

Tina zmarszczyła brwi.

- Jest niedobry. Sama go zjedz.

- Chętnie bym to zrobiła, ale jesteśmy zaproszeni na kolację. Dziś są urodziny wujka Ohvera.

- Ciągle gdzieś wychodzicie.

- Nie, skarbie, przez cały tydzień wszystkie wieczory spędzaliśmy z wami - powiedziała Sally, obejmując Tinę i całując ją w czubek głowy.

- Nie rób tego. Nie chcę, żebyś mnie przytulała. Zatroskane spojrzenie Niani przez chwilę spoczęło na smutnej twarzy Sally.

- Ale dlaczego? Przecież wszystkie mamusie uwielbiają przytulać swoje małe dziewczynki...

- Nic mnie to nie obchodzi. Kiedy odwiedzicie Susannę do szpitala?

Prawie codziennie rozkapryszonym tonem zadawała to samo pytanie.

- Mówiłam ci już, że małych dzieci nie odwozi się do

szpitala - łagodnie szepnęła Sally. - Ciebie też nie odwieźliśmy. Kochamy swoje córeczki.

- Ja jej nie kocham. To nie moja córeczka. Jutro masz ją odwieźć.

- Przyjechał pan Grey - powiedziała Niania, wyglądając przez okno.

- Boże, a ja jeszcze nie jestem ubrana! Muszę się szybko przebrać, Tino.

- Odwieź ją jutro! - rozpłakała się Tina. - Zabierz też jej łóżeczko, kocyk i wszystkie zabawki!

W takich sytuacjach w żadnym razie nie wolno było uciekać się do kłamstw czy uników, ale Sally miała za sobą ciężki dzień. Nie miała już siły, więc po prostu pobiegła na górę, zostawiając Nianię na placu boju.

Właśnie w tym tkwi sedno problemu, powiedziała sobie raz jeszcze. To tylko zwyczajna, oczywista zazdrość, nic więcej. Czy potrzebne są na to inne dowody? Tina jest wyjątkowo zazdrosna, ponieważ posiada dużą wrażliwość. Z czasem i przy odpowiednim postępowaniu sytuacja sama się rozwiąże.

A jednak ta lekarka o surowym spojrzeniu była tak pewna swego...

Rozdział drugi

Marzec 1990

- Tak, tak, doskonale pamiętam, kiedy mój ojciec kazał wbudować to półokrągłe okno - odezwał się Oliver Grey, siedzący w fotelu u szczytu stołu. - Miałem wtedy chyba pięć lat, więc musiał to być rok 1932 albo coś koło tego. Mój dziadek uznał to za świętokradztwo. Najchętniej zostawiłby wszystko bez zmian, w takim stanie, w jakim zastał dom jego własny ojciec. Zachowałby także zaprzęgane w konie miejskie tramwaje i lampy gazowe. Staruszek miał silny charakter i nie lubił rezygnować ze swoich upodobań.

Oliver trzymał się prosto, był szczupły, a jego gęste szpakowate włosy miały z czasem, podobnie jak u Greyów z wcześniejszych pokoleń, przybrać śnieżnobiałą barwę. Nie wyglądał na sześćdziesiąt trzy lata.

Niewielka grupka osób, zebranych przy stole w jadalni, z szacunkiem słuchała znanych już sobie wspomnień, Ian i Clive, synowie Olivera, oraz Dan, jego siostrzeniec, a także żony Dana i Iana, wszyscy zwrócili twarze w kierunku patriarchy rodu.

- Tak, uwielbiał ten dom, naprawdę kochał Hawthorne. Nazwa posiadłości pochodzi od rosnących tu krzaków głogu. Dziadek co roku sadił nowy krzak. Najstarsze krzewy muszą mieć już około osiemdziesięciu lat, nadal jednak, jak dobrze wiecie, zakwitają każdego lata. Mam nadzieję, że kiedy mnie już nie będzie, wy zasadzicie następne.

Oliver był wyraźnie podekscytowany swoim przyjęciem urodzinowym. Przyczynił się do tego również szampan, ponieważ starszy pan nieczęsto sięgał po alkohol. Wszyscy wiedzieli jednak, że jego podniecenie spowodowane jest przede wszystkim chęcią okazania im miłości. W ślad za nim prze-

nieśli teraz spojrzenie na ścianę nad kominkiem, gdzie wisiał portret żony Olivera, Lucille, która zginęła w wypadku samochodowym. Jej uśmiech stanowił doskonale dopełnienie królewskiej pozy i wspaniałej wieczorowej sukni. Ktoś zauważył kiedyś (bardzo niemądrze, jak stwierdzili inni goście, którzy usłyszeli tę uwagę), że Lucille robi wrażenie smutnej, jakby już w czasie pozwania przewidywała swoją tragiczną śmierć.

Oliver przeżył wiele smutnych chwil. Być może właśnie takie doświadczenia sprawiły, że chętnie organizował akcje charytatywne, nie ograniczając się bynajmniej do wypisywania czeków. Nie wystarczyło mu nawet stworzenie górskiego obozu dla chłopców z miasta ani zakupienie foteli inwalidzkich, którymi pensjonariusze ufundowanego przez niego domu starców z przyjemnością jeździli po ścieżkach pięknego ogrodu.

Z pogodnym uśmiechem ogarnął spojrzeniem swoich młodych spadkobierców i cały pokój, a zwłaszcza półokrągłe okno z marmurowym parapetem, ciętym jak diament, i zasłonami z grubego, amarantowego jedwabiu. Scena ta najwyraźniej przypadła mu do gustu: stół zdobiły wazony z lawendowymi różami oraz wysokie kandelabry, a na dywanie w kącie leżały dwa psy myśliwskie o czekoladowobrąznej sierści. W pokoju nie było ani jednego zbędnego sprzętu, natomiast wszyscy goście Olivera zachowywali się z godnością i wyczuciem.

- Tak, tak, na długo, zanim nasza rodzina mogła marzyć o takiej siedzibie, Greyowie byli ubogimi, ciężko harującymi farmerami, uprawiającymi ziemię na szkockich nizinach. Nie mam pojęcia, dlaczego postanowili osiedlić się właśnie w stanie Nowy Jork, być może okolica przypominała im rodzinny kraj. Wydaje mi się jednak, że w Szkocji nie ma takich zim jak u nas. Tak czy inaczej, wypijmy za nich, za ich odwagę

i uczciwą pracę.

Kiedy wszyscy podnieśli kieliszki, Dan pomyślał z rozbawieniem, jak często ludzie, którym nigdy nie przyszłoby do głowy, aby przechwalać się własnym awansem z klasy niższej, otwarcie chlubili się „ciężką harówką” odległych przodków. Była to zabawna, nieszkodliwa cecha Olivera, podobnie

jak jego nieco staroświeckie gesty wobec pań. Miało to swoisty urok.

Ileż zawdzięczał Oliverowi, swojemu stryjowi i drugiemu, najlepszemu na świecie ojcu! Miał siedem lat, a jego siostra Amanda dwanaście, kiedy po śmierci rodziców, którzy zginęli w katastrofie turystycznego helikoptera, przyjechał do Hawthorne. Od tamtej chwili dom Olivera był i jego domem, aż do ślubu z Sally.

Spojrzał na jej spoczywającą na stole dłoń i lekko uśmiechnął się do siebie na widok pierścionka, jedynej ozdoby poza małymi diamentowymi kolczykami, jaką nosiła. Pomysł pierścionka zawdzięczał Oliverowi.

- Jej pierścionek zaręczynowy musi być równie wspaniały jak pierścionek Happy - oświadczył Oliver. - To wyjątkowa okazja i trzeba ją właściwie uczcić.

I Dan z szacunkiem pochylił głowę przed charakterystycznym dla Olivera poczuciem porządku i hierarchii wartości. Sally z pewnością nie przywiązywała szczególnej wagi do tego, jaki pierścionek otrzyma. Dan podejrzewał, że podobnie rzecz miała się z Elizabeth, nazywaną przez wszystkich „Happy”.

W blasku świec „wyjątkowy” pierścionek rozsiewał wokół iskry.

- Prawie się nie odzywasz - szepnął Dan, gładząc smukłe palce żony.

- To dlatego, że właśnie jem - odpowiedziała z uśmiechem.

- Tak pięknie wyglądasz w tej sukni... Jest w tym samym kolorze, co zasłony.

- Sally naprawdę ślicznie wygląda - zauważyła Happy, która usłyszała uwagę Dana.

Happy Grey była dużą blondynką, różową, serdeczną i dobrą. Zbyt inteligentna, aby prowadzić leniwą egzystencję między domem a lokalnym klubem, założyła przedszkole i ciężko pracowała, aby uczynić je najlepszym w okolicy. Ku swemu głębokiemu rozczarowaniu nie miała własnych dzieci i praca przynajmniej w pewnym stopniu rekompensowała pustkę w jej życiu.

- Musisz być bardzo zmęczony po tej długiej podróży, Dan - powiedział Oliver, którego bystre oczy zawsze z uwagą

obserwowały wszystkich bliskich. - Na pewno chciałbyś jak najprędzej wrócić do domu. Nie przejmuj się mną i po prostu wstań od stołu, kiedy będziesz miał nas dosyć.

- Dziękuję, ale nie musisz się martwić. Wiesz przecież, że doskonale wysypiam się w samolotach.

- Przypuszczam, że wszystko poszło doskonale, bo inaczej nie miałbyś tak zadowolonej miny.

- Tak, tak - Dan nauczył się powtarzania potwierdzenia od Olivera. - Tak, tak. Ten nowy dyrektor w Brukseli to najlepszy specjalista, jakiego kiedykolwiek mieliśmy. Młody, inteligentny i otwarty na sugestie - czego więcej można wymagać?

Oliver skinął głową.

- Szczęściarz ze mnie, bo mam przy sobie trzech młodych, inteligentnych, otwartych na sugestie ludzi. Teraz, kiedy wy przejęliście interesy, mogę spokojnie siedzieć w fotelu i oddawać się słodkiemu lenistwu.

- Co ty opowiadasz, tato - zaprotestował Ian. - Nadzorujesz przecież działalność Fundacji Greyów i Bóg jeden wie, ilu innych organizacji charytatywnych. Ostatnio doliczyłem się jedenastu.

Szeroko rozstawione oczy Iana były równie bystre jak oczy Olivera, a jego twarz nie mniej interesująca, Ian miał jednak mocną budowę, podczas gdy jego ojciec był zawsze smukły. Różnili się także pod względem charakteru - Ian był pełen energii, natomiast Oliver podchodził do życia z dystansem. We wczesnej młodości Ian przysparzał ojcu sporo problemów, został nawet wyrzucony z dwóch szkół za udział w porachunkach z bronią w ręku. W końcu wyszedł jednak na prostą drogę, ukończył studia na uniwersytecie Yale (gdzie przed nim studiowali zarówno sam Oliver, jak i Clive oraz Dan) jako członek stowarzyszenia Phi Beta Kappa, ożenił się i prowadził dość konwencjonalne życie. Wydawał zawsze mnóstwo pieniędzy i, jak tolerancyjnie stwierdzał Oliver, „żył jak radża”. Uwielbiał także hazard i regularnie odwiedzał wszystkie słynące z niego miejsca, od Monte Carlo po Las Vegas.

Trudno byłoby znaleźć dwóch mniej podobnych do siebie braci niż Clive i Ian. Clive miał niewiele ponad metr sześćdziesiąt wzrostu. Bardzo lubił słodczyce, co spowodowało, że jego twarz była zbyt okrągła, a pod brodą pojawił się walek

łuszczu. Palił jak komin i nie był szczęśliwy. Wiele osób mówiło, że Clive powinien wykładać matematykę na studiach podyplomowych. Zamiast tego pełnił rolę „żywego komputera” w firmie Grey Foods, sprawdzał wyliczenia specjalistów od ubezpieczeń, nadzorował zagraniczne inwestycje oraz znał na pamięć wysokość stawek ubezpieczeniowych i wahania kursów walut.

W wolnym czasie, siedząc w swoim przytulnym gabinecie, dla rozrywki rozpracowywał skomplikowane równania, z radością zagłębiając się w świat cyfr. Cyfry, jako jednostki pozbawione własnej osobowości, były czymś, z czym mógł sobie poradzić nawet on, życiowy nieudacznik, który znał się tylko na matematyce i koniach. Na koniu każdy, nawet taki karzeł jak on, wyglądał na wysokiego mężczyznę.

- Mam już prezent urodzinowy dla Tiny - odezwał się Clive, który milczał przez całą kolację. - To kucyk, łagodny mały szetland. Nauczę ją jeździć. Mówiliście, że to dobry pomysł - przypomniał Sally i Danowi.

- Będziesz doskonałym nauczycielem - serdecznie zauważył Oliver. - Świetnie znasz się na koniach, można powiedzieć, że urodziłeś się w siodle. A przy okazji, dlaczego nie zabraliście z sobą Tiny?

- Zapominasz, że ma dopiero pięć lat - odrzekł Dan. - Teraz na pewno już smacznie śpi.

- Wobec tego musicie wziąć dla niej kawałek tortu urodzinowego. O, właśnie go wnoszą.

Trzeba było aż dwóch osób, by przenieść z kuchni do jadalni olbrzymi, biały tort, lśniący od zapalonych świeczek. Pod białą czekoladą, jak wszyscy wiedzieli, znajdowało się wiele warstw czarnej czekolady, truskawek i bitej śmietany. Było to ich tradycyjne ciasto, lubiane przez wszystkich członków rodziny. Bez niego nie obchodzono żadnych urodzin ani świąt. Przy każdej takiej okazji ktoś zawsze narzekał, że tort jest potwornie kaloryczny, a ktoś inny żartował z Clive'a, który potrafił pochłonąć dwa duże kawałki, na co Clive reagował nieco dziecinnym chichotem.

- Chwileczkę, tato! - powiedziała Sally, sięgając po swoją leicę, którą wcześniej położyła pod krzesłem. - Popatrz na mnie i zdmuchnij świeczki. Nie przejmuj się, jeżeli się poruszysz, to bardzo szybki aparat.

Wszystko to należało do rodzinnego rytuału, podobnie jak pogodna uwaga Olivera o pokoju i harmonii.

- Oto, co naprawdę liczy się w życiu - rodzina zgromadzona wokół stołu w atmosferze spokoju i harmonii - powiedział, odsuwając fotel od stołu. - Idziemy?

Po kolacji wszyscy mieli przejść do biblioteki, gdzie tradycyjnie podawano likiery, chociaż w 1990 roku prawie nikt nie pijał już tych napojów. Tam też Oliver miał rozpakować otrzymane prezenty. Jak wszystkie pomieszczenia w Wielkim Domu, biblioteka też była dużym, wyposażonym w kominek pokojem. Fotele i krzesła ustawiono w półkole przy płonącym ogniu, a na niskim stole czekał srebrny serwis do kawy. W przeciwległym rogu pokoju stał oparty o pianino wspólny prezent od całej rodziny.

- Rozpakuj go, Sally - powiedziała Happy. - To był twój pomysł i ty zajęłaś się wszystkim, więc należy ci się ten zaszczyt.

Sally potrząsnęła głową.

- Nic mi się nie należy, nie bardziej niż wszystkim. Ty go rozpakuj, Happy.

Dan spojrział szybko na Sally. Na jego czole pojawiły się dwie niewielkie pionowe zmarszczki, ale się nie odezwał. Happy przecięła ozdobny sznurek i spod papieru wyłonił się obraz przedstawiający duży, niski dom z bali drewnych.

- Red Hill w mojej ulubionej porze roku! - wykrzyknął Oliver. - I wszystkie te dęby i sumaki. Jest piękny!

- Pomyśleliśmy, że przyda ci się, skoro w Red Hill masz obraz przedstawiający Hawthorne - powiedział Ian.

- Jestem zachwycony. Dziękuję wam wszystkim za ten wspaniały prezent. Powieszę go w moim gabinecie na piętrze.

Ogień trząsał wesoło w kominku. Na zewnątrz szalał, wył i zawodził marcowy wiatr, przez co biblioteka wydawała się jeszcze bardziej przytulna i jasna. Sięgające do samego sufitu półki z książkami wyglądały jak kolorowa mozaika, książki leżały też na stojących pod ścianami dobrze wywoskowanych stołach. Były tu także gabloty, w których można było obejrzeć rozmaite kolekcje i interesujące przedmioty - monety z okresu cesarstwa rzymskiego, emaliowane miniaturowe portrety osiemnastowiecznych dworzan, wysadzone drogimi kamieniami-

mi naparstki, cenny japoński wachlarz z czarnego jedwabiu stary, wyblakły globus i srebrną karuzelę.

- Wasza Tina uwielbia tę karuzelę - odezwał się Clive który bardzo kochał córeczkę Sally i Dana.

Dan objął żonę i uśmiechnął się, chociaż z jego czoła nie znikły jeszcze zwiastujące zaniepokojenie zmarszczki

- Pomyśl, gdyby nie identyczna karuzela, nie byliśmy tu dziś razem.

- To był twój szczęśliwy dzień, Dan - oświadczył łąn Jego oczy zawsze mierzyły Sally od stóp do głów, nie w aż

tak oczywisty sposób, by żona kuzyna poczuła się obrażona lecz wystarczająco wyraźnie, aby zdała sobie sprawę że łąn ocenia jej zalety jako obiektu zainteresowania seksualnego Potem patrzył jej prosto w oczy, a w jego źrenicach tańczyły iskierki rozbawienia.

- Był to także i mój szczęśliwy dzień - odparowała Sally może odrobinę zbyt ostro.

W czasie przyjęć łąn często flirtował dyskretnie, niekiedy nawet z młodymi kelnerkami, które podawały zakąski. Przed Kliku laty Sally zauważyła go pogrążonego w rozmowie z kobietą w barze sałatkowym i była prawie pewna, że łączyło ich coś więcej niż przelotna znajomość. A Happy tak go uwielbiała! Jak to możliwe, że niczego nie dostrzegала? Najprawdopodobniej nie chciała widzieć dowodów niewierności nieża. Kiedy Sally myślała o Happy i łanie, zawsze przychodziło jej do głowy stare francuskie przysłowie, mówiące o tym, że zawsze jest ktoś, kto kocha, i ktoś, kto jest kochany Zacytowała je kiedyś Danowi, ale on odpowiedział, że nie odnosi się ono do wszystkich związków, a już na pewno nie do ich małżeństwa.

Ogarnięta nagłym współczuciem dla Happy, podeszła do niej i usiadła obok.

- Tinie bardzo spodobała się żółta sukienka - powiedziała. - To takie miłe, że zawsze o niej myślisz.

- Nie mogę oprzeć się pokusie robienia zakupów w sklepie z dziecięcymi ubraniami. Natychmiast wyobraziłam sobie Tinę w tym odcieniu żółci, z jej ciemnymi warkoczami Poza tym, ponieważ nie jest już jedynym dzieckiem w rodzinie należy jej się jakaś niespodzianka i trochę nadprogramowej

To prawda - przytaknęła Sally.

Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, że ty i Dan nie poświęcacie jej uwagi - zastrzegła się Happy, nalewając kawę do filiżanek. - Siadaj, Clive, i poczęstuj się ciasteczkami. Wiem, że masz na nie ochotę i jest to wyłącznie twoja sprawa, więc proszę, aby nikt tego nie komentował.

Stałem się obiektem litości, pomyślał Clive, biorąc do ust migdałowe ciastko. Oto, do czego doszło. Może zresztą zawsze tak było?

Uwaga Happy skierowana była do lana. Kiedyś Oliver, nie zdając sobie sprawy, że Clive znajduje się w zasięgu słuchu, upomniał lana, aby był miłszy dla brata.

- Jestem dla niego miły - odpowiedział wtedy lan. - Sęk w tym, że jemu zawsze się wydaje, iż ktoś próbuje go obrazić.

Oliver, który z całego serca kochał Clive'a i był przez niego kochany, westchnął ciężko.

- Wiem o tym - odrzekł.

Może rzeczywiście podejrzewam wszystkich, że próbują mnie urazić, myślał Clive, sięgając po następne ciastko, aż wreszcie weszło mi to w nawyk. A tymczasem wszyscy są tak uprzejmi, tak chętnie obsypują mnie komplementami... Cóż, jestem w końcu geniuszem cyfr! „Geniuszem"! Co oni wszyscy wiedzą o magii cyfr, o ich sztuczkach, które są takie uczciwe i czyste? W cyfrach nie kryje się podstęp, one nie kłamią, nie schlebiają. Ci pełni fałszywego szacunku ludzie nie zdają sobie sprawy, że doskonale wiem, jak nazywają mnie za plecami - mówią o mnie „ćwiarteczka", podczas gdy lan to „litr". Dlaczego ulegam tym falom nienawiści do lana, a do Dana czuję najprawdziwszą sympatię, chociaż on także ma to wszystko, czego mi brak? lan siedzi teraz rozluźniony, ze skrzyżowanymi długimi nogami i przyciszonym głosem rozmawia z ojcem, a jednocześnie niewątpliwie wspomina ostatnią kobietę, którą zdobył. Oczywiście nie mogę mu niczego dowieść, ale jestem pewien, że zdradza Happy na prawo i lewo. Po prostu wiem. Ja sam od czasu do czasu kupuję usługi jakiejś kobiety i potem pogardzam sobą przez wiele dni, gdy tymczasem on ma na skinienie najpiękniejsze dziewczyny! I dlaczego miałoby być inaczej, wystarczy na niego spojrzeć. Któremu przekłętemu przodkowi zawdzięczam to ciało? I na dodatek jeszcze łysieję...

Clive obserwował wszystkich uważnie. Był zdania, że w życiu towarzyskim przypadła mu rola obserwatora, człowieka, który z racji odsunięcia od aktywnego centrum może jedynie patrzeć i analizować. Bardzo niewiele spraw umykało jego uwadze. Dziś zauważył, że Sally jest nieobecna duchem i od kilku minut wpatruje się w przestrzeń. Było to do niej zupełnie niepodobne. Ze swoimi czarnymi włosami i jasną cerą była wyjątkowo atrakcyjną młodą kobietą, pełną życia i bez trudu nawiązującą kontakty z ludźmi. Bardzo lubiła opowiadać anegdoty o miejscach, które odwiedziła w czasie podróży z aparatem fotograficznym. Zastanawiał się, czy nie przydarzyło jej się coś złego i co takiego widzi w pustej przestrzeni.

Tak naprawdę Sally wpatrywała się w srebrną karuzelę. Po szoku, jaki przeżyła tego popołudnia, ogarnęła ją dziwna nostalgia.

- To czyste srebro - powiedziała tamta kobieta w sklepie z antykami. - Dzieło złotnika, który w dziewiętnastym wieku pracował dla wiedeńskiego dworu. Rzadki skarb.

- To prawda - odezwał się młody mężczyzna. - Nie, nie chcę jej kupić, przyglądam się tylko, ponieważ mamy identyczną w domu. Mój stryj kupił ją wiele lat temu w Wiedniu.

- Ta gra *Odgłosy wiosny*.

- A nasza walc *Nad pięknym, modrym Dunajem*. Dokładnie w tym momencie spotkały się ich oczy. Sally

była przyzwyczajona do męskich spojrzeń i wiedziała, jak się odwrócić i odejść, ale tym razem nie odwróciła się i razem wyszli ze sklepu.

Było to w Paryżu. Popołudniowe światło zmieniało barwę zachmurzonego nieba z ponurego błękitu na opalizującą zieleń. Zapytał, jak się nazywa, a ona się zawahała. Wyglądał bardzo poważnie w granatowym garniturze-, krawacie w dyskretne paski i lśniących butach. Był wysoki i dobrze umięśniony, miał włosy koloru piasku i pogodną, opaloną twarz. A jednak wołała być ostrożna.

- Głupie pytanie. Dlaczego miałyby mi pani powiedzieć, jak się nazywa? Nie ma takiego powodu. Ale ja chyba mogę się pani przedstawić. Oto moja wizytówka.

- „Daniel R. Grey, firma Grey Foods, dział kontaktów

z zagranicą" - przeczytała. - To pan? Kawa, pizza i konserwy?

Skinął głową.

- Przyjechałem do Francji, żeby kupić firmę cukierniczą. Produkuje wspaniałe czekoladki z nadzieniem kasztanowym, alkoholem i innymi pysznościami.

Oczywiście każdy mógł znaleźć tę wizytówkę i posłużyć się nią, ale w twarzy tego młodego człowieka było coś, co mówiło głośno: „Uwierz mi”.

- Nazywam się Sally Morrow, jestem fotografikiem. Robię portretowe zdjęcia znanych osób i okładkowe fotografie pisarzy, ale nie tylko. Sprezentowałam sobie tydzień wakacji w Paryżu.

- A czy poświęci pani godzinę, żeby napić się ze mną kawy? Mam taką ulubioną kawiarnię na Ile de la Cite. Można tam posiedzieć w słońcu i poobserwować przechodniów...

Podrywa mnie, i to niezbyt umiejętnie, pomyślała. Ale co złego mogło wyniknąć z wypicia kawy w publicznym miejscu?

Absolutnie nic. Sześć miesięcy później byli już małżeństwem...

W drugim końcu pokoju Dan podniósł się z miejsca i podszedł do niej.

- Co się stało? Wyglądasz na zamyśloną. I smutną. Chciała objąć go z całej siły, powiedzieć, że go kocha, że

jest wdzięczna losowi za to, że może z nim być, chciała podzielić się z nim swoim lękiem, ale bała się go przytłoczyć, przygnębić, pozbawić radości.

- Widok karuzeli obudził we mnie mnóstwo wspomnień -powiedziała tylko.

- I dlatego jesteś smutna?

- Nie jestem. Naprawdę.

Z pewnym trudem przywołała na twarz jasny uśmiech.

- Słuchaj, to ważne! - zawołał Ian. - To naprawdę ważne, Dan.

Dan zmrużył oczy.

- Przepraszam, nie słuchałem...

Miałem dziś kolejny telefon od przedstawicieli tego szwedzkiego koncernu.

- Myślałem, że ta propozycja umarła już śmiercią naturalną. - Dan był wyraźnie zaniepokojony.

- Na to wyglądało, ale okazało się, że są jednak zainteresowani. Do oferty włączają się Brytyjczycy i Holendrzy, mają duże pieniądze. Chcą ponownie przystąpić do rozmów.

Dan potrząsnął głową.

- Nie chcę z nimi negocjować, Ianie. Nie zmieniłem zdania.

- Nie wiesz jeszcze, ile proponują. - Ian zawiesił głos. - Dwadzieścia osiem milionów, pod warunkiem że sprzedamy całość. Nie widzę powodu, dlaczego mielibyśmy tego nie zrobić.

- Kiedy cała ta sprawa wynikła półtora roku temu, przedstawiłem ci mnóstwo powodów - powiedział Dan.

- Ale wtedy nie otrzymaliśmy takiej oferty.

- Nawet gdyby podwoili tę sumę, nadal nie byłbym zainteresowany.

Ian pochylił się nieco do przodu i z wyraźnym napięciem popatrzył na Dana.

- Ciągle jeszcze przejmujesz się drzewkami i ptaszkami? Gdyby ktoś zwrócił Ianowi uwagę, że niepotrzebnie ucieka

się do sarkazmu, powiedziała, iż był to tylko pogodny żart. W normalnych okolicznościach Sally natychmiast wyrzuciłaby z pamięci jego słowa, ponieważ wszyscy członkowie rodziny przywykli do bezpośredniości Iana, która czasami graniczyła z opryskliwością. Dziś jednak, zdenerwowana, niespokojna i spięta, poczuła ogarniającą ją złość.

- Oczywiście że tak, zwłaszcza że codziennie zabijamy tysiące ptaków i niszczymy tysiące drzew. I wiele innych istot.

- Wiesz, Dan, szczerze mówiąc, o wiele bardziej interesują mnie ludzie.

- Ja też o nich myślę. O tych, którzy wybierają się na wycieczki lub po prostu siadają na trawie, by nacieszyć się otaczającą ich przyrodą.

- Jesteś sentymentalny.

- Nie sądzę. Wydaje mi się, że jestem praktyczny, nic więcej. Jeżeli zbudujesz to swoje „nowe miasto” dla trzydziestu tysięcy osób - tak to opisywałeś w zeszłym roku, prawda? - zniszczysz źródła wody w promieniu Bóg jeden wie ilu kilometrów. Nie jestem inżynierem, więc nie mogę przed-

stawić żadnych danych, wiem jednak, podobnie jak ty, że lasy w naturalny sposób chronią źródła wody. Zresztą po co powtarzać tę dyskusję?

- Sam przyznajesz, że nie jesteś inżynierem, więc dlaczego nie pozwoliłś specjalistom martwić się o wodę i całą resztę? Posłuchaj mnie, Dan - chciałbyś powstrzymać postęp, ale to niemożliwe. Musisz przywyknąć do myślenia w kategoriach dwudziestego pierwszego wieku.

Na twarzy Dana pojawił się smutek.

- Już do tego przywykłem.

- Jeżeli tak, to przecież zdajesz sobie sprawę, z jak szybkim przyrostem naturalnym mamy do czynienia. Wkrótce mnóstwo ludzi będzie potrzebować dachu nad głową. Grupa, o której mówię, dysponuje znakomitym projektem świetnie zaplanowanego i zorganizowanego osiedla, nie będzie tam miejsca na żadną prowizorkę...

- Dach nad głową! - przerwał mu gwałtownie Dan. -Zanim zanieczyścisz góry, zakładając osiedle wiele kilometrów od miejsca pracy, powinieneś zająć się wyburzeniem starych, zrujnowanych fabryk w centrum miasta! Można zbudować te miejsca ładnymi domami, ale takimi, na jakie stać będzie zwykłych ludzi!

- W porządku, to też możemy zrobić, popieram twój pomysł. Ale jedno nie ma nic wspólnego z drugim. Jesteś przeciwny wycinaniu drzew, ale tak dzieje się na całym świecie. Kilka pniaków więcej niczego nie zmieni. Dlaczego mamy być bardziej święci od papieża? Mówię ci - jeżeli nie zaakceptujemy tego projektu, powinniśmy pójść do psychiatrii. Zapytaj pierwszego lepszego przechodnia, czy odrzuciłby taką ofertę, a na pewno roześmieje ci się w twarz. „Bierz forsę i w nogi”, powie. I będzie miał rację.

- To twoja opinia, nie moja.

- Posłuchaj, pracujemy naprawdę ciężko, sam lataśz po całym świecie, aby firma sprawnie działała. Im więcej o tym myślę, tym częściej dochodzę do wniosku, że powinienem cieszyć się życiem, póki jestem młody. Pozbyć się ziemi, zlikwidować firmę i zająć się przyjemniejszymi i łatwiejszymi sprawami. Podaj mi jeden ważny powód, dlaczego miałyby być inaczej.

- Mogę podać ci wiele powodów. - Głos Dana drżał pod

wpływem napięcia. - Oto pierwszy. - Ta ziemia należy do rodziny od ładnych paru pokoleń. Ilu dokładnie, Oliverze?

Oliver wyglądał teraz na starego, zmęczonego człowieka. Nawet w jego głosie brzmiało zmęczenie.

- Najpierw, w osiemnastym wieku, była tylko farma w dolinie, sięgająca do stóp wzgórz. Potem, kiedy rodzina się wzbogaciła, następne pokolenie kupiło górzysty teren za grosze. - Oliver roześmiał się krótko, ze znużeniem. - Podczas pierwszej wojny światowej mój dziadek wykupił resztę, głównie dlatego, że kochał dziką przyrodę. Od tej pory nie naruszyliśmy nawet akra.

- Kochał dziką przyrodę... - powtórzył Dan z gorzkim naciskiem. - Tak, tak. Nasi przodkowie traktowali tę ziemię jako dziedzictwo, powierzony im w zaufaniu dar. A teraz, dwa wieki później, siedzimy tu i spokojnie rozmawiamy o zniszczeniu gór. Wszystko to dla paru dolarów.

- Milionów dolarów - przypomniał Ian.

- To bez znaczenia! - Dan podniósł głos. Jeden z psów podszedł do Olivera i wsparł łeb na jego kolanie. - Zaraz, pozwól mi skończyć. Prosiłeś o powody. Mówisz, że powinniśmy zlikwidować firmę, zlikwidować Grey Foods. Cztery pokolenia ciężkiej pracy. Plantacje winogron na zachodzie, sady jabłkowe na wschodzie. Farmy, sprzedawcy, pakowacze! piekarze, specjaliści od żywności, kierowcy ciężarówek... Co tu gadać, w co czwartej rodzinie z okolicznych trzech okręgów znajdziesz co najmniej jednego pracownika Grey Foods. Porozmawiaj z nimi, niech powiedzą ci, co o tym myślą. Chcą zachować swoje miejsca pracy oraz żyć i pracować w znajomym środowisku. Jesteśmy instytucją, Ianie, jesteśmy spadkobiercami tradycji. Nie mam pojęcia, o czym ty myślisz, do diabła.

Ian się roześmiał.

- O pieniądzach.

Dan umilkł. Wszyscy siedzieli bez ruchu. Happy wpatrywała się w przygasający ogień, Sally niespokojnie spoglądała na męża, Clive przyglądał się swoim poplamionym nikotyną palcom, a Oliver gładził głowę psa.

- Nie masz nic do powiedzenia, Oliverze? - zapytał wreszcie Dan.

- Bardzo ciężko jest mi zabierać głos w tej sprawie. Nie

muszę ci mówić, co czuję w stosunku do firmy i ziemi, ale one należą teraz do was. Jesteście młodymi ludźmi i musicie sami podejmować decyzje. Mówiłem wam o tym, kiedy oddawałem firmę w wasze ręce. Zrezygnowałem i wielokrotnie podkreślałem, że odtąd nie będę stroną w waszych dyskusjach. Nadal trzymam się tego postanowienia. Znowu zapadło milczenie.

- Bez wahania sprzedałbym część ziemi fundacji przyrodniczej, która dążyłaby do zachowania terenu w nie zmienionym kształcie - z namysłem odezwał się Dan. - Byłby to może sposób, aby uchronić te góry przed przyszłymi projektami zabudowy...

Łan uniósł brwi.

- Doprawdy? I na pewno oddałbyś wszystko za grosze, co? A może wręcz za darmo?

- Po co ci jeszcze więcej pieniędzy, Łan? Nie wystarczy ci to, co masz? Żyjesz chyba na dość wysokim poziomie?

- Pokaż mi kogoś, kto uważa, że ma dosyć pieniędzy. Powiem ci jedno, nie znajdziesz takiego. Chęć posiadania leży w ludzkiej naturze. - Łan roześmiał się, ukazując zdrowe zęby. - Co o tym myślisz, Clive?

Clive podniósł wzrok znad swoich palców.

- Mnie pytasz? Dlaczego? Przecież ode mnie nie wymaga się myślenia. Ja mam tylko liczyć, zostałem tak zaprogramowany.

Nagle Clive zaniósł się strasznym, duszącym kaszlem. Jego twarz stała się purpurowa, zgiął się wpół, dotykając głową kolan. Nikt nie pospieszył mu z pomocą, ponieważ nie można było mu pomóc. Mogli tylko patrzeć, jak kaszle, wybiega z pokoju i po chwili wraca, nadal czerwony, ale już spokojniejszy. Takie ataki kaszlu zdarzały mu się prawie codziennie.

- Coraz lepiej, prawda? - odezwał się Łan. - Pal dalej, Clive, pal. Rozedma płuc gwarantowana.

- Clive stara się rzucić palenie, ale jest uzależniony - powiedział szybko Dan. - To nałóg, podobnie jak hazard.

Łan, który niedawno wrócił z Monte Carlo, nie znalazł odpowiedzi na tę uwagę, lecz zamiast niego zareagowała Happy.

Łan jest pracoholikiem. Od czasu do czasu musi się zrelaksować.

Oto słowa lojalnej żony - powiedział Oliver. - Wszystko

to nieważne. Wiera, że mój syn jest ostrym kłusakiem i nie mam mu tego za złe, prawda, lanie?

- Oстрыm kłusakiem... Wyjaśnij mi, co masz na myśli, tato.

- To tylko jeszcze jeden z moich archaicznych zwrotów. W czasach mojego dziadka określano tak narowiste konie powozowe oraz pełnych temperamentu i energii mężczyzn, którzy starali się jak najwięcej czerpać z życia.

- Chodzi ci o grzeszników. Czuję się jak przestępca.

- Nie rozumiem, co się tutaj dzieje - ciągnął Oliver. - Przy stole wszyscy byliśmy w świetnym nastroju, a teraz nagle zaczęliśmy się kłócić. Nie podoba mi się, że tak zachowujecie się w tym domu. - Oliver nadal głaskał psa po głowie. - Nawet Napoleon się zdenerwował, bo nie jest przyzwyczajony do takiej atmosfery, prawda, Nappy?

- To moja wina, tato. Ja zacząłem tę rozmowę, zupełnie jakbym nie wiedział, że kiedy poruszymy ten temat, natychmiast obaj z Danem skaczymy sobie do oczu. Oczywiście dobrze wiedziałem, że tak będzie. Chodzi o to, że... Mogę wam o tym powiedzieć, skoro już i tak zepsułem wszystkim część wieczoru... Mam za sobą kilka trudnych dni. Dan, w czasie twojej nieobecności zadzwoniła Amanda. Twoja siostra w dziesięć minut potrafi pozbawić człowieka chęci do życia, chyba wiesz o tym. W każdym razie mnie pozbawiła spokojnego snu na dwie noce.

- Moja siostra? Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej? Wróciłem do domu już dwa dni temu.

- Nie chciałem wywlekać tych problemów przed urodzinami taty, ale niezupełnie mi się udało. Przykro mi.

- Dlaczego zadzwoniła akurat do ciebie?

- Chciała rozmawiać z tobą, ale że ciebie nie było, połączono ją ze mną.

- Czego chciała?

- Najpierw odmówiła zwykłą litanię skarg. Nie ma dla niej miejsca w zarządzie, ponieważ jest kobietą. Powiedziałem jej to, co słyszała już wiele razy: że jej płeć nie ma nic wspólnego z miejscem w zarządzie. Nie wystarczyło jej to, sam wiesz, jak trudno rozmawia się z tymi walczącymi feministkami. Nie dziwię się, że rozwodziła się już dwa razy.

- Tylko raz - poprawił go Dan.

- Tak czy inaczej, nie ma zielonego pojęcia o prowadzeniu

firmy i nic nie wskazuje, aby ten stan rzeczy miał ulec zmianie, ponieważ mieszka cztery i pół tysiąca kilometrów stąd. Na jej konto wpływa spory dochód z jednej czwartej udziałów[^] więc czego jeszcze chce, u diabła? Jej zdaniem to nie fair, że my trzej, mężczyźni, zarabiamy znacznie więcej. Powiedziałem, że dostajemy pensję. Przecież to oczywiste -pracujemy nie siedem, a osiem dni w tygodniu, więc chyba należy nam się za to jakieś wynagrodzenie. Potem zażądała, żebyśmy wykupili jej udziały, ponieważ dzięki temu dysponowałyby okrągłą sumką na inwestycje.

- Żebyśmy wykupili jej udziały? - z niedowierzaniem zapytał Dan.

- Tak. Słuchaj dalej. Jeżeli tego nie zrobimy, sprzeda je temu, kto da najwięcej. Rozmawiała już ze specjalistami od inwestycji, którzy mają oszacować wartość jej udziałów - łan mówił coraz szybciej, z rosnącym podnieceniem. - Naprawdę przykro mi, że do tego wracam, ale wiele razy powtarzałem, aby pójść za radą naszych prawników i podpisać umowę, zgodnie z którą firma pozostawałaby w rękach najbliższej rodziny. Dzięki temu teraz moglibyśmy powstrzymać Amandę od sprzedaży udziałów. Jeden Bóg wie, kto zajmie jej miejsce i zjawi się tutaj, gotów w każdej chwili zastopować wszystkie nasze posunięcia. No tak, trzeba było to zrobić, ale Amanda tego nie chciała, więc ustąpiliśmy. Mówiłem to wtedy i mówię dziś, tato - ta kobieta będzie nam stale przysparzać kłopotów. Zależy jej tylko na tym, żeby ciągnąć z nas pieniądze i co rusz nas szantażuje, aby się upewnić, że jej nie oszukujemy. A teraz chce dostać górę pieniędzy na jakiś idiotyczny projekt.

- Budowy domu dla bezdomnych dziewcząt - uzupełnił Dan. - Wspominała o tym jakiś czas temu.

- Nagadała się tyle, że mało mi głowa nie pękła, ale w końcu udało mi się ją uciszyć. Prawdę mówiąc, zaczynam się zastanawiać, czy nie jest szalona.

- Nie - odezwał się Dan. - Przyznaję, że może być trudna i męcząca, ale na pewno nie jest szalona. Nie lubię, kiedy ktoś beztrosko szermuje takimi słowami. A projekt budowy domu dla bezdomnych...

Też nie jest szalony, tak? Za to my na pewno oszalejemy, jeżeli ona zrealizuje swoją groźbę i poda nas do sądu. Groziła ci?

- Tak, chce nas zaskarżyć, jeżeli jej nie wykupimy - rzekł Ian z rozdrażnieniem. - Pytam, jaka firma może się poszczycić taką płynnością gotówkową, aby na zawołanie wyłożyć na stół jedną czwartą swojej wartości? Jeżeli tego nie zrobimy, Amanda wypuści swoje udziały na rynek, a kiedy spróbujemy ją zablokować, zaskarży nas i zbankrutujemy z powodu opłat sądowych. Nie mówię już o tym, że moglibyśmy stracić taką niesamowitą szansę. A wszystko dlatego, że kilka lat temu nie chcieliście zmusić jej do podpisania umowy zabraniającej odsprzedawania udziałów w firmie. Była wtedy młodsza i jeszcze nie taka twarda. Gdybyś się uparł, tato, nie miałyby wyjścia.

- To już przeszłość - powiedział stanowczo Dan, usiłując bronić Olivera przed atakiem. - Nie ma sensu rozważać tego, co było.

Ian wstał i podszedł do okna. Wszyscy wpatrywali się w niego z napięciem. W pokoju panowała zupełna cisza. Po chwili Ian odwrócił się i stanął tyłem do kominka.

- Na pewno wszyscy zrozumieliście, dlaczego Amanda stanowi jeszcze jeden powód, aby uznać transakcję z europejskim konsorcjum za świetne rozwiązanie - oświadczył. - Z takimi pieniędzmi bez trudu ją wykupimy i pozbedziemy się jej raz na zawsze.

- Zależy ci wyłącznie na tym, żeby sprzedać tę ziemię - rzucił Dan. - Na niczym więcej, Ian. Chciałeś zrobić to już ponad rok temu. Przecież Amanda zażądała pieniędzy zaledwie przed dwoma dniami.

- W porządku, w porządku, nie przeczę, że masz trochę racji. Mówię tylko, że obie te sprawy wiele łączy.

Obaj młodzi mężczyźni stali naprzeciwko siebie, najwyraźniej zaniepokojeni otwartą wrogością, jaką sobie okazali. Nie przywykli do wybuchów emocji, taki sposób zachowania nie był „cywilizowany”. A jednak zachowali się właśnie tak, nie inaczej. Sally, patrząc na zaczerwienioną twarz męża, z lękiem pomyślała o następnym ciosie, który będzie musiał znieść jeszcze tego samego wieczoru.

- Porozmawiam z Amandą - powiedział Dan, który zdążył się już opanować. - Postaram się naprawić tę sytuację.

- Życzę szczęścia - odparł Ian. - Założę się, że nic to nie da. Jest głucha na wszystkie argumenty. Nie znasz jej, Dan.

- Nie znam jej? To ciekawe! Przecież Amanda jest moją siostrą.

- Powtarzam, że jej nie znasz. Dotyczy to nas wszystkich. W wieku trzynastu lat wyjechała do szkoły z internatem w Kalifornii i nigdy już nie wróciła.

Ilan raz jeszcze zwrócił się do Ol i Vera.

- Dlaczego ty z nią nie porozmawiasz, tato? Zawsze byłeś mediatorem i zwolennikiem spokoju.

- Mówiłem już, firma nie należy do mnie. Chcecie, żebym rozstrzygał kwestie sporne między dziećmi mojego brata i moimi własnymi, ale ja się na to nie godzę. Musicie załatwić to sami. Przeprowadźcie głosowanie.

- Doskonale - oświadczył Ilan. - Jestem za sprzedażą, Dan jest przeciw. Amanda poprze projekt sprzedaży, ponieważ dzięki niemu dostanie to, na czym jej zależy. Zostaje Clive, którego głos jest decydujący. Albo któreś ze stronnictw osiągnie większość, albo utkniemy w martwym punkcie. Co ty na to, Clive?

Clive nie od razu mógł odpowiedzieć, ponieważ ponownie zaniósł się kaszlem. Na szczęście tym razem atak był słabszy.

- Nigdy nie udzielam nieprzemyślanych odpowiedzi - powiedział w końcu zirytowanym tonem. - Tak czy inaczej, jakiegokolwiek rozstrzygające decyzje w tej sprawie byłyby przedwczesne. Domyślam się, że inwestorzy przedstawią swoje plany i określą wysokość sumy mniej więcej za rok. Proponuję, żebyście do tego czasu odłożyli całą sprawę na bok. Taka jest moja sugestia.

- Świetny pomysł! - Ilan roześmiał się sarkastycznie. - Oczywiście, odłożymy sprawę Amandy. Najlepiej na rok.

O zakończeniu sporu zdecydował ostatecznie Oliver. Podniósł się z miejsca, co oznaczało, że przyjęcie dobiegło końca.

- Clive mówi z sensem, jak zwykle - powiedział, uśmiechając się zachęcająco do syna. - A jeśli chodzi o groźby: ludzie często je wypowiadają, ale od słów do realizacji daleka droga. Radzę, abyście nie robili nic w pośpiechu. I jeszcze jedna rada - wybierzcie się jutro do kościoła. Ja prawie zawsze uczestniczę w niedzielnym nabożeństwie, niezależnie od tego, gdzie jestem. Pomódlcie się o spokój, wewnętrzny spokój. Tak, tak, o wewnętrzny spokój.

Wszyscy wstali.

- Mimo drobnych nieporozumień, miałem wspaniałe przyjęcie urodzinowe - zakończył Oliver. - Dziękuję wam za to. Kocham was. Wracajcie bezpiecznie do domów.

Nie czekała ich zbyt daleka droga. Dwa samochody zjechały długim podjazdem i minęły kunsztownie kutą żelazną bramę. Buick Dana podążył za maserati do chwili, gdy drugi wóz skręcił na zwirowaną drogę, oświetloną dwoma rzędami latarni, wiodącą do niskiego, eleganckiego domu w stylu francuskim.

- Byłaś bardzo milcząca - niespokojnie powtórzył Dan. - Powiedz mi, co się stało.

Jej serce zamarło, zmrożone zimnym lękiem i śmiertelnie przerażone.

- To był okropny wieczór - odpowiedziała. - Było mi tak żal Olivera. Ian zepsuł mu urodziny. Nie mógł poczekać do jutra?

Po prawej stronie drogi, między drzewami, ujrzeli nagle światła położonego niżej miasta. Dan zwolnił.

- Spójrz, Scythia, siedziba Grey Foods. Mało brakowało, a skręciłbym łanowi kark. Założę się, że Happy też miała na to wielką ochotę. Może przynajmniej urządzi mu awanturę w domu. Nie wiem, co w niego wstąpiło. Przez wszystkie minione lata prawie nigdy się nie kłóciliśmy. Myślałem, że znam go na wylot. Wiem, że kocha pieniądze, ale mimo wszystko... - Dan przerwał na chwilę. - Co będzie, jeżeli zrealizuje swój pomysł, sprzeda ziemię i zrezygnuje z pracy w firmie? Clive sprawdza się wyłącznie w biurze, a ja nie poradzę sobie z podwójnym nawalem zadań...

- Przykro mi, kochanie. Nie zasługujesz na to.

- I jeszcze ta sprawa z moją siostrą. Amanda zawsze stanowiła dla mnie zagadkę, ale co ją ugryzło akurat teraz? Chce sprzedać jedną czwartą udziałów firmy, na miłość boską!

- Mówiłeś mi, że jest trudna.

- Trudna! Ale co to właściwie znaczy? Co o niej wiem? Niestety, bardzo niewiele. Nie można przecież dobrze znać osoby, z którą przez lata spędzało się najwyżej dwa, trzy tygodnie. Kiedy byłem młodym chłopakiem, co roku odwiedzałem ją w Kalifornii, ale nigdy nie były to długie wizyty,

a ostatnio spotykaliśmy się kilka razy w roku, na parę godzin, gdy zatrzymywałem się w San Francisco. Czasami Amanda wybierała się na wschód i wtedy umawialiśmy się w Nowym Jorku. Wiesz przecież, że nigdy tu nie przyjeżdża. Nie wiem, dlaczego, to jakieś smutne dziwactwo.

Sally doskonale rozumiała ból Dana. Zawsze była samotniczką, nigdy nie angażowała się w intensywne związki przyjaźni i miłości, jakie młodzi ludzie przeżywają w wieku szkolnym i uniwersyteckim, więc często czuła zaskoczenie z powodu tego, co ją spotkało. Miała dwadzieścia dziewięć lat, za sobą sześć lat małżeństwa, nigdy nie utraciła żadnej części swego dumnego „ja”, a mimo tego czasami z całą ostrością odbierała uczucia Dana. Istniała między nimi niewidzialna, bardzo silna więź. Teraz zrozumiała, że Dan nie chce więcej rozmawiać o Amandzie i umilkła.

Po chwili poczuła na sobie jego uważne, badawcze spojrzenie.

- Chodzi o Tinę, prawda? Miałaś zły dzień i nie chcesz mi o tym powiedzieć.

- To ciągle ta sama historia. Dzięki Bogu, że mamy Nianię. Jej nic nie wyprowadza z równowagi.

Właśnie tak należało się zachować. Lekki ton, machnięcie dłonią... Dopiero w domu, kiedy sprawdzi, czy wszystko w porządku i nieco się wyciszy, powie Danowi, co się stało.

Kiedy Sally weszła do pokoju, Niania czytała gazetę.

- Jak minął wieczór? - niespokojnie zapytała Sally.

- Dobrze, nie musi się pani martwić. Miałyśmy małą sprzeczkę przed kąpielą. Nie chciała, żebym ją rozebrała, ale szybko doszliśmy do porozumienia. Zasnęła spokojnie. Susanna to najprawdziwszy skarb. Wypiła całą butelkę mleka i śpi jak aniołek.

Coś w wyrazie twarzy Sally musiało poruszyć starszą panią, bo wyciągnęła rękę i łagodnie poklepała dłoń Sally.

- Wy, młode matki, za bardzo się wszystkim przejmujecie. Sama wychowałam czwórkę - każde z nich jest zupełnie inne. Niektóre dzieci są spokojne i pogodne, inne trudne, ale jeżeli się staramy, w końcu wszystkie wyrastają ze swoich problemów.

Kiedy Dan brał prysznic, Sally zajrzała do dzieci. Słodko pachnące talkiem niemowlę posapywało spokojnie w różo-

wym łóżeczku. Przed drzwiami Tiny Sally zdjęła buty, nie chcąc obudzić córeczki niepotrzebnym dźwiękiem. Przyćmione światło zapalanej w korytarzu lampy padało bladym pasmem na podłogę, wydobywając z mroku łóżko i zagrzebany pod kołderką kształt.

Sally z całej siły zacisnęła pięści. Poczowała, jak mięśnie policzków napinają się aż do bólu.

- Jeżeli ktokolwiek skrzywdził to dziecko, zabiję go -mruknęła.

Sally już dziesięć minut tkwiła pod gorącym strumieniem wody, starając się odwlec rozmowę z Danem, aż wreszcie ten zapukał lekko w drzwi kabiny prysznicowej.

- Masz zamiar spędzić tu całą noc? - zapytał. - Chodź, pomogę ci wytrzeć się do sucha. Czy teraz możesz wreszcie powiedzieć mi, co się wydarzyło?

- Tak - odparła. - Teraz, już mogę.

Usiedli na małej sofie w nogach łóżka i Sally zaczęła swoją opowieść. Dan objął ją, bo drżała na całym ciele, dopiero teraz w pełni odczuwając przeżyty wstrząs.

Spodziewała się, że ujrzy na jego twarzy głębokie poruszenie i ból, że Dan wstanie i będzie nerwowo chodził po pokoju. Powinna była wiedzieć, że zachowa się zupełnie inaczej, w końcu znała go tak dobrze... Dan potrafił stawić czoło każdej sytuacji.

- Co możemy zrobić? - brzmiało jego pierwsze pytanie.

- Sama chciałabym to wiedzieć. Co możemy zrobić? Co powinniśmy zrobić?

- Przede wszystkim powinniśmy poprosić o radę innego lekarza. Jeśli mam być szczery, ta kobieta nie wywarła na mnie zbyt dobrego wrażenia. Jest bardzo młoda i niedoświadczona.

- Była jednak tak pewna swojej diagnozy...

- Trudno, aby ją postawiła, nie czując absolutnej pewności. Gdyby zachowywała się niepewnie, nie wzbudziłaby niczyjego zaufania, prawda?

- Ale tyle rzeczy, które powiedziała o Tinie, wydaje się trafnych - choćby to, że nie pozwala się przytulić i boi się, kiedy wychodzimy z domu. Pamiętasz, jaką awanturę urzą-

działa Tina, kiedy dwa tygodnie temu wybraliśmy się na dwa dni do Waszyngtonu?

Sally, miałem kiedyś psa, który włożył mi do walizki. To był mały foksterier, głupiutki psiak, ale doskonale wiedział, że wyjeżdżam. Jeżeli tak potrafi zachować się pies, to czy nie można spodziewać się tego w przypadku dziecka?

- Sama już nie wiem...

- A ja wiem. Posłuchaj, przeanalizujmy całą sytuację, gdzie chodzi Tina? Do przedszkola, poza tym prawie nigdzie. Wydaje mi się, że jakiś chłopaczek z jej grupy okazał się odrobinę przedwcześnie rozwinięty. Wszystkie dzieci bawią się w doktora. Sam to robiłem, a ty nie?

- Tak, ale... To co innego.

W gabinecie lekarki otwarcie wątpiła w słuszność jej opinii, tymczasem teraz broniła jej autorytetu, zupełnie jakby jej zależało, aby Dan przekonał ją mocniejszymi argumentami.

- Happy uważa, że to doskonała specjalistka - powiedziała.

- Wiem, że Happy tak uważa i nie podważam kwalifikacji doktor Lisie, wolałbym jednak, aby Tinę zbadał ktoś inny. Jutro oboje popytamy wśród znajomych, wybierzemy najlepszego terapeutę i pójdziemy do niego z Tiną, żeby tego rodzaju zachowania nie weszły jej w nawyk. Bo Tina jest po prostu zazdrosna, Sally. Chce skupić na sobie naszą uwagę, więc musimy nauczyć się, jak sobie z nią radzić. Jestem pewien, że to nic poważnego.

- Nie boisz się, że doktor Lisie może mieć rację?

- Nie. Nie dostrzegam objawów, które wymieniła. Przy naszym stylu życia to niemożliwe, dziecko cały czas jest pod opieką dorosłych. Słuchaj, wiele oskarżeń o pedofilię jest mocno przesadzonych. Oczywiście, nadszedł czas, aby wreszcie wyciągać takie sprawy na światło dzienne, popieram tę tendencję, nie można jednak dać się zwariować. Wiesz, o co mi chodzi - ludzie niewłaściwie interpretują całkowicie niewinne gesty. Słyszałem, że niektórzy nauczyciele boją się teraz przytulić dziecko czy choćby pogłaskać je po głowie.

- To prawda - wymamrotała Sally. - Mam nadzieję, że masz rację.

- Kiedy usłyszymy opinię innego lekarza, będziemy wiedzieli, czy mam rację, czy nie. Jestem jednak na tyle pewny,

iż się nie mylę, że teraz spokojnie pójdę spać. A jeżeli nie uda mi się zasnąć, to z zupełnie innego powodu.

- Mówisz o łanie i twojej siostrze?

- Tak. Obawiam się, że to dopiero początek problemów. Chodźmy do łóżka, kochanie.

Po chwili leżeli obok siebie w ciepłej i cichej ciemności. Przez głowę Sally przemknęła myśl, że seks jest nie tylko uniesieniem, ale także ukojeniem. Związek dwóch ciał i dusz przynosił ulgę i pocieszenie. Dawał siłę, odpychał strach. Kiedy otworzyła oczy i spojrzała w ciemne okno i czyhającą za nim noc, świat wydał jej się mniej wrogi niż w ciągu dnia. Poczła nagle, że ona i Dan, obydwójce razem, będą w stanie poradzić sobie ze wszystkimi problemami, niezależnie od tego, czy ich przyczyną będzie Tina, łan, czy Amanda. A jeśli chodzi o Tinę, Dan na pewno miał rację - doktor Lisie niepotrzebnie ich nastraszyła. Z ustami przytulonymi do karku Dana Sally zapadła w głęboki, spokojny sen.

Rozdział trzeci

Kwiecień 1990

W Sonoma Valley złotawe pasma nagiej ziemi ciągnęły się między rzędami winorośli, wytyczonymi tak równo i precyzyjnie jak linie na kartkach zeszytu. Od strony Napa wznoszące się wysoko wzgórza przyciągały oko najrozmaitszymi odcieniami zieleni - zielenią morską, ciemną, jasną i przejrzystą wiosenną, kiedy jednak padały na nieprzebijające się przez ogromne chmury promienie słońca, ich zbocza wydawały się prawie czarne. Na powierzchni stawu u stóp wzniesienia, na którym stała Amanda, lądowało właśnie stadko kaczek. Ich drobne ciała cięły teraz wodę, pozostawiając za sobą srebrzyste ślady. Jeszcze przed chwilą padało i płaski, mokry liść, który Amanda zerwała z krzaka, lśnił jak świeżo wypolerowany metal.

- Fantastyczny widok - powiedziała. - Przypomina obrazy przedstawiające sceny z mórz południowych.

Todd patrzył tylko na nią, zupełnie jakby nie zauważał cudownych wzgórz, stawu i liścia. Znała go zaledwie parę miesięcy, ale przyzwyczaiła się już do tego spojrzenia i do lekkiego, zamyślnego uśmiechu, który przywodził jej na myśl Dana, jej brata, chociaż w rzeczywistości obaj mężczyźni wcale nie byli do siebie podobni. Todd miał ciemniejsze włosy i cerę, był też niższy. A jednak mieli ze sobą wiele wspólnego, przede wszystkim ten kojący spokój i pełen poczucia humoru, łagodny uśmiech w oczach. Oczy Todda były niebieskie i nawet okulary w metalowych oprawkach nie potrafiły przyćmić ich żywej barwy. Miał niski głos o pięknym brzmieniu. Najprawdopodobniej to właśnie jego głos, usłyszany poprzez nieznośny jazgot muzyki i harmider przyjęcia, jednego z tych okropnych, niecywilizowanych masowych

spotkań, których, jak się okazało, nienawidził tak samo jak ona, zwrócił najpierw jej uwagę.

- Ma pan głos aktora - powiedziała.

- Przykro mi panią rozczarować, jestem tylko prawnikiem - odrzekł z lekką kpina.

Ale ona wcale nie poczuła się rozczarowana...

- I co o tym myślisz? - zapytała teraz, ogarniając gestem rozciągający się przed nimi teren.

- To piękny kawałek ziemi. Po prostu raj.

Jak każdy prawnik, starannie odmierzał słowa. Amanda natychmiast wyczuła w nich wahanie.

- Co ci się nie podoba?

- Cena, Amando.

- Moi znajomi z agencji nieruchomości uważają, że wcale nie jest nierozsądna.

- To prawda, jeżeli ktoś potraktowałby ten zakup jako inwestycję. Gdyby liczył, na przykład, że winnica zapewni mu szybki zysk. Wyłożone pieniądze błyskawicznie by się zwróciły, w końcu znajdujemy się w krainie win. Ale ty masz inny pomysł i nie kryję, że moim zdaniem jest on mocno ekstrawagancki.

- Ja inwestuję nie w winogrona, ale w istoty ludzkie. Gdybyś zobaczył dziewczyny, z którymi pracuję, czternastoletnie prostytutki...

- Jesteś wspaniałą kobietą i twój plan również jest wspaniały, ale wybrałaś niewłaściwe miejsce.

Amanda zmarszczyła brwi i kapryśnym gestem rzuciła za siebie liść.

- Rozczarowałeś mnie.

- Prosiłaś, żebym przyjechał tu i podzielił się z tobą moją opinią. Myślę, że powinnaś zacząć od czegoś mniejszego, dużo mniejszego, na przykład sporego domu na kilkuakrowej działce w jednej z podmiejskich dzielnic.

- Nie o to mi chodzi.

W jej słowach dały się słyszeć złość i rozgoryczenie, jakby Todd w jakiś sposób ją zawiódł. Nie chciała, by tak pomyślał i poczuła się nieswojo. Ten niepokój i krótkie milczenie sprawiły, że ogarnął ją gniew na samą siebie.

- Jesteś zła? - łagodnie zapytał Todd.

- Nie. Jestem rozczarowana, już mówiłam.

Kiedy poszedł do samochodu, aby skorzystać z telefonu, ona została na miejscu. Patrząc przed siebie, zrozumiała, że kawałek ziemi może opanować czyjś umysł do tego stopnia, iż każde drzewo wydaje się przemawiać ludzkim głosem. Powiew wiatru oblepił bawełnianą koszulkę na jej piersiach i wydał z tyłu dzianinę jak żagiel. Na twarzy i nagich ramionach poczuła dotyk wilgoci i chłodu, napływających z północnego zachodu, znad oceanu, a może nawet z Alaski. Zapatrzyła się na zieloną ziemię, wyobrażając sobie, co by się tu zmieniło, gdyby została jej właścicielką. Tu, na wzniesieniu, stanąłby główny budynek, po lewej stronie regularny łuk utworzyłyby małe domki, do złudzenia przypominające dziewiętnastowieczne wiejskie domy. Każdy miałby ganek, na którym dziewczęta mogłyby zasiadać do nauki lub po prostu, by chwilę odpocząć.

Muszę wybudować tu swój ośrodek, pomyślała. Chcę żyć i pracować właśnie tutaj!

Tak mocno pragnęła dać coś z siebie innym i żyć, po prostu żyć! Spojrzała przez ramię w kierunku samochodu, przy którym stał Todd, przyciskając do ucha słuchawkę. Dostrzegł, że na niego patrzy i pomachał jej ręką. Gdyby tylko była pewna, że go nie straci! Nie miała jednak takiej pewności, nie mogła jej mieć. Nigdy nie mogła polegać na mężczyznach. Pociągała ich jej inteligencja, jej gęste jasne włosy i świetna figura, którą zawdzięczała grze w tenisa. Zostawali z nią na chwilę, spali z nią, a potem odsuwali się, szukali wymówek, zjawiali się coraz rzadziej, aż w końcu przestawali przychodzić.

- Jesteś zimna - powiedział Harold po prawie trzech latach małżeństwa.

Kochała Harolda, ale szybko się zorientowała, że trudno go zadowolić. Jako specjalista od inwestycji robił karierę w bankowości, był perfekcjonistą i miał wysokie wymagania wobec znajomych, przyjaciół i wszystkiego, co wiązało się ze stylem życia: urządzenia domu, rozrywki, ubrań.

Amanda, która ochotniczo pracowała na rzecz niedawno przybyłych do Stanów imigrantów i właśnie zaczęła uczyć się mandaryńskiego, stanęła nagle wobec skomplikowanych obowiązków. Dnie miały upływać jej w towarzystwie żon innych ważnych ludzi na ważnych przyjęciach charytatyw-

nych, wieczory należało spędzać z przełożonymi i współpracownikami Harolda na uroczystych kolacjach, w operze i w klubach. Wszyscy ci ludzie byli dobrze wychowani, towarzyscy i wygadani, pewni siebie i pewni drogi, jaką obrali. Ogólnie rzecz biorąc, byli zupełnie porządnymi ludźmi, przyjaźnie nastawionymi do Amandy. Ich przychyłność wobec niej jeszcze bardziej wzrosła, kiedy Harold poinformował ich, że jego żona pochodzi z rodziny Greyów. Odtąd nowi znajomi Amandy obserwowali ją z wyraźnym zainteresowaniem.

Amanda nienawidziła swojego życia, nienawidziła pustych godzin, spędzanych na zakupach, rozmowach z dekoratorami wnętrz i traconych na starannym odkurzaniu rosnącej kolekcji francuskiej porcelany i angielskich sreber, zbyt cennej, aby powierzyć ją dłoniom służby. Kolekcja przywodziła jej na myśl Hawthorne: ściany pokryte drobnymi, kosztownymi przedmiotami, oprawne w złoconą skórę książki, których nikt nie czytał, japoński wachlarz z czarnego jedwabiu, srebrna karuzela.

Kłócili się coraz częściej, kochali coraz rzadziej. Seks uprawiali przypadkowo i bez radości. Pewnego wieczoru Harold wstał z łóżka i obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

- Jest ci wszystko jedno, czy się kochamy, czy nie, prawda? - zapytał.

Nie odpowiedziała od razu, ponieważ byłby to krok ostateczny. Małżeństwo okazało się sporym rozczarowaniem, ale mimo wszystko nie chciała go zakończyć.

- Nie chodzi tylko o to, że mamy inne upodobania - ciągnął Harold. - Ludzie przyzwyczajają się do siebie i osiągają kompromis. Myślę, że czegoś ci brak. Naprawdę nie mówię tego po to, żeby zrobić ci przykrość, Amando.

Nie, nie zrobił jej przykrości. Był taki duży, zdecydowany i autorytatywny. Jego sposób bycia, jego głos, jego ciało, wszystko to było zbyt dominujące. Pomyślała, że może sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby mieli dziecko. Może wtedy ona zmieniłaby swoje nastawienie do niego - w końcu byłby ojcem jej dziecka, ich życie wyglądałoby zapewne inaczej. Tak, pragnęła dziecka, pragnęła go z całego serca!

Kiedy mu o tym powiedziała, nie zgodził się.

- Nie jesteśmy gotowi na dziecko. Ludzie nie decydują się na dziecko po to, aby rozwiązać swoje problemy.

Niedługo potem poznał tamtą kobietę i ich małżeństwo dobiegło końca.

Życie przecieka mi przez palce jak woda, pomyślała Amanda. Miała trzydzieści cztery lata. Uśmiechnęła się do Todda.

- Niezależnie od wszystkiego, to była miła przejażdżka - powiedziała. - Masz ochotę na sałatkę z homara? Przygotowałam ją rano.

- Pyszna sałatka - oświadczył z zapałem. - Najlepsza, jaką kiedykolwiek jadłem w tym mieście.

- Lubię gotować. Nawet kiedy jestem sama, jadam wyłącznie smaczne rzeczy.

Podawała gorące krakersy, młode ziemniaki, zielony groszek i suflet cytrynowy, a do tego lekkie francuskie wino. Na środku stołu ustawiła wazon z paprociami i drobnymi różyczkami, których słodki zapach mieszał się z aromatem jedzenia. Jedli przy oknie wychodzącym na Nob Hill i most Golden Gate.

- Widok jak z pocztówki - powiedziała Amanda.

Była zadowolona z mieszkania, które urządziła zupełnie sama. Już na pierwszy rzut oka można się było zorientować, że jest wyjątkowe. Pogodny błękit ścian i sufitu przywodził na myśl letnie niebo, podłogę pokrywały czerwone orientalne dywany, a utrzymane w szwedzkim stylu proste meble wykonano z jasnego drewna.

- Przypomina cię - zauważył Todd. - Nawet gdyby przyprowadził mnie tutaj ktoś obcy, i tak wiedziałbym, że jest twoje.

- Naprawdę? - zapytała z nieukrywanym zadowoleniem. - Dlaczego?

Bardzo trudno to wyjaśnić, podobnie jak trudno jest zdefiniować zainteresowanie drugą osobą czy miłość. - Todd się uśmiechnął. - Ale postaram się. Ten pokój żyje twoim duchem. Czuje się w nim wolność, daje wrażenie otwartej przestrzeni. Jest prosty i wygodny. Nie ma w nim zbędnych przedmiotów, a te, które przyciągają wzrok, są bardzo eleganckie, wręcz wyszukane. Pełno tu subtelnych sprzeczności, podobnie jak w tobie samej.

Sprzeczności? To okropnie brzmi...

O, nie, sprzeczności są fascynujące. Stanowią zagadkę,

przyciągają uwagę, jak fragmenty skomplikowanej układanki, które mają stworzyć piękny obraz.

- Więc chcesz mi powiedzieć, że przypominam ci nie wykończony obraz? - zapytała lekko kpiącym tonem, doskonale zdając sobie sprawę, że przedłuża rozmowę, aby zamaskować jakże ludzkie pragnienie poznania opinii bliskiej osoby na swój temat.

- Nie, to ja jeszcze nie zdążyłem ułożyć całości - powiedział Todd poważnie. - A ponieważ zaczęliśmy o tym mówić, czy masz coś przeciwko temu, abym to zrobił teraz?

Poczuła nagle, jak wzdłuż jej kręgosłupa przebiegają lekkie, delikatne palce strachu. Jednocześnie dałaby wszystko, aby usłyszeć resztę.

- Masz w sobie coś wyjątkowego i trochę niepokojącego. Może się mylę, ale często mi się wydaje, że mimo całej twojej kompetencji i elegancji nie lubisz samej siebie.

- Skąd ci to przyszło do głowy?! - zawołała, udając rozbawienie.

- Ukrywasz, coś. Istnieje jakaś blokada, której nie chcesz usunąć.

Ich oczy spotkały się na krótką chwilę nad biało-niebieskimi porcelanowymi filiżankami do kawy. Była to sekunda, po której obydwójce pospiesznie odwrócili wzrok.

- Zapomnij o tym - odezwał się Todd. - Sam nie wiem, o czym mówię.

Małe palce strachu na plecach Amandy zamarły. Podała deser i dołała Toddowi kawy, zupełnie jakby nic nie zakłóciło ich uroczej kolacji.

- Nigdy wcześniej nie widziałem tego zdjęcia twojego brata - powiedział Todd po chwili.

- Przetawiłam ją tu z górnej półki regału.

- Wydaje mi się, że jest do ciebie podobny. Mam rację?

- Fizycznie pewnie tak, a jeśli chodzi o charakter, to za słabo go znam, żeby móc to stwierdzić. Chyba nie.

- Skąd możesz wiedzieć, skoro słabo go znasz?

- Dan prowadzi bardzo ustabilizowane życie. Odnalazł swoje miejsce.

Todd pokiwał głową.

- Nic w tym złego, zwłaszcza w przypadku mężczyzny, który ma żonę i dwójkę dzieci.

Słowa Todda dziwnie ją zirytowały. Brzmiało w nich echo zdania: „Ma wiele obowiązków i nie można przysparzać mu zmartwień”. Doszła do wniosku, że nie musi reagować na tę uwagę i wstała, aby posprzątać ze stołu.

Todd natychmiast zaoferował pomoc, a potem przeszedł do salonu.

- Masz tu najprawdziwsze małe muzeum - powiedział. - Ten Bonnard z łąką i żywopłotem jest na wagę złota, a ta mała martwa natura z zielonymi winogronami to wspaniałe dzieło sztuki, Amando.

- Wszystko to prezenty oraz przedmioty, które odziedziczyłam po rodzicach.

- Parę lat temu Fundacja Rodziny Greyów ofiarowała tutejszemu muzeum sześć wyjątkowych obrazów amerykańskich prymitywistów. Niezwykle hojny dar.

- Greyowie zawsze mają wszystko w najlepszym gatunku - sucho zauważyła Amanda.

- Jak to właściwie jest z twoją rodziną, Amando? Co jakiś czas coś o tym napomykasz, ale nic więcej.

- Och, sama nie wiem - powiedziała, pragnąc, aby przestał wreszcie zadawać te niewygodne pytania. Wzruszyła lekko ramionami. - Mam kuzynów ze strony matki, mieszkają w San Jose. W Święto Dziękczynienia przyjechałeś po mnie do ich domu. Phyllis i Dick byli dla mnie jak rodzice - śledzili moje postępy w szkole, zabierali mnie na wakacje, chodzili ze mną do dentysty i pomagali mi wybierać ubrania. Byli również cudowni dla Dana, kiedy odwiedzał ich w lecie. Wspaniali ludzie.

- A rodzina ze strony ojca? Nigdy ich nie odwiedzasz, prawda? Nawet brata widzisz rzadko...

- Dan przyjeżdża tutaj. Wiele lat temu, kiedy po raz pierwszy przyjechałam na zachód, strasznie za nim tęskniłam. Ale kiedy ludzi dzieli ponad cztery tysiące kilometrów, łącząca ich więź ulega osłabieniu. Z czasem stają się wobec siebie chłodni, nawet obojętni. Smutne, ale prawdziwe.

Zawahała się. Błękitne oczy patrzyły na nią ze współczuciem zza okrągłych okularów w złotych drucianych oprawkach.

- Masz rację, to smutne, gdy najbliżsi stają się wobec siebie chłodni i obojętni. Świat jest zimnym miejscem. Po-

trzebujemy naszych bliskich, a oni potrzebują nas, i to z wiekiem coraz bardziej...

- Wydaje mi się, że dość dobrze radzę sobie sama. - Słowa wymknęły jej się z ust trochę mimo woli. Zabrzmiały ostro i kwaśno.

- Oczywiście, że doskonale sobie radzisz. Ale ja mówię o wzajemnej bliskości. Na przykład mój brat - w ogóle nie jesteśmy do siebie podobni, kłócimy się na śmierć i życie o kwestie polityczne i wiele innych, lecz jesteśmy sobie tak bliscy, jak dwa palce jednej dłoni. A kiedy moja młodsza siostra dostała stypendium na wyjazd do Rzymu, gdzie studiuje rzeźbę, był to dla mnie osobisty triumf, chociaż być może brzmi to trochę głupio...

Pouczał ją, a to się jej zdecydowanie nie podobało. Naturalnie miał dobre intencje, ale trafił na niewłaściwy dzień, który od początku ułożył się nie tak, jak sobie tego życzyła. Najgorsze, że mówił dalej.

- Mam wrażenie, że Greyowie robią dużo dobrego. Mój brat był na konferencji lekarzy w Nowym Jorku i opowiedział mi o Fundacji Greyów do Badań nad Chorobami Nowotworowymi...

- Więc szkoda, że nie chcą mi dać trochę tych swoich przeznaczonych na filantropię pieniędzy, żebym ja także mogła zrobić coś dobrego! - wybuchnęła. - Przecież wiesz, czym się zajmuję. Pamiętasz, kiedy przyjechałeś do ośrodka, przyprowadziłam właśnie z ulicy to biedactwo... Widziałeś ją -czterdzieści pięć kilo wagi, przemoknięta do szpiku kości, uróżowana jak klaun, bezczelna, pyskata i przerażona. Wychowana w „patologicznej rodzinie”, tak to się teraz nazywa. Po prostu horror...

Amanda umilkła.

- Tak, widziałem ją - powiedział Todd poważnie. - Dziewczyna w wieku mojej siostrzenicy, trzynaście, góra czternaście lat. Tragedia.

- Właśnie. Zjawiła się na świecie z bożej łaski, tak? Potrzeba jak najwięcej ludzi, którzy gotowi są przyjść takim dziewczynom z pomocą i naprawić wyrządzone im krzywdy. Ale potrzebne są też pieniądze, to oczywiste. Pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. Podczas ostatniego kursu bardzo dużo się nauczyłam, Todd. Mogłabym sama prowadzić

taki dom i płacić za jego utrzymanie, zatrudniłabym przeszkolonych pracowników społecznych... W domu, który wynajmuję w centrum, mieszka dziś siedem dziewcząt pod opieką dwóch osób z personelu. Powinieneś zobaczyć, jak one... Trudno mi to nawet opisać... One po prostu rozkwitły. Pięć wróciło do szkoły, jedna pracuje, jedną niestety straciliśmy -uciekła na ulicę...

- Świetny wynik.

- Jeszcze nim się poznaliśmy, zabrałam dwie z nich na wakacje. Opowiadałam ci o tym? Pojechałyśmy z namiotem do Yosemite, na wysoko położone łąki. Zachowywały się jak spuszczone ze smyczy psiaki - nie przestawały biegać, węszyć, przyglądać się... Były zachwycone pięknem przyrody, nie miały jednak dość bogatego słownictwa, aby to wyrazić. W nocy, gdy nikt nie widział, płakałam. Dlatego tak bardzo zależy mi na tej działce, którą dzisiaj oglądaliśmy.

- Rozumiem cię, Amando, ale nadal uważam, że powinnaś szukać kompromisowego wyjścia.

- Nie chcę iść na kompromis! Zresztą dlaczego miałabym to zrobić? Do diabła, przecież te pieniądze istnieją. Szkoda, że nie widziałeś posiadłości Greyów, Hawthorne. W niczym nie ustępuje majątkom brytyjskiej arystokracji. Mnie nie stać na taki styl życia.

- Sądzę, że nawet gdyby było cię stać, i tak byś go nie wybrała.

- Oczywiście, ale to nie powód, żebym rezygnowała z tych środków! Potrzebuję tych pieniędzy na znacznie lepszy cel!

- Musiałabyś wydać grube miliony. Trzeba kupić ziemię, wybudować ośrodek i utrzymywać go. To mnóstwo pieniędzy.

- W porządku, więc niech mnie wykupią. Należy do mnie jedna czwarta Grey's Foods, od pomarańczy po chipsy ziemniaczane.

- Rozmawiałaś o tym z nimi?

- W zeszłym miesiącu rozmawiałam z moim kuzynem. Mojego brata akurat nie było, co nie ma zresztą najmniejszego znaczenia, bo oni wszyscy trzymają się razem. Odpowiedź brzmiała: „nie”. Powód? Nie mają dość gotówki, aby wykupić moje udziały.

- I tak zapewne jest - powiedział Todd. - Musieliby mieć dwadzieścia pięć procent wartości firmy w gotówce, do na-

tychmiastowej dyspozycji. Żadna firma nie posiada aż takiej płynności.

- To ich problem - rzuciła Amanda. - Niech postarają się o większą płynność. W przeciwnym razie sprzedam swoją część temu, kto da najwięcej. Ostrzegłam Iana, a on o mało nie dostał zawału. Oczywiście wyobraźni widziałam, jak robi się cały czerwony...

- Nie dziwię mu się. Widmo obcego udziałowca, który niespodziewanie przejmuje jedną czwartą firmy to wystarczający powód, żeby stracić głowę. - Todd się zamyślił. - Dziwię się, że nie podpisaliście umowy, która zakazywałaby tego obecnym udziałowcom.

- Ha! Chcieli ją podpisać, kiedy firmę przejęło młodsze pokolenie, ale ja nie wyraziłam zgody. Mogli mnie przegłosować, lecz nie zrobili tego. Oliver, mój stryj, zmusił ich do wycofania się z projektu. Potrafię być twarda, kiedy ktoś próbuje mi zagrozić. Nie pozwolę sobą pomiatać, Todd, o, nie! Trzej mężczyźni - moi kuzyni i Dan - dostają ogromne pensje. Tymczasem ja, kobieta - co ja dostaję?

- Dywidendy, takie same jak oni - odpowiedział spokojnie Todd.

- Chcę dostać całość swoich udziałów!

- To nierozsądne, Amanda. Nie słuchała go.

- Na wschodzie jest teraz siódma - oświadczyła, spoglądając na zegarek. - Zadzwoń do brata. Możesz przysłuchiwać się naszej rozmowie z drugiego aparatu. Pokręcił głową.

- Nie. Przejdę do drugiego pokoju i włączę telewizor.

Po drugiej stronie kontynentu zadzwonił telefon. Wyobraziła sobie pokój, którego nigdy nie widziała. Być może z okien widać było góry Adirondacks - te domy właściwie stały wśród gór, które teraz, w kwietniu, dopiero zaczynały okrywać się płaszczem zieleni. Ktoś podniósł słuchawkę i Amanda usłyszała ostry, pełen złości krzyk dziecka.

- Zabierz ją, Sally - odezwał się Dan. - Tak, słucham? Amanda nie traciła czasu na zbędną wymianę grzeczności.

- Na pewno domyślasz się, dlaczego dzwonię.

- Chyba tak.

- Oglądałam dziś jeszcze raz tę działkę, Dan. Chcę ją mieć, za wszelką cenę. Jest wspaniała.

- Też tak uważam. Przeglądałem prospekt i zdjęcia, które przysłałaś.

- Myślałam, że sam zadzwonisz. Dwa razy zostawiłam ci wiadomość.

- Wiem, że minęły już dwa tygodnie, ale... Mam pewne kłopoty. Przepraszam.

Spokój Dana tym razem dołał tylko oliwy do ognia.

- Mój projekt naprawdę jest ważny, Dan. Staram się wnieść nowe życie tam, gdzie wcześniej rządziła tylko śmierć, łan nie chciał mnie zrozumieć. Mam nadzieję, że twoje nastawienie będzie inne.

- To niezwykle piękny pomysł, Amando, ale niestety, w jego realizacji przeszkadzają nam koszty. Zwykle tak to już jest. Po prostu nie stać nas na to.

- Byłoby mnie stać, gdybyście płacili mi odpowiednio dużo.

- Dostajesz takie same dywidendy jak my, Amando.

- A co z waszymi wysokimi pensjami?

- Ciężko na nie pracujemy.

- Dostajecie je, bo jesteście mężczyznami - ledwo to powiedziała, natychmiast sobie uświadomiła, że w jej głosie słychać gorzką złośliwość. Nie potrafiła się jednak pohamować. -Nie sądzisz, że ja, kobieta, jestem zdolna do równie ciężkiej pracy, za którą należą się nie mniejsze zarobki?

- Oczywiście, że tak. Przyjedź tu i pokaż nam, na co cię stać.

- Nie chcę. Mam inny cel. Wykupcie mnie, w ten sposób się mnie pozbędziecie.

Dan westchnął ciężko.

- Nikt nie chce się ciebie pozbyć - powiedział cierpliwie. -Chodzi tylko o twoje żądania, które są nierealne. Nie stać nas, żeby cię wykupić - oto cała prawda.

- A więc zrobi to ktoś inny. Zaczęłam się już dowiadywać i mam nawet pierwsze przybliżone dane od ewentualnych inwestorów.

Posłuchaj, Amando, czy mam cię błagać na kolanach? Naprawdę zależy ci na tym, żeby wprowadzić tu obcych

i zniszczyć tę starą firmę, która, musisz to przyznać, dobrze ci się przysłużyła?

- Nie chcę jej zniszczyć, Dan, ale nic nie poradzę, skoro nie mogę osiągnąć celu w inny sposób.

- Aby dać ci to, czego żądasz, musielibyśmy sprzedać większą część zakładów. Staniemy się wozem na trzech kołach. To bez sensu.

- Możecie pożyczyć pieniądze.

- I obciążyć się długami? Czuję się tak, jakby ktoś walił mnie po głowie z obu stron. A powodem tego wszystkiego jest zwykła chciwość.

- Chciwość?! Mieszkam w trzech pokojach, niebrzydkiach, to prawda, ale dla siebie prawie nic nie kupuję, wszystko inwestuję w swój projekt! I ty to nazywasz chciwością?!

- Może pragniesz, by cię podziwiano. Dlaczego ten projekt nie może być zakrojony na trochę mniejszą skalę?

- Naprawdę, nie spodziewałam się czegoś takiego po własnym bracie! Myślałam, że staniesz po mojej stronie!

- Nie bądź niemądra. Nie jestem przeciwko tobie. - Dan znowu westchnął. Zaczynało brakować mu cierpliwości. - Dobrze, że jeszcze nie oszalałem - ty chcesz kupić sobie kawałek stanu Kalifornia, na który zwyczajnie cię nie stać, natomiast Ian uparł się, aby sprzedać kawałek stanu Nowy Jork, który należy do naszej rodziny od dwustu lat!

- Ian chce sprzedać ziemię?

- Tak, zaangażował się w działania jakiejś zagranicznej grupy inwestycyjnej, która chce kupić kilka tysięcy akrów lasu Greyów pod budowę nowego miasta. A wszystko po to, by napęlić sakiewki ludziom, którzy tak naprawdę wcale nie potrzebują pieniędzy.

- Za kogo ty się uważasz, by decydować o tym, czy ktoś potrzebuje pieniędzy, czy nie?! Osobiście uważam, że Ian ma całkiem niezły pomysł, jeżeli tylko zdobyte w ten sposób pieniądze zaspokoją moje potrzeby.

- Jak najbardziej - z goryczą powiedział Dan.

- Wobec tego mam nadzieję, że przeprowadzi swój plan do końca.

- Właśnie. Ulice i gmachy w historycznym lesie. Drzewa znikną, środowisko naturalne zniszczone. Tereny, które powinny nienaruszone przejść na własność stanu, dostaną się

w ręce prywatne. Spodziewałem się po tobie czegoś lepszego, Amando.

- Jeżeli chcesz, możesz martwić się o jelenie, lisy i drzewa. Ja bardziej przejmuję się losem ludzi.

- Może kierują tobą inne pobudki, ale mówisz tak samo jak Ian. Przykro mi.

- Trudno. A więc Ian i ja mamy ze sobą coś wspólnego! Wygląda na to, że oboje znaleźliśmy się po tej samej stronie barykady, chociaż z innych powodów.

- Natomiast Clive i ja okazaliśmy się waszymi przeciwnikami, którzy za wszelką cenę starają się utrzymać firmę przy życiu.

- Tylko nie zapominaj, że przy okazji dostaniecie kuferek pełen gotówki.

- Nie zapominaj, że jej nie chcemy - odrzekł Dan. - Nie spodziewałem się tego po tobie, Amando.

- Nie zdecydowałabym się na to z własnej inicjatywy, ale muszę dbać o swoje interesy. Nikt inny nie zrobi tego za mnie.

- Nie zgadzam się z tym.

- Pozwól, że coś ci powiem...

- Porozmawiajmy kiedy indziej, dobrze, Amando?

- Zgoda, nie będę naciskać. Działka, o którą mi chodzi, stanowi część większej posiadłości i minie wiele miesięcy, zanim podział stanie się prawomocny. Na razie ją zarezerwowałam, mogę więc poczekać. Chcę dostać to, co mi się należy, i nie obchodzi mnie, jak to zrobicie.

- Muszę kończyć, Amando - powiedział Dan. - Dobranoc. Kiedy odłożyła słuchawkę, w drzwiach stanął Todd.

- Słuchałeś? - zapytała.

- Mówiłem ci, że nie mam takiego zamiaru. Naprawdę myślisz, że postąpiłbym tak, korzystając z nieświadomości Dana?

- Przepraszam, nie pomyślałam o tym. Czasami po prostu nie myślę. Dan jest chyba na mnie wściekły. Wcale nie chciałam się z nim pokłócić. I jeszcze to dziecko, które wrzeszczało gdzieś obok...

- Jak na osobę, która nie chciała się kłócić, byłaś dość agresywna. Chcąc nie chcąc, słyszałem wszystko, co mówiłaś. Nie żałowałaś ostrych słów.

Amanda poczuła, jak dwie gorące łzy spływają jej po nosie. Todd to zauważył i objął ją.

- Nie chcę, żebyś płakała - powiedział łagodnie, gładząc ją po włosach. - Pozwalasz, żeby ta sprawa całkowicie zaważadnęła twoim życiem. Nie warto. Jeżeli zniszczysz rodzinną firmę, popełnisz błąd, zwłaszcza że razem z jakimś łanem chcesz zaangażować się w coś, co jest wymierzone w twojego brata. Nie zachowujesz się rozsądnie, Amando. Przecięłaś więzi łączące cię z rodziną, a teraz na dodatek możesz stracić dochód, jaki zapewnia ci firma.

- Nie wiesz, o czym mówisz - wymamrotała.

- Wiem wystarczająco dużo, aby twierdzić, że, niezależnie od tego, jak szlachetne pobudki tobą kierują, uparłaś się zdobyć coś, na co cię nie stać. Przemyśl to, nie stawiaj się poza nawiasem.

Amanda pociągnęła nosem i podniosła głowę.

- Zabawne, że zawsze osobą, która ma ustąpić, jest kobieta. Zawsze.

- Nie zawsze. Być może często się tak zdarza, ale nie w tym przypadku. Taka jest moja opinia.

- Tyle że w tym przypadku liczy się moja opinia. Todd roześmiał się i przyciągnął ją do siebie.

- Klótnia to twój żywioł, prawda? Szkoda, że nie zostałeś prawnikiem.

Wiedziała, że Todd chce ją uspokoić i pocieszyć. Potrzebowała tego pocieszenia, tego męskiego ciepła, które kołło wszystkie rany zakochanej kobiety. W ciągu minionych miesięcy przywykła do jego obecności w swoim życiu. Często o nim myślała i wtedy przyłapywała się na lekkim, pełnym czułości uśmiechu. Czasami na ulicy widywała kogoś, kto przypominał go kształtem głowy, sylwetką czy gestykulacją, a wtedy jej serce zaczynało bić niespokojnie. Tęskniła za nim

i cieszyła się, że za kilka godzin znowu go zobaczy. Intuicja podpowiadała jej, że Todd jest zupełnie inny niż poprzedni mężczyźni w jej życiu, jest tym prawdziwym i jedynym.

A jednak zdarzały się takie dni jak dzisiejszy, kiedy Todd wydawał się zbyt zadufany w sobie, zbyt pewny swojej władzy nad nią. Czuła się wtedy ograbiona ze swojej niezależności.

Uniósł jej głowę, aby miękkimi, upartymi wargami poszu-

kać jej zamkniętych ust. Oparła się o drzwi, próbując wykrzesać z siebie reakcję na jego rosnące podniecenie. Todd przytulił ją mocno. Oddychał coraz szybciej.

- Chodź - szepnął. - Chodź, kochanie...

Nie chciała tego. Nie teraz. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach, była zdenerwowana. Byłoby to poniżające, nie była przecież maszyną, którą można nastawić na sprawianie przyjemności mężczyźnie. Jego dłonie dotknęły jej piersi. Amanda odwróciła twarz.

- Nie mogę. Nie, Todd. Proszę, nie teraz. Nie! Natychmiast wypuścił ją z objęć i cofnął się, marszcząc lekko brwi.

- Nie teraz? Więc kiedy? Na Boże Narodzenie? A może to też za wcześnie?

- Nie żartuj, Todd.

- Wcale nie żartuję. Ostatnio nie okazywałaś mi zbyt wiele czułości.

Oczywiście, jak mogła o tym nie pomyśleć. Jego męskie ego zostało boleśnie zranione. Naprawdę nie chciała zrobić mu przykrości, po prostu nie była w nastroju. Czy naprawdę nie mógł tego zrozumieć? Tak czy inaczej, poczuł się odrzucony, więc teraz ona musi go pocieszyć, wyjaśnić mu, co się z nią dzieje.

- Proszę, Todd, zrozum, mam tyle kłopotów. Sam mówisz, że kiedy mężczyzna ma kłopoty, nie w głowie mu seks. To samo dotyczy kobiety, prawda?

Pokój wypełniła chłodna cisza. Przez chwilę obydwójce stali bez ruchu, potem Todd podszedł do okna.

Pomóż mi, pomyślała. Pomóż mi, Todd. Czasami tak właśnie się zachowuję, bywam uparta i szorstka. Proszę, Todd, pomóż mi. Kocham cię.

Wyprostował się, ale wciąż w jego sylwetce było coś smutnego. Może bezruch... Pod wpływem impulsu zbliżyła się i dotknęła jego ramienia.

- Przepraszam, Todd. To tylko chwilowy nastrój. Rozumiesz mnie, prawda? Następnym razem wszystko będzie inaczej. Wiesz, że ja zawsze...

Przerwała. Odwrócił się i spojrzał na nią z wyrazem niepokoju i smutku.

- Wiem, że zawsze się starasz, ale nic nie czujesz. Wiem o tym.
 - To nieprawda! Nieprawda! Potrząsnął głową.
 - Masz w sobie zbyt wiele gniewu, Amando. Musisz się nauczyć, albo może ktoś musi cię nauczyć... - Zawahał się. - Bardzo mi na tobie zależy, dlatego o tym mówię.
- Znowu ją pouczał, znowu był mądrzejszy, dojrzałszy, znowu próbował ją zdominować. Zawsze tak było, zawsze. Wszystko się psuło. Mogłoby być inaczej tylko wtedy, gdyby on - albo ktoś inny - ustąpił.
- Naprawdę mnie kochasz? - zapytała.
 - Wiesz, że tak.
 - I pomożesz mi?
 - Jeżeli tylko będę w stanie...
 - Poprowadź dla mnie tę sprawę.
 - Jaką sprawę?
 - Nieunikniony proces o moją część firmy.
 - Nie chcesz chyba podać do sądu własnego brata?!
 - Chcę zaskarżyć firmę. I ich wszystkich, jeżeli nie dostanę pieniędzy, zanim ta działka wejdzie na rynek i wpadnie w ręce innego kupca.
- Jego zdumienie nieprzyjemnie ją zaskoczyło.
- Dostrzegam w tobie coś, co nie wydaje mi się zbyt ładne - powiedział w końcu.
- Jakiś twardy, ostry rys.
- „Twardy”! Ja jestem twarda? Nie sądziłam, że można mnie tak określić!
 - Złe postępujesz, Amando. Ta sprawa zniszczy cię, prędzej czy później.
 - Niby dlaczego? Jeżeli zatrudnię dobrego prawnika...
 - Mówię o moralności - przerwał jej. - To, co robisz, jest złe. Nawet jeżeli nie widzisz tego teraz, kiedyś to zrozumiesz. Twoi krewni traktowali cię dotąd bardzo dobrze i sprawiedliwie - muszę ci to powiedzieć. Nie masz żadnych podstaw do wytoczenia im procesu.
 - Nie poprowadzisz tej sprawy?
- W jego spojrzeniu wyczytała teraz absolutną powagę, nawet surowość.
- Nie, nie poprowadzę jej.
 - Właśnie tak starasz mi się pomóc?

- Naprawdę się staram, chociaż w tej chwili nie jesteś w stanie tego docenić.

- Przecież mógłbyś mnie reprezentować, nawet nie zgadzając się ze mną, prawda? W końcu prawnicy z tego właśnie żyją. Jestem pewna, że prowadziłeś już sprawy ludzi, o których winie byłeś przekonany. A ja nie jestem winna.

- To niemądry argument. Radzę ci tylko, żebyś nie robiła czegoś, czego będziesz żałować. Potrafisz być bardzo uparta, Amando.

- Nie przyjmuję twojej rady, czyli jestem uparta. Wszystko dlatego, że jestem kobietą.

- Sama się ośmieszasz, kiedy wpadasz w ten feministyczny ton. Proces, który chcesz wytoczyć swojej rodzinie, nie ma nic wspólnego z twoją płcią.

Dostrzegła wyraz jego twarzy, zarys mocno zaciśniętych ust i cień na opuszczonych powiekach. Nie lubi mnie, pomyślała. Wszystko poszło nie tak. Powinna była wyczuć to wcześniej, dużo wcześniej. Od początku dnia zdążali w kierunku tej kłótni, a teraz stanęli nad przepaścią i lada chwila mieli w nią skoczyć. Nic nie mogło powstrzymać ich przed tym ostatecznym skokiem, może nawet nie chcieli, aby cokolwiek ich powstrzymało?

Teraz musieli być wobec siebie całkowicie uczciwi. Nadszedł czas, aby do końca odkryli, kim są.

- Nie - powiedziała. - Myślę, że ta sprawa ma wiele wspólnego z moją płcią.

- Jesteś zbyt inteligentna, żeby w to uwierzyć. Chodzi o coś znacznie głębszego i ważniejszego. Niestety nie wiem, co to jest.

W piersi czuła ból, ostry ból, który prawie pozbawiał ją tchu.

- Chodzi chyba o to, że nie chciałam się teraz z tobą kochać, Todd. To dlatego jesteś na mnie zły.

Spojrzał na wiszący na ścianie obraz Bonnarda, na nieskomplikowany wiejski krajobraz pod pustym niebem.

- Ktoś mógłby powiedzieć, że to symboliczne - odezwał się. - Rzeczywiście, ostatnio nie układało się między nami najlepiej, prawda? Zgodzisz się chyba ze mną...

Już prawie skoczyli, na dnie przepaści widać było wrak ich związku. A jednak nadal nie chciała przyznać mu racji.

- Nie mamy już chyba o czym rozmawiać. - W jej głosie była gorycz.

- Gdybyś tylko wypuściła na wolność tę piękną, dobrą i mądrą kobietę, którą więzisz w sobie, mielibyśmy o czym rozmawiać. Nie mogłabyś spróbować, Amando?

Jego ręka spoczywała na teczce, leżącej na skrzyni przy drzwiach. Teraz czeka na jakąś „kobieca” reakcję z mojej strony, pomyślała. Chce, żebym wykonała gest poddania się, poprosiła, żeby wyszedł albo żeby został. Gdyby tylko była w stanie wyciągnąć ramiona i zawołać: „Proszę, proszę, nie odchodź, kocham cię!”. Ale to oznaczałoby utratę autonomii i dumy. Właśnie tego oczekiwali od kobiet mężczyźni...

A może po tym wszystkim wcale nie miał już ochoty zostać. To bez sensu, pomyślała. Jak koniec, to koniec. Nie warto przedłużać agonii.

Milczała.

- Dziękuję za kolację - powiedział w odpowiedzi na ciszę.

- Proszę bardzo.

Na progu odwrócił się i obrzucił ją spojrzeniem na wpół karcącym, na wpół błagalnym.

- Uważaj na siebie, Amando. Nie zgub się. Drzwi zamknęły się cicho.

Pierwszy raz poprosiłam go o coś, a on odpowiedział: „nie”, pomyślała. Chciał mieć nad nią kontrolę, a kiedy zorientował się, że to niemożliwe, wycofał się.

Kiedy pierwsza fala rozpaczliwego płaczu minęła, było już prawie ciemno. Nie miała pojęcia, która jest godzina, wiedziała jednak, że już dość długo siedzi przy mroczniejącym oknie.

Straciła go. Była pewna, że już nie wróci. Zresztą, jak się okazało, już wcześniej miał pewne wątpliwości. Och, dlaczego próbowała wciągnąć go w sprawę, która go w ogóle nie dotyczyła? Mogła przecież znaleźć tuzin prawników, z których każdy bardzo chętnie poprowadziłby sprawę przeciwko Grey's Foods. Zachowała się głupio. Głupio.

Ale Todd zranił ją, poniżył ją jednym zdaniem: „Starasz się, ale nic nie czujesz”. A więc wiedział, przez cały czas

wiedział! Skąd? Zawsze ze wszystkich sił starała się reagować tak, jak tego oczekiwał..

Koniec końców mężczyźni myślą wyłącznie o seksie. Wcale nie chcą dostrzec w kobiecie istoty ludzkiej, po prostu im na tym nie zależy.

Myślami wróciła do swojej rozmowy z Danem. Nie miała zamiaru sprawić mu przykrości. Był ostatnią osobą, której chciałyby wyrządzić krzywdę. Był taki dobry i łagodny! Wszyscy cenili go za błyskotliwą inteligencję, ale poza inteligencją miał w sobie całe pokłady dobroci, ufności i chłopięcej uczciwości. Jej mały braciszek, młodszy od niej zaledwie o parę lat, a jednocześnie o całe lata świetlne! Dziewczyna, która została jego żoną, ma prawdziwe szczęście.

Amanda przypomniała sobie tamten dzień, kiedy wszystko wydawało się białe: mały wiejski kościółek, wsparta na ramieniu Dana panna młoda w długiej sukni i welonie, poruszany pachnącym kwiatami wiatrem. Oby wszystko ułożyło im się jak najlepiej, modliła się Amanda.

Lecz dziś Dan powiedział, że ma jakieś kłopoty. Był zdenerwowany, z głębi domu dobiegały podniesione głosy, krzyk dziecka... Rodzinne kłopoty... Rozwód? Och, tylko nie to. Całe to zamieszanie wokół lasów? Lasów rodziny Greyów...

Lasy Greyów, tak nazywano ten teren w mieście. Ciemne kilometry drzew i samotny wiatr, uderzający w okno przez całą noc, przez całą noc... Amanda zerwała się z miejsca, zrzucając Szebę na podłogę. Niżej, po drugiej stronie miasta, powoli przygasał blask wielu tysięcy świateł. Ludzie układali się na spoczynek. A wśród tych tysięcy nie było nikogo, na kogo Amanda mogłaby liczyć.

- Jesteś moim bratem, ale ja muszę walczyć o swoje -powiedziała głośno. - I będę. Dobranoc, Szeba.

Nagle odkryła, że po jej policzkach znowu płyną łzy.

Rozdział czwarty

Maj 1990

Doktor Vanderwater wyglądał na lekarza w całym tego słowa znaczeniu. Kiedy po pierwszej wizycie Sally zrobiła to spostrzeżenie, Dan uśmiechnął się.

- A jak właściwie wygląda lekarz?

- Trudno to określić. Prawdopodobnie chodzi o sposób bycia. Tak czy inaczej, zrobił na mnie dobre wrażenie. Na tobie też?

Dan przytaknął.

- Byłem pewien, że nam się spodoba. Vanderwater ma ustaloną reputację, nie jest stary i emanuje aurą solidności. To rozsądny facet, który nie wznieca fałszywych alarmów. Zobaczysz, Sally, rozwiążemy ten problem i Tina będzie taka jak dawniej.

Przypomniała sobie jego słowa właśnie teraz, siedząc po drugiej stronie ogromnego mahoniowego biurka w gabinecie doktora. Na biurku stała oprawiona w skórzaną ramkę fotografia jego czterech pogodnych synków, którzy odziedziczyli po ojcu ciemne, kręcone włosy. Fakt, iż doktor Vanderwater miał dzieci, jakby uwiarygodniał dziesiątki wiszących na ścianach dyplomów i certyfikatów. Wszystko to dodawało odwagi i pozwalało wierzyć w najwyższe kwalifikacje doktora.

- Jak sprawowała się Tina w tym tygodniu?

- Zupełnie nieźle.

- Doskonale. Jest bardzo miłą dziewczynką. Razem z żoną często zastanawiamy się, jakby to było, gdyby w naszej rodzinie pojawiła się dziewczynka - powiedział doktor, z uśmiechem zerkając na zdjęcie na biurku. - A więc ma pani wrażenie, że nastąpił jakiś postęp?

Samo słowo „postęp” brzmiało radośnie i optymistycznie,

Sally uznała jednak, że musi być całkowicie szczerą i dokładną.

- W zeszłą niedzielę wpadli nasi przyjaciele, żeby zobaczyć Susannę, i Tina urządziła potworną scenę. Trzymałam Susannę na rękach i oczywiście wszyscy skupili się wokół nas, zagadując do niej, jak to do małego dziecka. W pewnej chwili jeden z gości, sympatyczny starszy pan, przypomniał sobie o Tinie i powiedział jej coś miłego, ale ona nie chciała się odezwać, zaczęła płakać, a kiedy pogłaskał ją po głowie, podniosła wrzask i kopnęła go w kostkę. - Sally skrzywiła się lekko. - Poczuliśmy się zażenowani, ale potem pomyśleliśmy, że takie zachowania jednak się dzieciom zdarzają.

Doktor pokiwał głową.

- To prawda. Nie zmienia to faktu, że Tina zachowuje się w bardzo emocjonalny sposób, a jej reakcje, pozytywne lub negatywne, są dość ekstremalne. Kiedy jednak uważnie przyjrzymy się osobom dorosłym, zauważymy, że wiele z nich reaguje podobnie. Dostrzegamy wokół siebie całą gamę temperamentów i charakterów, prawda?

- Chce pan powiedzieć, że obecne zachowanie Tiny już świadczy o tym, jaka będzie Tina jako osoba dorosła?

- W pewnym sensie, chociaż oczywiście Tina nie zatrzyma się w swoim rozwoju na poziomie pięcioletniego dziecka. Wątpię jednak, czy kiedykolwiek będzie flegmatyczką. I nie ma w tym nic złego. W tej chwili dziewczynka przechodzi etap ogromnego zaniepokojenia, ponieważ w jej życiu pojawiło się wyzwanie w postaci obecności innego dziecka. Wyobraża sobie, że młodsza siostra bezprawnie zajęła jej miejsce w rodzinie, musimy więc nauczyć ją, jak odnaleźć w sobie akceptację, a także rozbudzić w niej zrozumienie. Z czasem fina przyjmie do wiadomości, że nikt nie zajął jej miejsca, a w domu jest wystarczająco dużo miejsca dla niej i dla siostry, ale proces ten musi trochę potrwać.

- Jak długo?

- Pani Grey, nie mam kryształowej kuli. Psychoterapia to nie chirurgia ortopedyczna, trudno tu mówić o limicie czasu i natychmiastowych wynikach. Jestem pewien, że pani dużo czytała o rywalizacji między rodzeństwem, więc nie muszę wyjaśniać tego zjawiska.

Sally zdobyła się na lekki uśmiech.

- A więc mój mąż miał rację. Muszę panu powiedzieć, że nie uwierzył w pierwszą diagnozę. Jest realistą i zwolennikiem zdrowego rozsądku.

Doktor Vanderwater odwzajemnił jej uśmiech, lecz na jego twarzy pojawił się zaraz wyraz niezadowolenia.

- Niestety, nie zawsze możemy kierować się zdrowym rozsądkiem, lecz jeśli chodzi o Tinę, przychyliłbym się do opinii pani męża. Nie wiem naturalnie, kto postawił pierwszą diagnozę i nie chcę tego wiedzieć. Powiem jedno: po dwunastu spotkaniach z Tiną nie widzę podstaw do wydania takiej opinii. Szczerze mówiąc, ostatnio coraz częściej niepokoi mnie pewna nadgorliwość, jaką zdradza wielu moich kolegów. Dziś, kiedy posunęliśmy się tak daleko na drodze do usunięcia przejawów zła, których istnieniu do niedawna zaprzeczano, czasami przesadzamy. Mówimy o wykorzystywaniu seksualnym dziecka w sytuacjach, gdzie w ogóle nie miało to miejsca, „odkrywamy” wspomnienia wydarzeń sprzed kilkudziesięciu lat, chociaż tak naprawdę nic złego się nie zdarzyło. Jest to oczywiście nadużycie bardzo pożytecznej idei.

Sally miała ochotę się roześmiać. Bąbelki śmiechu, lekkie i cudowne, wypełniły jej gardło i wycisnęły z oczu kilka łez, które szybko otarła wierzchem dłoni.

- Czuję nieopisaną ulgę - powiedziała. - Podarował mi pan górę złotego piasku, sto lat życia... - Jeszcze raz otarła łzy. - Przez całą wiosnę czułam się tak, jakbym dźwigała na ramionach kilka ton ołowiu. Nie mogłam zrozumieć, jak coś takiego mogło się zdarzyć. Tina dobrze wie, że nikt nie może dotykać pewnych miejsc jej ciała. Dlatego nie byłam w stanie tego pojąć...

- Teraz może pani zdjąć ten ciężar również z ramion męża - łagodnie dodał doktor Vanderwater. - Proszę wracać do domu i zacząć żyć normalnie. Żyć z nadzieją.

- Czy nadal chce pan widywać Tinę, doktorze?

- O, tak. Proszę przywozić ją tutaj raz w tygodniu.

- A moja praca? Poproszono mnie, bym przygotowała fotoreportaż do artykułu o Meksykanach pracujących w Stanach. Sądzi pan, że mogę jechać, czy też powinnam jeszcze się wstrzymać?

- Proszę się jeszcze z tym wstrzymać. Pani obecność jest bardzo ważna dla Tyny. Jest pani dobrą matką, pani Grey.

Zamykając za sobą drzwi gabinetu, Sally przypomniała sobie, jak zupełnie inaczej czuła się po ostatniej wizycie u doktor Lisie. Pewność siebie i optymizm, jakie emanowały z doktora Vanderwatera, były zaraźliwe. Vanderwater był człowiekiem, który wierzy, że potrafi osiągnąć każdy cel -tak opisał go Dan. A ponieważ Sally miała zawsze podobne nastawienie do życia, podobało jej się podejście doktora do Tiny. Było zdrowe, normalne. W samochodzie włączyła radio i śpiewała przez całą drogę do domu.

- Patrz, Tino, to ona! - zawołał Clive, wskazując wyprowadzanego właśnie ze stajni małego kucyka w czekoladowo-kremowe łąty. - Wczoraj przyjechała aż z Pensylwanii i trzeba przyznać, że znakomicie zniosła tę długą podróż. Piękna, prawda? Co powiesz, Tino? Podoba ci się?

Clive z trudem panował nad podnieceniem, tak bardzo cieszył się, że może zrobić dziewczynce wspaniały prezent.

- Może myślałaś, że zapomniałem o swojej obietnicy, co? Myślałaś tak? Naprawdę?

Tina potrząsnęła głową, zaciskając paluszki na dłoni Dana.

- Jasne, że nie, wiedziałaś przecież, że nie zapomnę -ciągnął Clive. - Potrzebowałem tylko trochę czasu, aby znaleźć odpowiedniego kucyka. Zobacz, mam tu parę kostek cukru i kawałek jabłka, nakarm ją. W ten sposób zrozumie, że to ty jesteś jej właścicielką. Chodź, Tino.

- Podejdz do niej - zachęcił dziewczynkę Dan. - Przecież już wiele razy jeździłaś na kucykach. Jest bardzo łagodna, widzisz? Weź jabłko i podaj jej. Popatrz, jak to robię. Dotknij jej nozdry, są takie delikatne i mięciutkie...

- Mokre - stwierdziła Tina.

- Tak właśnie powinno być.

Mała dłoń cofnęła się na krótką chwilę. Ma śmieszny język.

Tak, trochę szorstki, prawda? Taki jest język konia. Kucyk wyciągnął głowę w kierunku rączki Tiny, trącił ją i nagle chwycił jabłko. Dziewczynka wydała okrzyk zachwyty.

Patrzcie, co ona robi! Lubi mnie! Chce, żebym ją nakarmiła!

Serce Sally podskoczyło z radości. Miała teraz przed sobą dobrze znaną, dawną Tinę. „Podrzutek” zniknął bez śladu. Dziewczynka była pełna entuzjazmu i życia, pewna siebie i zadowolona. Kiedy Dan spojrzął na nią porozumiewawczo, zrozumiała, że on także zauważył zmianę.

- Oczywiście że cię lubi! Będzie cię uwielbiać - powiedział Dan. - Posadzić cię na jej grzbiecie? Jest już osiodłana.

Clive uśmiechnął się z satysfakcją.

- Kupiłem dla Tiny dżokejkę ze specjalnym zabezpieczeniem. Chciałem wybrać też kurtkę i bryczesy, ale nie znam się na rozmiarach, więc pomyślałem, że lepiej pozostawię to tobie, Sally. Masz ochotę na przejażdżkę, Tino?

- Tak, chcę na przejażdżkę! Na przejażdżkę!

- W porządku - zgodził się Dan. - Poczekamy na was. Oboje z Sally usiedli na ławce pod ścianą stajni. Po chwili

na padoku pojawił się Clive na wspaniałej czarnej klaczy.

- To jedyny luksus, na jaki sobie pozwala - szepnęła Sally. - Zapłacił za nią piętnaście tysięcy.

Nieco zdenerwowani, chociaż wcześniej solennie obiecywali sobie, że zachowają spokój, przyglądali się, jak wielka klacz i kucyk oddalają się powoli, unosząc na grzbietach parę jeźdźców. Clive siedział wyprostowany, w błyszczących butach, bryczesach i kurtce, a starannie naśladowująca jego postawę Tina ubrana była w fioletowy sweterek i nową, aksamitną dżokejkę.

- Nie martw się, Clive nauczy ją jeździć - odezwał się Dan, kiedy jego kuzyn i córka zniknęli za zakrętem. - Była zachwycona, prawda? Może będzie to przełomowy moment. Kto by pomyślał, że tak ucieszy się z kuczka? Myślałem, że trzeba ją będzie cierpliwie przekonywać, aby na niego wsiadła, ale to odważna dziewczynka. Jak jej matka - dodał, obejmując Sally.

Majowy dzień przypominał raczej marzec. Słońce zniknęło nagle za szarobiałymi, nisko wiszącymi chmurami. Było sobotnie popołudnie i szkółka jeździecka opustoszała. Konie i ludzie skryli się pod dachem.

- Jest pochmurno, ale szkoda siedzieć wewnątrz - zauważył Dan. - Patrz, Sally, jastrząb. Potrafią przelecieć trzysta kilometrów dziennie.

Podniosła głowę, śledząc ruch jego ramienia, i zobaczyła

gromadę ptaków na tle nieba. Wznosząc się i obniżając lot, podążały na północ.

- Zostaną tu mniej więcej do października. Są teraz w drodze na tereny, gdzie zakładają gniazda. - Dan wstał, aby lepiej widzieć lecące jastrzębie. - Zobacz, jak wykorzystują wiatr i prądy powietrzne! Co za widok!

Po chwili odwrócił się i spojrzał na zieleńjącą ścianę lasu.

- Zimno, ale mimo wszystko czuję już lato! - zawołał. - W powietrzu unosi się zapach trawy w upalny dzień. Och, Sally, czy potrafisz wyobrazić sobie, że ktoś mógłby wyciąć te wszystkie drzewa i wytyczyć tu drogi? Niedobrze mi się robi, kiedy pomyślę o ulicach i sklepach, które zajęłyby miejsce lasu.

Ponieważ od kilku tygodni w ogóle nie wspominał o projekcie lana, Sally zrozumiała, jak głęboki jest dręczący go niepokój. Dan starannie ukrywał przed światem swoje złe nastroje, doskonale o tym wiedziała. Jako psycholog amator zdawała też sobie sprawę, że w ten sposób jej mąż wymazuje problemy ze swojej świadomości.

- Czy Ian rozmawiał o tym z tobą po urodzinach Olive-ra? - zapytała.

- Nie. Ja również nie poruszałem tego tematu. Zbyt wiele dla siebie znaczymy, abyśmy mieli zostać wrogami, więc po prostu unikamy rozmowy. Odkładamy ją. Kiedy jednak robota papierkowa dobiegnie końca i przyjdzie czas albo złożyć podpisy, albo odmówić ich złożenia, nie unikniemy już rozmowy. I nie będzie to miłe - zakończył ponuro.

Tak, czekał ich wszystkich trudny okres. Nawet jeżeli zagraniczni inwestorzy wycofają ofertę, nadal pozostanie sprawa Amandy Grey. Skąd wziąć pieniądze, które by ją usatysfakcjonowały? Dziwna kobieta, pełna sprzeczności ekscen-Iryczka...

W dzień ich ślubu czekała na schodach wiejskiego kościółka. Nie spodziewali się jej. Kilka dni wcześniej przysłała piękny angielski serwis obiadowy i list, w którym przeproszała, że nie będzie mogła przyjechać.

Niech Bóg błogosławi was oboje - powiedziała. - Pomyślałam sobie, że jednak muszę was zobaczyć. Cieszę się, że poślubiłaś mojego brata, Sally. Kiedy Dan napisał do mnie,

przejrzałam część twoich fotografii i na ich podstawie wiem, jaka jesteś. Umiesz współczuć ludziom.

- Dlaczego uciekasz, Amando? Nie będziesz na przyjęciu?

- Nie, nie, muszę zdążyć na samolot, zaraz wracam do domu. Chciałam was tylko uściskać...

Dziwne...

- Zawsze dzieje się coś złego - zauważyła teraz Sally, rozżalona, że tyle przykrości spotyka jej męża.

Dan stanął nad nią, unosząc ku sobie jej zatroskaną twarz.

- To nie tak, Sally. Rozwiązujemy jeden problem, a potem przychodzi czas na następny. Takie jest życie. Trudności z Tiną mamy już prawie za sobą, pomyśl, jak to dobrze. Kiedy powiedziałem Clive'owi, że ona...

- Co? Powiedziałeś mu o Tinie?

- Wspomniałem tylko, że mamy z nią pewne problemy... W ciągu jednej sekundy współczucie Sally zmieniło się w gniew.

- Rozmawiałeś z Clive'em o naszym dziecku? Nie wierzę!

- Chwileczkę, ja tylko...

- Rozmawiałeś z nim o naszych prywatnych sprawach, chociaż uzgodniliśmy, że wszystko zostanie między nami!

Była wściekła.

- Do diabła, Sally, Happy codziennie widuje Tinę w przedszkolu. Sama mówiła ci, że dzieje się z nią coś złego, zresztą prawie wszyscy byli świadkami wybryków Tiny. Na czym ma polegać ten wielki sekret? Przecież to nasi najbliżsi krewni.

- Nieważne! Bardzo lubię i cenię Happy, ale nawet jej nie zwierzyłabym się ze wszystkiego. Ale Clive... Mój Boże, nie powiedziałeś mu chyba o diagnozie tej lekarki?

- Niedokładnie, ale...

- Co to znaczy: „niedokładnie“?! Powiedziałeś, tak? Czuję, że tak!

- Nie powiedziałem, ale tak czy inaczej nie ma to najmniejszego znaczenia. Clive nigdy nie powtórzył niczego, co ktoś powiedział mu w zaufaniu. To szlachetny człowiek.

- To dziwak! Śmieszny, patetyczny nieudacznik! Dan zmarszczył gniewnie brwi.

- Przesadzasz i jesteś niesprawiedliwa. Nie podejrzewałem, że nie lubisz Clive'a!

- Lubię go, ale to nie znaczy, że mam mu się zwierzać!

Przerwała, szukając słów, które oddałyby dziwne, bardzo trudne, wręcz niemożliwe do określenia wrażenie, jakie robił na niej Clive. Jeszcze przed sekundą wydawało jej się, że wie, jak to powiedzieć...

- Jest trochę dziwaczny, samotny, ma problemy...

- Jeżeli myślisz, że mówisz z sensem, to nie masz racji -przerwał jej Dan. - Gadasz jak idiotka! „Trochę dziwaczny, samotny, ma problemy...”. Rzeczywiście, więc najlepiej nie utrzymujmy z nim kontaktów, tak? Chcemy widzieć wokół siebie tylko wysokich, dobrze zbudowanych, zadowolonych z siebie ludzi!

- Nie o to mi chodzi i ty doskonale o tym wiesz! Po prostu bardzo się zdenerwowałam, że powiedziałeś mi o Tinie. Clive nie ma pojęcia o dzieciach i...

- Ale wszystko wskazuje na to, że z tym dzieckiem świetnie sobie radzi - ostro odezwał się Dan. - Już wracają...

Klacz i kucyk wyłoniły się z lasu, idąc lekkim truchtem. Warkoczyki Tiny podskakiwały energicznie, a jej okrągła buzia była zaróżowiona od wiatru. Dziewczynka śmiała się głośno.

- Jeszcze raz! - zawołała, kiedy oba konie zatrzymały się na padoku.

Dan zdjął ją z siodła.

- A więc podobało ci się! Cieszysz się, że masz swojego kuczka?

- Tak! Nadaliśmy jej imię. Wiecie, jakie?

- Nie. Powiedz nam.

- Musicie zgadnąć.

- Księżniczka - rzuciła Sally.

- Łatka - powiedział Dan.

- Strzałka!

- Szybka!

- Nie, nie, nie! - krzyknęła Tina. - Susanna! Nazywa się Susanna!

Rodzice spojrzeli na siebie z rozczarowaniem. Dan zareagował pierwszy.

- Nie. To imię twojej siostry, nie nadaje się dla kuczka. Sally pospieszyła mu z pomocą.

- Nie możemy mieć dwóch Susann. Nikt nie będzie wiedział, o której mówimy!

- Nie będzie dwóch Susann - odpowiedziała Tina. - Tę drugą odwieziecie z powrotem do szpitala!

- Wystarczy! - zdecydowanym tonem odezwał się Dan. -Nigdzie nie odwieziemy Susanny. To nasze dziecko, tłumaczyliśmy ci to ze sto razy. Musisz wymyślić jakieś inne imię dla kucyka, chyba że wolisz go oddać.

- Spokojnie - szepnęła Sally i położyła dłoń na ramieniu Dana. - Tino, pomogę ci znaleźć ładniejsze imię dla kucyka.

- Wujek Clive powiedział, że mogę go nazwać, jak mi się podoba, bo jest mój! - Buzię Tyny wykrzywił grymas zwiastujący wybuch płaczu.

- Ale nie miałem na myśli imienia twojej siostry - sprostował Clive. - No, nie płacz. Daj lejce. Pójdziemy teraz do Wielkiego Domu na gorącą czekoladę i piankę w czekoladzie. Dużo pianki. W porządku?

Clive niewątpliwie zdołał odwrócić uwagę Tyny i przeciąć kłótnię, ale przekupstwo nie było najlepszą z metod wychowawczych. Na pewno miał dobre chęci, ale w takiej sytuacji interwencja osoby trzeciej zawsze przynosiła złe rezultaty. Sally zmarszczyła brwi i niechętnie ruszyła drogą w kierunku Wielkiego Domu.

Lada chwila na progu biblioteki miał pojawić się wózek z herbatą. Słysząc było, jak ktoś ze służby popycha go korytarzem - porcelanowe filiżanki brzęczały cicho. Wszystko razem trwało naprawdę długo, zupełnie jakby kuchnia znajdowała się w odległości co najmniej kilometra. Sally pomyślała, że w tym domu z łatwością mogłyby zamieszkać dwie liczne rodziny. Clive musiał czuć się tu trochę nieswojo, zwłaszcza podczas nieobecności Oli vera, który dość często wyjeżdżał. Teraz także go nie było.

- Ojciec dzwonił dziś rano z Waszyngtonu - powiedział Clive. - Proszono go, aby został członkiem rady nadzorczej kolejnego muzeum, i się zgodził. Wspominał też o jakimś projekcie, związanym z wykładami ze sztuki w szkołach. Oczywiście ojciec przywiązuje do tej kwestii ogromną wagę. Robił wrażenie bardzo zadowolonego.

Clive siedział na wyściełanym niskim krześle, które zwykle umieszczano w sypialniach. Tylko na nim jego nogi swobod-

nie dosięgały podłogi. Wyprostowana sylwetka, którą imponował, siedząc w siodle, znikła bez śladu - teraz Clive wyglądał nie tylko na słabo zbudowanego i zbyt niskiego, ale po prostu na chorego. Sally wydawało się, że nagle stracił na wadze.

- Nie będzie ci przeszkadzać, jeżeli zapalę, Sally? - zapytał uprzejmie, wyjmując z kieszeni paczkę papierosów, chociaż na pewno wiedział, jaka będzie jej odpowiedź.

Kiedy potrząsnęła głową, zapalił papierosa, odchylił głowę do tyłu i z widoczną rozkoszą wciągnął dym, aby po chwili wypuścić go przez nozdrza.

- Kaszlesz, palenie ci szkodzi łagodnie upomniał go Dan. - Kiedy rzucisz papierosy?

Clive uśmiechnął się kpiąco.

- Prawdopodobnie nigdy albo wtedy, gdy nałóg mnie zabije.

- I to mówi inteligentny człowiek! Może jednak lepiej by było, gdybyś zaczął wykładać matematykę w Harvardzie lub gdzie indziej na jakimś innym uniwersytecie. Musiałbyś wtedy nosić sztruksowe marynarki z łatami na łokciach i palić fajkę. Byłoby to znacznie mniej szkodliwe niż papierosy.

- Starasz się mnie pozbyć, tak? Nie, jestem zadowolony ze swego stylu życia. Mniej więcej.

Clive zachowywał się w prawie jowialny sposób. Zdarzało się to bardzo rzadko, a już nigdy w obecności lana. Gdy łan był w tym samym pokoju, Clive zdawał się chować do skorupy niczym ślimak.

Sally uświadomiła sobie nagle, że Clive czasami przygląda się komuś z dziwnym wyrazem twarzy, jak jej teraz, i trudno wtedy poznać, czy czuje do obserwowanej osoby sympatię, czy antypatię. Nie miała natomiast najmniejszych wątpliwości, że Clive rzeczywiście lubi Tinę. Chwilę wcześniej dziewczynka sięgnęła po kolejną piankę i najpierw wrzuciła ją do filiżanki pełnej czekolady, a potem, już nasiąkniętą płynem, upuściła na dywan.

- Popatrz, co zrobiłaś - powiedziała Sally. - Będzie plama.

- Nic nie szkodzi - uspokajająco odezwał się Clive. - To był tylko mały wypadek. Na pewno uda się to wyczyścić.

Sally nie była przekonana, czy był to „tylko mały wypadek”. Tina знаła mnóstwo sposobów, aby zwrócić na siebie

uwagę, a rozlewanie rzeczy było jedną z jej ulubionych metod. Sally wiedziała jednak, że najlepiej będzie zignorować zachowanie córeczki.

- Nie wiem, czy już wam o tym mówiłem, ale zastanawiam się nad wybudowaniem domu na Red Hill - powiedział Clive. - Znajdowałyby się w odległości zaledwie pół kilometra od Wielkiego Domu, ale zapewniłoby mi to trochę więcej prywatności. Od dawna czuję potrzebę zamieszkania we własnym domu. Nie przeszkadzałbym wtedy ojcu czy jego gościom, wstając o piątej rano, kiedy mam ochotę pojeździć konno. Mógłbym nawet mieszkać tam przez część zimy i dojeżdżać do pracy.

- To długi dojazd - powątpiewająco zauważył Dan.

- Dziewięćdziesiąt kilometrów to niewiele, zwłaszcza wcześniej rano, gdy drogi są puste. Dałbym wiele, aby móc wybrać się zimą na poranną przejażdżkę po lesie. W szkółce jeździeckiej jest zawsze za dużo ludzi. Uwielbiam zimową ciszę w lesie, której nie przerywa żaden odgłos, nawet śpiew ptaków, a w spokojny dzień nawet wiatr.

Dan kiwnął głową.

- Widzę, że rozumiesz mój stosunek do lasu. Nie jestem wprawdzie takim samotnikiem jak ty, ale wiem, co czujesz. Zupełnie inaczej myśli twój brat, czego najlepszym dowodem są jego plany.

Odpowiedź Clive'a była nieco zaskakująca.

- Ian zostawiłby przecież część lasu. Nie zamierza wyciąć całego.

- Część! - wykrzyknął Dan. - I to by cię usatysfakcjonowało?

Clive wzruszył ramionami.

- Wszystko zależy od ojca.

- Ale on nie chce opowiedzieć się po żadnej stronie. Słyszałeś jego słowa. W czasie przyjęcia urodzinowego, tu, w tym pokoju, oświadczył, że pozostawia wszystko w naszych rękach.

Sally nie spuszczała z oka spacerującej po bibliotece Tiny, która oglądała różne przedmioty i usiłowała ich dotknąć. Nagle Sally zerwała się z miejsca, żeby uratować przed upadkiem srebrną karuzelę.

- Chcę posłuchać, jak gra - oznajmiła Tina. - Nakręć ją.

Kiedy Sally odmówiła, wyjaśniając małej, że karuzela nie jest zabawką, dziewczynka kopnęła matkę w nogę. Dan podszedł do nich szybko.

- Tak nie wolno, Tino. Wiem, że jesteś zmęczona, może nawet zirytowana, ale nie możesz bezkarnie krzywdzić innych. Usiądź spokojnie i poczekaj, niedługo wracamy do domu.

- Tina jest grzeczną dziewczynką - odezwał się Clive. - Chodź na kolana. Jeżeli będziesz miła, to pewnego dnia może dostaniesz tę karuzelę na własność.

Sally i Dan spojrzeli na siebie ze znużeniem.

- Nie, Tina musi się nauczyć... - zaczął Dan.

Ale Tina usadowiła się już triumfalnie na kolanach Clive'a, siejąc dookoła okruchami ciasteczek. Urażona i zaniepokojona Sally przysiadła na brzegu krzesła. Miała ochotę jak najszybciej zakończyć tę wizytę, lecz Dan z uporem wrócił do najbardziej interesującego go w tej chwili tematu.

- Mówisz, że wszystko zależy od Olivera, ale przecież on nie powiedział nam, na czym stoimy. W każdym razie ja niczego takiego nie słyszałem.

- Och, stoimy gdzieś pośrodku - odrzekł Clive, gładząc warkocze Tyny.

- Pośrodku czego? - nie ustępował Dan. - Lasu Greyów? Dziwię się, że tak spokojnie przyjmujesz pomysł lana. Często się z nim nie zgadzasz, a teraz...

- Nie chodzi o moje zdanie, lecz zdanie ojca - przerwał mu Clive. - W zeszłym tygodniu ojciec powiedział, że może dobrze byłoby jednak wziąć te pieniądze i spłacić Amandę. Kosztowałyby nas to znacznie mniej niż proces.

- To nieprawda.

- Ojciec nie jest o tym przekonany.

- Uważam, że nie możemy ustępować wobec gróźb, wszystko jedno czyich.

- Może nie.

I Clive wzruszył ramionami, co zawsze oznaczało, że jest znudzony tematem. Rozmowa najwyraźniej prowadziła donikąd, więc Sally postanowiła przejąć inicjatywę.

- Wszyscy macie mnóstwo czasu na podjęcie decyzji - powiedziała. - Wiele miesięcy. Tina nie spała przed południem, mamy za sobą długi dzień, a ja jestem zmęczona.

Była zła i nie potrafiła tego ukryć'. Niepokoił ją widok Tiny, siedzącej na kolanach Clive'a...

- Mam nadzieję, że mój dom będzie gotowy na początku jesieni - oświadczył Clive, kiedy wstali, aby się pożegnać. -Zaproszę wtedy Tinę na dzień lub dwa i będziemy jeździć konno od świtu do wieczora. Przywieziemy też twojego kucyka, Tino, ale tylko pod warunkiem, że dasz mu imię, które spodoba się mamusi i tatusiowi. Miałem kiedyś klacz, która nazywała się Rosalie. Co powiesz na takie imię?

- Dobrze - zgodziła się Tina, ziewając szeroko.

- A więc wszystko jest już ustalone. Rosalie i ty złożycie mi wizytę w Red Hill.

- Chciałbyś spędzić dwa dni tylko z Tiną? - zapytała Sally odrobinę ostrym głosem. - Naprawdę, Clive! Kto by się nią zajął?

- Żona dozorca jest bardzo odpowiedzialną kobietą. Nie musiałybyś się o nic martwić, Sally.

- Zobaczymy. Do jesieni jeszcze daleko.

Ogólnie rzecz biorąc, nie było to zbyt miłe popołudnie. Jedyne naprawdę przyjemne chwile spędzili na padoku, kiedy Clive ofiarował Tinie kucyka. Potem atmosfera zdecydowanie się zepsuła...

- Nie chcę, aby Tina kiedykolwiek nocowała z Clivem w tym domu - wyszeptała Sally, chociaż dziewczynka już parę minut temu zasnęła na tylnym siedzeniu samochodu.

- Byłaby to dla niej przygoda, coś jak odwiedziny w domu twoich rodziców.

- Clive nie jest moją matką. To zupełnie co innego.

- Ale co w tym złego? Dozorca Merz i jego żona mieszkają w Red Hill od wielu lat, mają nawet wnuczkę, z którą Tina mogłaby się pobawić.

Sally skrzywiła się lekko, zaniepokojona własnymi myślami. Były mroczne i w nieokreślony sposób lepkie. Przyszło jej do głowy, że nie zachowuje się racjonalnie, ale nie była w stanie nic na to poradzić.

- Nie podoba mi się stosunek Clive'a do Tiny.

- Masz rację - przytaknął Dan. - Za bardzo się wtrąca, mnie także to zirytowało. Widać jednak, że on ją po prostu kocha. Nie ma własnych dzieci, więc trzeba go zrozumieć.

- Dlaczego nie założył rodziny? Jego sposób życia... On

jest naprawdę dziwny, Dan. Nigdy dotąd nie widziałam tego tak jasno jak dziś.

- Nie dostrzegłem w jego zachowaniu nic nadzwyczajnego. O co ci chodzi?

- Podobało ci się, że siedziała mu na kolanach?

- Na miłość boską, Sally, o czym ty mówisz?

- Sama nie jestem pewna, o czym. Clive nie ma żadnego towarzystwa, ani męskiego, ani damskiego. Gdzie chodzi? Co robi w wolnym czasie?

- Gdzie chodzi, co robi? Skąd mam wiedzieć, u diabła? Wychodzi i tyle. Nie pytam go, dokąd.

- Może powinieneś.

- Nadal nie wiem, o czym mówisz, ale najwyraźniej masz na myśli coś ohydneho.

Sally milczała. Nie potrafiła wypowiedzieć słów, które układała w myślach, ale posunęła się już tak daleko, że musiała odpowiedzieć Danowi.

- Może tak. Nie wiem.

- Naprawdę, Sally, to paskudnie, że mówisz w ten sposób o uczciwym człowieku. Jak możesz tak myśleć? Clive jest porządnym człowiekiem, może czasami zachowuje się trochę dziwnie, ale jest porządny i dobry. Dorastałem w jego domu, więc chyba wiem...

- Kiedy tu przyjechałeś, byłeś małym chłopcem, a on miał osiemnaście lat, prawda?

- Powtarzam ci, że ręczę za jego uczciwość.

Dan był zdenerwowany i urażony. Sally wystawiła na próbę jego poczucie lojalności, chociaż wcale nie miała takiego zamiaru. Musiała jednak podzielić się z nim swoimi myślami, nie mogła zatrzymać ich dla siebie.

- Czy sądzisz... Och, proszę, wysłuchaj mnie i nie złość się... Czy sądzisz, że doktor Lisie mogła mieć rację?

Dan drgnął nerwowo.

- Boże święty, mało brakowało, a zjechałbym z drogi! Myślisz, że to Clive? Clive? Chyba oszalałaś, Sally!

Jego reakcja zbiła ją z tropu. Rzeczywiście powiedziała chyba coś strasznego...

- Przepraszam. Przykro mi, że tak pomyślałam. Przyszło mi to do głowy dopiero dziś po południu, przysięgam, że nie

wcześniej. To okropne, przepraszam. Czasami nie można zapanować nad własnymi myślami...

- Nie wolno stawiać takich zarzutów uczciwemu człowiekowi, nawet w myślach. Posłuchaj, doktor Vanderwater, jeden z najlepszych specjalistów w swojej dziedzinie, rozwiął już chyba twoje wątpliwości. Zapomnij o tej kobiecie i jej przekłębnych teoriach. Zapomnij o całej tej sprawie. Boże, biedny Clive...

Sally długo milczała, pogrążona w myślach.

- Popęłniłam błąd - powiedziała w końcu. - Zapomnij, że w ogóle to słyszałeś, dobrze?

- Oczywiście.

- Zawrzemy pokój?

- Daj spokój, Sally, już o tym zapomniiałem. Wszystko w porządku.

To był błąd, teraz nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Szalona myśl. Wstydziała się, że coś takiego przyszło jej do głowy. Poczwała, że oblewa się gorącym rumieńcem. Nie miała żadnego punktu zaczepienia, Clive nie dał żadnego powodu... Nie powie już ani słowa.

Lecz mimo wszystko, po cichu i skrycie, zrobi wszystko, aby zapobiec wizycie Tiny w Red Hill. Podjęła już decyzję. Być może była to zupełnie absurdalna decyzja, ale Sally nie miała zamiaru jej zmieniać. Była matką i musiała bronić swego dziecka. Czasami kobieta musi uciec się do podstępu, nawet jeżeli ma tak mądrego, dobrego i kochanego męża jak Dan.

Rozdział piąty

Maj 1990

Mniej więcej siedemdziesiąt kilometrów od Scythii, jadąc autostradą stanową, przy jednej z bocznych, dwupasmowych dróg, na skraju ponurego miasteczka, stało kilka brunatnych, brudnych, zawilgoconych budynków - bar kanapkowy, stacja benzynowa i motel „Szczęśliwe chwile”. Światło halogenowej lampy padało na stojące na parkingu dwa samochody i przez żaluzje przedostawało się do pokoju, gdzie na łóżku leżał pogrążony we śnie Ian Grey.

Pierwszy sygnał budzika obudził go o dziesiątej. Nie było to trudne, bo Ian tylko drzemał, chociaż zwykle po stosunku spał jak suseł. Wszystko zależało jednak od miejsca. W zeszłym roku w Las Vegas czy w ubiegłym weekend w Nowym Jorku nie musiał martwić się tym, że musi wrócić do domu o przyzwoitej godzinie.

Postanowił obudzić Roxanne, chociaż żał mu było zakłócać jej spokój. Jeden policzek i ręka zakryte były burzą kasztanowych włosów, rozrzuconych na poduszce. Uwielbiał zanurzać twarz w tych włosach! Drugie ramię spoczywało na kocu. Przegub dłoni zdobiła para wysadzanych diamentami bransoletek - jedną dostała od niego rok temu, drugą w tym roku. Każda symbolizowała jeden rok ich znajomości. Z oparcia krzesła zwisało nowe futro z norek, Ian podejrzewał, że Roxanne będzie nosiła je jak najdłużej, dopóki chłodne noce dostarczać jej będą przynajmniej słabej wymówki. Roześmiał się cicho. Jego chciwa mała poszukiwaczka złota! A jednak kochała go. Naprawdę go kochała.

Znał ją na wylot. Znał całą patetyczną historię jej życia: śmierć matki, ponowny ożenek ojca z kobietą zaledwie sześć lat starszą od Roxanne, dwójka przyrodniego rodzeństwa i ze

sklerociały dziadek... Cała rodzina stłoczona w niewielkim, zaniedbanym domu. Wiedział, że Roxanne opiekuje się młodszą siostrą, która jeszcze się uczy. Z czystej ciekawości przejechał kiedyś koło jej domu. Zobaczył zapadnięty dach nad gankiem, odpadającą płatami ze ścian farbę i brudne okna. Dom znajdował się niedaleko zakładów Grey's Foods, gdzie Roxanne pracowała w dziale wysyłkowym. Greyowie zatrudniali członków jej rodziny od trzech pokoleń.

W jaki sposób Ian spotkał Roxanne? Biura zarządu firmy i magazyn nie sąsiadowały przecież ze sobą... Zobaczył ją w restauracji, gdzie świętowała urodziny w gronie przyjaciół. Spotkali się przy kolistym blacie baru sałatkowego pośrodku sali. Podniósł wzrok znad miski z krewetkami i odkrył, że patrzy prosto w najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widział. Były czarne, głębokie jak północne jeziora, ocienione gęstymi, długimi, wywiniętymi na końcach rzęsami, Ian utonął w nich jak w głębokiej wodzie.

- No, proszę - przemówiła dziewczyna. - Jak samopoczucie?

- Doskonale - odpowiedział. - Po prostu doskonale.

A potem pozwolił, żeby poczuła, jak jego oczy wędrują w dół jej szyi, aż do białego dekoltu, po kształtnych, obnażonych ramionach i cudownie zaokrąglonych biodrach.

Kąciki jej pięknych ust uniosły się w uśmiechu.

- Cieszę się.

- Jak ci na imię?

- Roxanne Melisande. Ian uniół brwi.

- Słucham? Me... Co takiego?

- Melisande, z akcentem na pierwsze „e”. To francuskie nazwisko.

- Nabierasz mnie. Nie jesteś Francuzką.

Utkwił w niej rozszerzone oczy, co sugerowało namiętność i zawsze (no, prawie zawsze) wywoływało odpowiednią reakcję.

Roześmiała się.

- Ty też nie jesteś Francuzem. Jak ci na imię?

- Ian.

- To także dziwne imię. Jak się je pisze?

- I-a-n. Szkockie imię.

Ponieważ nadal stali przy barze sałatkowym, musiał szybko przejąć inicjatywę.

- Kiedy później podejdziemy do stołu z deserami, stanę w kolejce za tobą. Podaj mi kartkę ze swoim numerem telefonu, dobrze?

- Dobrze. Zauważyłam cię już wcześniej, przy stoliku. Czy ta blondynka to twoja przyjaciółka, czy żona?

- Przyjaciółka.

- Akurat. To twoja żona, nigdy się nie mylę. Ładna.

- Nieważne. Dasz mi swój numer?

- A jak myślisz?

Naturalnie spełniła jego prośbę. Później stanęła nawet przy oknie i przyglądała się, jak Ian i Happy wsiadają do samochodu, być może postarała się nawet zapamiętać numer rejestracyjny wozu, aby dowiedzieć się, kim jest jej nowy znajomy. Na jej miejscu zrobiłby to samo. Oboje przystąpili do gry, równie ekscytującej jak ruletka w Monte Carlo, lecz znacznie bardziej zabawnej.

W pokoju zapanował już chłód i dobrze byłoby wskoczyć znowu pod kołdrę, ale zegarek wskazywał dziesięć po dziesiątej. Jeszcze pięć minut, pomyślał Ian. Potem ją obudzę. Jego kobiety nienawidziły wstawać - było to całkowicie zrozumiałe, w końcu one nie musiały spieszyć się do domu.

Czasami przed jego oczami przesuwały się kolejne kochanki, a wtedy zastanawiał się, co się z nimi stało. Jak ułożyło się życie tej ciemnowłosej, namiętnej Ormianki. a może Cyganki, albo chłodnej, wysokiej blondynki, której wyniosłe spojrzenie mówiło: „Nie dotykaj mnie!”, oczywiście do chwili, kiedy jej dotknął.

Ale kiedy romans dobiegał końca, okazywało się niezmiennie, że w gruncie rzeczy żadna z nich nie znaczyła w jego życiu. Z pewnym żalem pomyślał, że najprawdopodobniej tak samo będzie z Roxanne. Na szczęście koniec jeszcze nie nadszedł. Romans z Roxanne trwał dłużej niż wcześniejsze po-zamążne związki Iana. W tej chwili sama myśl, że dziewczyna mogłaby go opuścić, a jego miejsce zająłby inny mężczyzna, przyprawiała go o atak zazdrości i gniewu, Ian dobrze znał swój charakter.

Wiedział także, że Happy stanowi stałą część jego życia. Kiedy się pobrali, miał dwadzieścia jeden lat i dopiero skoń-

czył college. To prawda, że jego ojciec, zachwycony nieskazitelnymi manierami i urokiem dziewczyny, a także jej drzewem genealogicznym (Happy pochodziła z jednej z pierwszych rodzin, które osiadły w Ameryce), zachęcał syna do małżeństwa, ale jest także prawdą, iż Ian zakochał się w Happy i kochał ją do dziś. Ten rodzaj miłości nie miał nic wspólnego z seksem. W życiu mężczyzny seks i miłość mogły egzystować niezależnie od siebie. Kobiety, a zwłaszcza żony, nie były w stanie tego zrozumieć. Jego ojciec także. Gdyby Ian kiedykolwiek powiedział, że chce zostawić Happy - co było zupełnie nieprawdopodobne - staruszek rozstrzelałby go słowami jak pociskami. Rodzina. Lojalność. Uczciwość. Miłość. Dom drżałby w posadach, Ian pomyślał o swojej matce, swojej pięknej, łagodnej matce, którą Happy tak bardzo przypominała...

Pięć minut jeszcze nie minęło, ale Ian cicho podniósł się z łóżka i poszedł do łazienki. Ubrał się i starannie przygładził włosy. Były potargane, ponieważ Roxy uwielbiała przeczesywać je palcami. Lubiła dotykać go całego. Na wspomnienie tych chwil uśmiechnął się do siebie.

- Tak, jesteś cudowny, a ja szaleję za tobą - powiedziała Roxanne.

Pojawiła się tuż za nim, przywarła nagim ciałem do jego pleców i wspięła się na palce, aby przyłożyć policzek do jego policzka.

- Piękna z nas para, prawda? - zamruczała, patrząc na ich odbicie w lustrze.

- Niebrzydka. - Ian odwrócił się i odsunął ją od siebie na odległość wyciągniętych ramion. - W takim stroju jest ci najładniej. Bransoletki i nic więcej.

- Jeżeli ci się podobam, okaż to.

- Nie mogę, skarbie. Muszę wracać do domu. Powiedziałem, że jadę na spotkanie w interesach, a one nie trwają całą noc.

- Zajmie ci to najwyżej dziesięć minut.

- Hej, uciekaj! Narzuć coś na siebie, bo inaczej...

- Dobrze, dobrze.

- Wolę patrzeć, jak się rozbierasz, ale to też jest dosyć przyjemne. - Ian usiadł na łóżku, obserwując wkładającą czar-

na bieliznę dziewczynę. - Ty rzeczywiście kochasz te ciuszki, co?

- A dlaczego nie? Jesteś kochany, że mi je dajesz.

- Więc zrób coś dla mnie. Pozbądź się tej szmatki, którą masz w ręku, dobrze?

- Tej? - Roxanne ze zdziwieniem spojrzała na bluzkę z krwistoczerwonej satyny. - Bardzo ją lubię...

- Ja nie. Wygląda tanio i tandetnie.

- Tanio?! Kosztowała ładnych parę groszy.

- Nie mówię o cenie.

- Chodzi ci o to, że nie jest w stylu twojej żony? Jan zignorował zaczepkę.

- Nie obrażaj się - powiedział spokojnie. Mówię to dla twojego dobra. Zależy mi, abyś nauczyła się czegoś o sztuce ubierania, na przykład tego, że nie nosi się sztucznej biżuterii z prawdziwą. Jesteś piękna i powinnaś umieć podkreślać swoją urodę.

- W porządku, posłucham cię - zgodziła się Roxanne, wyraźnie ułagodzona. - Tyle dla mnie robisz, Janie. I dla Michelle. W zeszłym tygodniu kupiłam jej parę porządnych ciuchów.

- Mam nadzieję, że ona nadal nic o nas nie wie?

- Och, kochanie, przecież nie zwieram jej się ze wszystkiego. Jasne, że nie. Ale Michelle jest moją siostrą i mam do niej zaufanie. Nigdy nie wyrządziłaby mi krzywdy, więc tobie także nie. - Roxanne podniosła futro. - Jestem gotowa.

- Jak wytłumaczyłaś się w domu z tych nerek?

- Powiedziałam, że to tanie futro, tylko z ogonków. Oni i tak się na tym nie znają. Kupiłam je okazji, za premię świąteczną, wystarczyło mi jeszcze na podarunki dla całej rodziny. A premię dostałam za nadgodziny. - Futro wokół twarzy dziewczyny tworzyło ciemną ramę, podkreślającą piękno pastelowego obrazka. - Marzyłam o czymś takim przez całe życie. Czuję się w nim jak królowa.

Jan pomyślał nagle o Happy i uśmiechnął się lekko. Jego żona była żarliwą obrończynią praw zwierząt i za nic nie włożyłaby prawdziwego futra. Kontrast między niesmakiem i przerażeniem Happy a zachwytem Roxanne wydał mu się prawie komiczny.

Nagle Roxanne odskoczyła pod ścianę.

- O, mój Boże, mysz! - pisnęła. - Spójrz, tam!
- Gdzie?
- Schowała się w szafie. Na miłość boską, łan, zamknij drzwi, zanim znowu wybiegnie! Zamknij! Jezu, wynośmy się stąd!
- Chwileczkę, pozwól mi zasznurować buty!
- Och, nienawidzę tego przekłętego, brudnego miejsca, nienawidzę wszystkich tych moteli. Spójrz tylko, tapeta się odkleja, zasłony podarte, dobrze chociaż, że nie ma pluskiew i pcheł. Dlaczego zawsze musimy przyjeżdżać do takich zapuszczonych dziur? - Jęknęła.
- Po pierwsze dlatego, że hotel Waldorf jest trochę za daleko. A po drugie, motele są bezpieczniejsze.
- Nie musi być zaraz Waldorf, ale ten pokój jest okropny.
- Wiem - zgodził się łan. - I powiem ci, co przyszło mi do głowy - powinnaś mieć mały domek albo mieszkanie gdzieś za miastem. Przyjemne mieszkanie, na przykład w Titustown. Co o tym myślisz? Miło by było, co?
- Roxanne milczała.
- No, co ty na to?
- Titustown i Scythię dzieli prawie sto kilometrów, łanie. Chciałbyś, żebym rzuciła pracę?
- Jasne.
- A co z moją siostrą? Mam po prostu wyprowadzić się i zostawić Michelle w tej piekielnej dziurze, z kłótniwą macochą, zeskleroiałym dziadkiem, któremu trzeba przypominać, żeby zapiął rozpiorek, i naszym ojcem, którego nic i nikt nie obchodzi?
- Dla twojej siostry znalazłoby się miejsce w pierwszorzędnej szkole z internatem. Dobrze by jej to zrobiło.
- A ja siedziałabym w tym mieszkaniu sama jak palec, sto kilometrów od znajomych i przyjaciół, tak? Wszyscy mieszkają w Scythii...
- Sto kilometrów autostradą to nic, zaledwie godzina jazdy.
- Akurat, w tej puszczy na kołach. Brakuje tylko, żebym utknęła gdzieś po drodze w metrowej zaspie.
- Kupię ci dobry samochód. Tak czy inaczej, powinienem to zrobić, nie wiem, dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej. Możemy wybrać się do New Hampshire, Bostonu lub innego miasta, gdzie nikt mnie... nas... nie zna, i wybierzesz

sobie taki, który ci się najbardziej spodoba. Cadillac, lincoln, mercedes - do wyboru, do koloru.

Roxanne lekko odęła pełne wargi i zmrużyła oczy.

- Wszystko pięknie, ale nadal byłabym tam zupełnie sama. Zwariowałabym w samotności. Nie da się rozmawiać ze ścianami, nawet bardzo drogimi, ani z mercedesem.

Ian, zrażony miną Roxanne, zaczynał powoli tracić cierpliwość.

- Więc czego właściwie chcesz? Masz dosyć takich dziur, doskonale cię rozumiem. Proponuję ci przywoite mieszkanie, na tyle blisko Scythii, na ile to możliwe. Nie mogę kupić ci mieszkania w żadnej bliżej położonej miejscowości, przecież wiesz o tym. No to o co ci chodzi?

Ledwo zadał to pytanie, a już zrozumiał, że popełnił błąd. Sam dał jej powód do następnej sprzeczki.

Wiesz, o co mi chodzi, Ianie. Doskonale wiesz.

Stała na środku pokoju, owinięta zawiązanym w pasie futrem z norek. Jej poza była wyzywająca, ale w głosie i w wyrazie twarzy wyczytał prośbę. Prośbę, którą słyszał już wiele razy.

Nie mogę tego zrobić - odpowiedział spokojnie. - Już na samym początku naszej znajomości uprzedziłem cię, że nie zostawię żony.

Dlaczego? Gdyby było ci z nią dobrze, nie spotykałbyś się ze mną.

To nie takie proste. Jedno nie ma nic wspólnego z drugim.

Twoja żona całymi dniami siedzi z nosem w książce, nawet dzieci nie macie. Po czterech latach małżeństwa nie dała ci dziecka.

Znowu powiedziała coś, czego nie powinna była mówić, Ian nie stracił panowania nad sobą, ale w jego głosie pojawił się ostry ton.

Proszę, nie mieszaj do tego mojej żony. Nie rozmawiamy Irraz o niej, Roxy.

Ile razy mam ci powtarzać, że mam na imię Roxanne? Nienawidzę, kiedy ktoś mówi „Roxy” i poucza mnie, co mogę, a czego nie mogę mówić.

Jeszcze dwa, trzy miesiące temu była całkowicie zadowolona ze swojej sytuacji. Potem nagle tematem numer jeden stało się małżeństwo, Ian był już zmęczony, najchętniej po-

szedłby spać i myślał głównie o tym, żeby jak najszybciej wrócić do domu. Nie był przygotowany na dyskusję na temat numer jeden i nie miał na nią ochoty. Nigdy zresztą jej nie miał...

- Słuchaj, przez większą część życia nazywałaś się po prostu Rosemarie, nie Roxanne - powiedział. - A jeśli chodzi o tę drugą sprawę, to możesz ze mną rozmawiać na każdy temat z wyjątkiem tego jednego, Roxy.

- Nie opowiadaj mi tu o moim życiu! Gdyby w ogóle cię obchodziło, pomyślałbyś o mojej przyszłości! Co ze mną będzie? Zaczyna się trzeci rok naszego romansu, jestem coraz starsza i...

- Cholera jasna, masz dwadzieścia dwa lata i martwisz się, że się starzejesz?! Ciesz się każdym dniem z osobna, tak jak ja to robię.

- Łatwo ci mówić, ty masz zabezpieczenie na przyszłość. Wracasz do własnego domu, co ja gadam - do pałacu!

- To żaden pałac. Zwyczajny dom.

- Ale dość luksusowy, prawda? Widziałam go, bo specjalnie tamtędy przejechałam. Na pewno masz łazienki w marmurach i aksamitne narzutki na sedesy.

Mimo narastającego gniewu Ian nie potrafił powstrzymać wybuchu śmiechu.

- Powiedziałaś coś śmiesznego?

- Nie, ale twój sposób myślenia jest czasami dość prymitywny, kochanie. To było zabawne.

- Prymitywny? Do diabła, gdybym miała coś ciężkiego pod ręką...

- Daj spokój, nie kłóćmy się. Świetnie się dziś bawiliśmy i czeka nas jeszcze wiele miłych chwil. Umówimy się na wtorek? Nie, to za szybko. Nikt nie uwierzy, że tak często mam spotkania w interesach. W piątek?

Wiedział, że lekceważy jej niepokój, ale co innego mógł zrobić? Powinna go zrozumieć i cieszyć się z tego, co ma. Nigdy w życiu nie było jej tak dobrze.

- Nie, nie w piątek. Nie będziemy umawiać się w wybrane przez ciebie dni tylko dlatego, że tak jest lepiej ze względu na twoją żonę, której nie kochasz.

- Nigdy nie powiedziałem...

- Wobec tego nie kochasz mnie! - przerwała mu. - Mężczyzna nie może kochać dwóch kobiet naraz.

- Kocham cię, Roxanne. Co mam zrobić, żeby ci tego dowieść?

- Ożenić się ze mną. Gdybyśmy byli małżeństwem, byłbyś dziś w domu ze mną. Ciągle to samo. Ian był coraz bardziej zmęczony i sfrustrowany.

- Nie jestem wystarczająco dobrze urodzona, żeby wejść do twojej rodziny, prawda? Boisz się ojca. Syn wielkiego filantropa miałby poślubić Rosemarie Fine!li - no, w końcu to powiedziałam! - córkę Vina Finelli z Dugan Street? Nigdy w życiu! Nie ośmieliłbyś się tego zrobić. Boisz się tego waż-niaka, twojego tatusia!

- Ale masz tupet, mała! Co ty wiesz o moim ojcu? Nigdy go nie widziałaś, nie znasz też nikogo, kto go zna.

- Z wyjątkiem ciebie. A z twoich słów można wywnioskować wystarczająco dużo!

Mała diablica! Nie można powiedzieć, żeby brakowało jej inteligencji. Gdyby posłać ją na któryś z siedmiu wielkich uniwersytetów, ukończyłaby studia z pierwszą lokatą. A to półdiabłą... Jedno miał jej za złe: nie powinna krytykować jego ojca. O nim samym mogła mówić, co jej się podoba, ale nie o ojcu.

- Cóż, jeśli taka pyskówka sprawia ci przyjemność, to pyskuj dalej, moja droga Roxanne. Ja mam na dzisiaj dosyć. -Ian włożył marynarkę i nacisnął klamkę. - Masz jednak prawo do ostatniego słowa, to przywilej kobiet. Odpowiada ci piątek?

- Jeżeli teraz powiesz mi, co będzie dalej. Nie chcę stawiać cię pod ścianą, nie proszę o wyznaczenie terminu twojego rozwodu i naszego ślubu. Musisz jednak udzielić mi konkretnej odpowiedzi: „tak” albo „nie”. Zmęczyła mnie ta nieokreślona sytuacja. Rozwiedziesz się czy nie?

Płonąca gniewem, wysoka i piękna, stała z założonymi z lętu rękami i żądała odpowiedzi, Ian nie czuł lęku. Wiedział, że za kilka dni, niezależnie od obecnego nastroju, wróci do jego łóżka, ponieważ szalała za nim, nie za drogimi bransoletkami i samochodami, ale właśnie za nim. A on szalał za nią.

- Nie - powiedział zdecydowanie. - Mówiłem ci o tym kiedyś i powtarzam teraz: nie mam zamiaru rozwodzić się z żoną. Nie chcę więcej o tym słyszeć. Mam dosyć tego tematu.

- Więc idź do diabła! I nie dzwoń do mnie! Nigdy więcej!

Przemknęła obok niego jak burza, wypadła z pokoju i zanim dotarł do zostawionego na parkingu samochodu, ona siedziała już w swoim. Stał długą chwilę, słuchając rozpaczliwego pokasywania i krztuszenia się jej silnika. Kiedy w końcu odjechała, ruszył do domu.

W bezksiężycową, wiosenną noc autostrada była jasnym, pustym pasmem. Samotność wkrađa się w zakamarki serca łana podstępnie jak mgła. Co za paskudne zakończenie wieczoru! A zaczęli go w tak miłym i wesołym nastroju, przy koszu pełnym pysznych przekąsek i butelce szampana Veuve Clicquot.

Dziewczyna ma humory, nie da się zaprzeczyć. Wie, że się z nią nie ożeni, więc po co ta cała awantura? Nie szkodzi, za dwa tygodnie odzyska rozsądek. Nie, jest uparta, lepiej dać jej miesiąc.

Poczuł się trochę lepiej, ale na ostatnim fragmencie drogi, już za główną ulicą Scythii i ciemnym, wielkim zespołem budynków, gdzie mieściło się biuro główne Grey's Foods, wjeżdżając na długie zbcze nad miastem, serce zaczęło mu bić szybko i nerwowo.

Czy Happy nadal mu ufała? Kiedyś, dawno temu, na długo przed historią z Roxanne, zachował się nierozważnie. Happy dowiedziała się o wszystkim i wpadła w rozpacz, łan, wściekły na siebie, że sprawił jej tyle bólu, błagając żonę, aby przebaczyła mu „pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia wyskok”, obiecał, że nie powtórzy się to nigdy więcej. Przez pewien czas dotrzymywał obietnicy, wkrótce jednak życie wydało mu się zbyt krótkie, a świat pełen pięknych, ponętnych kobiet.

Bardzo uważał, aby nie zdarzyły mu się żadne następne „wpadki”. Może jednak sam się oszukiwał, wmawiając sobie, że Happy jest ufna i łatwowierna? Może żona dawno przejrzała wszystkie jego wymówki i po prostu postanowiła udawać niewiedzę i zaakceptować go takim, jakim jest? Kochała go przecież i ich wspólne życie było szczęśliwe.

Byłoby bardzo szczęśliwe, gdyby tylko mieli dziecko. Na początku małżeństwa Happy oznajmiła, że chce mieć kilkoro dzieci, Ian często wyobrażał sobie, jakby to było, gdyby miał córeczkę, a jeszcze lepiej syna, dzielnego, zdrowego chłopca. Teraz Happy miała już trzydzieści pięć lat i nadal byli bezdzietni, Ian nie dopuszczał jednak do siebie smutku, który, jak widział, często ogarniał jego żonę.

Był zdecydowanym przeciwnikiem adopcji. Znał wiele bezdzietnych par, które, słusznie lub nie, podzielały jego zdanie. Po co ściągać na siebie kłopoty, które mogłyby wynikać z nieznanego pochodzenia adoptowanego dziecka? Ludzie mieli wystarczająco dużo zmartwień z własnymi dziećmi.

Wchodząc do domu, czuł się trochę nieswojo. Poczucie winy po spotkaniach z Roxanne dręczyło go tylko czasami, ale jednak... Dziś miał szczerą nadzieję, że Happy będzie już spała.

Bardzo szybko zorientował się, że była to płonna nadzieja: okna na pierwszym piętrze były ciemne, natomiast na parterze jasno oświetlone. Niechętnie wstawił samochód do garażu.

- To ty, kochanie? - zawołała Happy, wychodząc z salonu z książką w ręku. - To spotkanie trwało całe wieki. Zaczynałam się już niepokoić.

- Pewien facet zakochał się w dźwięku swojego głosu. - Ian musnął wargami jej policzek. - Przez godzinę omawiał sprawę, którą można by streścić w ciągu dziesięciu minut. Przyjemnie pachniesz. Nowe perfumy?

Happy się roześmiała.

- Używam ich co najmniej od dwóch lat. Jesteś głodny? Założę się, że nie jadłeś kolacji.

- Coś przegryzłem. Pasztet z szampanem.

- To świetnie, bo mam dla ciebie mały deser. Znudziła innie książka, więc upiekłam całą blachę czekoladowych ciasteczek. Są jeszcze ciepłe.

Ian uwielbiał słodczyce, a ponieważ był w świetnej formie, mógł pozwolić sobie na tę słabość.

Mmmm... Przyjemna propozycja. Z lodami? Oczywiście. Jakie wybierasz?

- Poproszę kawowe. Pomóc ci?

- Nie, usiądź sobie. Masz za sobą długi i ciężki dzień. Zaraz wszystko przyniosę. Ian postąpił zgodnie z jej radą. Zupełnie niespodziewanie ogarnęło go dziwne uczucie. Nie były to chyba wyrzuty sumienia, bo z nimi poradził sobie już wiele lat temu. „Dopóki nikogo nie krzywdzisz, nie jesteś winny” - tak brzmiało jego motto. A przecież nie krzywdził swojej żony. Po dłuższej chwili doszedł do wniosku, że odczuwa zażenowanie, wstyd. Wstydział się, siedząc w swoim własnym pokoju, oparty o wyhaftowane przez Happy poduszki, patrząc na swoje ślubne zdjęcie, na którym obejmował ramieniem młodszą żonę, strojną w biały jedwab, białe orchidee i niewinność.

Przecież nigdy jej nie skrzywdził. Nadal była i mogła być szczęśliwa, o czym najlepiej świadczyło jej przybrane imię -Happy - „Szczęśliwa”.

Happy postawiła tacę na stoliku między dwoma fotelami.

- Dodałaś coś do ciasteczek - zauważył Ian. - Smakują doskonale, chociaż nie wiem, co to takiego.

- Dodałam odrobinę kawy. Taki mały eksperyment.

- Świetny pomysł.

Spojrzał na nią uważnie. Miała na sobie szlafrok z różowego jedwabiu, piękną szyję zdobił pojedynczy sznurek pereł, jasne włosy opadały w naturalnym nieładzie, miękkie jak u dziecka. Wyglądała bardzo ładnie.

- Na co tak patrzysz? - zapytała.

- Na ciebie. Jesteś śliczną kobietą, Elizabeth Grey. Mówił prawdę. Nikomu nie zapierało tchu w piersiach na

jej widok, serce nie przyspieszało gwałtownie, ale można było patrzeć na nią długo i z przyjemnością, jak na wazon pełen pięknych róż.

- Cieszę się - powiedziała z uśmiechem.

- Jak tam sprawy w przedszkolu?

- Prawie cały dzień spędziłam z księgowymi. Nie zalegamy z żadnymi opłatami, mamy niezłe dochody, a na następny rok wszystkie miejsca są już zarezerwowane.

W jej głosie usłyszał dumę z tego, czego udało jej się dokonać. Miała do tego pełne prawo. Łagodna, nieobyta w świecie interesów kobieta nauczyła się nowego zawodu,

założyła firmę i rozkręciła ją zupełnie sama, bez niczyjej pomocy.

- Jestem z ciebie bardzo dumny - powiedział szczerze. Jeszcze przez chwilę rozmawiali o przedszkolu, kończąc

lody. Potem Happy opowiedziała mu kilka anegdotek o sąsiadach i wreszcie oświadczyła, że jest już bardzo późno i powinni iść spać.

Łan pomyślał nagle, że nie kochał się z nią już ponad tydzień, właściwie prawie dwa tygodnie. Kiedy mówiła o udaniu się na spoczynek, coś w tonie jej głosu podpowiedziało mu, że ona również o tym myśli. Happy była zdrową, pełną energii kobietą.

- Chodź na górę - powtórzyła.

Po dzisiejszym spotkaniu z Roxanne nie szalał wprawdzie z namiętności, ale ponieważ inicjatywa wyszła od Happy, musiał się zgodzić. Postanowił, że najpierw weźmie długi, długi prysznic. Czuł się brudny, zbrukany wewnątrz. Był też bardzo zmęczony - konflikt z kochanką i konieczność oszukiwania żony odebrały mu resztkę sił.

Ale niby dlaczego miałby się poddać przygnębieniu? Pod wpływem nagłego buntu objął żonę ramieniem i poprowadził na górę. Należeli przecież do siebie. Miał pewne zobowiązania i chciał je mieć. .

Owszem, w jego życiu była Roxanne, radość, której nie mógł i nie chciał się wyrzec. Dlaczego miałby czuć się rozdarty wewnątrz i nie cieszyć się zupełnie odmiennymi doznaniem, jakimi obdarzały go te dwie kobiety? Jedno nie miało nic wspólnego z drugim. Absolutnie nie miało.

Parę dni później Łan odebrał w biurze telefon od ojca.

- Wpadnij do mnie w drodze do domu. Muszę z tobą porozmawiać. Zajmie nam to kilka minut, nie więcej.

Kiedy Oliver mówił w taki zwięzły, telegraficzny sposób, wiadomo było, że nie prosi, lecz wydaje polecenie, Łan zastał go nad ostatnim daniem późnego obiadu. Przyszło mu do głowy, że oto ma przed sobą doskonale zakomponowaną tea-irralną scenę: siwowłosy dżentelmen siedział u szczytu stołu, spożywając posiłek w blasku świec, na tle portretu żony w wieczorowej sukni z białej satyny.

- Siadaj. Napijesz się kawy?
- Nie, dziękuję. Nie jadłem jeszcze obiadu.
- No tak, zapomniałem.

Łan usiadł naprzeciw portretu. Twarz matki zawsze wydawała mu się fascynująca, choć jednocześnie napawała go nieokreślonym i niezrozumiałym niepokojem. Dobrze zapamiętał jej łagodność i dobroć, roztaczaną wokół aureę spokoju i pogody, o której mówili wszyscy jej bliscy. A jednak było coś jeszcze... Co? Smutek? Potrząsnął głową i odwrócił wzrok. Dręczące go wrażenie było na pewno efektem pomyłki malarza, a może braku odpowiednich umiejętności.

- Słyszałem o tobie coś, czego wolałbym nie słyszeć - odezwał się Oliver.
- O mnie? Nie rozumiem...
- Nie? Nie zrobiłeś nic, czego mógłbyś się wstydzić?
- Oczywiście każdy robi czasem rzeczy, których nie powinien robić - odrzekł Łan, czując falę gorąca na karku i policzkach. - Nadal nie mam jednak pojęcia, o czym mówisz.

Oliver dolał śmietanki do kawy, zamieszał i wypił łyk.

- Chcę, żebyś wyciągnął z tego nauczkę - oświadczył. - Wszędzie i zawsze możesz natknąć się na znajomych, nawet w najbardziej niespodziewanych miejscach. Jakiś czas temu widziano cię w hotelu Waldorf-Astoria w Nowym Jorku. Tańczyłaś z młodą kobietą. Naturalnie, nie wymienię nazwiska osoby, która przekazała mi tę informację. Jestem pewien, że nie miała złych intencji, wszak mogła to być całkiem niewinna sytuacja. Z drugiej strony nie mogę wykluczyć, że osoba ta chciała cię ostrzec, a przy okazji mnie. Najwyraźniej jesteś w dość bliskich stosunkach z tą kobietą...

Gorący rumieniec zalał już całą twarz Łana. Dobry Boże, jakiś spragniony wrażeń, przebiegły staruszek mógł przecież jechać w windzie z nim i Roxanne!

- Ojciec, to jakieś bzdury! - powiedział szybko. - Pojechałem do Nowego Jorku na spotkanie z naszymi dystrybutorami z południowego zachodu. Happy była wtedy u swoich rodziców na Rhode Island, w przeciwnym razie tamtego wieczoru tańczyłbym właśnie z nią. Kobieta, z którą mnie widziano, to... Żona kolegi z Yale. Wpadliśmy na siebie w holu i...

Oliver podniósł dłoń.

- Przestań, nie urodziłem się wczoraj, Ianie, i nie jest to pierwsza tego typu wiadomość, jaką o tobie otrzymałem.

- Co to wszystko ma znaczyć? Siedzi mnie FBI?

- Nie ale jak mówiłem, świat jest mały, mniejszy niż sądzisz. Ktoś zauważył cię pod motelem przy autostradzie, w miejscu, które wiele osób wybiera na schadzki. Luźno rzucone" „Och, widzieliśmy twojego syna...”, czy coś w tym rodzaju. Niewinna uwaga, a może wcale nie taka niewinna. Rozumiesz, do czego zmierzam?

- Rozumiem, ale to pomyłka. Ja nigdy... Oliver powtórzył poprzedni gest.

- Wystarczy, Ianie. Sam byłem kiedyś w twoim wieku i sporo pamiętam z lat młodości. Różnica między nami polega na tym, że ja skończyłem z takimi sprawkami, kiedy ożeniłem się z twoją matką. - Oliver odwrócił się twarzą do portretu. - Byłem jej absolutnie wierny i nigdy tego mi żałowałem. Masz piękną żonę, dlaczego pakujesz się w kłopoty? Zmien się i daj spokój tym głupstwom, dobrze ci radzę

Ian czuł się nieznośnie upokorzony. Nie mógł podważyć słuszności niczego, co powiedział jego ojciec ale w tym wszystkim najgorsze było to, że w wieku trzydziestu pięciu lat został złajany i skarcony jak uczonek.

Wstał.

- Cóż, wysłuchałem cię i zachowam twoje uwagi w pamięci - rzucił. - To wszystko?

- Tak Przykro mi, że musiałem postawić cię w takiej sytuacji, ale chyba rozumiesz, iż zrobiłem to dla twojego dobra. Nie masz do mnie żalu, prawda?

- Oczywiście, że nie. Dobranoc, ojczu. W drodze do domu pomyślał, że choć ojciec niewątpliwie

był kiedyś młody, to nigdy nie był przecież nim łanem. Oliver nie jest w stanie go zrozumieć ani mu wybaczyć, ponieważ nie zna jego głodu życia. Prawdopodobnie zawsze by podobny raczej do biednego Clive'a, którego stać tylko na żeby kupić sobie kobietę. Albo do Dana. Dan ma inne pragnienia, dlatego trudno wyobrazić go sobie w tym motelu. Dan kocha Sally i drzewa, ale nie potępiłby go tak jak ojciec Dan nie ma zwyczaju potępiać ludzi, bo jest dobrym księciem z bajki.

Ian zastanawiał się, jak ma poradzić sobie z tą sytuacją.

Nie chciał pogorszyć stosunków łączących go z ojcem, ale nie miał również zamiaru zerwać z Roxanne. W żadnym razie. Natychmiast znalazł rozwiązanie - wynajmie mieszkanie w którym będą mogli spotykać się bez ryzyka. Roxy będzie zachwycona, niezależnie od tego, co powiedziała podczas ostatniej randki, bo łań postara się, aby jej nowy dom wyglądał jak pałac.

Na samą myśl o tym zaczął pogodnie gwizdać i gwizdał przez całą drogę do domu.

Rozdział szósty

Czerwiec 1990

Wracając do domu po okresowej wizycie u doktora Vanderwatera, Sally czuła wprawdzie ogromną ulgę, ale mimo wszystko nie potrafiła pozbyć się wątpliwości, czy pragnienie doznania pociechy nie jest w niej silniejsze od poczucia rzeczywistości.

- Proszę cieszyć się obecnością dziecka i przekazywać mu swój spokój - mówił lekarz. - Tina może wyczuć pani napięcie, a to najprawdopodobniej zablokuje ją, gdyby chciała coś pani powiedzieć. Dziecko czerpie swój spokój i poczucie pewności z otoczenia.

Oczywiście miał rację, była to podstawowa zasada postępowania z dziećmi. Ale przecież ich dom był pełen radości i spokoju. Jego atmosferę tworzyły gry i zabawy, piosenki i książeczki o doktorze Seussie i Kubusiu Puchatku. Najprawdziwsze domowe przedszkole. Sally nie miała pojęcia, skąd Dan brał siłę i energię na zabawy z dziećmi mimo wszystkich kłopotów zawodowych.

- Czy nie widzi pani żadnej poprawy? - zapytał doktor.

Trudno było siedzieć naprzeciwko niego i zaprzeczać, chociaż w rzeczywistości Sally nie była już niczego pewna. W zeszłym tygodniu Tina była na urodzinowym przyjęciu u koleżanki i zachowywała się po prostu modelowo. Jedna z matek powiedziała nawet, że Tina jest „wyjątkowo pogodnym dzieckiem”. Więc może faktycznie nastąpiła pewna poprawa...

- Bawi się na górze - powiedziała Niania, kiedy Sally weszła do domu. - Na dworze jest jeszcze bardzo mokro po wczorajszym deszczu.

Z dużego pokoju, gdzie Dan miał swoje biurko, a Sally starała się układać nowy terminarz zaniedbanych ostatnio

spotkań, dobiegały ciche dźwięki walca. Źródło muzyki znajdowało się na stole pośrodku pokoju - była to niezwykle cenna srebrna karuzela, rodzinny skarb.

- Co się dzieje? Skąd się to tutaj wzięło?

- To dla mnie! - z gorączkowym podnieceniem wykrzyknęła Tina. - Dla mnie!

- Niemożliwe, skarbie. To nie jest zabawka dla dzieci. Sally miała rację. Od dawna nie przyglądała się karuzeli

z bliska i zdążyła już zapomnieć, jak wspaniale została wykonana. Każdy z podnoszących się i opadających w wirującym kręgu koni różnił się czymś od pozostałych. Tańczyły lub biegły truchtem, jedne miały głowy podniesione, inne opuszczone, a jeden oglądał się nawet do tyłu. Małeńkie pary w każdym siodle odlano z tak precyzyjnie wyrzeźbionych wzorów, że mogły wydawać się dziełem samego Celliniego. Panowie odziani byli w eleganckie kostiumy do konnej jazdy, panie nosiły zgrabne kapelusze i szerokie spódnice z okresu drugiego cesarstwa. Tylko ekspert mógłby określić wartość tego arcydzieła.

- Skąd się to tu wzięło? - powtórzyła Sally.

- Nie wiem.

Niania wiedziała tylko, że karuzelę przywiózł szofer z Hawthorne. Gdy Sally zadzwoniła do rezydencji Greyów, ktoś ze służby poinformował ją, że polecenie przewiezienia cennego przedmiotu wydał pan Clive.

Clive rozmawiał z nią zwięźle i niezbyt chętnie. Pomyślała, że może zrobiła błąd, dzwoniąc do niego do biura.

- Sally, wiem tylko, że ma to być prezent od rodziny z Hawthorne.

- Gdzie jest stryj Oliver?

- Wczoraj wieczorem wyjechał na weekend do Bostonu

- Nie rozumiem - poskarżyła się Sally. - Co mamy z nią zrobić?

- To podarunek. O co zresztą chodzi? Najwyższy czas żebyśmy pozbyli się części rzeczy z Wielkiego Domu. Jest tak zagracony, że przypomina raczej muzeum niż dom. Przepraszam cię, Sally, ale trochę mi się spieszy. Mam dwie rozmowy na innych liniach.

Przez resztę krótkiego popołudnia Tina bez przerwy bawiła się karuzelą, która raz po raz wydzwaniała główny motyw

Nad pięknym, modrym Dunajem. Dziewczynka nie pozwoliła się od niej odciągnąć.

Kiedy dźwięk dzwoneczków stał się po prostu nieznośny, Sally schroniła się w sypialni. Światelko na pokrywie automatycznej sekretarki błyskało natrętnie, sygnalizując ważną wiadomość. Sally wiedziała, że pochodzi ona od Dory Heller. Dora była redaktorem naczelnym jednego ze znanych czasopism i już po raz trzeci w tym tygodniu dzwoniła z najbardziej ekscytującą propozycją, jaką Sally kiedykolwiek otrzymała. Redakcja magazynu Dory planowała druk specjalnego wydania, prawie w całości poświęconego życiu jednego z wielkich pisarzy, osiemdziesięcioletniego staruszka, który urodził się w Appalachach i zadziwił cały świat swoimi dziełami. Dora chciała wiedzieć, czy Sally wykonałaby serię zdjęć na potrzeby magazynu.

W pierwszej chwili Sally z trudem opanowała podniecenie i radość. Pomyślała, że sesja zdjęciowa w Nowym Jorku oznacza tylko jedną noc poza domem, chociaż musiałyby oczywiście wylecieć najwcześniejszym samolotem i wrócić bardzo późno następnego dnia. Było to jednak całkowicie wykonalne i sprawiłoby jej ogromną satysfakcję.

Ale jej plan zawiódł. Wielki pisarz nie chciał wybrać się do Nowego Jorku i Sally musiałyby sfotografować go w domu, w pobliżu Atlanty. Potem miała wyruszyć ścieżką jego życia, najpierw do górskiej miejscowości, w której przyszedł na świat, później zaś do szkoły niedaleko granicy stanu Floryda, gdzie kiedyś uczył. Miałyby do dyspozycji samochód z kierowcą, ale cała eskapada zajęłaby około tygodnia. Sally westchnęła z żalem.

Podniosła słuchawkę i wybrała zapisany numer. Głos Dory, dobiegający z drugiego końca linii, był trudny do rozpoznania.

- Sally! Cały czas czekałam na twój telefon, miałam nadzieję, że zmienisz zdanie. Nie mogę uwierzyć, że odmawiasz. To wielka szansa, chyba jedna z największych w twoim zawodzie. Walczyłam jak lwica, żeby kolegium redaktorskie wybrało właśnie ciebie. Padały inne nazwiska, sama wiesz, jak to jest, ale powyciągałam wszystkie twoje zdjęcia, które miałam w biurze, i przekonałam ich, że twój styl i wycucie to dokładnie to, na czym nam zależy. Musisz się zgodzić.

- Nie mogę, mam rodzinne problemy i po prostu nie mogę teraz wyjechać. To za daleka i za długa wyprawa. Strasznie mi przykro...

- Mam nadzieję, że nie jesteś chora.

- Nie, chodzi o innego rodzaju kłopoty. Natychmiast zdała sobie sprawę, że jest to zbyt słaby i niejasny argument.

- Nikt z nas nie jest chory i nie rozwodzę się, nic z tych rzeczy - dodała bardziej zdecydowanym tonem. - Moja starsza córka ma spore trudności z przystosowaniem się do nowej sytuacji, więc...

- Chyba nic poważnego, co?

- Nie, ale nie mogę wyjechać. Przykro mi, Doro, naprawdę. Nie nalegaj, bo się rozplączę.

- Mnie również jest przykro, kochanie. Bardzo. Cóż, może innym razem...

Nad pięknym, modrym Dunajem...

- Co się dzieje? - zapytał Dan, wkraczając do pokoju z przerzuconym przez ramię krawatem i nie ukrywając złego nastroju. - Skąd się to u nas wzięło?

- Chodzi ci o karuzelę?

- A o co?

Sally powtórzyła uwagę Chve'a o konieczności rozdania części przedmiotów z Wielkiego Domu.

- Więc robią magazyn z naszego domu - ponuro rzucił Dan.

- Dan, to niepodobne do ciebie. Jestem pewna, że mieli dobre intencje.

- W porządku, ale ta karuzela jest warta majątek, a Tina na pewno ją zepsuje.

- Nie sądzę, chociaż muszę przyznać, że ja chętnie bym to zrobiła, bo walc *Nad pięknym, modrym Dunajem* doprowadza mnie już do szaleństwa.

Dan rzucił marynarkę na łóżko i usiadł z cichym jękiem.

- Tina szybko się nią znudzi, a wtedy schowamy ją gdzieś albo spróbujemy uprzejmie odesłać - pocieszyła go. - Nie warto się tym przejmować.

- Ja też mam już dosyć tej melodyjki! - Dan wstał i otworzył szeroko drzwi. - Tina, wyłącz to, proszę.

- Nie, bo mi się podoba.

- Ale nam nie! - Dan podniósł głos. - Wyłącz!

- Powiedziałam, że nie.

- Tino, zrób to, o co cię proszę!

Kiedy Dan ruszył do pokoju naprzeciwko, Sally podążyła za nim.

- Spokojnie, Dan. Wiem, że jesteś bardzo zmęczony i zdenerwowany, ale...

- Ale co? Uważasz, że zrobię jej coś złego?

- Chodzi mi tylko o to, że przez cały dzień była dosyć grzeczna i...

- I dlatego nie można jej skłonić, aby wypełniła proste polecenie?

- Nie to miałam na myśli. Wydaje mi się jednak, że rzeczywiście robi pewne postępy i doktor Vanderwater powiedział dzisiaj...

- Doktor Vanderwater nie mieszka w tym domu, natomiast my tak. Może powinniśmy oderwać się na chwilę od wszystkich tych teorii i zrobić to, co dyktuje nam zdrowy rozsądek.

Dziewczynka siedziała bez ruchu, z łokciami opartymi na stole, hipnotycznie wpatrzona w karuzelę. Dan podszedł i wyłączył muzykę. Tina wydobyła z siebie dziki wrzask, który natychmiast przeszedł w monotonne zawodzenie, i z całej siły kopnęła ojca w nogę. Dan uniósł ją i przytrzymał w powietrzu, aby móc spojrzeć jej w oczy.

- Posłuchaj, Tino, nie wolno ci nikogo kopać i bić. Masz już pięć lat i doskonale wiesz...

Tina wymierzyła mu kopniaka w kolano.

- Nie dotykaj mnie! Opuść mnie! Nienawidzę cię! Opuść mnie na ziemię!

Wybiegła z pokoju, zanosząc się przeraźliwym szlochem. Rodzice patrzyli na siebie bez słowa. Dan był wyraźnie wstrząśnięty.

- Danny, to nieprawda, że ona cię nienawidzi... Dan zmarszył brwi.

- Wiem o tym, ale co złego jej zrobiłem? Nie możemy pozwalać jej na wszystko! Tina rządzi tym domem i naszym życiem, nie widzisz tego?

Widziała, i to aż za dobrze. Przecież nie mogła pozwolić sobie na tydzień pracy poza domem.

Chodzimy dookoła niej na paluszkach, boimy się jej. Co

poczniemy, kiedy będzie miała piętnaście lat? Idę teraz na dół i porozmawiam z nią. Nie patrz na mnie z takim przerażeniem, nie stracę panowania nad sobą w czasie rozmowy z własnym dzieckiem.

- Proszę cię, to nie jest właściwy moment. Zostaw ją, niech Niania ją uspokoi. Chodźmy do siebie, chcę wiedzieć, co wpędziło cię w ten paskudny nastrój.

W pokoju przysiadła na ramieniu fotela i przytuliła policzek do czubka jego głowy.

- No, co się stało? Znowu to samo?

- Miałem zły dzień, łań jest irytujący. Czy to możliwe, żeby ktoś z dnia na dzień zmienił osobowość? Od kilku tygodni zachowuje się jak obcy człowiek. Pamiętasz, jak opowiadałem ci o napoju kawowym, którego recepturę wymyślił jakiś facet z Michigan? Powinniśmy zarobić na tym duże pieniądze, wystarczy, że zawrzemy odpowiednią umowę z Kolumbijczykami. Zorganizowałem więc spotkanie, przyleciał przedstawiciel firmy kolumbijskiej, gość z Michigan przyjechał samochodem, nie wiem, dlaczego zdecydował się przebyć taki kawał drogi autem, może lubi oglądać krajobrazy, nieważne. Tak czy inaczej, spóźnił się półtorej godziny - nic przyjemnego, ale też nie powód, żeby robić tragedię. Tymczasem łań wpadł w szal, nawrzeszczał na niego i publicznie go upokorzył. To młody chłopak i bardzo zależy mu na kontrakcie z nami, nie dziwię się jednak, że poczuł się obrażony i trzasnął drzwiami. Musiałem wybiec za nim i długo go przeproszać. W końcu udało mi się namówić go do powrotu, łań też go przeprosił, więc wszystko jest chyba w porządku, ale po zakończeniu rozmów po prostu zabrakło mi sił na resztę dnia. Dlatego wcześniej wróciłem do domu. Oni nadal siedzą jeszcze w biurze, a ja wyszedłem, bo inaczej chyba bym oszalał...

- Co na to Clive?

- Clive siedzi w drugim końcu korytarza i prawdopodobnie niczego nie słyszał. A nawet jeżeli słyszał, to na pewno tylko wzruszył ramionami i zaraz wrócił do swoich cyferek.

Zadzwoił telefon.

- Odbierz, dobrze? - poprosił Dan. - Jeżeli to do mnie, me ma mnie w domu i oddzwonię później.

- Ian i Amanda - szepnęła Sally, zasłaniając dłonią słuchawkę. - Połączenie z dwóch linii...

Dan westchnął ciężko i wziął słuchawkę.

- To ja - powiedział.

Usiadł na brzegu łóżka, niewygodnie skulony, i oparł łokieć na stoliku. Co za fatalny dzień, pomyślała Sally, nie spuszczać z niego wzroku. Przywykła widzieć Dana energicznego, pewnego siebie i pogodnego, dlatego teraz serce ścisnęło się jej na widok tego zmęczonego, przygnębionego człowieka.

- Wiem, Amando. Rozumiem twój punkt widzenia, wyjaśniłaś mi go w sposób całkowicie wyczerpujący. Rozmawialiśmy już o tym wszystkim, prawda?

Z przeciwległego końca pokoju Sally słyszała podniecony kobiecy głos, choć nie była w stanie zrozumieć wypowiedzianych szybko zdań. Najwyraźniej Amanda miała Danowi dużo do powiedzenia...

- Wiem - powtórzył Dan. - Wiem, na co ci są potrzebne pieniądze i zgadzam się, że to wspaniały cel. Problem polega na tym, że my ich nie mamy. Nasi bankierzy oświadczyli groźnie, że jeżeli wypłacimy taką sumę, zniszczymy firmę.

Amanda znowu zasypała go gradem słów. Prawa noga Dana zaczęła się rytmicznie kiwać, lewa stopa wybijała jakiś rytm o podłogę.

- Jeśli sprzedamy lasy, będziemy w stanie spłacić Amandę. Sęk jednak w tym, że ja nie chcę tego robić. Naprawdę nie wiem, ile razy mam ci to jeszcze powtarzać, Ianie.

Ian będzie obstawał przy swoim, z rosnącym oburzeniem pomyślała Sally. Przypomniała sobie żarty Iana na temat miłości Dana do drzew. Odkąd pojawiła się ta propozycja, Dan, zdaniem Iana, zachowywał się sentymentalnie i niepraktycznie. Co za absurd! Dan prowadził firmę i był twardym realistą. Ale czy realista nie może dochowywać wierności pewnym ideałom?

Clive i ja nie możemy sami poprowadzić tej sprawy. To za duża operacja. O tym także mówiłem ci już wcześniej. A czy przyszło ci do głowy, że jeśli ta firma upadnie, kilka tysięcy osób straci pracę? Chwila milczenia.

Tak, zdaję sobie sprawę, że nie żałujesz pieniędzy na cele charytatywne - sarkastycznie odezwał się Dan. - Nie

proszę cię przecież, żebyś zrezygnowała z należnych ci dochodów, tylko żebyś nie próbowała wyciągnąć z firmy więcej, niż to możliwe i nie krzywdziła ludzi...
Milczenie.

- Jak? Powiem ci, jak. Wczoraj zatrzymałem się na stacji benzynowej. Jej właściciel, który dobrze mnie zna, zapytał, czy artykuł z zeszłego tygodnia, o naszym ewentualnym kontrakcie z zagranicznymi inwestorami, jest zgodny z prawdą. Był bardzo zaniepokojony, z tych samych powodów, co ja. Nawet nasza Niania wspominała Sally, że jej krewni z miasta martwią się pogłoskami, jakoby nasza firma miała ograniczyć zatrudnienie. Boją się i to nie bez przyczyny.

Uszu Sally dobiegły dwa mówiące na raz głosy. Amanda i Ian wyraźnie starali się przekrzyczeć nawzajem...

- Przecież rozmawiamy spokojnie - odezwał się Dan. - W każdym razie ja jestem spokojny.

Milczenie.

- Tak, staram się zachować spokój. Twierdzisz, że zmierzamy do kłótni? Chyba mówisz o sobie. Nie wiem, co was napadło i na pewno nie chcę się z wami kłócić. Szkoda, że nie możemy porozmawiać z Oliverem... Tak, słyszałem, jak mówił, że nie chce się angażować, ale... Dobrze, wobec tego porozmawiamy z Clive'em. Do cholery, Ian, czy nie możemy zachowywać się jak dorośli ludzie? Amando? Mów głośniej. Nie słyszę cię... Co takiego? Odłożyła słuchawkę? Boże, obydwójce jesteście szaleni! Tak jest, jestem uparty, ale nie bardziej niż ty. Ja też nie wiem, jak mam z tobą rozmawiać, Ianie. Ta awantura dziś po południu...

Dan odwrócił się ze słuchawką w rękę.

- Ian rzucił słuchawkę.

- Może Clive mógłby jednak coś zrobić? - zasugerowała Sally. - Ian szanuje i podziwia jego inteligencję.

- I tak, i nie. Słyszałaś chyba, jak poprosiłem, żebyśmy rozmawiali dalej z udziałem Clive'a. „Clive nigdy samodzielnie nie zarobił ani grosza”, brzmiała odpowiedź Iana. „Nie ma zielonego pojęcia o prowadzeniu interesów. To spec od matematyki z komputerem w głowie, który wkrótce zakaszle się na śmierć”. Taka jest opinia Iana.

- A gdybyś mimo wszystko zwrócił się do stryja Olivera?

- Nie mogę zmusić go do wystąpienia przeciwko własnemu

synowi. To byłoby niesprawiedliwe, a poza tym stryj nie jest już młody.

- Biedny Dan... Jak się to wszystko skończy?

- Jakoś się skończy. Nie poddałem się jeszcze, Sally, chociaż może w tej chwili wyglądam na pokonanego.

- Happy martwi się o Iana. Nigdy wcześniej nie zwierzała mi się z takich spraw, więc byłam trochę zaskoczona. Powiedziała, że od kilku tygodni Ian jest w okropnym nastroju. Nie poznaję go.

- Czasami rzeczywiście tak się zachowuje. - Dan westchnął. - Zjedzmy coś, dobrze? Jesi dopiero wpół do siódmej, ale na szczęście to już koniec tego potwornego dnia i jestem głodny.

Rozdział siódmy

Czerwiec 1990

O wpół do siódmej Roxanne wyjęła kurczaka z rożna z papierowej torby, podzieliła go na porcje i ułożyła je na dwóch tekturowych talerzach. Jeden z nich podała Michelle. Na rozchwianym stoliku między dwoma łózkami stało także sześć puszek coca-coli i pudełko pączków.

- Proszę bardzo! Tu będzie nam dużo przyjemniej niż tam na dole, z tą kłótniwą bandą. Ojciec jest w złym humorze, dzieciaki skaczą sobie do gardeł, a ja mam dosyć ich wszystkich.

Oparła się o ramę łóżka, aby widzieć swoje odbicie w lustrze toaletki. Z zainteresowaniem obserwowała zmiany zachodzące w jej twarzy podczas rozmowy i w wyniku gestykulacji. Było to nie tylko ciekawe, ale i pouczające. Pozwoliła, aby długie pasmo włosów opadło jej niedbale na policzek i roześmiała się głośno, ukazując piękne zęby i dołki w policzkach.

Zaraz jednak zmarszczyła brwi i z zatroskaniem objęła spojrzeniem wypłowiały zielony chodnik na podłodze, pozbawioną zamka szafę Michelle, z której dużymi płatami odpryskiwał żółtawy lakier, i sprane zasłonki w oknie. Malutki, zagracony pokoik przypominał jej motele, których tak szczerze nienawidziła. Prawdę mówiąc, wyglądał jeszcze gorzej, ponieważ ubrania, kasety, płyty i podręczniki Michelle zaścielały każdy fragment wolnej przestrzeni.

- Ten dom to dno - powiedziała. - Muszę się stąd wynieść.

- Mogłabyś to sobie załatwić.

- Tak? A niby za co? Chyba że ty masz jakieś zaskórniaki...

Młodsza siostra spojrzała na nią z ironicznym uśmiechem.

- Ja nie mam, ale ty zawsze potrafisz zdobyć pieniądze.

- Tak uważasz? Mylisz się, moja droga.

- On znowu dzwonił, zaraz po moim powrocie ze szkoły. Podniosłam słuchawkę, zanim reszta dobiegła do telefonu.

- Dzięki. Mówił coś?

- „Jest Roxanne?“, zapytał. Odpowiedziałam tak, jak kazałaś: „Nie ma jej i nie wiem, kiedy będzie“.

- Doskonale. Świruje, ale dobrze mu tak.

- Dzwonił już czwarty raz od soboty - zauważyła Michelle.

- I bardzo dobrze.

- Czym cię tak rozwścieczył?

- Nie chce się ze mną ożenić - burknęła Roxanne. - Ten układ przestał mi odpowiadać. Nie chcę dłużej tak żyć, nie pozwolę się wykorzystywać. Na razie wszystko jest super, ale - słuchaj mnie, Michelle, bo wiem, co mówię - tylko ostatnia idiotka brnie dalej w romans, który facet może skończyć, kiedy przyjdzie mu ochota. Piękne mieszkanie, samochód, drogie ubrania - wszystko to można stracić w jednej sekundzie. Wtedy wracasz do punktu wyjścia, ale niestety, jesteś już starsza. Nie, mam tego dosyć.

- Dlaczego nie zagroźisz, że powiesz o wszystkim jego żonie?

- Myślisz, że byłby mi za to wdzięczny? Uważasz, że kupiłby mi obrączkę i przeniósł przez próg domu po rozwodzie ze skandalem? Masz mnie za głupią, czy co? Przecież w ten sposób tylko bym skrzywdziła tę kobietę, sama nic nie zyskując.

Kiedy Roxanne gwałtownie wzruszyła ramionami, talerz ześlizgnął się z jej kolan, a ociekające tłuszczem udko kurczaka i porcja sałatki z białej kapusty wylądowały na narzucie. Była to ostatnia kropla. Roxanne straciła panowanie nad sobą i wybuchnęła płaczem.

O, cholera, naprawdę go kochałam! Był ze mną szczęśliwy i... Sama już nie wiem, Michelle. Wydaje mi się, że nigdy go nie zapomnę, że zawsze będę wspominać nasze najlepsze chwile... Nie zależało mi na pieniądzach, może myślisz, że chodziło mi tylko o forszę, ale to nieprawda. Kochałam go...

I postanowiłaś na złość mamie odmrozić sobie uszy.

- Kochanie, to bardzo skomplikowane. Po prostu tego nie rozumiesz.

- Mam piętnaście lat i rozumiem więcej, niż sądzisz. Ktoś zaczął dobijać się do drzwi.

- Rosemarie! Rosemarie!

- Odejdź, dziadku, jestem zajęta.

- Otwórz drzwi. Chcę dla ciebie zaśpiewać. Och, Rosemarie, kocham cię, marzę o tobie...

- Stary idiota - mruknęła Roxanne, ocierając oczy. - Nie chcę, żeby zobaczył mnie w tym stanie. Rozgada wszystko na cały dom...

- Całe popołudnie żłopał piwo - oświadczyła Michelle. Dziadek szarpnął za klamkę.

- Otwórz, chcę cię zobaczyć!

- Uchyl drzwi, Michelle, bo wyrwie klamkę, ale tylko odrobinę. Daj mu pączka, to się uspokoi.

Przez szparę w drzwiach do pokoju zajrzała głupio uśmiechnięta, patetyczna twarz starego pijaka. Z kącika ust ciekła mu ślina.

- Chciałem tylko popatrzeć na ciebie. Na dole znowu awantura, wiesz? Z parteru rzeczywiście dobiegały ostre głosy ojca i jego młodej żony.

- Nic nowego - powiedziała Roxanne.

- Nie jadłem kolacji, Roxanne.

- Daj mu kawałek kurczaka, Michelle. Zabierz to i idź sobie, dziadku. Bądź grzeczny.

Michelle zamknęła drzwi. Roxanne ukryła twarz w dłoniach i jęknęła głośno.

- Boże święty, co za banda wariatów! Musimy się stąd wynieść, bez dwóch zdań.

Michelle usiadła na łóżku i obrzuciła siostrę zaciekawionym spojrzeniem.

- W jaki sposób? Roxanne zamyśliła się.

- Cóż, sama mówisz, że sporo już wiesz o życiu, więc chyba mogę ci powiedzieć... Zajrzyj do mojej połowy szafy z tyłu.

- Chodzi ci o te brązowe spodnie? - zapytała Michelle.

- Nie wiesz, że to spodnie do jazdy konnej, bryczesy? Teraz popatrz tam.

- Botki.

- Buty do jazdy konnej, głupia! Twoja siostra zostanie a-ma-zon-ką. Jak ci się to podoba?

- Średnio. Nie masz przecież zielonego pojęcia o koniach.

- Nie miałam zielonego pojęcia dwa tygodnie temu, teraz już mam. Zdziwiłabyś się, jak szybko można się nauczyć czegoś, na czym człowiekowi naprawdę zależy. Siadaj, wszystko ci opowiem. A więc tak: on ma brata. Ten brat - ma na imię Clive - ma kręcka na punkcie koni. Kiedy nie śpi i nie pracuje, jeździ konno. Pewnej nocy leżałam tu, bijąc się z myślami i nagle doznałam olśnienia! Dlaczego nie miałabym poznać brata? Przypomniałam sobie, że widziałam go tego samego wieczoru, kiedy poznałam lana. Wiesz, że nigdy nie zapominałam twarzy, a poza tym słyszałam o nim tyle, że mogłabym narysować jego portret. Niski facecik, sięga mi może do ramienia, nieciekawa twarz, zaczyna łysieć. Nigdy nie pomyślałabyś, że to rodzony brat lana...

Roxanne zamilkła.

- Boże, ten Clive musi nienawidzić lana - podjęła po chwili. - Nie byłoby w tym nic dziwnego, biorąc pod uwagę jego wygląd. Założę się, że nigdy nie miał romansu, a liczy już sobie koło trzydziestu pięciu wiosenek...

- Jak to, jest pedałem?

- Nie mów tak, Michelle, to wulgarne słowo.

- Och, strasznie przepraszam! - Michelle przewróciła oczami. - Mów dalej.

- Przerwałaś mi i teraz straciłam wątek. No więc, wybrałam się do modnego, sportowego sklepu i kupiłam te rzeczy...

- A kurtka? Będzie ci potrzebna kurtka!

- Ciągle mi przerywasz! Kurtka potrzebna jest na chłodne dni, tak powiedziała mi sprzedawczyni w sklepie. Latem nosi się samą koszulę. Kupiłam dwie, są w szufladzie. Czy teraz pozwolisz mi dokończyć? Postanowiłam wybrać się do szkółki jeździeckiej niedaleko domu Greyów, na lekcje. Doszłam do wniosku, że najlepsza będzie niedziela, bo jeżeli facet ma hopla na punkcie koni, to na pewno spędza tam każdą niedzielę. Był tam jakiś dzieciak, który zgodził się udzielić mi lekcji. Szybko załapałam, o co chodzi, to nawet całkiem przy-

jemne. Więc jechaliśmy stępą przez las, zaczęliśmy rozmawiać i wtedy mimochodem napomknęłam, że chyba Clive Grey zawsze przychodzi tu w niedziele. Chłopak przytaknął i dodał, że zwykle zjawia się po kościele. Natychmiast postanowiłam wynająć konia na następną godzinę, ale chłopak był zajęty. I możesz wierzyć lub nie, ale właśnie wtedy nagle stanął przede mną Clive Grey i powiedział: „Widzę, że jest pani rozczarowana. Jeżeli to pani odpowiada, z przyjemnością udzielę pani lekcji”. A chłopak wykrzyknął: „Ma pani szczęście, pan Grey to ekspert!”. I tak to się zaczęło.

- Zaczęło?

- Jeździliśmy razem już pięć razy - w dwie niedziele i trzy razy wieczorami po pracy, przed zmrokiem.

- Hmm... - mruknęła Michelle. - I co teraz?

- To zależy ode mnie. Mogę zrobić, co zechcę. Wiem, że mu się spodobałam. Patrzy na mnie i chichocze jak dziecko.

Michelle się skrzywiła.

- To chyba jakiś idiota...

- Nie, nic z tych rzeczy. Jest bardzo inteligentny, mówią, że to prawdziwy geniusz, podobno kiedyś nazywano go „cudownym dzieckiem”. Bardzo miły, otwarty i przyjacielski. Trudno mu nie współczuć.

- Jeżeli mu współczujesz, to czemu robisz z niego głupka? Uważam, że to okrutne.

Roxanne zerwała się z miejsca, usiadła obok siostry i objęła ją.

- Nie jestem okrutna, nie myśl tak - powiedziała błagalnym tonem. - Nie skrzywdziłabym nawet muchy, przecież wiesz. Pamiętasz, jak kilka dni temu znalazłam wieczorem w łazience dwie ćmy i wypuściłam je na dwór? No, właśnie. Chciałabym tylko pomóc ci w życiu. Jesteś mądra i ładna. Nie chcę, żebyś po szkole musiała iść do pracy w zakładach Greyów, jak my wszyscy. Chciałabym posłać cię do dobrej szkoły z internatem...

- Do szkoły z internatem? Skąd ci to przyszło do głowy? Kto uczy się dziś w szkole z internatem?

- Niektórzy się uczą. Jan ma siostrę czy kuzynkę, która jako młoda dziewczyna wyjechała do takiej szkoły. - Roxanne przerwała na chwilę. - On chciał cię tam posłać...

- Wygląda na to, że podrzucił ci mnóstwo pomysłów. Krót-

ko mówiąc, chodzi ci o to, że teraz może wszystkim zająłby się ten drugi, tak?

- Tylko pod warunkiem, że ożeniłby się ze mną. Jestem pewna, że potrafię go do tego nakłonić. Boże, łan miałby niezłą niespodziankę! Skonałby na miejscu!

Michelle wpatrywała się w nią rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

- Założę się, że nikt poza tobą nie wymyśliłby takiego planu - powiedziała cicho.

- Nikt poza tobą...

- Przesadzasz! Wyobrażasz sobie, że ci ludzie we wspaniałych domach na wzgórzu nie wiedzą, co robią, kiedy żenią się i wychodzą za męża? Pomyśl tylko o Dianie - ile musiała się nagłówkować, żeby złapać księcia Karola!

- Mam nadzieję, że twoje małżeństwo będzie bardziej udane niż jej.

- Na pewno. Dam mu dużo przyjemności w łóżku i będę spełniać jego życzenia. Jestem miła i łatwa we współżyciu. Sprawię, że będzie najszczęśliwszym mężczyzną na świecie, więc dlaczego nasz związek miałby być nieudany?

Michelle zadrżała.

- Ale jego wygląd... Sama mówisz, że jest okropny...

- Jest schludny, dobrze się ubiera i tylko to ma znaczenie. Nie muszę ciągle na niego patrzeć.

Roxanne zerwała się, podeszła szybko do szafy i wyjęła z niej tekturowe pudełko.

- Zapomniałam, że mam dla ciebie nowe buty. Czarne czółenka na obcasie, miałam je na nogach tylko raz. Gdyby były za wąskie, możesz dać je do poszerzenia. I jeszcze te białe z zeszłego roku, są w świetnym stanie. Wyrzuć te stare, chyba że chcesz zostawić je na złą pogodę.

- Dlaczego oddajesz mi te buty, do diabła?

- Bo on jest o pół głowy niższy! - Roxanne się roześmiała. - Albo ja jestem o pół głowy za wysoka. Tak czy inaczej, będę teraz nosić wyłącznie buty na niskim obcasie. A przy okazji - powinnaś bardziej uważać na język, Michelle. Nie możesz mówić: „do diabła”.

- Bardzo przepraszam, proszę pani!

- Tym razem ci wybaczę, ale lepiej mnie posłuchaj. Zauważyłam, że on nie używa takich wyrażen, więc pilnuj się, kiedy cię przedstawię. Jeżeli chodzi o całą resztę rodziny, to

jest mi wszystko jedno, zresztą już wyjaśniłam mu, jak to z nimi jest.

- Kiedy mnie przedstawisz? Jak to?

- W sobotę zabiera mnie do kina i na kolację.

- I przyjedzie po ciebie tutaj? Do tej nory?

- Jemu to nie przeszkadza - powiedziała Roxanne. - Po prostu nie zwraca uwagi na takie rzeczy.

Po filmie wybrali się na kolację.

- Znam sympatyczne miejsce na Summer Street, nazywa się „Christie” - zaproponował Clive. - Jest tam kolista bar sałatkowy, podają dobre homary, duże krewetki i najlepsze desery w mieście. Co ty na to?

- Świetny pomysł, kiedyś już tam byłam. Jest tylko drobny szkopuł - bardzo często zagląda tam mój były chłopak. Rozstaliśmy się w nienajlepszej atmosferze, więc wolałabym go nie spotkać. Nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym wybrała miejsce, gdzie nie bywa ani on, ani jego koledzy?

- Oczywiście, że nie. Ty decydujesz.

Roxanne przypomniała sobie błyskający kolorami neon, przy drodze kilka kilometrów za miastem.

- Bar i grill „U Bobby'ego” - powiedziała. - To miła restauracja. Podają dobre steki, chyba że nie masz ochoty na stek?

- Mam ochotę na stek. Myślałem po prostu, że mógłbym cię zabrać do jakiegoś bardziej... bardziej modnego lokalu.

- Bar „U Bobby'ego” nie wygląda zbyt imponująco, ale w końcu liczy się jedzenie, prawda? I towarzystwo - dodała, obdarzając go ciepłym uśmiechem.

Wybrali stolik w kącie sali, aby nie słuchać popisów trzyosobowego zespołu muzycznego, jednak i stąd mieli doskonały widok na parkiet, gdzie dziewczyny w szortach i dzinsach wyginały się w tańcu z facetami w koszulkach z krótkimi rękawami.

- Przychodzą tu głównie robotnicy - zauważyła Roxanne. - Nie przeszkadza ci to?

- Skądże! To interesujące.

- Uświadomiłam sobie, że przecież pochodzisz z Greyów... W przeciwieństwie do mnie, nie jesteś przyzwyczajony do

takich miejsc. Ja nie skończyłam uniwersytetu i nie pochodzę z zamożnej rodziny.

- Nie znasz mnie jeszcze, Roxanne. Co to właściwie znaczy, że „pochodzę z Greyów”? Tylko tyle, że mam więcej pieniędzy niż ci ludzie, nic poza tym. Zresztą, to nie moja zasługa. Byłem sprytny i wybrałem sobie odpowiednich dziadków. - Clive wybuchnął śmiechem. - Nie, raczej pradziadków.

- Za to cię właśnie lubię, Clive - za twoją uczciwość i bezpośredniość.

- Ja też lubię te cechy u ciebie, oczywiście między innymi. Migające błękitne światło było wystarczająco jasne, aby

wydobyć z półmroku lśniące oczy i zęby Roxanne oraz wisiołek z cyrkonią, spoczywający między krągłymi piersiami w wycięciu czerwonej satynowej bluzki. Clive poczuł mocny i ciepły kwiatowy zapach.

- Podobają mi się twoje perfumy - powiedział.

- Naprawdę? Francuskie. To jedyny luksus, na jaki sobie pozwalam. Ich zapach sprawia, że czuję się szczęśliwa.

- Sądzę, że prawie zawsze czujesz się szczęśliwa. Pochyliła się ku niemu przez stół i wisiołek zakochał się,

odslaniając maleńki fragment rowka między piersiami.

- Tak? Dlaczego tak sądzisz?

- Och, wystarczy na ciebie spojrzeć. Świadczy o tym nawet twoje podejście do nowych rzeczy - jazdę konną pokochałaś od razu.

- To prawda. Kiedy wsiałam na konia, czuję się wolna, uwielbiam ten wiatr we włosach. To chyba cudowne uczucie, mieć własnego konia i jeździć na nim, kiedy przyjdzie ochota. Na pewno można zaprzyjaźnić się z nim jak z człowiekiem.

- Tak właśnie jest - poważnie powiedział Clive. - Może kiedyś będziesz miała własnego konia.

- Mam nadzieję. Jak twój stek?

- Dobry. Odpowiednio wysmażony.

- A frytki? Nie za tłuste?

- Nie, nie, wszystko jest smaczne.

- Cieszę się, bo to ja namówiłam cię na ten bar. Byłoby mi bardzo przykro, gdybym zepsuła ci wieczór.

- O czym ty mówisz? Świetnie się bawię, Roxanne, naprawdę. Wiesz co? Mam nieodparte wrażenie, że gdzieś cię już widziałem. Nie mogę przypomnieć sobie, gdzie i kiedy.

ale mam dobrą pamięć do twarzy, a twoją twarz zapamiętałby każdy mężczyzna. Gdzie to mogło być?

- Nie mam pojęcia, ale dziękuję za komplement. Jesteś bardzo miły, Clive.

Salę wypełniła głośnie muzyka. Tancerze na parkiecie wirowali i pocili się. Roxanne wskazała Clive'owi parę którejś ruchy przyciągnęły jej uwagę.

- Popatrz na nich, są naprawdę dobrzy! - powiedziała. - Żałuję, że nie mogę powiedzieć tego o sobie, chociaż mimo wszystko bardzo lubię tańczyć.

- Chętnie bym ci służył, ale ja nie tańczę. Prawie nisjdy Boję się, że ciągle deptałbym ci po palcach.

- Zaryzykuję.

- Poza tym nie wiem, jak by to wyglądało... Jestem niski dużo niższy od ciebie.

- Naprawdę? Nie zauważyłam. Może rzeczywiście jesteś niższy, ale co z tego?

- Kobiety nie lubią niższych mężczyzn, przynajmniej na parkiecie - powiedział Clive.

- A co wzrost ma wspólnego z tańcem czy czymkolwiek innym? Napoleon był niski, a kobiety szalały za nim. Chodź zatańczymy.

- Dobrze, ale musisz nauczyć mnie kroków - poprosił kiedy wstawali od stolika.

- Nie ma żadnych kroków, każdy radzi sobie, jak może Rozluźnij się i poruszaj w rytm muzyki, to wszystko. Popatrz na mnie.

Smukła jak brzoza, swobodnie poruszała biodrami i ramionami, stopami wystukując rytm melodii. Spojrzała na niego zachęcająco.

- Właśnie tak, Clive. Świetnie... Weź mnie za ręce teraz obrót. O to chodzi! Złapałeś rytm, naprawdę. Jeszcze raz doskonale! - Uśmiechnęła się, jej roześmiane oczy patrzyły prosto w jego twarz. - Nie przypuszczałeś, że to potrafisz co? Kto powiedział, że nie umiesz tańczyć? Dobrze się bawisz?

Clive pomyślał, że nigdy w życiu nie bawił się tak dobrze Nikt go tu nie znał, a więc nikt nie będzie komentował później, że wyglądał głupio, podskakując i okręcając się w rytmie ogłuszającej muzyki, w swoim granatowym garniturze z bar-

dzo oficjalnym krawatem w paski. Krew szybko krążyła mu w żyłach, czuł się wspaniale. Był całkowicie rozluźniony.

Nagle zaczął kasłać. Atak kaszlu zakoczył go w pół obrotu, więc potknął się i stracił oddech. Musiał zejść z parkietu i usiąść przy stoliku. Dyszał ciężko, a jego oczy wypełniły się łzami. Przestraszona Roxanne usiadła obok.

- Dobrze się czujesz? Wszystko w porządku?

Clive skinął głową, otarł oczy i, ponieważ dalej nie mógł wydusić z siebie ani słowa, wskazał palcem pełną niedopałków popielniczkę.

- Ach, więc to dlatego! - wykrzyknęła.

Kiedy w końcu przestał się krztusić, położyła dłoń na jego ramieniu.

- Powinieneś rzucić palenie powiedziała poważnie. -Próbowałeś plastrów przeciwnikotynowych?

Clive przytaknął.

- Próbowałem już wszystkiego. Nic na mnie nie działa, postanowiłem więc palić dalej i kasłać. Zdarza mi się to tylko raz na jakiś czas - usprawiedliwił się.

- Im więcej palisz, tym częściej będziesz miał takie ataki.

- Wszyscy mi to powtarzają. Rodzina nie daje mi spokoju. Wiem, że mają rację, ale nie zamierzam ich słuchać. Nie cierpię, kiedy mnie tak męczą.

- W porządku, nie powiem już ani słowa. - Roxanne obrzuciła go uważnym spojrzeniem. - Masz tylko ojca i braci, prawda?

- Jednego brata. I kuzyna, który wychowywał się w naszym domu, więc jest jak brat.

- I wszyscy jesteście w bardzo dobrych stosunkach. To miło.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Prowadzicie razem firmę, więc chyba musicie się lubić...

- Och, tak, oczywiście, chociaż oni nie są do mnie podobni. Albo raczej ja nie jestem podobny do nich. Jestem nieudacznikiem, a oni nie, zwłaszcza mój brat. Jest przystojny, lubiany, dużo podróżuje, lubi hazard i inne rozrywki. Nie tak jak ja.

To smutne... - szepnęła Roxanne. Nie, po prostu takie jest życie.

Ludzie są różni, Clive. Jesteś bardzo atrakcyjny. Gdybyś

chciał, mógłbyś podróżować i uprawiać hazard, ale najwyraźniej nie lubisz spędzać czasu w ten sposób. Nie znaczy to, że nie potrafisz cieszyć się życiem. Dużo o tobie słyszałam, o twoich zdolnościach matematycznych i tak dalej. Podziwiam cię, bo zawsze byłam fatalna z matematyki. Na pewno mógłbyś zabłysnąć jako geniusz w Harvardzie albo gdzie indziej...

- Kto ci o tym powiedział?

- Ja... Ludzie w firmie często o tym mówią - powiedziała pośpiesznie. - Wiadomości o członkach zarządu docierają nawet do działu wysyłkowego. To tylko nieszkodliwe plotki, a jeśli chodzi o ciebie, same komplementy.

- Jesteś bardzo miła, Roxanne.

- Dziękuję. Ty też.

- Przy tobie czuję się zupełnie swobodnie. Odnoszę wrażenie, że znam cię od dawna.

- Cieszę się, Clive.

- Mam nadzieję, że będę mógł często cię widywać.

- Kiedy zechcesz. Czuję się zaszczycona.

- Bardzo cię proszę, nie czuj się zaszczycona. Wystarczy, jeżeli uznasz, że znalazłaś przyjaciela.

- Wiem o tym.

- Co byś powiedziała, gdybyśmy przelożyli jutrzejszą przejażdżkę konną na inny dzień i zamiast tego wybrali się za miasto? Pokażę ci dom, który buduję na terenie posiadłości ojca, w Red Hill.

- Ale twoja rodzina... Może oni też tam będą... Nie chciałabym...

- Dlaczego? Co za różnica?

- Nie wiem. W każdym razie czułabym się nieswojo.

- Jesteś ostatnią osobą na świecie, która powinna czuć się nieswojo w jakiegokolwiek sytuacji, Roxanne.

- Nic na to nie poradzę. Pojadę, jeżeli obiecasz, że nie będzie tam nikogo poza nami.

- Obiecuję. Ojciec jest w Bostonie, a łan wyjechał na ślub szwagierki.

- Więc jedźmy. Z przyjemnością zobaczę twój dom.

- Świetnie. Jutro przyjadę po ciebie koło południa. Nie przejmuj się strojem, najlepiej włóż spodnie i tenisówki. Jedziemy do lasu.

Fundamenty domu i jego dwie ściany znajdowały się w dębowym zagajniku, który, jak wyjaśnił Clive, musiał mieć co najmniej siedemdziesiąt pięć lat, może nawet sto. Ze schowka na rękawiczki wyciągnął plan i dokładnie opisał dom, który sam zaprojektował.

- Nie będzie to nic specjalnego, po prostu dom w lesie. Miejsce należące tylko do mnie. Będę mógł przyjeżdżać tu, kiedy zechcę i robić wszystko, co przyjdzie mi do głowy.

Opuścili teren budowy i ruszyli przed siebie, po kolana w trawie.

- Przed domem będzie chyba trawnik, na którym można ustawić kilka krzeseł i zawiesić hamak, żebym miał gdzie czytać. Poza tym tylko las. Wewnątrz, duży pokój z dwoma kominkami na przeciwległych ścianach, mała kuchnia, niewielka sypialnia dla mnie i pokój gościnny. Kiedy dom zostanie wykończony, najpierw zaproszę moją kuzynkę Tinę. Obiecałem jej to. Moją śliczną kuzynkę Tinę...

I Clive uśmiechnął się, uradowany posiadaniem swojej malej tajemnicy.

- Nie pytasz, kim jest Tina?

- A powinnam? Dobrze, więc opowiedz mi o niej.

- Tina ma pięć lat i już kocha konie.

- Gdzie trzymasz konie? - zapytała Roxanne.

- W stajniach ojca. Nie widać ich, ale to tylko dwie minuty drogi. Chodź, pokażę ci.

Wąska ścieżka prowadziła wprost na porośnięte liściastymi drzewami wzgórze. Clive obserwował Roxanne spod oka, nie chcąc, aby zauważyła jego spojrzenia. W dzinsach i koszulowej bluzce wyglądała jeszcze bardziej pociągająco niż w czerwonej sukience, którą miała na sobie poprzedniego wieczoru. Szczerze mówiąc, ta sukienka była okropna, Clive nie miał jednak najmniejszych wątpliwości, że pod kierunkiem odpowiedniej osoby Roxanne szybko nauczy się, na czym polega prostota i elegancja. Przyłapał się na myśli, że nigdy dotąd nie spotkał tak pełnej radości życia istoty ludzkiej -no, może z wyjątkiem lana.

Kiedy stanęli na szczycie wzgórza, zobaczyli rozpościerający się przed nimi teren - ogromne, równe koło, obramowane gęstym lasem. Były tu stajnie, dom dla służby i, na skraju zadbanego, owalnego ogrodu kwiatowego, główny budynek,

wzniesiony z surowych, wielkich bali, lecz mimo wszystko robiący oczywiste wrażenie siedziby bogatej rodziny. Roxanne nie potrafiła ukryć zachwytu.

- Przepiękny dom!

- Podoba ci się?

- Komu by się nie podobał...

- Jeśli chcesz wiedzieć, ja wolę dom, który właśnie buduję - powiedział.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Ja wolałabym ten!

- Rozumiem.

I rzeczywiście, Clive dobrze ją rozumiał. Rozumiał jej naturalny podziw dla bogactwa, a nawet chęć towarzyszenia mu w dzisiejszej wyprawie. Wystarczy sięgnąć po pierwszą z brzegu książkę historyczną i już wszystko jest jasne: starzy, brzydcy królowie zawsze mieli u boku piękne, młode kobiety. Było to bardzo proste.

- Masz teraz ochotę na przejażdżkę?

- Konna?

- Nie, samochodem. Pomyślałem, że moglibyśmy pojechać za Mount Bliss i zjeść obiad w sympatycznym małym hoteliku.

- Ale ja okropnie wyglądam!

- Zaufaj mi, jesteś odpowiednio ubrana.

- No, dobrze. Świetny pomysł.

Gdybym zaproponował, żebyśmy poćwiczyli skoki ze spadochronem, też uznałaby to za świetny pomysł. Na samą myśl o tym Clive nie mógł powstrzymać nerwowego chichotu. Roxanne natychmiast zapytała, co go tak rozbawiło.

- Zabawny jesteś - powiedziała, kiedy podzielił się z nią swoją wizją. - To miłe. Masz chyba duże poczucie humoru.

Rzeczywiście, miał sardoniczne poczucie humoru, które bardzo rzadko ujawniał.

- Śmieję się w środku, rozumiesz mnie? Jej twarz nagle dziwnie posmutniała.

- O, tak. Czasami czuję się tak, kiedy siedzimy przy kolacji

i nagle wszyscy zaczynają kłócić się o jakieś głupstwo, i wtedy ktoś w podnieceniu przewróci butelkę z keczupem. Mam ochotę roześmiać się, bo zachowują się śmiesznie, ale śmieję się tylko w środku. Oni i tak nie zrozumieliby, że robią z sie-

bie głupców. Chyba właśnie dlatego lubię przebywać jak najdalej od domu.

- W moim wypadku jest inaczej. Mieszkam tylko z ojcem i doskonale się rozumiemy. Mój ojciec to wspaniały człowiek.

- Więc dlaczego budujesz sobie dom?

- Każdy potrzebuje czasem samotności.

- Kiedy wczoraj powiedziałaś, że masz wrażenie, jakbyś znał mnie od dawna, poczułam to samo. Długo myślałam o tym przed zaśnięciem.

Serce Clive'a ogarnęła fala radości i szczęścia. Nigdy dotąd nie rozmawiał z nikim tak szczerze. Odsłaniając się przed ludźmi, można narazić się na ośmieszenie. Clive, uważał, że staje się całkowicie bezbronny za każdym razem, gdy wchodzi do pełnego ludzi pokoju. Wysokie, elegancko ubrane kobiety obrzucały go krótkim spojrzeniem i natychmiast nakładały niewidzialne maski, bo tego wymagała sytuacja. Zupełnie jakby był upośledzonym karłem... Oczywiście nie był upośledzony, był tylko człowiekiem, którego nikt nie chciał. Najdziwniejsze, że w towarzystwie tej dziewczyny czuł się całkiem inaczej. Jej uczciwość była naturalna i pełna sympatii. „Napoleon był niski...”. Clive czuł się bardzo szczęśliwy.

Restauracja była prawie pusta. W drugim końcu sali siedziały tylko dwie, może trzy starsze pary. Kraciaste obrusy, butelka kalifornijskiego czerwonego wina na każdym stole

i bufet z domowymi tartami i ciastami stwarzały miłą, wręcz przytulną atmosferę. Był to drugi ich wspólny obiad. Clive popuścił wodze wyobraźni i pomyślał, że tak będzie już zawsze.

Do spółki zjedli ogromną miskę spaghetti à la carbonara, z mnóstwem śmietany i smażonego boczku.

- Do diabła z cholesterolem! - powiedziała Roxanne.

Wypili całą butelkę wina. Twarz Roxanne była mocno zaróżowiona. Po ostatnim kieliszku dziewczyna dostała ataku śmiechu.

- Jutro z samego rana poszukamy klubu Anonimowych Alkoholików! - Chichotała. - Jestem wykończona!

Śmiech podrażnił gardło Clive'a i wywołał atak kaszlu, hoże, nie pozwól, żebym dławił się, plując na obrus!, pomyślał. Nie chcę, żeby poczuła do mnie obrzydzenie!

Miał szczęście. Kasłał krótko i niezbyt głośno, a Roxanne

nie wygłosiła wykładu o szkodliwości palenia. Clive uspokoił się i zapalił kolejnego papierosa.

Słońce kryło się już nisko za drzewami naprzeciwko okna, przy którym siedziała Roxanne i zapalało miedziane światła w jej włosach. Kiedy się poruszyła, ostatnie promienie zamieniły w płomień wisiołek z cyrkonią na jej szyi. Clive rzadko zwracał uwagę na biżuterię, chociaż ostatniego wieczoru zauważył jej piękne złote bransoletki z diamentami. Pomyślał, że na pewno nie są prawdziwe, ale przynajmniej gustowne, natomiast ten wulgarny wisiołek zupełnie nie pasował do prostej bluzki. Niespodziewanie ogarnęło go dziwne wzruszenie - najprawdopodobniej wisiołek był jej skarbem, najcenniejszą rzeczą, jaką posiadała, biedactwo.

Dwoje starszych ludzi, mijających ich stolik po drodze do wyjścia, z uśmiechem popatrzyło na oświetloną różowym blaskiem Roxanne. Spojrzenie mężczyzny spoczęło na niej na długą, długą chwilę, ale Clive nie miał mu tego za złe. Piękno istnieje po to, aby je podziwiać. Gdyby łąn mógł mnie teraz zobaczyć, pomyślał Clive. On i te jego kobiety...

Wyszli z restauracji i usiedli na rozstawionych na trawniku leżakach. Zapadał ciepły zmrok, drogą nie przejeżdżały żadne samochody. Powoli cichło nawet podśpiewywanie ptaków.

- Mam nadzieję, że nie musisz się spieszyć? - odważył się zapytać.

- Nie. Wrócimy, kiedy zechcesz.

Leżaki stały tak blisko siebie, że drewniane oparcia stykały się, a spoczywające na nich ludzkie ręce mogłyby się dotknąć... Kiedy Clive musnął jej palce, nie cofnęła dłoni. Po chwili wziął ją za rękę. Ich palce splotły się mocno.

Czy to możliwe? Czy ona się zgodzi? Fałszywy ruch mógł ją spłoszyć, odstraszyć. Zastanawiał się, czy ośmieli się zaryzykować. W jego wcześniejszych spotkaniach z kobietami nie krył się żaden element ryzyka, ponieważ Clive po prostu je kupował, nie miały więc innego wyjścia. Ale ta kobieta mogła robić, co chciała, ona miała wyjście! Nie wiedział, jak się zachować. Radosny nastrój, który towarzyszył im przy stole, rozwiął się bez śladu. Clive bał się, że Roxanne jest znudzona.

- Tak cicho i spokojnie - mruknął, czując, że musi coś

powiedzieć. - Nie mają chyba zbyt wielu klientów. Na górze są pokoje gościnne...

- Zatrzymywałaś się tu kiedyś?

- Moi przyjaciele spędzili tu kilka nocy - skłamał. - Mówili, że to bardzo wygodna gospoda.

- Uwielbiam wieś. Szkoda, że nie urodziłam się w rodzinie farmera...

- Naprawdę? Jakoś nie bardzo wyobrażam sobie ciebie przy pracy w gospodarstwie wiejskim!

- A gdzie mnie widzisz?

- W jakimś miejscu pełnym ludzi i życia. Ale to bzdury, za mało cię znam, żeby mówić ci, gdzie czułabyś się dobrze...

- Na razie za mało, ale kiedy poznasz, mnie trochę lepiej, zrozumiesz, że mogę być szczęśliwa wszędzie. Nie mam wielkich wymagań. Mogłabym zamieszkać tutaj i nie miałabym nic przeciwko temu.

- Chcesz powiedzieć, że mogłabyś spędzić tu weekend?

- Oczywiście. Krótki albo długi, wszystko jedno.

Serce waliło mu mocno, czuł galopujące tętno w skroniach. Ostatnia para gości opuściła restaurację, ostatni samochód odjechał z parkingu. Było już prawie ciemno. Gdyby tylko wiedział, czy zdobędzie się na odwagę...

- Zrobiło się prawie za późno na powrót - z letniej nocy dobiegł go głos Roxanne. Brzmiał trochę sennie.

- Jesteś śpiąca? - zapytał Clive.

- Nie tyle śpiąca, ile zmęczona. Z chęcią wyciągnęłabym się na wygodnym łóżku.

Zawahał się i w końcu zaryzykował.

- Czeka nas długa droga do domu. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, z przyjemnością zostałbym tu do rana.

- Świetny pomysł, Clive.

Dopiero kiedy zacisnęła palce na jego dłoni, uświadomił sobie, że przez cały czas trzymali się za ręce. Zerwał się z miejsca i pociągnął ją za sobą.

Potrzebna nam będzie jakaś torba podróżna, inaczej wezmą nas za szaleńców. Mam w bagażniku małą torbę płócienną, ale pustą.

Nagle przyszło mu na myśl, że Roxanne może spodziewać się, iż on zarezerwuje dla niej oddzielny pokój. Miał jednak

nadzieję, że się myli, w końcu żyli w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku.

Powtórzył to w myślach jeszcze raz, kiedy kilka minut później siwiejąca kobieta w recepcji obrzuciła ich karcącym spojrzeniem. Gdy zamknęli za sobą drzwi pokoju, roześmiał się głośno.

- Widziałas jej minę? Miałem ochotę powiedzieć: „Hej, proszę pani, mamy rok 1990, niech się pani obudzi”.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, że w spojrzeniu kobiety było więcej ciekawości niż przygany. Piękna i bestia, pomyślał. Oto, jak widzieli ich inni.

Podłogę pokoju zaścielały ręcznie tkane chodniki, pod oknem stały dwa fotele bujane, a naprzeciwko wiktoriańska komoda. Na łóżku ułożono świeżo powleczonego pościel. Clive patrzył na nią przez chwilę, potem szybko odwrócił głowę i usiadł w jednym z foteli.

Roxanne wybuchnęła śmiechem.

- Nie mam nawet szczoteczki do zębów - wyjaśniła powód swojej wesołości. - Ani koszuli nocnej, nic! Czy to nie zabawne?

Clive, przekonany, że czuje się onieśmielona, zaproponował, iż zgasi światło.

- Skoro tak będziesz się czuł swobodniej, proszę bardzo - oświadczyła, ściągając koszulkę. - Jeśli chodzi o mnie, nie musisz tego robić. Nie wstydzę się nagości.

Miała na sobie czarny koronkowy biustonosz. Pod jego spojrzeniem zdjęła dzinsy, odsłaniając czarne, głęboko wycięte figi.

- To już wszystko - oświadczyła. - Ostatnia odsłona...

Nigdy nie widział niczego równie pięknego, nie miał pojęcia, że kobiece ciało może być aż tak porażająco piękne. Słowa utkwily mu w gardle.

Kiedy wyciągnęła się na łóżku, przyćmione światło lampki na nocnej szafce powlokło jej skórę ciepłoróżową barwą. Jest jak róża, pomyślał, wstając z fotela. Ma skórę jak płatki kamelii, wilgotną jak one, ale ciepłą, nie chłodną. Nie, nie ciepłą, gorącą. Płonącą.

Powoli wyciągnął rękę i zgasił światło.

- Było ci dobrze? - zapytał rano.

- Niemądry! - zawołała. - Wiesz, że tak.

Spodobało mu się, że go tak nazwała i zmierzwiła mu włosy. Był to gest pełen prawdziwej czułości. Najpierw namiętność, potem czułość i znowu namiętność...

- Zrobimy to znowu?

- Niemądry! Oczywiście! Jakżeby inaczej?

Co za wspaniały dzień! Kochali się rano, w słońcu. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Czuł się tak, jakby dostał Nagrodę Nobla albo odziedziczył koronę. Nie poznawał samego siebie.

- Zrobimy to znowu? - zapytał, kiedy wracali do domu.

- Jak to? Teraz? - odpowiedziała pytaniem, zabawnie udając, że nie zrozumiała.

- Nie, nie teraz. Niemądra!

- Skarbie, wiem, o co ci chodzi. A ty wiesz, że zrobimy to znowu. Było cudownie. Ale musisz obiecać, że nikt się o niczym nie dowie - dodała poważnie. - Mój ojciec jest bardzo religijny. Nikt by nie pomyślał, że taki złośnik może być wierzący, a jednak. Jest też podejrzliwy. Powiem, że zostałam na noc u koleżanki, mam nadzieję, że uwierzy. Zwykle wierzy.

Clive poczuł gwałtowną zazdrość. Ilu mężczyzn było przed nim? Nie miał jednak prawa grzebać w jej przeszłości. Liczyła się tylko teraźniejszość.

- Nie zwierzasz się chyba nikomu w domu? - zapytała z wahaniem.

- Ja? Oczywiście, że nie. Jestem najbardziej zamkniętym w sobie człowiekiem na świecie.

Westchnęła z ulgą.

- To dobrze. To nasza sprawa, wyłącznie nasza. Twoja i moja.

Rozdział ósmy

Czerwiec 1990

Dałby wszystko, wszystko, byle tylko znowu to przeżyć. Niezależnie od tego, czego doświadczył przedtem, co czytał i o czym fantazjował, żadne słowa nie mogły opisać jego uczuć.

Rzuciła na mnie urok, myślał wielokrotnie po tamtej pierwszej nocy i kilku następnych, które spędzili razem w ciągu mijających dwóch tygodni. Jeden cały weekend, dwie noce w tamtej gospodzie i trzy krótkie wieczory w innym hoteliku pod miastem.

Roxanne martwiła się swoim ojcem i zbyt małą odległością hotelu od Scythii. Clive rozwiął jej lęki, pełen nowej pewności siebie. W jego umyśle rodził się pomysł, chociaż nie powiedział jeszcze o nim Roxanne.

- Nic mnie nie obchodzi, kto się o nas dowie. Mam zamiar chronić cię przed wszystkim i wszystkimi.

Postanowił chronić ją przed światem... W łóżku, w samochodzie, przy biurku, wszędzie myślał tylko o niej. Wciąż miał przed oczami jej obraz, jej twarz i niezrównane, życiodajne ciało przybierały realny kształt w jego marzeniach. Doskonale zdawał sobie sprawę, że to, czego doświadcza, powszechnie zwane jest „zauroczeniem”, nie przywiązywał jednak najmniejszej wagi do nazw. Ludzie wymyślili już miliard definicji miłości, a miłość zaczyna się zwykle właśnie od zauroczenia. Wszyscy w pogardliwy sposób wyrażają się o miłości „od pierwszego wejrzenia”, tymczasem on czytał ostatnio popularnonaukowy artykuł, którego autor twierdził, że tego rodzaju uczucie jest dość częstym zjawiskiem i ma nie mniejsze szanse na przetrwanie niż miłość „od setnego spojrzenia”.

Był prawie pewien, że jeżeli poprosi ją o rękę, usłyszy pozytywną odpowiedź. Powtarzał też sobie to, co przyszło mu do głowy tamtego dnia na Red Hill: że jeśli jego pieniądze mają jakiś wpływ na jej stosunek do niego, nie ma to żadnego znaczenia. Takie rzeczy często zdarzały się na świecie, zawsze tak było.

Leżąc bezsennie w łóżku, zastanawiał się nad tym bez przerwy, chociaż minęła już pierwsza w nocy, a potem druga. W końcu przyszło mu do głowy, że Roxanne też coś do mego czuje, na pewno. Przecież żadna kobieta nie okazywałaby takiej namiętności, gdyby jej nie czuła. Roxanne była też pełna czułości, taka kochająca. Byli razem bardzo krótko, a ona już zapamiętała, że Clive nie cierpi kalafiora, że lubi średnio wysmażony stek i nie chce, aby ostrzegać go przed ryzykiem palenia.

Roxanne była prawdziwym skarbem, którego w żadnym wypadku nie mógł stracić, musi więc pospieszyć się, zanim wydarzy się coś złego, zanim pojawi się jakiś młodszy mężczyzna. Duże prawdopodobieństwo takiej sytuacji sprawiało, że Clive wpadał w panikę.

Podczas wojny dobry wódz koncentruje swoje siły i rzuca je do błyskawicznego, zaskakującego ataku. On postąpi podobnie - w ciągu jednej godziny przedstawi jej skrócony plan na przyszłość: datę ślubu, pierścionek i dom.

Data - w najbliższej przyszłości. Prosta ceremonia powinna odbyć się w obecności sędziego pokoju, w tajemnicy. Nie było sensu przygotowywać ojca na wielkie wydarzenie. Ojciec był mądry i bardzo go kochał, ale na pewno próbowałby zniechęcić go do tak drastycznego kroku.

Dziewczyna ma dwadzieścia dwa lata, a ty skończyłeś trzydzieści osiem. - powiedziałaby. - To duża różnica wieku, Clive. Znasz ją niecały miesiąc. Szybki ślub jest bez sensu i z twojego, i z jej punktu widzenia".

Usiedliby w bibliotece po obiedzie, ojciec by go wysłuchał, kiwałby głową i z powagą i troską starałby się nakłonić Clive^ do zmiany decyzji. Obaj straciliby tylko czas i energię, więc po co się na to narażać?

- Zdecydowałem i nie wycofam się - powiedział Clive głośno. - Ale co z pierścionkiem?

W całej Scythii nie było jubilera, który zaspokoiłby jego

wymagania. Clive nigdy nie zwracał dotąd uwagi ani na damską biżuterię, ani na modę, tym niemniej wiedział, że Happy i Sally noszą pierścionki, które połyskują i mrugają ciepłymi iskierkami, kiedy młode kobiety poruszają rękami. Odwiedził kilka sklepów jubilerskich i wkrótce dowiedział się, że diament, o jaki mu chodzi, powinien mieć koło sześciu lub siedmiu karatów. Takie kamienie należało zamawiać z mniej więcej dziesięciodniowym wyprzedzeniem.

Clive bardzo się spieszył. Chodził i mówił szybciej niż zwykle, żył w gorączce strachu. Stale przypominał sobie, że zwłoka może oznaczać utratę wielkiej nagrody. Zatelefonował do nowojorskiego jubilera z Piątej Alei i ku ledwo skrywanemu zaskoczeniu sprzedawcy, który odebrał telefon, zamówił pierścionek.

- Proszę wybrać taki, jaki sam by pan kupił. Ma pan na pewno lepszy gust ode mnie.

- Wydaje mi się, że szczególnie ładna i elegancka jest oprawa okrągła.

Cena sprawiła Clive'a w zdumienie. Nie miał pojęcia ile kosztują takie błyskotki, lecz myśl, że wydaje tak dużą sumę i z łatwością może sobie na to pozwolić, bardzo go podnieciła. Przez całe dorosłe życie miał bardzo niewiele wydatków i głównie oszczędzał. Najkosztowniejszym prezentem, na jaki kiedykolwiek się zdobył, był kucyk dla Tiny.

- Wasi księgowi będą na pewno chcieli dokładnie sprawdzić moją kartę kredytową, zanim zaakceptują zlecenie - powiedział. - Proszę wysłać faks do mojego banku, oni potwierdzą sumę. I czy mógłby pan przesłać mi pierścionek pocztą kurierską? Bardzo mi się spieszy.

Z rozbawieniem pomyślał, że być może sprzedawca wziął go za wariata. Cóż, wystarczy telefon do banku Clive'a i mężczyzna natychmiast zmieni zdanie.

- Mogę zapytać, czy chodzi panu o pierścionek zaręczynowy? ³

- Tak, właśnie.

- Wobec tego pozwolę sobie zaproponować również obrączkę...

- O, Boże, oczywiście, zupełnie o tym zapomniałem! Proszę przysłać najładniejszą.

- Powinna być bardzo prosta. Jak najprostsza, wtedy podkreśli urodę takiego pierścionka.

- Pozostawiam to panu.

- Dziękuję bardzo. Najlepsze życzenia dla pana i dla pani.

Dla pani... Boże, co ona powie, co zrobi, kiedy Clive wręczy jej ten skarb w małym aksamitnym pudełeczku? Będzie kompletnie zaskoczona. To zabawne, że kobiety i niektórzy mężczyźni przywiązują taką wagę do kamieni, które ostatecznie były po prostu kawałkami węgla sprzed milionów lat. Śmieszne, ale tak nakazywała tradycja - zaręczynowy pierścionek z diamentem był symbolem trwałości i stabilizacji.

Nagle z głębokich mroków pamięci wychynęło na powierzchnię wspomnienie jego ojca, wyjmującego ze ściennego sejfu aksamitne pudełko z biżuterią. Było to po śmierci matki. Smutek i tęsknota przyćmiły na chwilę radość, Clive zaraz jednak wytłumaczył sobie, że nawet ten żal ofiarowuje mu ceną wskazówkę: chwile radości należało mocno chwycić i starać się, aby trwały jak najdłużej.

Tak właśnie on chwyci i zatrzyma Roxanne. Przywiąże ją do siebie, zakorzeni w jednym miejscu i będzie o nią dbał jak o rzadki, jedyny w swoim rodzaju gatunek drzewa. Aby osiągnąć ten cel, musi jednak mieć dom. Dom, nie taką małą chatkę jak ta, którą buduje w Red Hill, bo przecież niewykluczone, że będą mieli dzieci. Będzie to godna, piękna siedziba, mniej wyzywająca niż rezydencja, którą wybrał Ian (Happy nie miała tu najprawdopodobniej wiele do powiedzenia), lecz elegancki, prosty dom, może trochę podobny do domu Sally i Dana. Prawie widział go już oczyma wyobraźni, a jednocześnie przeglądał książkę telefoniczną, szukając biur handlu nieruchomościami.

- O jakiej mniej więcej cenie mówimy? - zapytała kobieta w agencji.

- Kwestia finansowa nie jest najważniejsza. Chodzi mi przede wszystkim o to, aby dom mi się podobał, a także o czas - chcę wprowadzić się nie później niż za dwa miesiące.

- Nie będzie to łatwe, panie...

- Grey, Clive Grey. Jeżeli znajdzie pani coś interesującego, proszę dzwonić do mnie do posiadłości Hawthorne. Zakładam, że od razu przystąpi pani do poszukiwań.

- Och, tak... Zrobię, co w mojej mocy, panie Grey. Nigdy w życiu nie mówił tak zdecydowanie. Odłożył słuchawkę, odchylił się do tyłu w fotelu i zachichotał.

- Hej, Clive, chyba sam siebie nie poznajesz, prawda?

Przez dwa następne dni jeździł po okolicy z agentką przeglądając kolejne oferty. Do niektórych domów nie chciał nawet wchodzić. Nad jego pierwszą wyprawą w świat własności me mógł zawisnąć choćby najmniejszy cień niedoskonałości. Ta działka była za mała, tam zamysł architekta był pozbawioną gustu mieszanką stylów, jeden dom był zbyt ostentacyjny, inny zimny i nieprzyjazny. W końcu dokonał wyboru - zdecydował się na klasyczny, stary dom z okresu króla Jerzego, z różowej cegły łączonej białą zaprawą. Nie był ani za duży, ani za mały i stał na dużej działce. Od drogi odgradzała go wspaniała aleja, wysadzana wysokimi, srebrnymi świerkami. Clive przeszedł się po pokojach, uznał, że są piękne, zwłaszcza duża sypialnia, w której łóżko mogło stać na wprost kominka. W zimowe wieczory będą wcześniej udawać się na spoczynek i patrzeć, jak odbłask ognia tańczy na pościeli...

- Biorę go - oświadczył.

Agentka spojrzała na niego niepewnie.

- Szybka decyzja, panie Grey. Jest pan absolutnie pewny?

- Tak, pod warunkiem że będzie wolny za miesiąc. Teraz wyjeżdżam, ale będę chciał wprowadzić się zaraz po powrocie

Wyraz twarzy kobiety nie uległ zmianie.

- Muszę sprawdzić, czy właściciele się zgodzą. Przeprowadzka na pewno trochę potrwa, ale oczywiście zapytam

W pierwszej chwili właściciele domu odpowiedzieli odmownie, ale kiedy dowiedzieli się, że pan Grey nie ma zamiaru spierać się o cenę, a nawet jest gotów zapłacić więcej niż oczekiwali, szybko wyrazili zgodę. Clive miał otrzymać dom w terminie, na którym mu zależało.

Nikommu nie zwierzał się ze swoich posunięć, lecz pewnego wieczoru wymyślił jakąś wymówkę, aby wpaść do Dana i Sally. W rzeczywistości pragnął przyjrzeć się, jak urządzili swój dom.

Ściany obszernego holu i klatki schodowej ozdobione były fotografiami autorstwa Sally, nie zdjęciami portretowymi lecz widokami i innymi obrazami, które przypadły do gustu

pani domu. Były tu dwa konie pasące się w deszczu na łące, zbliżenie pszczoły na kwiecie kapryfolium, stary mężczyzna z brodą, żywo przypominający średniowiecznego uczonego, wyglądający przez okno domu czynszowego.

- Jesteś artystką, Sally - z podziwem powiedział Clive. Z największym zainteresowaniem przyglądał się jednak

meblom i stylowi wewnątrz. Dom Sally i Dana pełen był światła, docierającego wszędzie dzięki pozbawionym zasłon, dużym oknom i pastelowym ścianom. Na stołach pyszniły się świeże kwiaty, niektóre płaszczyzny ścian przesłaniały barwne grzbiety książek, niepotrzebne sprzęty nie zagrażały przestrzeni.

- Ładny sekretarzyk - zauważył Clive.

- Po mojej babci - powiedziała Sally. Połowa rzeczy w tym domu, antyków i dobrych reprodukcji, należała do niej. My dodaliśmy nowoczesne rzeczy.

- Na pewno wymaga to wyczucia i gustu. Sally skinęła głową.

- O, tak. Dzięki Bogu za Lilę Burns. Bardzo nam pomogła. To doskonała dekoratorka wewnątrz i potrafi urządzić dom w mgnieniu oka. Dzięki jej radom zaoszczędziliśmy sporo czasu i pieniędzy. Sama nigdy bym sobie z tym nie poradziła.

- Mieszka w tej okolicy?

- Tak. - Sally przerwała i zmierzyła Clive'a baczny spojrzeniem. - Od kiedy to interesujesz się dekoracją wewnątrz, Clive?

- Nie interesuję się dekoracją, podziwiam tylko wasz dom.

- Dziękuję bardzo. A przy okazji, ostatnio w ogóle nie jeździłeś. Tina pytała o ciebie.

- Wiem, ja też za nią tęsknię, ale miałem mnóstwo spraw w pracy. Złapałem przeziębienie i... - Clive się zawahał. - Wkrótce znowu zacznę jeździć.

- To dobrze. Zapisaliśmy ją do grupy dla początkujących w szkółce. Mam nadzieję, że pomoże jej to pokonać nieśmiałość...

Teraz to Sally wyraźnie się zawahała. Clive zastanawiał się, dlaczego nagle straciła pewność siebie.

Dan chyba wspominał ci kiedyś, że mieliśmy z nią problemy - podjęła po chwili.

- Naturalnie, były to takie zwy-

czajne trudności, typowe, gdy w rodzinie pojawia się młodsze dziecko.

- Oczywiście - przytaknął Clive, starając się uspokoić Sally.

Do pokoju wszedł Dan, niosąc zimne napoje. Przez chwilę rozmawiali o mało istotnych sprawach, lecz Dan szybko zakłócił miłą atmosferę, wracając do tematu konsorcjum, żądań Amandy oraz lasów Greyów.

- Ciągle nie rozumiem, dlaczego stryj Oliver nie określi jasno swego stanowiska - poskarżył się. - Ta ziemia to jego duchowe dziedzictwo. Do diabła, dorastałem w przekonaniu, że wierzy w jej nienaruszalność jak w samego Boga. Zachowanie przyrody w jej pierwotnym stanie było dla niego niezwykle ważne, a teraz pozwala nam toczyć o nią walkę. Doprowadzi to jedynie do kolejnych kłopotów.

Tego wieczoru nic nie miało dla Clive'a mniejszego znaczenia niż przyroda, konsorcjum czy Amanda Grey. Pożegnał się więc najszybciej, jak było to możliwe i ruszył w drogę powrotną do domu. W samochodzie zanotował nazwisko Liii Burns. Postanowił, że skontaktuje się z nią natychmiast po otrzymaniu kluczy do domu i zleci jego urządzenie, sugerując, by jako inspirację potraktowała dom Dana. On sam z pewnością nie był w stanie się tym zająć. Z czułością pomyślał, że jeszcze mniej nadaje się do tego Roxanne. Na razie nie, ale już wkrótce wszystkiego się nauczy.

Przypomniał sobie mit o Pigmalionie. On też pokaże swojej wybrance wiele rzeczy, o których dotąd nic nie wiedziała. Roxanne była taka bystra i inteligentna!

Zdecydował już, że miesiąc miodowy spędzą na greckich wyspach. Pod nazwiskiem Liii Burns zanotował pospiesznie: „biuro podróży, luksusowy apartament na górnym pokładzie”. Będą delektować się pysznymi potrawami i winami, tańczyć i kochać się. Podczas żeglugi po błękitnym morzu Clive opowie Roxanne o historii wysp, o Ulissesie i Atenie. Zrobią również zakupy. Przyszło mu do głowy, że Roxanne potrzebuje nie tylko nowych ubrań, ale także zestawu walizek i toreb podróżnych. Postanowił zarezerwować na to cały dzień. Biorąc pod uwagę doskonałą figurę Roxanne, jeden dzień w zupełności wystarczy.

Był wtorek. Clive pomyślał, że do piątku wszystko zostanie

załatwione. Pierścionek był w drodze, rezerwacja biletów to kwestia najwyżej dwóch godzin, następnego dnia poprosi, aby jeszcze raz mógł obejrzeć dom, tym razem w towarzystwie Roxanne. A więc piątek będzie ich dniem.

Nie miał żadnych wątpliwości, nie wahał się. Był zdecydowany, pewny siebie i niewyobrażalnie szczęśliwy.

Rozdział dziewiąty

Koniec czerwca 1990

Zasłony z grubego, amarantowego jedwabiu, które w zimowe noce chroniły przed chłodem i przenikliwym wiatrem, teraz odgradzały dom od słonecznego, wspaniałego dnia. Nakryty do lunchu stół obserwowały znad kominka smutne, piękne oczy Lucille Grey w białej sukni i perłowym naszyjniku. Mimo wysiłków Olivera, aby stworzyć ciepłą, rodzinną atmosferę, nikt nie kwapił się do rozmowy. Wszyscy wymieniali uprzejme, niewiele znaczące uwagi i tęsknie zerkali za okno.

Każde z nas wolałoby być dzisiaj zupełnie gdzie indziej, pomyślała Sally. W taki piękny dzień można pływać, bawić się, drzemać w hamaku, czytać gazetę na trawniku...

Tina dała się namówić na wizytę w Wielkim Domu tylko dlatego, że Oliver obiecał jej japońską lalkę. Teraz, naburmuszona i milcząca, siedziała między rodzicami i jadła ciastko, ściskając w drugiej ręczce laleczkę z żółtego jedwabiu.

Sally ogarnęły nagle wyrzuty sumienia, bo przecież podtrzymanie rytuału wspólnego niedzielnego posiłku było niezwykle ważne dla Olivera. Była to jedna z tych ceremonii, które zarzucili ludzie drugiej połowy dwudziestego wieku, ale Oliver był taki szczęśliwy, widząc ich wszystkich przy swoim stole. Nie trzeba dużo, aby sprawić mu przyjemność, pomyślała.

Miała nadzieję, że Oliver nie wyczuwa z trudem maskowanego chłodu, który wkraść się w stosunki między łanem i Danem. Było tak od czasu, gdy łan zakończył rozmowę z kuzynem, bezceremonialnie rzucając słuchawką. Dan twierdził, że w pracy sprawy idą zwykłym torem, łan nadal był w fatalnym nastroju, ale obaj unikali kłótni. A raczej odkładali ją na później. Happy najprawdopodobniej wiedziała, co

się stało, ale ani ona, ani Sally nie wspominały o tym w rozmowach. Były przyjaciółkami i nie chciały, aby ich przyjaźni zagroziła walka, jaką toczyli między sobą ich mężowie.

Teraz obaj mężczyźni pozwalali, aby ciężar uprzejmej konwersacji spadł na barki kobiet. Gadatliwa i pogodna Happy zastanawiała się głośno, czy Clive wybrał się na wczesną przejażdżkę konną.

- Przecież zawsze jest w domu w porze lunchu - zauważyła.

- Nie wrócił na noc - powiedział Oliver.

- Znowu szaleje gdzieś z dziewczynami. - Ian uśmiechnął się ironicznie.

- Czemu nie? - rzucił Dan. - Nie jest przecież, żonaty... Ian postanowił zmienić temat.

- Twoja nowa kucharka to prawdziwy skarb, tato. Nawet w Paryżu trudno o lepsze ciasto.

Oliver uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Ach, ci moi synowie uwielbiają słodycze! Odziedziczyliście to po matce, ona też bardzo je lubiła. A była smukła jak trzcinka! Napijemy się kawy na ganku?

Wszyscy przeszli na ganek, osłonięty od słońca parasolami w zielone pasy. Stały na nim białe, plecione fotele i stoliki. Po dość ciężkim posiłku goście Olivera z przyjemnością usadowili się na miękkich poduszkach, ze wszystkich sił powstrzymując ziewanie. Tylko ubrany w lniany garnitur gospodarz nie zdradzał żadnych objawów senności.

- Nie mam się czym bawić - jęknęła Tina, która nie ukrywała znudzenia.

Sally pomyślała, że trudno jej się dziwić.

- Mogłabyś zabrać nową lalkę na spacer - zasugerowała. - Pokaż jej gołębnik.

- Nie chcę! Nie cierpię tej lalki! - Tina ze złością rzuciła lalkę na podłogę.

- Nie wolno się tak zachowywać - wtrącił się Dan. - Stryj Oliver jest dla ciebie bardzo miły i dał ci piękny prezent. Powinnaś go przeprosić.

- Nie przeproszę. Wcale nie jest mi przykro. To paskudna lalka, brzydula!

Happy i Ian odwrócili wzrok. Ich zachowanie sprawiło, że

Sally poczuła się jeszcze bardziej zażenowana. Łatwo było zgadnąć, co myśleli o Tinie.

- Z radością kupię ci inną - oświadczył Oliver. - Kiedy zobaczyłem na wystawie tę, pomyślałem, że na pewno ci się spodoba, ale nic nie szkodzi. Powiedz mi tylko, jaką byś chciała.

- Stryju... - zaczęła Sally, pragnąc ostrzec go, aby nie nagradzał Tiny za złe zachowanie.

- Powiedz mi, Tino - przerwał jej Oliver. - A jeżeli wolisz, możesz mi to szepnąć na ucho.

- Nie chcę żadnej lalki! Nie będę szeptać, jesteś głuchy! Oliver podniósł się z miejsca, wziął rozgrymaszoną dziewczynkę w ramiona i pogładził ją po głowie.

- Posłuchaj mnie... - odezwał się zachęcająco.

Nieuniknionej awanturze zapobiegły dobiegające z drugiej strony domu głosy. Ktoś szedł do wejścia wyzwirowaną ścieżką.

- Jacyś goście, ojczy? - zapytała Happy.

Oliver postawił Tinę na ziemi i osłonił oczy dłonią.

- Nikogo się nie spodziewam... To przecież Clive! Clive z jakąś kobietą...

Po schodkach wchodził już Clive, trzymając za rękę uderzająco piękną młodą kobietę w eleganckim kostiumie z kremowego jedwabiu i w dużym słomkowym kapeluszu, spod którego spływała na ramiona kaskada gęstych, kasztanowych włosów. Zatrzymali się w odległości kilku kroków od Olivera.

- Tato, mam dla ciebie niespodziankę - wyraźnie i głośno przemówił Clive. - Przedstawiam ci Roxanne Grey. Wczoraj wieczorem wzięliśmy ślub.

- Niespodziankę... - powtórzył Oliver. - Niespodziankę... Mówisz poważnie? - wykrzyknął. - Nie żartujesz?

W odpowiedzi dziewczyna wyciągnęła rękę i przytrzymała ją na wysokości oczu Olivera.

- W żadnym wypadku - powiedziała. - Obrączka to najlepszy dowód.

Oliver zamrugał niepewnie i usiadł. Niewielka grupa na ganku znieruchomiała w szoku, zupełnie jakby przed chwilą w spokojną plażę uderzyła ogromna fala i cofnęła się bez śladu. Milczenie nie mogło trwać dłużej niż kilka sekund, ale

wszystkim wydawało się, że cisza przeciąga się w nieskończoność.

- Rzuciłem bombę, co? - zawołał wesoło Clive. - To ostatnia rzecz, jakiej się po mnie spodziewaliście, prawda? Szczerze mówiąc, sam bym się tego po sobie nie spodziewał, ale wszystko zmieniło się z chwilą, kiedy spotkałem Roxanne.

Plecione krzesła zatrzeszczały. Najbliżsi krewni Clive'a poruszyli się niespokojnie, czekając na reakcję seniora rodu.

- Naturalnie pragniemy złożyć wam najlepsze życzenia - oficjalnie powiedział Oliver. - Niepotrzebnie jednak zrobiliście z tego taką tajemnicę...

- Nie chcieliśmy, aby tak wyszło, ojcze. Wszystkiemu winien pośpiech, impuls, no i ja. Nie miałem dość cierpliwości, aby spokojnie znieść całą tę bieganię i szum. Nie chciałem zwlekać.

Przez głowę Sally przemykały oderwane myśli. Stojąca na ganku para wyglądała dziwnie, jak ludzie, którzy na chwilę zatrzymali się w poczekalni u dentysty lub w biurze zatrudnienia. Dlaczego nikt z nas nie wykrzyknął ani słowa w zdumieniu lub ciekawości, dlaczego nikt nie wstał, aby złożyć im gratulacje albo ich uściskać? Jesteśmy zimni i nieruchomi jak kamienie. Można by nam zrobić zdjęcie zatytułowane „Amerykański gotyk”, ale byłoby ono trochę przerażające.

Uniesione wysoko brwi Dana sięgały prawie linii włosów, Happy siedziała z na wpół otwartymi ustami, Ian uniósł się z fotela i natychmiast usiadł. Jego twarz była czerwona, właściwie purpurowa. Nie zdziwię się, jeżeli przy tym temperamencie dostanie przedwczesnego zawału, pomyślała Sally. Oburzająca jest taka reakcja, przecież to nie jego sprawa, że Clive zdecydował się nagle na ślub. I ktoś powinien przywitać w końcu tę dziewczynę!

Podniosła się szybko i podeszła do nowożeńców.

Roxanne, jakie ładne imię - powiedziała, ujmując dłoń żony Clive'a. - Zaraz ci się wszyscy przedstawimy, bo najwyraźniej pan młody jest zbyt podekscytowany, aby to zrobić.

Pochyliła się lekko i pocałowała Clive'a w czoło. Ja jestem Sally, a to mój mąż, Dan.

Dan zbliżył się, aby uściskać rękę Roxanne. Teraz sprawy potoczyły się naturalnym torem.

- To Happy, której prawdziwe imię brzmi „Elizabeth”, to zaś jej mąż, Ian. Ian pochylił się nad wyciągniętą ręką panny młodej.

- Roxanne... Czy ludzie nazywają cię czasem Roxy?

- Nie - odpowiedziała Roxanne ze słodkim uśmiechem. -Nigdy...

Sally uznała, że Ian zdecydowanie przesadził z tym niskim ukłonem. Zupełnie jakby był hrabią i witał księżnę. Jego gest zakrawał na ironię.

- A to Tina, nasza córka.

- Śliczna dziewczynka - powiedziała Roxanne.

- Nie jestem śliczna - oświadczyła Tina ze złością.

- Tino, zachowuj się grzecznie - skarcił ją Dan. - Powinnaś podziękować za komplement i podać rączkę.

- Nie chcę podać rączki! - ryknęła Tina.

- Wcale nie musi - uspokajająco zapewniła Roxanne. Sally pomyślała, że wybryki Tiny były bardzo denerwujące.

Czuła się nimi zmęczona. Inne dzieci tak się nie zachowywały. Cała ta sytuacja stawała się nieznośna.

- Proszę się nie przejmować - spokojnie dodała Roxanne. -Wiem, jak to jest z dziećmi. Matki zawsze się martwią, kiedy dzieciaki dokazują.

- Cóż, Clive, muszę pochwalić cię za dobry gust - oznajmił Oliver, który widocznie doszedł już do siebie po pierwszym wstrząsie. - Teraz, kiedy już poznaliśmy twoją piękną żonę, musisz nam trochę o niej opowiedzieć. Pochodzisz ze Scythii, moja droga?

- Tak, moja rodzina zawsze tu mieszkała. Wszyscy pracujemy w firmie Greyów, ja jestem zatrudniona w dziale wysyłkowym.

Roxanne mówiła swobodnie i szczerze. Sally bardzo się to podobało. Większość dziewcząt nie potrafiłoby zapanować nad onieśmieleniem, gdyby znalazły się w Hawthorne w podobnych okolicznościach, lecz ta doskonale wiedziała, ile jest warta. Sprzedała swoje piękne ciało za prawo wstępu do tego domu, to było oczywiste. Można tego nie aprobować, ale nikt nie powinien jej potępiać. Tak czy inaczej, sytuacja, w jakiej się znaleźli, wyglądała na niewielki dramat.

Clive ponownie wziął Roxanne za rękę.

- Byłaś tam zatrudniona - poprawił. - Teraz już tam nie

pracujesz. Kupiliśmy dom, ojciec. Niedaleko, przy Brookside Road, jakieś trzy kilometry stąd.

- Coś takiego! - Oliver potrząsnął głową z niedowierzaniem.

Dan popatrzył na Sally. „Nic dziwnego, że nie może w to wszystko uwierzyć”, mówiło jego spojrzenie.

- Wprowadzimy się tam w przyszłym miesiącu. Na razie zostawiłem wszystko w rękach dekoratorki wewnątrz.

- Och, dom jest po prostu cudowny! - zawołała Roxanne.

- A teraz zamieszkacie tutaj? - zapytał Oliver. - Czy u twoich rodziców, Roxanne?

- U moich rodziców? Mam tylko ojca i ani myślę do niego wracać! - Roxanne roześmiała się serdecznie, odrzucając głowę do tyłu. - Nie, zaczynam nowe życie u boku Clive'a.

Nikt nie skomentował jej uwagi i nikt nie odezwał się do chwili, kiedy Clive przerwał milczenie, informując zebranych, że najbliższy miesiąc spędzą w podróży poślubnej.

- Wybieramy się w rejs po greckich wyspach, potem zaś do Włoch. Do Wenecji i nad jeziora Como i Maggiore.

- Znakomity wybór - odezwał się Oliver. - To jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie.

W przeciwieństwie do lana, którego wściekłość prawie zmaterializowała się w powietrzu, Oliver odzyskał już równowagę, chociaż trudno było wyobrazić sobie, o czym myśli, patrząc na syna i swoją nową córkę. Clive wyglądał wyjątkowo mało atrakcyjnie, spocony w zapiętej pod szyją koszuli i krawacie, i dziwnie zmaląły obok pięknej, pełnej wdzięku dziewczyny. Kontrast wydawał się prawie groteskowy. Są jak postaci z powieści Dickensa, pomyślała Sally.

- Szkoda, że nie przyszliście wcześniej - powiedział Oliver. - Zjedlibyście z nami obiad. Tak czy inaczej, musimy jakoś uczcić to wydarzenie. Może uroczystą kolacją dziś wieczorem?

Będziemy musieli odłożyć to do przyszłego miesiąca, lalo - rzekł Clive. - Musimy jeszcze wpaść na chwilę do ojca Roxanne i złapać samolot do Nowego Jorku, bo już jutro lecimy za granicę.

Świetnie, ale przecież nie pozwolimy wam tak odejść! lanie, idź, proszę, do kuchni i poproś, żeby przynieśli szam-

pana, dużo szampana. Może mają też jakieś ciasteczka czy herbatniki. Jesteś bardzo czerwony, dobrze się czujesz? Ale łan wbiegł już do domu.

Aby zająć jakoś czas oczekiwania na poczęstunek, Happy zaproponowała, że pokaże Roxanne dom.

- Kobiety zawsze lubią oglądać domy, prawda? A ten jest wyjątkowy, teraz już się takich nie buduje.

- Och, z przyjemnością go obejrzę. Kiedy wysiedliśmy z samochodu, powiedziałam do Clive'a, że ten dom musiał kosztować majątek. Założę się, że sporo ponad milion, oczywiście nie licząc mebli. Mam rację? - Roxanne odwróciła się do Olivera. - Co najmniej milion, prawda?

- Trudno mi powiedzieć. Wybudowano go zaraz po wojnie secesyjnej, od tego czasu wartość pieniędzy wielokrotnie się zmieniała. - Oliver obdarzył Roxanne dobrodusznym uśmiechem.

Dan i Sally znowu wymienili porozumiewawcze spojrzenia, zupełnie jakby automatycznie przekazywali sobie odczucia i wrażenia. Nie mieli wątpliwości, że Oliver aż wzdrygnął się wewnątrz na takie pytanie, dotyczące jego ukochanego domu, postanowił jednak zachować opinię o młodej żonie Clive'a dla siebie.

Wkrótce wszyscy zebrali się w bibliotece, czekając na rozpoczęcie zapowiedzianej przez Olivera uroczystości. Starszy pan, najwyraźniej nieco niezcierpliwiony, zapytał, co dzieje się z łanem.

- Poszedł po szampana - przypomniał mu Dan.

- Nie sądziłem, że ma zamiar przynieść go sam.

- Ten dom jest naprawdę przepiękny! - ze szczerym zachwytem wykrzyknęła Roxanne. - A ten pokój, coś niesamowitego!

Z ciekawością rozejrzała się dookoła, podziwając rzeźbiony kominek, belkowany sufit i wysokie półki, wypełnione książkami i interesującymi przedmiotami.

- Wspaniały, prawda? Biblioteka to mój ulubiony pokój w tym domu - powiedziała Happy.

- Mój brat i ja nie cierpieliśmy jej, bo tu pobieraliśmy lekcje gry na fortepianie, a żaden z nas nie był w tym zbyt dobry - odezwał się Oliver. - Prawdę mówiąc, byliśmy beznadziejni. Natomiast wasza matka, Clive, była dobrą pianistką

i spędzała wiele godzin przy tym instrumencie. Oczywiście wy nie byliście w stanie tego docenić. - Oliver uśmiechnął się do Clive'a i Dana. - Na szczęście, słuchając jej, wyrobiliście sobie słuch i gust muzyczny, przynajmniej trochę. Nawet ty, Dan, chociaż zamieszkałeś tu dopiero na rok przed jej śmiercią. Tak, ten pokój jest pełen wspomnień. Ale gdzie, u diabła, jest łan? Dan wstał.

- Mam sprawdzić?

- Nie, nie, siedź spokojnie.

Na chwilę znowu zapadło milczenie. Tym razem przerwała je Roxanne.

- Tyle tu książek! - szepnęła do Olivera. Trudno wyobrazić sobie, że na świecie może być ich jeszcze więcej...

- Cóż, z pewnością jest ich więcej, lecz lektura tych, które tu mamy, zapełni mi czas do końca życia. I tak nic zdążę ich wszystkich przeczytać.

- Och, nie powinien pan tak mówić! Taki młody i zdrowy mężczyzna!

Sally poczuła nagły przyływ współczucia dla siedzącej obok niej dziewczyny. Było to dziwne, ponieważ nie miała wątpliwości, że Roxanne polowała na bogatego męża, odniosła ogromny sukces i teraz miała wszystko, o czym mogła zamarzyć. A jednak Roxanne musiała czuć się jak na wystawie, bezustannie poddawana osądowi innych. I tak bardzo starała się wszystkich zadowolić... Dan na pewno wyśmiałby jej podejście do Roxanne. „Zlitowałabyś się nawet nad złodziejem, który zaatakowałby cię w ciemnej ulicy”, powiedziałby.

- Stryj Oliver ma książkę, która opowiada o historii Scythii na przestrzeni dwustu lat - powiedziała. - Chciałabyś może ją obejrzeć?

Uprzedziła ją jednak Happy, która miała o wiele większy talent do prowadzenia rozmowy.

- Ojciec zwiedził cały świat, Roxanne, i z wielu podróży przywiózł wspaniałe rzeczy. Spójrz, wszystkie monety w tej gablocie pochodzą z Rzymu, sprzed naszej ery.

- Nie wierzę... - oświadczyła Roxanne z odpowiednim podziwem.

Naprawdę. Popatrz na te porcelanowe kwiaty. Ja najbar-

dziej lubię tę różę, jest na niej nawet kropelka rosy. Piękna, prawda? A tu stokrotki, których płatki zaczynają się lekko zwijać. Tam zaś... Zaraz, gdzie jest karuzela? Tata ma cudowną srebrną karuzelę, tylko gdzie ona się podziała?

- Jest w moim domu! - krzyknęła Tina. - Jest teraz moja!

- Twoja, kochanie, naprawdę?

- Moja, moja, moja! - pokrzykiwała dziewczynka, podskakując. - I nie możecie jej zabrać! - pisnęła.

- Oczywiście, że jest twoja - potwierdził Clive. - To prezent dla słodkiej dziewczynki. Chodź do mnie na kolana i nie płacz.

- Nie chcę siedzieć u ciebie na kolanach! Nie lubię cię!

- Ona wcale tak nie myśli, Clive - powiedział szybko Dan, widząc, że Clive poczuł się urażony. - Znasz ją przecież dobrze. Przez tę karuzelę mamy same kłopoty - mruknął do Sally. - Tina ma obsesję na jej punkcie.

- No, nareszcie! - zawołał Oliver na widok lana, za którym szła kucharka i lokaj, najprawdopodobniej wyrwany z popołudniowej drzemki.

Oboje wtoczyli do biblioteki dwupoziomowy barek z trzema butelkami szampana w wiaderku z lodem i srebrną tacą, pełną lukrowanych ciasteczek i herbatników. Młoda para wysunęła się naprzód, aby raz jeszcze odebrać gratulacje, po czym służący zniknęli. Rozpoczęła się rodzinna uroczystość.

Niespodziewanie inicjatywę przejął Ian, pozostawiając Oli-vera nieco w cieniu. To on napełnił wysokie kieliszki, nie zapomniał o lemoniadzie dla Tiny i wzniosł toast.

- Za piękną i szczęśliwą pannę młodą! - zawołał, unosząc w górę kieliszek. - Oby wszystkie jej marzenia się spełniły! Życzenie popularne, ale tradycyjne, prawda?

- Zapomniałeś chyba o panu młodym - łagodnie poprawił go ojciec.

- Naprawdę? Przepraszam, bracie. Przyjmij moje przeprosiny. Widok niewinnej panny młodej tak mnie zawsze wzrusza, że nie potrafię myśleć rozsądnie. Doleję wam szampana. Co, jeszcze nie wypiliście? Ja tak. Proszę bardzo. Zdrowie Clive'a, pracowitego, wiernego, błyskotliwego Clive'a. Zaslugujesz na wszystko, co najlepsze, i wiemy, że teraz to zdobyłeś. Życzę ci szczęścia, bracie, z całego serca.

Tu Ian mocno klepnął Clive'a w łopatkę. Co on wyprawia?,

pomyślała Sally. Widziała, że Happy również jest zaniepokojona.

Clive wstał z godnością.

- Trudno mi wyrazić słowami moje uczucia i wiem, że to samo dotyczy Roxanne. Wszystko to jest jak sen...

Clive pochylił się nagle i zaniósł potwornym kaszlem. Zgięty w pół, wstrząsany spazmami, krztusił się i dławił. Roxanne skoczyła ku niemu, lecz Oliver zatrzymał ją uspokajającym gestem.

- Zostaw go - powiedział. - Lepiej poradzi sobie sam.

- Jeżeli nie rzuci palenia, te ataki nie ustaną. - Dan westchnął, kiedy Clive wybiegł z pokoju.

- Nigdy nie rzuci palenia - odparł Ian. - Chyba że zachoruje na raka lub coś równie paskudnego.

Sally zmarszczyła brwi, zaskoczona brutalnością Iana. Jak mógł odezwać się tak w obecności żony Clive'a! Co prawda Ian wielokrotnie prezentował już brak wrażliwości, ale mimo wszystko... Może jednak Roxanne, sądząc po jej uwadze o własnym ojcu, była przyzwyczajona do takiego sposobu bycia, bo w ogóle nie zareagowała na słowa Iana, spokojnie czekając na męża. Po paru minutach Clive wrócił, wyczerpany

i z załzawionymi oczami.

- Już w porządku? - zapytała Roxanne.

- Tak - odpowiedział, uśmiechając się słabo. - Przepraszam wszystkich. Możemy kontynuować naszą uroczystość.

Happy i Sally częstowały ciasteczkami. Kiedy Tina wzięła trzy na raz, Sally nie zaprotestowała. Jak na jeden dzień miała już dosyć mocnych wrażeń.

Ian nadal napełniał kieliszki szampanem, głośno i natrętnie zachęcając obecnych do picia.

- Dajcie spokój, nie jesteśmy przecież na zebraniu towarzystwa przeciwalkoholowego! - wołał. - To wesele, nie stypa! Sączycie tego wspaniałego Taittingera tak, jakbyście wcale nie mieli na niego ochoty! Cóż, skoro nie mogę was namówić, lo przynajmniej sam się napiję!

- Uważaj, żebyś się nie upił - łagodnie upomniała go Happy.

- Muszę się napić, żeby popić ciasteczka! Zresztą mężczyzna może się czasem upić, jeżeli ma na to ochotę! Na przy-

jęciach weselnych wszyscy są zwykle pijani, więc dlaczego nie miałbym podtrzymać tradycji?

- Ponieważ ja ci na to nie pozwalam - surowo odezwał się Oliver. - Co to za zachowanie? Powinieneś godnie przywitać...

- Przywitać! - wykrzyknął Ian, nie zwracając uwagi na ponury wyraz twarzy ojca. - No, właśnie! Nie przywitałem się jeszcze z panną młodą! Czy mogę ją pocałować, Clive? Złożyć na jej policzku niewinny, braterski pocałunek? Nie masz nic przeciwko temu?

- Decyzja należy do panny młodej - odrzekł Clive. Chociaż Roxanne się cofnęła, Ian chwycił ją w objęcia

i, obiema dłońmi odwracając ku sobie jej zachmurzoną twarz, pocałował ją w usta.

- łanie! - krzyknęła Happy.

Oliver spokojnie odciągnął Iana od Roxanne.

- Usiądź i ochłoń trochę - powiedział. Nie podniósł głosu, ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że jest wściekły. - Mój syn nie jest pijakiem - zwrócił się do Roxanne.

- Przepraszam cię za jego zachowanie. Szampan uderzył mu do głowy, to się czasami zdarza.

- Nic się nie stało. - Roxanne uśmiechnęła się uprzejmie. Kiedy Ian został już bezpiecznie usadzony w fotelu obok

Ohvera, starszy pan powrócił do rozmowy o Grecji i Włoszech.

- Skoro wybieracie się nad jeziora, koniecznie musicie odwiedzić Isoła Bella - poradził. - Popłyńcie tam rano, zanim zrobi się zbyt gorąco. Mam nadzieję, że kupiłaś sobie albo kupisz kapelusz z dużym rondem, Roxanne. Będzie ci potrzebny.

- Pomyślałem już o tym - odezwał się Clive. - Ale dziękujemy za troskę, tato.

- Clive myśli o wszystkim. - Roxanne pogładziła męża po ramieniu.

Każdy jej ruch i gest jest uwodzicielski, pomyślała Sally. Ciekawe, czy można się tego nauczyć, czy też trzeba się z tym po prostu urodzić... Sfotografowałabym ją z tyłu, z tą długą, smukłą szyją, twarzą zwróconą półprofilem do obiektywu i przymkniętymi powiekami, aby podkreślić te nieprawdopodobne rzęsy...

Z gardła lana wydobył się odrażający odgłos. Mężczyzna pobladł nagle tak bardzo, że jego twarz w jednej chwili przybrała zielonkawy odcień, zerwał się z fotela i niepewnym krokiem opuścił bibliotekę. Po chwili rozległ się straszny hałas. Wszyscy wybiegli na korytarz, przerażeni, że coś mu się stało.

- Wszystko w po... w porządku... - oświadczył łan, podnosząc się powoli. - Potknąłem się. Muszę do łazienki...

Dan wziął kuzyna pod ramię.

- Nic mu nie jest - powiedział cicho. - Zajmę się nim. Happy załamała rękę.

- Nie mam pojęcia, co w niego wstąpiło. Nigdy w życiu nie był pijany. Trudno nawet powiedzieć, by lubił alkohol.

- Z grzesznych rozrywek lubi tylko hazard. - Oliver uśmiechnął się, starając się rozładować sytuację.

Powoli wrócili na swoje miejsca.

- Chwileczkę, o czym to mówiliśmy? Aha, o Isola Bella. Stamtąd na pewno pojedziecie do Wenecji. Clive, musisz pokazać Roxanne balkon Julii.

- Prawdziwy? - Roxanne nie kryła zaciekawienia. - Nadal lam jest?

- Tak mówią - odrzekł Oliver. - Ale wiesz przecież, że Julia to tylko bohaterka dramatu.

Rozmowa toczyła się dalej, spokojnie i pogodnie. Wszyscy, z Oliverem na czele, dbali, aby Roxanne mogła w niej uczestniczyć, podrzucając jej łatwe do odbicia piłeczki. Po dłuższym czasie na progu stanął Dan.

- Z łanem wszystko w porządku - oświadczył. - Zwymiotował i od razu poczuł się lepiej. Namówiłem go, by położył się na chwilę, potem wypił kawę i pojechał do domu. Pragnie, żebym przeprosił wszystkich w jego imieniu. Odwieziemy cię. Happy.

Mój Boże, pozwoliłeś mi usiąść za kierownicą? Trzeba było mnie zawołać, sama bym go zawiozła!

Uparł się, Happy. Podejrzewa, że to nie tylko szampan, bo podobno już wcześniej czuł się nie najlepiej. Jeżeli coś mu zaszkodziło, to rzeczywiście powinien się położyć. Wszystko będzie dobrze.

Sama nie wiem...

- Był w stanie prowadzić, Happy, przecież inaczej odebrałbym mu kluczyki nawet siłą.

Przyjęcie dobiegło końca. Roxanne co chwilę zerkała na swój złoty zegarek, a Clive wygłosił krótką mowę, dziękując wszystkim za życzenia i serdeczność. Oliver, Happy, Sally i Dan wyszli na podjazd, żeby odprowadzić młodą parę! a kiedy samochód zniknął za bramą, wrócili do biblioteki. Pierwszy odezwał się Oliver.

- Muszę powiedzieć, że całkowicie mnie zaskoczyli. Nikt nigdy nie przypuszczał - w każdym razie ja nie przypuszczałem - że Clive może postąpić tak impulsywnie.

Nikt nie miał zamiaru przeciwstawiać się tej opinii.

- Gdzie oni się poznali, na Boga? - ciągnął Oliver, wpatrując w drzewa rosnące na brzegu trawnika. - Ona wcale me wygląda na dziewczynę, która... Hmm... Cóż, po prostu wydaje mi się, że pod żadnym względem nie jest podobna do was - dokończył, przenosząc spojrzenie na Happy i Sally.

- Na pewno robi wrażenie szczerzej i otwartej - zauważyła Happy z typową dla siebie łagodnością. - Wcale nie była onieśmielona, prawda? Pamiętam, że kiedy ja przyjechałam tu z pierwszą wizytą, strasznie się ciebie bałam, ojcze.

Oliver uśmiechnął się.

- Roxanne w niczym cię nie przypomina, moja droga. Ale cóż, Clive wybrał ją na swoją towarzyszkę. Możemy mieć tylko nadzieję, że będzie z nią szczęśliwy.

- Ja mam taką nadzieję - powiedziała Happy.

- Chyba można na to liczyć - rzekł Dan. - Jest tak pełna życia i energii, że może wyrwie go z tej jego skorupy. A poza tym - bądźmy szczerzy - leży to w jej interesie.

- Czas pokaże - westchnął Oliver. - Nie wątpię, że wszyscy dołożymy starań, aby ułatwić im życie.

- Teraz rozumiem, dlaczego tak interesował się umeblowaniem naszego domu, kiedy wpadł do nas jakiś tydzień temu! - zawołała Sally. - Pomyślałam wtedy, że to zupełnie do niego nie pasuje. Był taki spięty... Tak, spięty i podekscytowany.

- No, tak - mruknął Oliver. - Clive zawsze zajmował specjalne miejsce w moim sercu. Nie darzę go cieplejszym uczuciem niż twojego męża, Happy, po prostu innym.

- Rozumiem - odpowiedziała poważnie.

- Wiem. Pracujesz z dziećmi, więc nic dziwnego, że dobrze rozumiesz dorosłych. - Oliver znowu utkwiał wzrok w czubkach drzew. - Sęć w tym, że Clive nigdy nie był radosnym, roześmianym dzieckiem. Zresztą teraz też nie jest szczególnie pogodny, Ian był zabijaką i sprawiał mi dużo kłopotu w okresie dojrzewania. Z Clive'em nigdy nie miałem żadnych problemów, ale zawsze martwiłem się o niego, nie o Iana. Wiedziałem, że Ian poradzi sobie w życiu. Wszystko traktował jako przygodę i wszystko przychodziło mu z łatwością - sukcesy w sporcie, popularność w towarzystwie, wysoka lokata na studiach. I wreszcie, zdobycie wspaniałej żony. Tymczasem Clive... Cóż, Clive był i jest inny.

- Mimo wszystko trochę martwię się o Iana, tato - powiedziała Happy. - Nie był dziś sobą. Od wielu tygodni zachowuje się jakoś dziwnie, zapytaj Dana. Na pewno zauważyłeś, że coś się z nim dzieje, Dan, prawda?

- Tak - przyznał Dan. - Dla mnie to nie nowina. Mogę mówić szczerze, stryju? Wiem, że niechętnie dowiadujesz się o naszych nieporozumieniach w pracy. Chciałbyś, aby wszystko szło tak gładko, jak w czasach, gdy prowadziłeś firmę razem ze swoim ojcem, a potem sam. Niestety, teraz nic nie układa się tak dobrze.

Sally miała ogromną ochotę zabrać głos, lecz doskonale zdawała sobie sprawę, że nie powinna wygłaszać opinii na temat sytuacji w Grey's Foods, podobnie jak Dan nie miał prawa wtrącać się do jej pracy. Miała jednak własne zdanie o Ianie i Dan dobrze je znał. Ian był pracowity i zdolny, ale czasami ulegał lenistwu i chciwości. Prawdę mówiąc, ostatnio zdarzało się to dosyć często.

- Ian jeszcze dorasta - powiedziała kiedyś Danowi. - Nie jest w pełni dojrzały.

Dan roześmiał się wtedy i zapytał, czy jej zdaniem Ian kiedykolwiek osiągnie dojrzałość emocjonalną. Sally wzruszyła ramionami.

- Ale w głębi serca jest dobry i uczciwy - bronił go Dan. - Sprawiedliwie traktuje pracowników, bardzo kocha Happy i potrafi jej to okazać.

Była to prawda, lecz dziś Ian zachował się po prostu okropnie. Nie chodziło nawet o to, że za dużo wypił, ale wyraźnie

usiłował obrazić Clive'a i jego młodą żonę. Nawet jeżeli to małżeństwo wydało mu się śmieszne, nie ma prawa tego okazywać.

- Ian jest zdecydowany sprzedać lasy inwestorom zagranicznym, a moja siostra zachęca go do tego kroku - ciągnął Dan. - Jej żądania finansowe wzmacniają determinację Iana, bo nie mamy przecież środków, aby je zaspokoić. Gdyby nie Amanda, sądzę, że udałoby mi się zniechęcić Iana do tego projektu. Wszyscy wiemy, jak bardzo droga jest ci ta ziemia, stryju. Twój dziadek kupował ją kawałek po kawałku. Ja też ją kocham. I ty, i ja zrobilibyśmy wszystko, aby ją chronić i zachować w całości, co do tego jesteśmy absolutnie zgodni. Gdybyś spróbował porozmawiać z Amandą, może zgodziłaby się ustąpić.

Oliver odwrócił się gwałtownie w kierunku Dana.

- Amanda jest... Ale nie chcę mówić nic złego o twojej siostrze, Dan.

- Wcale nie poczuję się urażony. Wierzę, że twój osąd jest sprawiedliwy. Zawsze tak było.

- Przepraszam cię, Dan, ale to nie jest odpowiedni moment. Wydaje mi się, że na dziś wystarczy rozmów. Happy na pewno chce jak najszybciej wrócić do domu.

- Mój Boże, gdzie jest Tina? - krzyknęła nagle Sally.

- Nie wiem. - Dan spojrzał na nią z zaskoczeniem. - Przed chwilą tu była...

- Musi być gdzieś w domu - spokojnie powiedziała Happy. - Może dojada resztki ciastek?

W ogólnym zamieszaniu, wywołanym pojawieniem się Clive'a z żoną, zupełnie zapomnieli o dziecku. Teraz Dan i Sally szybko weszli do domu. Najpierw zajrzeli do biblioteki, ale Tiny tam nie było, więc zaczęli ją głośno wołać. Przeszli po wszystkich pokojach, nie pominęli nawet gabinetu Olivera, lecz Tina nie odpowiadała.

- Sprawdziliście na górze? - zapytała Happy.

We troje przeszukali wszystkie sypialnie, pokoje dzienne i łazienki. Po chwili spotkali się na korytarzu i wymienili przerażone spojrzenia.

- Na pewno wyszła na dwór - powiedział Oliver, który czekał na nich w holu na dole. - Nie wpadajmy w panikę. Musi tu gdzieś być.

Sally natychmiast pomyślała o basenie. Dan, najwyraźniej kierowany tą samą myślą, biegł już w tamtą stronę. Kiedy jednak dotarli na miejsce i obeszl basen dookoła, odetchnęli z ulgą. Przez błękitną, przejrzystą wodę dokładnie widać było czyste dno.

Czworo dorosłych bez słowa przystąpiło do przeszukiwania okolicy. Na terenie posiadłości były altanki, garaże, ogród warzywny i kwiatowy, a pośrodku ogrodu różanego stał nawet mały letni domek. Raz po raz nawoływali głośno, strając się zapanować nad rosnącym lękiem.

- Zjrzyjmy jeszcze raz do domu zaproponowała Happy. - Może gdzieś się schowała. Dzieci uważają, że to świetna zabawa.

Znaleźli ją pod fortepianem. Siedziała skulona, zasłonięta ciężką kurtyną, i ssała kciuk.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknął Dan. - Śmiertelnie nas wystraszyłaś!

- Wołałiśmy cię tak długo! - powiedziała Sally. - Dlaczego się nie odezwałaś?

Happy próbowała załagodzić sytuację.

- Zrobiłaś tu sobie małą kryjówkę, prawda, kochanie? Tina zmierzyła Happy obojętnym spojrzeniem. Nie odpowiedziała. Nic nie wskazywało na to, by dobrze się bawiła.

Sally uklękła obok dziewczynki.

Dobrze się czujesz? - zapytała, dotykając dłonią jej czoła. - Może zjadłaś za dużo ciasteczek? Nie boli cię brzuszek? Tina patrzyła na dorosłych bez słowa. A może połknęłaś język? - żartobliwie zapytała Happy, która w rozmowie z dziećmi często posługiwała się zwrotami zapamiętanymi z okresu dzieciństwa, spędzonego w domu babki.

Co ci jest? - W głosie Dana brzmiał prawdziwy niepokój. Tina nadal nie odpowiadała. Sprawiała wrażenie, jakby nikogo nie słyszała.

To nie jest zabawne - powiedziała Sally, chociaż nikt się nie uśmiechał.

Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. Jej córeczka zamknęła się we własnym świetle i wcale nie miała zamiaru otwo-i/yć drzwi... Nikt poza matką nie był w stanie wyczuć, że z Tiną dzieje się coś bardzo dziwnego.

- Jest zmęczona, i tyle - oświadczył Oliver po kilku minutach spędzonych na bezskutecznych próbach dotarcia do Tiny. - Weź ją na ręce, Dan. Najlepiej będzie, jeżeli zabierzecie ją do domu.

Dan usłuchał stryja. Wziął córkę na ręce i zaniósł do samochodu. Wkrótce znaleźli się w domu, ale Tina nadal nie odezwała się ani słowem.

Rozdział dziesiąty

Sierpień 1990

- Och, ty moje kochanie! - powiedziała Sally. Susanna po raz pierwszy usiadła prosto, nie przewracając

się do tyłu. Zadowolona z siebie i z nowej perspektywy widzenia świata, zagulgotała radośnie. Wyglądała jak słodki aniołek, pulchna i różowa, w samej pieluszcze, z dołeczkami na łokciach i kolankach. Jej oczy w kształcie migdałów i jasne jak Dana, szarozielononiebieskie, utkwione były w twarzy Sally i wydawały się mówić: „Wyglądasz zupełnie inaczej niż wtedy, gdy obserwowałam cię, leżąc na plecach”.

Sally wyjęła małą z kojca i pocałowała ją w karczek.

- Moja najśłodsza! - powiedziała. - Kocham cię, kocham cię. Wiesz, jak bardzo? Nie, oczywiście, że nie wiesz. I nie dowiesz się do chwili, kiedy weźmiesz w ramiona własne dziecko.

Jakaż to odległa przyszłość, pomyślała Sally. A na razie będziemy czuwać nad tobą, najdroższa Susanno, będziemy dbać o ciebie i strzec cię w każdej minucie życia. I prosić Uoga, aby nigdy nie spotkało cię nic złego.

W ubiegłym tygodniu maleńkie piskłę wypadło z gniazda w zagięciu dachu tuż nad kuchnią. Co roku nowa ptasia rodzina zakładała w tym miejscu swój dom. Co roku Sally i Dan obserwowali, jak ciemnobrązowa samiczka cierpliwie wysiaduje przez dwa tygodnie jaja, a ojciec o różowo ubarwionej głowie lata tam i z powrotem, załatwiając ważne sprawy. Kiedy wydarzyła się tragedia, oboje rodzice jak szaleni zataczali kręgi nad ślepym, pozbawionym upierzenia maleństwem wielkości połowy kciuka, które najpierw walczyło o życie, a potem konało na trawie. Sally towarzyszyła im z daleka w ich czuwaniu, słyszała ich krzyki i rozpoznała

w nich rozpacz. Być może nie była to rozpacz w ludzkim rozumieniu tego słowa, nie było jednak wątpliwości, że ptasi rodzice są gotowi na wszystko, aby tylko uratować swoje dziecko.

Sally od dawna zdawała sobie sprawę, że utrata dziecka musi być najgorszą rzeczą, jaka może spotkać rodziców, najgorszą...

- Pani Grey, Tina znowu się nie odzywa - odezwała się Niania. - Przez cały ranek nie wydobyłam z niej ani słowa.

- To już drugi raz w tym tygodniu, prawda?

- Trzeci. Za nic nie mogę tego pojąć. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby dziecko zachowywało się w ten sposób.

Nie wolno okazywać przerażenia w obecności Niani, bo strach jest zaraźliwy. Wszyscy domownicy powinni ignorować zachowanie Tiny - tak brzmiało zalecenie doktora Vanderwatera. Jak twierdził doktor, milczenie było dla Tiny sposobem na przyciągnięcie uwagi bliskich, należało więc zachowywać się tak, jakby nic się nie działo. Z czasem dziewczynka się zorientuje, że jej metoda nie przynosi pożądaných rezultatów.

- Po prostu nie wiem, co robić, pani Grey.

- Wie pani, co robić - cicho powiedziała Sally. - Nic.

- O co chodzi? - zapytał Dan, który bardzo się spieszył, bo był już spóźniony.

- O to samo, co zwykle. Nie chce się odzywać.

Dan zmarszczył lekko brwi, pogłębiając dwie pionowe linie tuż nad nasadą nosa.

- Sam nie wiem... - mruknął do siebie i wyciągnął rękę, aby pogłodzić Susannę po głowie.

Niania, widząc, że nikt nie zaproponuje nowego rozwiązania, wróciła na dół, aby dopilnować Tiny podczas śniadania. Sally i Dan zostali sami. Oboje w milczeniu patrzyli na dziecko. Dan odezwał się pierwszy.

- Myślmy o tym samym, prawda? Susanna wygląda dokładnie jak Tina w jej wieku.

- Tak.

Sally poczuła nagle, że nie jest w stanie dłużej tłumić niepokoju.

- Och, Dan, co teraz zrobimy? - zawołała z bólem.

- Możemy tylko postępować zgodnie z zaleceniami lekarza. Tak jak robiliśmy do tej pory.

- Te okresy milczenia są takie bezsensowne! Czasami myślę, że... Czasami wydaje mi się, że ona chce nas ukarać.

- Ukarać? Za co? Co takiego zrobiliśmy, na miłość boską?

- Nie wiem. Jest uparta, zbuntowana. Mówię coś do niej, a ona nie odpowiada. Patrzy tylko na mnie wyzywająco...

- Przesadzasz, Sally. Zbuntowana? To pięcioletnia dziewczynka!

- To jest całkiem możliwe. Dzieci przeżywają pierwszy okres buntu w wieku dwóch lat. Kiedy indziej wydaje mi się, że nie ma to nic wspólnego z buntem, że Tina zwyczajnie się boi.

- Czego? Nie ma czego się bać, z wyjątkiem Susanny. I wszyscy doszliśmy do wniosku, że właśnie tak jest.

- Z Tiną jest coraz gorzej, Dan. Spójrzmy prawdzie w oczy. Gdyby powodem było młodsze dziecko, jej stan zacząłby się już poprawiać, a jest odwrotnie.

- Niekoniecznie.

- Więc przedstaw mi swój sposób rozumowania.

- Nie, to ty przedstaw mi swoją teorię.

Sally przewijała właśnie Susannę. Przez chwilę nie odpowiadała, lecz w końcu, niepewna, czy dobrze robi, zaryzykowała.

- Czasami myślę, że powinniśmy wrócić z nią do doktor Lisie.

- Nie, w żadnym wypadku. To bez sensu.

- Dlaczego? Doktor Vanderwater niczego nie osiągnął.

- Wiadomo, że problemy adaptacyjne to nie to samo, co złamanie nogi. Nie można powiedzieć: „Za sześć tygodni będziemy mogli zdjąć gips”, czy coś w tym rodzaju. Daj mu szansę.

- Odnoszę wrażenie, że on sam jest zaniepokojony, a może raczej zaskoczony...

- Nie polegałbym na wrażeniu. Nie wydaje mi się zresztą, by doktor Vanderwater był zaskoczony. Jest najlepszym specjalistą w swojej dziedzinie. Doktor Lisie nie dorasta mu do pięt. Daleko jej do jego poziomu i kwalifikacji.

Sally czuła się zupełnie bezradna. Dzień jeszcze się dobrze nie zaczął, a ona już była wyczerpana. Kiedy posadziła dziecko w kojcu i odwróciła się twarzą do Dana, zobaczył, że jej oczy pełne są łez.

- Och, Sally... - Objął ją mocno i przytulił. - Serce mi pęka, kiedy widzę, jak płaczesz. To do ciebie niepodobne. Posłuchaj, skarbie - nie mamy wyboru. Musimy być cierpliwi. I dziękujmy Bogu, że nie mamy dziecka z zespołem Downa albo umierającego na raka...

Sally zadrżała.

- Wiem, ale są inne rzeczy... Nie aż tak drastyczne, ale jednak...

- Mam nadzieję, że nie myślisz o tym, co nagadała ci doktor Lisie.

- Nie jestem pewna. Dręcą mnie zupełnie szalone myśli.

- Sądziłem, że już się ich pozbyłaś.

- Ja też tak sądziłam.

- Nie będziemy wprowadzać żadnych zmian, Sally. Nie można wozić dziecka od jednego lekarza do drugiego tylko dlatego, że coś ci się wydaje. Przykro mi, że zostawiam cię taką przygnębioną, ale muszę jechać do pracy.

- Jestem dziś umówiona z doktorem Vanderwaterem.

- To dobrze. Mam nadzieję, że cię uspokoi.

Za każdym razem, gdy odwracała oczy od twarzy doktora, spoglądała na fotografię czterech zdrowych, pełnych energii chłopców o kręconych włosach. Byli zadowoleni, weseli, uśmiechnięci. Najmłodszy ścisnął piłkę w pulchnych łapkach i śmiał się, ukazując równe mleczne zęby. Jeszcze niedawno podobne wrażenie wywierała na wszystkich Tina...

- Bardzo pana szanuję, doktorze - powiedziała Sally. - Muszę jednak przyznać, że nie przestałam zastanawiać się nad tą drugą możliwością.

Przerwała. Z trudem wydobywała z siebie słowa i była zła na siebie za niepotrzebne wahanie. Ona, Sally Grey, która zawsze doskonale radziła sobie w stosunkach z ludźmi i nie bała się nikogo i niczego! Kto by pomyślał...

- Miewam straszne sny, doktorze - ciągnęła drżącym głosem. - Tina stoi gdzieś wysoko, na parapecie czy nad przepaścią, a ja chcę ją złapać albo krzyknąć, ale boję się, że ją przestraszę i spadnie... Nie mogę się zresztą ruszyć, nie mogę krzyknąć... - Umilkła. - Przepraszam, moje sny nie mają

tu żadnego znaczenia. Chciałam tylko powiedzieć, że bardzo się boję.

- Z powodu tamtej diagnozy?

Spuściła oczy i znowu spojrzała na zdjęcie czterech chłopców.

- Mój mąż uważa, że to idiotyczne - powiedziała cicho. - Jest bardzo mądry, bardzo inteligentny, więc może to rzeczywiście śmieszne.

- Proszę powiedzieć, dlaczego nie może pani pozbyć się myśli o tamtej możliwości. Rozumiem oczywiście, że uważa pani, iż stan Tiny nie poprawił się, odkąd zacząłem ją leczyć, ale...

- Nie mam zamiaru narzekać...

- Nie jestem zbyt wrażliwy. Jeżeli pani czuje, że nie spełniam pokładanych we mnie nadziei, proszę mi o tym powiedzieć.

- Sama nie wiem... Zdaję sobie sprawę, że leczenie wymaga czasu, ale zauważyłam wyraźne zmiany w jej zachowaniu. Zmiany na gorsze. Nie pozwala, by ktoś ją dotykał. Na przykład... Mój mąż ma kuzyna, Tina bardzo go kiedyś lubiła. Teraz nie chce, żeby się do niej zbliżał.

- Mówi pani, że nie chce, aby „ktoś” ją dotykał. Czy chodzi o tego właśnie mężczyznę?

- I tak, i nie.

Doktor uśmiechnął się lekko.

- Z mojego doświadczenia wynika, że taka odpowiedź znaczy zwykle „tak”. Czy jest w nim coś szczególnego?

Czuła się zagubiona i niepewna. To, co miała do powiedzenia, było ulotne i nieprzekonujące, nawet dla niej samej.

- Jest dziwny - zaczęła. - Ożenił się dopiero parę tygodni temu. Odludek. Po prostu... Dziwny, to wszystko.

Pani opis pasuje do wielu geniuszy. Cechy, które pani wymieniła, nie mają nic wspólnego z osobowością psychopaty, maniaka seksualnego.

Wiem. Ale on zawsze poświęca wiele uwagi Tinie, przytula ją, sadza sobie na kolanach i daje jej prezenty. To, co mówię, brzmi chyba dosyć dziwnie...

Przerwała. Z jej słów wynikało, że Clive zachowuje się jak święty Mikołaj.

Rozumiem, o co pani chodzi. Nie zmieniłem swojej opi-

nii, ale ponieważ pani się niepokoi, proszę, aby nie zmieniała pani dotychczasowego postępowania. Proszę bacznie obserwować dziecko, jestem zresztą pewien, że pani to robi. Nie chcę odżegnywać się od innych możliwości, bo zło pojawia się w najmniej spodziewanych miejscach i chwilach. Dziecko może skrzywdzić każdy, nawet ojciec, chociaż w tym przypadku nadal nie widzę podstaw, by postawić diagnozę o wykorzystaniu seksualnym.

Sally milczała przerażona. Oto czarna, wilgotna przepaść, nad którą zaprowadziły mnie moje myśli. Czowała wstyd, że coś takiego mogło jej w ogóle przemknąć przez głowę, nawet jeżeli trwało to tylko ułamek sekundy. Postanowiła zamknąć swój umysł, tak jak zamyka się szkatułkę, i wyrzucić klucz.

- Wyjeżdżam na miesiąc na wakacje, pani Grey. Wie pani, jak postępować. Proszę starać się zachować spokój, nie dać wyprowadzić się z równowagi ani awanturami, ani napadami milczenia. Jak mądrze zauważył pani mąż, najważniejsza jest cierpliwość.

Wiedziała, że się wygłupiła, wspominając o „kuzynie męża”. Nie miała przecież żadnych dowodów. Było jej wstyd. Biedny Clive, który teraz, po ślubie, po raz pierwszy naprawdę cieszył się życiem.

- Chodzi po korytarzu tak dumnym krokiem, jakby dostał medal Kongresu albo wygrał na loterii - powiedział Dan.

Z drugiej strony, ktoś mógł być żonaty, a jednak...

To obrzydliwe, pomyślała szybko. Doktor Lisie zasiała w mojej głowie potworny chwast, którego nie potrafię wyrwać z korzeniami. Clive, Ian, stryj Oliver, sympatyczny syn Niani, który wpada czasami z wizytą, listonosz, który przychodzi ze swoim małym synkiem, sąsiad, który w zeszłym roku zamieszkał w domu naprzeciwko jej rodziców... Jak mogła myśleć o nich w ten sposób, jakim prawem ich podejrzewała? A ojciec Emmy, przyjaciółki Tiny? Dziwny, zgorzkniały, zamknięty w sobie człowiek... Nigdy go nie lubiła...

- O, mój Boże, przestań wreszcie, Sally! - krzyknęła głośno.

Dom Clive'a był czarujący. Sally pomyślała, że Lila Burns dokonała prawdziwego cudu, i to w niecały miesiąc. Lila, która poczuła, że ma w dłoniach czarodziejską różdżkę, kiedy

Clive dał jej wolną rękę, jeśli chodzi o koszty, wypełniła dom orientальnymi dywanami i ręcznie tkanymi chodnikami, mosiężnymi wykończeniami, angielskim srebrem i francuską porcelaną, osiemnastowiecznymi meblami z mahoni i drewna klonowego oraz dziewiętnastowiecznymi obrazami. Clive wiedział, czego chce, a Lila bezbłędnie zrozumiała jego intencje. W utrzymanym w ciemnoczerwonej tonacji gabinecie jedną ścianę pokryła oprawionymi w złoczone ramki zdjęciami koni. W niebiesko-białym salonie ozdobiła kominek parapetem z rzeźbionych kwiatów. Na komodzie pomiędzy oknami stały w dzbanie szkarłatne mieczyki.

Roxanne postawiła na stole tacę z mrożoną herbatą i ciasteczkami i usiadła. Sierpniowy dzień był upalny i parny, czuło się to nawet tu, mimo klimatyzacji. Skóra Sally była wilgotna, suknia przyklejała się jej do ciała. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby przekonać się, że także Happy jest spocona i zmęczona. Tylko Roxanne, ubrana w biały len, wyglądała świeżo i pięknie.

- Masz piękną sukienkę - powiedziała Happy.

- Tak? Pochodzi z mojej wyprawy, wybrał ją Clive. To on mi wszystko kupuje.

-- Ciesz się, że ma taki dobry gust - zauważyła Sally. -Gdybym ja musiała polegać w tej dziedzinie na Danie... Wczoraj powiedział: „Jaka ładna sukienka, nowa?” „Nie, ma już cztery lata”, wyjaśniłam.

Wszystkie trzy kobiety roześmiały się zgodnie. Rozmowa przychodziła im z łatwością. Odkąd Roxanne i Clive wrócili z podróży poślubnej, Happy i Sally starały się często przebywać ze swoją nową kuzynką. Sally, która zawsze miała tendencję do analizowania motywów zachowań, swoich i innych, doszła do wniosku, że kieruje nimi wrodzona uprzejmość, chęć podtrzymania dobrej atmosfery w rodzinie oraz ciekawość i współczucie. Interesująca mieszanka!

Teraz, kierując się właśnie współczuciem, próbowała wyobrazić sobie, co skłoniło Clive'a i Roxanne do tak nagłego zawarcia małżeństwa. Co musiało wydarzyć się w życiu siedzącej naprzeciw niej młodej kobiety, czego musiała pragnąć, że zgodziła się dać Clive'owi siebie w zamian za dom, biżuterię i inne rzeczy. Z pewnością nie była w nim zakochana.

Niemożliwe, aby doświadczyła tego, co przydarzało się jej samej, Sally Grey, sześć lat temu w Paryżu. Niemożliwe.

- Letnie popołudnia rozleniwiają do szpiku kości, prawda? - zauważyła Roxanne.

„Letnie popołudnia”. Henry James uznał te dwa słowa za najpiękniejsze w języku angielskim. Wszystko zależało jednak od tego, gdzie, jak i z kim spędzało się letnie popołudnie; czy było się dziewczyną, która pakuje zamówione towary w wielkim, hałaśliwym magazynie, czy damą, która popija mrożoną herbatę we własnym, chłodnym niebiesko-białym salonie.

Serce Sally zalała nagle fala litości, niespodziewana i podstępna.

- Czasami sama siebie nie poznaję - powiedziała Roxanne. - Budzę się i przez chwilę nie wiem, gdzie jestem. A kiedy już wiem, przychodzi mi do głowy myśl, że to nie może trwać. Te ogromne pieniądze, które wydał Clive... - Dziewczyna szybko zakryła usta dłonią. - Przepraszam. Clive powtarza mi, że nie powinno się mówić o tym, ile coś kosztowało!

Sally się roześmiała.

- To prawda. Nie mów o tym, pozwól, żeby ludzie sami to ocenili.

- Lubię twoje poczucie humoru - powiedziała Roxanne. - Od razu wiesz, o co chodzi. - Przerwała i zamyśliła się na chwilę. - Bardzo mi zależy, żeby robić wszystko tak jak trzeba. Clive jest dla mnie bardzo dobry. Wiecie, że w tym miesiącu posłał moją siostrę na obóz? I chce wysłać ją do szkoły. Michelle chciałaby pojechać na Florydę, więc Clive szuka szkoły właśnie tam. Tyle dla nas zrobił...

- Ty dla niego także - odrzekła Sally. - Dan mówił mi, że Clive jest teraz po prostu innym człowiekiem. Kiedyś był bardzo małomówny, a teraz opowiada, jak go karmisz, jaka z ciebie wspaniała kucharka i jak opiekowałaś się nim na statku, kiedy zachorował...

- Clive był chory? - przerwała jej Happy. - Nie wiedziałam.

- Jak zwykle miał kilka ataków kaszlu, ale pewnego wieczoru nie mógł przestać kasłać, więc wezwaliśmy lekarza okrętowego, żeby mu coś przepisał. Kaszel przeszedł, ale

Clive dostał gorączki i bolały go zębra. Powiedział, że to „kaszel palacza”.

Happy uwielbiała rozmowy o chorobach i ich leczeniu. W domu miała specjalną półkę, wypełnioną popularnymi poradnikami medycznymi.

- To mi się nie podoba - oświadczyła. - Nie liczy się opinia Clive'a, ale lekarza. Clive powinien zrobić badania, Roxanne.

- Doktor powiedział to samo, ale Clive jest potwornie uparty i jeszcze nic nie zrobił. Twierdzi, że jest zbyt zajęty nowym domem.

I innymi rzeczami, pomyślała Sally, z trudem powstrzymując rozbawienie.

- Clive mówił mi, że masz specjalny przepis na ciasto czekoladowe, Happy - odezwała się Roxanne. - Czy możesz mi go dać? Uwielbiam piec i gotować.

- Oczywiście. Poproszę o ołówek i kartkę. Zaraz zapiszę składniki. Ci dwaj bracia, Clive i Ian, pozwoliliby się sprzedać za kawałek czekolady!

- Nie wygląda na taką, która lubiłaby zajmować się domem, ale z drugiej strony, nigdy nie wiadomo - zauważyła Happy, kiedy razem z Sally wracały do domu.

- Szybko się uczy. Zauważyłaś, jak spostrzegła się, że nie należy mówić o tym, ile co kosztuje? Clive stara się ją zmienić i ma wspaniałe wyniki. Teraz Roxanne nawet mówi trochę inaczej. Powoli traci ten wulgarny akcent.

- Niedługo będzie zbyt elegancka, żeby się z nami spotykać! - zaśmiała się Happy. - Ani razu nie powiedziała: „Do diabła!”. Szkoda, że nie słyszałaś mnie, kiedy parę dni temu uderzyłam łokciem o blat szafki w łazience!

- Pamiętasz, co powiedziała o swoim ojcu, kiedy pierwszy raz przyjechali z Clive'em do Hawthorne? Musiała mieć okropne życie.

- Zrobiło mi się strasznie wstyd, że nic nie wiedziałam o chorobie Clive'a - powiedziała Happy. - To wszystko wina Iana. Tak zdenerwowało go to małżeństwo, że w ogóle nie chce rozmawiać na temat Clive'a. Nie mam pojęcia, o co mu chodzi, Ian nie jest przecież człowiekiem, który uważałby, że Clive popełnił megalomanię czy coś takiego.

- Nie, ale sam ożenił się z kobietą z własnego środowiska, prawda? - z uśmiechem odrzekła Sally.

- Wielkie rzeczy! Wiesz, o co mi chodzi - Ian ma zupełnie inne przekonania niż Oliver, z całym szacunkiem dla mojego teścia. Więc naprawdę tego nie rozumiem. Powiedziałam mu, że zachowuje się nieuprzejmie. Prawie wszyscy nasi krewni i znajomi odwiedzili już Clive'a i Roxanne. Oczywiście, kierowała nimi ciekawość, ale co z tego?

- Czy Ian wyjaśnił ci, skąd ta nagła niechęć do Clive'a?

- Och, mówił coś o kupowaniu żony. Ale to przecież sprawa Clive'a...

- Oczywiście, Clive'a i Roxanne. Nie można jej nie lubić. W każdym razie ja nie mogę.

- Mam uczucie, że czekają ich trudne chwile - westchnęła Happy. - Podejrzewam, że Clive jest chory, i to poważnie.

Sally pomyślała, że Happy może też mieć jakieś przeczucia na temat Tiny. W końcu pracowała w przedszkolu i na pewno niejedno widziała i słyszała. Happy była jednak zbyt dobrze wychowana, aby wypowiadać swoją opinię, kiedy nikt jej o to nie prosił, Sally zaś, zdecydowana za wszelką cenę ochraniać prywatność Tiny, nie zamierzała omawiać z nikim jej problemów. Postanowiła wrócić do tematu małżeństwa Clive'a.

- Tak czy inaczej, cała ta sprawa jest naprawdę zdumiewająca - powiedziała. - Dan w ogóle nie przypuszczał, że Clive się ożeni, chociaż ja nie wykluczałam takiej możliwości. Obecnie ludzie decydują się na małżeństwo znacznie później niż kiedyś. Spodziewałam się jednak, że jeżeli już Clive podejmie taką decyzję, to wybierze jakąś cichą, nie rzucającą się w oczy intelektualistkę z laboratorium naukowego lub z biblioteki.

- Cóż, to tylko jeszcze jeden dowód, że tak naprawdę nigdy nic nie wiadomo - oświadczyła Happy.

Roxanne stała w przestronnej, pięknej garderobie i uważnie przyglądała się swemu odbiciu. Clive miał rację. Prostota robi o wiele większe wrażenie. Z grymasem niesmaku przypomniała sobie sukienkę z czerwonej satyny, zbyt przejrzystą, zbyt krzykliwą, zbyt głęboko wyciętą i ozdobioną zupełnie zbędnymi falbankami, którą miała na sobie podczas ich pierw-

szej kolacji. Ta prosta suknia z białego lnu, która kosztowała trzy razy więcej niż tamta, delikatnie podkreślała jej karnację, figurę i kolor włosów.

Zdjęła ją ostrożnie, aby nie popłamić materiału szminką, i odwiesiła na miejsce. Na trzech ścianach garderoby znajdowały się wieszaki na ubrania - na sukienki, komplety i garnitury z jedwabiu, bawełny oraz lnu. Nadejścia jesieni oczekiwał tu także kostium ze szkockiego tweedu, kupiona we Włoszech skórzana kurtka, torby oraz wiele par butów. Na półce leżał jasny słomkowy kapelusz, w którym brała ślub. Roxanne przychodziła tu trzy, cztery razy dziennie, nie po to, by się przebrać, ale żeby popatrzeć na wszystkie te piękne stroje. Sprawiały jej tyle radości! Doprawdy, żyła jak we śnie.

Ale po przebudzeniu z takiego snu człowiek nie zawsze jest szczęśliwy... Rzeczywistość i prawda to to, co czuję, a czuję się paskudnie, pomyślała. Zupełnie jakbym ukradła to wszystko. A czy nie ukradłam? Czy on wierzy, że zakochałam się w nim do szaleństwa? Albo że co wieczór konam z namiętności i pragnę jak najszybciej wskoczyć z mmm do tego łóżka w stylu Chippendale, czy jak tam ono się nazywa/ Niemiła jest świadomość, że jestem kłamczuchą. Niemiło jest udawać, bez przerwy udawać, zmuszać się do uśmiechu w czasie spaceru i obiadu, a do namiętności w łóżku. Tak,

czuję się paskudnie. .

Podeszła do okna. Przed nią rozciągał się szeroki trawnik i świerkowy żywopłot, w którym Clive był dosłownie zakochany. Srebrne świerki rodem z Kolorado. Cóż, drzewa jak drzewa, choć rzeczywiście ładne.

Zawróciła do drzwi. Przecież nie wyrządza Clive owi krzywdy, nie robi nic złego, byle tylko nie poznał prawdy. Biedny Clive Tak bardzo się starał. Miał w sobie tyle dobroci, że aż chciało się dbać o niego, chronić go przed światem. Obiecała sobie, że nigdy go nie zrani, nigdy nie odbierze mu szczęścia. Bo to by było, jakby skrzywdziła dziecko. Nie. Sprawia, że będzie szczęśliwy. Zapłaci za wszystko, ureguluje

rachunek.

Dzisiejsza wizyta minęła bardzo miło. Sally i Happy to mile kobiety, bynajmniej nie snobki. Wiele innych na ich miejscu na pewno zadzierałoby nosa. Jasne, że tak.
Kobiety

to złośliwe kocice, zwłaszcza kiedy zobaczą, że inna jest od nich ładniejsza, ale te dwie nie były kocicami.

Tak czy inaczej, nie było jej łatwo zachowywać się naturalnie w obecności żony lana. Znowu to paskudne uczucie... Dziwne, że nigdy wcześniej nie miała wyrzutów sumienia. Teraz było jednak inaczej, teraz знаła tę kobietę. Z drugiej strony, takie rzeczy są na porządku dziennym, stale czyta się o nich w kolumnach towarzyskich - żona zjawia się na przyjęciu w firmie męża i wita się z uprzejmą sekretarką, która w rzeczywistości jest jego kochanką...

Jak wspaniale byłoby mieć i ten dom, i lana! Serce Roxanne drgnęło niespokojnie, miała wrażenie, że jej krew staje się gorętsza. Mogła mieć to wszystko, gdyby tylko on zechciał! Dlaczego tak postąpił? Szaleli za sobą, ciągnęło ich do siebie, widzieli tylko siebie... Krew jej zawrzała.

- Uspokój się, Roxanne - powiedziała głośno. - Włóż szorty, weź jakiś kolorowy magazyn i poleż sobie w hamaku'

Na dworze trochę się ochłodziło. Wiatr szumiał sennie wśród liści drzew nad jej głową. Powoli zaczęło docierać do niej piękno zielonego spokoju. Szalejący w niej niepokój powoli przycichał. Nie można przecież mieć wszystkiego, prawda? Postanowiła, że na chwilę zamknie oczy, a potem wstanie i upiecze czekoladowe ciasto. Clive będzie miał de-ser-niespodziankę. Miło było patrzeć, z jakim apetytem pochłania przygotowywane przez nią desery.

- Patrzcie, patrzcie, Śpiąca Królowa. Obudź się, ty suko.

Gwałtownie otworzyła oczy. Obok hamaka stał lan. Postawił teczkę na ziemi i założył ręce. Jego twarz płonęła wściekłością. Kiedy podniósł dłoń, aby odgarnąć kosmyk włosów z czoła, pomyślała, że chce ją uderzyć.

- Nie rób takiej przerażonej miny. Nie zabiję cię, chociaż na to zasługujesz. Nie jesteś aż tyle warta, żeby m przez ciebie miał spędzić resztę życia w więzieniu.

Serce waliło jej jak oszalałe, w całym ciele, od ramion aż po stopy, czuła ukłucia drobnych igiełek strachu.

- No, co masz mi do powiedzenia?

Zanim odpowiedziała, musiała zwilżyć wargi językiem. Zupełnie zaschło jej w gardle.

- Mogłabym zadać ci to samo pytanie.

- Pytaj, proszę bardzo. Powiem jedno: ja ciebie nigdy nie

okłamałem. Nigdy nie stosowałem wobec ciebie żadnych podstępów. Mówiłem to, co myślę.

Był taki silny... Kiedy stał przed nią, robił wrażenie, jakby był panem całej ziemi. Był jak książkę, jak wielki pan. Zacisnął wargi, oczy mu płonęły... Rzucił jej wyzwanie. Jak zawsze.

Nagle ogarnęła ją dzika odwaga.

- Ja też nigdy nie stosowałam wobec ciebie podstępów. Tamtej nocy powiedziałam ci, że jeżeli nie chcesz się ze mną ożenić, możesz iść do diabła. Wszystko było jasne, łanie.

- A potem zrobiłaś coś takiego. Nabrałaś biednego Clive'a. Paskudne zagranie.

- Nie mów mi o paskudnych zagraniach. - Roxanne podniosła się z hamaka i stanęła wyprostowana. - Jeżeli uważasz, że ja go nabrałam, to co powiesz o sobie i Happy ?

- Nie możesz tego porównywać, głupia złodziejko! -krzyknął łan.

- Myślę, że mogę. I zamknij się. Clive lada chwila wróci do domu.

- I co z tego? - łan uśmiechnął się pogardliwie. - Mam chyba prawo odwiedzić bratową w jej nowym domu.

- Zastanawiałam się, jak długo będziesz zbierał się na odwagę, żeby się tu zjawić. Zaczynało to już wyglądać trochę dziwnie.

- Bałem się, że na mój widok dostaniesz ataku serca.

- To ty mało go nie dostałeś tamtego dnia, kiedy Clive przywiózł mnie do domu twojego ojca!

- Dostałem wtedy ataku mdłości! Chciało mi się rzygać. I rzygałem. Kiedy pomyślę, że znalazła się kobieta dość podła, żeby wyciąć brudny numer takiemu biednemu, naiwnemu głupkowi jak mój brat...

- Głupkowi? Mówiłeś mi, że Clive jest geniuszem.

- Genialnym matematykiem! Dobrze wiesz, o czym mówię!

- Ja nie nazywam go „głupkiem”. Jedyne słowo, którego słusznie użyłeś, to „naiwny”.

- Chcesz powiedzieć... Jak to? On nie ma pojęcia, że poznaliśmy się już wcześniej?

- Jesteś cofnięty w rozwoju, czy jak? Oczywiście, że to właśnie chcę powiedzieć!

- I że nigdy się o tym nie dowie, tak?

- Oczywiście.

- Nie bądź tego taka pewna. Może powinien się dowiedzieć.

Roxanne pogroziła mu palcem lewej ręki, tym samym, na którym nosiła pierścionek z diamentem.

- O, nie, nie. Jeżeli nie chcesz, żeby Happy dowiedziała się o wszystkim, to nie piśniesz ani słowa. Nie muszę się ciebie obawiać.

Kiedy Ian zamilkł, dźgnęła go lekko palcem w pierś i uśmiechnęła się.

- Daj spokój, pogódźmy się. Wszystko jest w najlepszym porządku, a twój brat jest szczęśliwy jak skowronek. Widzisz chyba, że jest nowym człowiekiem, prawda?

Wreszcie ma coś z życia.

- A ty oczywiście nie masz nic, co? - powiedział Ian, obejmując spojrzeniem przeszklony ogród zimowy i mały staw ze złotymi rybkami pod wierzbami.

- Mam mnóstwo dobrych rzeczy. Nie przeczę, że o to mi chodzi. Zawarłam jednak układ i dotrzymuję jego warunków. Clive traktuje mnie jak królową. Nie polega to tylko na tym, że kupuje mi nowe, piękne rzeczy. On mnie szanuje, dlatego naprawdę go lubię. Ufa mi, a ja nigdy go nie zawiodę, przysięgam.

Długą chwilę stali naprzeciw siebie, usiłując stawić czoło zupełnie nowej, niewiarygodnej rzeczywistości, Ian zmierzył Roxanne uważnym spojrzeniem od stóp do głów. Roxanne nie spuściła wzroku, patrzyła mu prosto w oczy.

- Mój Boże! - wykrzyknął. - Chyba ci uwierzę. Może cuda rzeczywiście się zdarzają?

- Możesz mi wierzyć.

- Czy on nie zadaje ci żadnych pytań?

- Na przykład o co?

- Na przykład o twoje futro z norek.

- Nie widział go, jest przecież sierpień. Podarowałam je zresztą macosze. Od tego czasu moja rodzina bardzo mnie szanuje. Nie wpadają tutaj nieproszeni. Wiedzą, że jeżeli będą grzeczni, z czasem dostaną więcej przyjemnych prezentów.

- Myślisz o wszystkim.

- Chcę mieć dobre życie. Mamy bardzo miłych sąsiadów. Byłam zdziwiona, że sąsiadki przyjęły mnie tak serdecznie.

- Nie zapominaj, że nazwisko Greyów sporo znaczy.

- Nigdy o tym nie zapominam, Ianie.

- Na to wygląda. Clive wydał na dom majątek, nie sądziłem, że się na to zdobędzie.

Ian sięgnął po teczkę i westchnął ciężko.

- Powiniennem wracać do domu. Mógłbym niejedno ci jeszcze powiedzieć, ale po co rozdrapywać stare rany. Nikomu nic z tego nie przyjdzie.

- W porządku. Muszę zająć się kolacją.

- Zostałaś także wspaniałą kucharką?

- Co to znaczy: „także”?

- Dobrze wiesz, co to znaczy. Trafiłaś mnie tam, gdzie boli, Roxy. Kiedy pomyśle, że ty i Clive...

- Przestań - przerwała mu gładko. Nic chcę tego słuchać. Tak, jestem dobrą kucharką. Musiałam nauczyć się gotować, bo inaczej jadałabym tylko dania na wynos z baru.

- I co podasz dzisiaj na kolację?

Widziała, że zwleka, bo trudno jest mu się od niej oderwać i serce ścisnęło jej się boleśnie, ponieważ czuła to samo.

A jednak z bólem i smutkiem łączyło się słodkie uczucie zemsty...

- Boeuf à la mode z sosem chrzanowym - powiedziała spokojnie.

- Jejku, jej, nauczyłaś się już wymawiać to poprawnie! Jej, jej!

- I ciasto czekoladowe - dodała, nie reagując na jego sarkazm. - Według przepisu twojej żony. Powiedziała, że to twoje ulubione.

Ian obrzucił ją zaskoczonym spojrzeniem.

- Coś takiego! Czy znalazłoby się na świecie stworzenie łownie bezczelne jak ty? A więc zaprzyjaźniłaś się z moją żoną?

Lubię twoją żonę. One obie są bardzo miłe - Sally i Happy. Ale czasami czuję się okropnie. Wystarczy, że spojrzę na nią i pomyślę o tym, co zrobiłam.

Nie mówisz chyba serio.

Mówię serio. Ale czuję tak tylko czasami.

Nie zobaczymy się więcej - powiedział. - Nigdy więcej. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Przecież czasem będziemy musieli się spotykać! Należę teraz do twojej rodziny...

- Nie będziemy musieli. Mężczyźni widują się codziennie w firmie, natomiast kobiety mogą robić, co chcą. Nie musimy spotykać się wieczorami. Pozostają trzy okazje w roku -Święto Dziękczynienia, Boże Narodzenie i urodziny ojca. Chyba damy sobie z tym radę.

- Na pewno.

- Do widzenia, Roxanne.

- Do widzenia.

Patrzyła chwilę, jak jego samochód odjeżdża, maleje i wreszcie znika za drzewami. Potem odwróciła się i weszła do domu. Musiała upiec czekoladowe ciasto na deser dla Clive'a.

Zastanawiał się, jak opisałby miotające nim uczucia, gdyby ktoś kazał mu to zrobić. Stanowiły przerażającą mieszankę oburzenia, cichej pogardy i smutku. To cudowne ciało, różowe jak miąższ melona lub moreli, to piękne, żywotne, radosne ciało, zamknięte w chudych ramionach Clive'a... Na samą myśl o tym łan odczuwał fizyczny ból. Zacisnął prawą dłoń w pięść i z całej siły uderzył nią w deskę rozdzielczą.

A jednak nie mógł nienawidzić Clive'a, który padł ofiarą tej kobiety, podobnie jak on sam. To ona zasługiwała na nienawiść, ta podła kusicielka w białych szortach i krótkiej bluzce, bezpieczna w swoim luksusowym gniazdku.

„Lubię twoją żonę”. Co za bezczelność, co za niewyobrażalny tupet! Clive mówił, że poznali się w szkółce jeździeckiej. Już ona wiedziała, gdzie go szukać. Cholera jasna, musiała zapamiętać każdą przypadkową uwagę, jaką kiedykolwiek wypowiedział w jej obecności. Ma zadatki na szefową agencji detektywistycznej lub wywiadowczej, bez dwóch zdań. Jaki spryt, jaka przebiegłość, jaki upór w dążeniu do celu! I jaka kochanka! Jaka aktorka! Clive był nią absolutnie oczarowany. Kiedyś zgorzkniały karzełek, zgarbiony nad swoim biurkiem, dziś zachowywał się jak nowo narodzony. Pogwizdywał, lekkim krokiem przechadzał się po korytarzu. Dumny jak paw. W toalecie pracownicy opowiadali sobie o nim dowcipy, takie kawały, jakie słyszy się podczas wieczoru kawalerskiego.

Tak, Roxanne odniosła sukces, zdobyła to, na czym jej

zależało, ale wszystko wskazuje na to, że rzeczywiście dotrzyma słowa. Wejdzie w życie rodziny i nikt nic nie będzie podejrzewał, nikt nie pomyśli o niej nic złego. Nikt poza nim, a on będzie się od niej trzymał jak najdalej. Była jak trucizna. Najśodsza trucizna... Jeszcze raz uderzył pięścią w deskę.

Dojechał już prawie do skrzyżowania, z którego skręcał w stronę domu, kiedy nagle pomyślał o Happy. Przed oczami stanęła mu jej śliczna, dobra twarz, rozjaśniona lekkim, dobrze mu znanym uśmiechem. Była miła dla Roxanne, w swojej niewinności była miła, zupełnie nieświadoma upokorzenia, jakie spotkało ją ze strony tej kobiety.

A może to nie Happy została upokorzona, tylko on. Starł pot z czoła i zawrócił, kierując się ku podmiejskiemu centrum handlowemu, gdzie, o ile dobrze zapamiętał, była rowmez kwaciarnia.

Wszedł do sklepu i zamówił bukiet z dwudziestu czterech róż.

- Może te? - zapytał. - Te drobne różowe?

- Morełowe - poprawił stary sprzedawca. - Staroświeckie kwiatki, bardzo mocno pachną.

- A te wysokie i duże, czerwone? Może te będą lepsze?

- Zależy dla jakiej kobiety. Są kobiety w typie tych różowych, rzucające się w oczy. Znamy takie. Herbaciane roze nadają się dla dobrej, miłej kobiety, takiej, która wiernie stoi przy boku mężczyzny.

- Widzę, że jest pan filozofem - zauważył Ian. - Niech mi pan powie, czy nie da się połączyć czerwonych z herbacianymi?

Staruszek się roześmiał.

- Niestety, i nie jest to żadna tajemnica.

W domu Happy siedziała na pewno przy biurku, zajęta przygotowaniami do otwarcia przedszkola we wrześniu. Kiedy Ian wejdzie z bukietem róż, jej oczy rozświetli ciepły blask.

- Jakie piękne kwiaty, Ianie! - zawoła i doda: - Czy to z jakiejś specjalnej okazji? Może o czymś zapomniałam?

Tak to specjalna okazja. Na swój sposób.

- Wezmę te herbaciane - powiedział Ian. - Dla dobrej, wiernej kobiety.

Rozdział jedenasty

Wrzesień 1990

W pierwszej połowie września lasy na wzgórzach za domem były już czerwono-brunatne i złote, chociaż tu i ówdzie widać było jeszcze plamy szmaragdowej zieleni. Łagodne powietrze wypełnił dymny, subtelny aromat jesieni.

Sally zamknęła książkę i wyjrzała przez okno na trawnik przed domem, gdzie Niania bawiła się z dziećmi. Starsza kobieta pochyliła się właśnie, aby wziąć Susannę za rączkę. Dziewczynka dopiero przed paroma dniami skończyła dziewięć miesięcy i już zaczęła chodzić. Kiedy spojrzała na Nianię, na jej buzi odmalowało się zdumienie. „Spójrz, co potrafisz!”, mówiły jej oczy.

Sally uśmiechnęła się mimo woli. Większość dzieci stawia pierwsze kroki w dwunastym miesiącu albo później... Uśmiech zgasł równie szybko jak się pojawił - Tina również zaczęła chodzić w wieku dziewięciu miesięcy. Teraz każda nowa przyczyna radości, jakiej dostarczała jej młodsza córeczka - wesoły, gardłowy śmiech, gęstniejące ciemne włoski - służyła także przypomnieniu, że w tym wieku Tina była taka sama i zachowywała się podobnie.

W tej chwili Tina, niewątpliwie ku wielkiej uldze Niani, bawiła się w piaskownicy. Dzięki Bogu za Nianię, pomyślała Sally. Ostatnio swój czas poświęcała prawie wyłącznie Tinie i miała niewiele możliwości, aby cieszyć się Susanną. Ale to właśnie Tinie była teraz tak bardzo potrzebna...

Od początku roku przedszkolnego każdy ranek zaczynał się od bitwy, którą czasami wygrywała matka, a czasami córka. Opiekunem i nauczycielem grupy Tiny został młody mężczyzna, pedagog nowej generacji. Wszystko świadczyło, że jest bardzo zdolny i wrażliwy na potrzeby dzieci, a jednak

Tina obawiała się go i nie dawała się przekonać, iż jej lęki są nieuzasadnione.

Doktor Vandewater, powiadomiony o trudnej sytuacji, zajął się rozwiązywaniem problemu, lecz tydzień temu Tina oświadczyła niespodziewanie, że nie chce już „bawić się” z lekarzem. Wszystko skomplikowało się jeszcze bardziej i Sally nie miała pojęcia, co robić dalej. Nie mogła przecież zmusić dziecka, aby pojechało z nią tam, dokąd zwyczajnie nie chciało jechać.

Pragnienia Tiny ograniczały się teraz do przejażdżek na kucyku. O niczym innym nie mówiła. Pozwalała jednak posadzić się w siodle tylko wtedy, gdy Sally jechała razem z nią. Wujek Clive przestał być pożądanym towarzyszem.

- Nie chcę, nie pojedę z nim powtarzała dziewczynka, jak zwykle tupiąc nogami.
- Nie lubię go.

Nie było zresztą o czym dyskutować, ponieważ trzy dni temu Clive trafił do szpitala z ciężkim zapaleniem płuc.

- Proszę jej nie zachęcać i nie przekonywać - radził doktor Vanderwater. - Musi pani być jak najbardziej elastyczna. Niech wydarzenia toczą się własnym trybem. Skoro nie chce mnie teraz odwiedzać, niech tak będzie. Sama zdecyduje, kiedy wróci. Proszę nie nalegać, wtedy nadal będzie widziała we mnie przyjaciela.

Była to rozsądna rada specjalisty, dlaczego więc Sally miała tyle wątpliwości? Codzienne zajęcia - poranna przejażdżka, potem zwykłe prace domowe i wreszcie nieuniknione napięcia w czasie lunchu - nużyły ją teraz bardzo szybko, a nie była przecież osobą, która łatwo poddawała się zmęczeniu. Jeszcze niedawno piętnastokilometrowy spacer stanowił dla niej miłą rozrywkę, nic więcej. Najgorsze były jednak soboty i niedziele. Sally podniosła książkę, która upadła na podłogę, i spróbowała skupić się na lekturze, lecz po chwili znowu ją odłożyła. Utkwiła wzrok w płonących jesiennymi barwami drzewach za oknem, choć tak naprawdę w ogóle ich nie widziała.

Wyglądasz, jakbyś straciła jedyną bliską osobę - odezwał się od progu Dan.

Odniosła wrażenie, że w jego głosie wyczuła ironię, a kiedy odwróciła się i spojrzała mu w twarz, odkryła, że wcale się nic pomyliła.

- Może nie jedyną bliską osobę, ale na pewno coś straciłam.

Dan westchnął ciężko, celowo podkreślając swoje zniecierpliwienie.

- Nie zaczynaj znowu, Sally. Można by pomyśleć, że mamy żałobę w domu.

Weź się w garść, co?

Jego szorstka uwaga mocno ją uraziła.

- „Weź się w garść, co?” - powtórzyła drwiąco. - Najgłupszy zwrot, jaki kiedykolwiek wymyślono! A co ja niby robię? Ty możesz uciec od kłopotów, przynajmniej na kilka godzin dziennie, tymczasem ja zostaję tutaj i staram się... Staram się...

Bezskutecznie szukała właściwych słów, by wyrazić to, co czuła.

- Oczywiście, ja nie mam w pracy żadnych problemów! Siedzę tam sobie po prostu, odbieram telefony, piszę czarujące listy, podpisuję dokumenty i czekam na czek, tak? Nic trudnego!

- Wiesz, że wcale tak nie myślę. Niemniej wszystko, z czym musisz sobie radzić, jest niczym w porównaniu z niepokojem i bólem, które towarzyszą mi przez cały dzień. Stan Tiny szybko się pogarsza, nie widzisz tego?

- Nie. Moim zdaniem jest z nią trochę lepiej.

- Sam w to nie wierzysz, Dan. Przemawia przez ciebie twój wrodzony optymizm, nic więcej.

- Och, masz coś przeciwko optymizmowi?

- Tak, kiedy ktoś posługuje się nim jak tarczą, która przesłania mu niemiłą rzeczywistość. Jest to jedyna twoja cecha, której, szczerze mówiąc, nie znoszę.

- Natomiast twój problem polega na tym, że chcesz mieć wszystko już, natychmiast, na wczoraj. Jesteś wykształconą kobietą i powinnaś wiedzieć, że nie zawsze jest to możliwe. Dziwię ci się, Sally.

- Jestem wykształconą kobietą i wiem, że nie zawsze jest to możliwe, mój drogi. Wiem również, że twój szalenie sympatyczny doktor Vanderwater zbyt lekko traktuje to, co dzieje się z Tiną.

- Zbyt lekko? Potrafisz to ocenić? Kiedy to i gdzie skończyłaś studia medyczne?

- Ten sarkazm jest zupełnie niepotrzebny, Dan. - Sally

wstała. - Słuchaj, chcę zwrócić się o pomoc do doktor Lisie. Właśnie podjęłam decyzję.

- Chyba oszalałaś! Czy wizyty u niej cokolwiek dały? Nie!

- Nie daliśmy jej szansy.

- Jedyne, co ta kobieta wymyśliła, to jakaś sensacyjna historyjka oparta na wyssanej z palca teorii! Boże, rozmawialiśmy o tym setki razy. Mam już tego dosyć, nie chcę znowu do tego wracać!

- Zachowujesz się dziś jak dyktator!

- Nie, korzystam z własnego zdrowego rozsądku! Jestem ojcem Tiny!

- A ja jestem jej matką. Czy to się nie liczy?

- Jesteś jej matką, naprawdę? A ja myślałem, że urodziła ją pani Monks, nasza sąsiadka...

- Nie wygłupiaj się. Musimy coś zrobić z. Tiną, czy ona w ogóle cię nie obchodzi?

- Nie, nie obchodzi mnie - powiedział Dan, przesadnie rozciągając sylaby. - Po prostu nie interesuję się swoimi dziećmi!

- Nie kpij ze mnie! Nie zniosę tego. Mam takie samo prawo do podejmowania decyzji w tym domu jak ty!

- Wydaje mi się, że decydujesz o bardzo wielu sprawach. A ja nigdy ci w tym nie przeszkadzam.

- Teraz chcę zaprowadzić Tinę do doktor Lisie albo do kogoś innego. Chcę zmienić lekarza, a ty próbujesz mi przeszkodzić. Więc nie mów, że nigdy tego nie robisz.

- Tym razem rzeczywiście ci przeszkodzę. Naprawdę?

Tak!

Po policzkach Sally popłynęły długo wstrzymywane łzy gniewu.

Do diabła z tobą! - krzyknęła. Dan wyszedł z pokoju.

Sally, sfrustrowana i wściekła, nie wiedziała, co ze sobą /robić. Odsunęła się od okna, aby Tina jej nie zauważyła i nie zaczęła domagać się uwagi. Może spacer, długa, męcząca pi./echadzka wśród wzgórz rozładuje napięcie i ukoi gniew. Poszła na górę, gdzie zmieniła czółenka na adidasy oraz przeczesła włosy - robiła wrażenie kompletnie zaniedbanej!

i cicho zeszła po schodach, aby uniknąć kolejnego spotkania z Danem. Do diabła z nim!

Była już przy drzwiach, kiedy zjawił się w holu, spokojny i poważny. Poprosił, żeby poszła z nim do salonu.

- Siadaj - powiedział. - Wszystko jest nie tak. Oboje jesteśmy zatroskani i niepewni, więc wyładowujemy stres w kłótni. To naturalny mechanizm obronny. Ludzie postępują tak, kiedy są bliscy szaleństwa ze zmartwienia. Przykro mi, że do tego doszło. Wybacz mi, Sally.

Natychmiast złagodniała.

- Ja też cię przepraszam. Nie jestem ostatnio zbyt wyrozumiała i tolerancyjna.

- Wpadłem na pewien pomysł. Mamy teraz wrzesień. Bądźmy rozsądni i sprawiedliwi - dajmy Vanderwaterowi czas do końca roku. Jeżeli nie zauważymy żadnej zmiany na lepsze, zwrócimy się do kogoś innego. Do doktor Lisie, jeżeli nadal będziesz chciała, albo do jakiegoś innego lekarza. Co o tym myślisz?

- To dobre rozwiązanie, zakładając, że Tina zgodzi się wrócić do Vanderwatera - powątpiewającym tonem powiedziała Sally.

- Cóż, jeżeli odmówi, będziemy mieli pewność, że on nie jest właściwą osobą. Nie można też wykluczyć, że z czasem, dzięki staraniom twoim, moim i Niani, Tina się zmieni. Spróbujemy?

Choć Sally nie wyzbyła się wątpliwości, zgodziła się, ponieważ zaproponowane przez Dana rozwiązanie wydawało jej się rozsądne.

- Mam także inne kłopoty, Sally, Ian i ja dostaliśmy przesyłkę nocną pocztą kurierską, dlatego obaj musieliśmy dziś rano pojechać do biura, choć to sobota.

- Zastanawiałam się, gdzie wychodziłeś. Co się stało?

- Znowu Amanda. Posłuchaj: „Czekam już zbyt długo. W marcu przedstawiłam wam pewną propozycję. Odrzuciłeś ją w bardzo zdecydowany sposób, Dan, natomiast Ian parę razy prosił mnie o cierpliwość. Nie podjęliście żadnych innych kroków. Mam wrażenie, że byłam bardzo cierpliwa. Clive nie odpowiedział mi w ogóle, jeśli nie liczyć kilkakrotnie powtarzanych wykrętów, że nie chce opowiadać się po żadnej stronie. Mam dosyć czekania na waszych inwestorów

zagranicznych, którzy być może zmienią zdanie. A nawet jeżeli zechcą przeprowadzić transakcję do końca, kto wie, jak długo będę musiała czekać na swoje pieniądze? Z waszego zachowania wynika jasno, że nie jesteście w stanie uzgodnić wspólnego stanowiska. W tej sytuacji musicie wykupić moje udziały po cenie rynkowej, w przeciwnym razie sprzedam je stronie trzeciej. Ostrzegałam was już wcześniej, ale nie chcieliście mi wierzyć. Moi nowi prawnicy z nowojorskiej firmy radzą, abym..." I tak dalej, i tak dalej zakończył Dan, ocierając czoło. - Teraz znasz już prawdziwy powód mojego złego nastroju, Sally. Osiągnęliśmy chyba apogeum konfliktu. Martwię się tym tak bardzo, że nie potrafię normalnie myśleć.

- Więc widziałeś się z Ianem... I co?

- Nic dobrego - ponuro odrzekł Dan. Skoczyliśmy sobie do gardeł. Okropnie się pokłóciliśmy. Zaatakował mnie tak ostro, jakby sądził, że chcę go okraść. Sęk w tym, że Ian nie jest w stanie odrzucić tej propozycji. Powtarza: „Złożyli ofertę, której nie możemy odrzucić”. Kieruje nim chciwość, to proste. Nigdy w życiu nie skarżył się na nadmiar pracy, zawsze uwielbiał nowe wyzwania. Teraz mówi, że ma dosyć strajku w Ameryce Południowej, który hamuje nasze dostawy, i złej sytuacji na rynku europejskim. Pojawiła się nowa, rywalizująca z nami firma, koszty rosną, i tak dalej. Krótko mówiąc, uważa, że jeśli sprzedamy lasy, wtedy pozbędziemy się firmy i będziemy mieć wreszcie święty spokój.

Jedno spojrzenie na jego zmęczoną, smutną twarz wystarczyło, aby obudzić w Sally najgłębszą lojalność.

- Uważam, że zachowuje się obrzydliwie! - zawołała. - Jak można przejąć takie dziedzictwo i po prostu je zmarnować!

- Nie mówiąc o zobowiązaniach, jakie mamy wobec naszych pracowników i całej społeczności.

- Kiedy Oliver wraca z Francji?

Dopiero przed świętami. Przyjaciele zaprosili go na dłuższy pobyt w ich domu w Alpach. Ale sama wiesz, że obecność Olivera nie ma tu żadnego znaczenia. On nie chce podjąć żadnej decyzji, to wszystko.

Cieżko mi uwierzyć, że naprawdę poróżniłeś się z Ianem. Tak mi przykro, zwłaszcza że Happy i ja bardzo się przyjaźnimy.

- Stosunki między nami nie muszą wpływać na waszą przyjaźń. Jeśli chodzi o mnie, nie wyobrażam sobie, bym miał łaNOWI jeszcze cokolwiek do powiedzenia i sądzę, że on myśli podobnie.

W głosie Dana brzmiał prawdziwy smutek. Pełen życia i barw pokój poszarzał, jakby nie było tu wazonów z chryzantemami i jesiennymi różami, książek, zdjęć, szmacianej laleczki na podłodze i wielkiej układanki na stole. A jednak gdyby próg tego domu przekroczył ktoś obcy, na pewno nigdy by nie pomyślał, że mieszkająca tu rodzina może się borykać z problemami.

- Pojadę chyba odwiedzić Clive'a w szpitalu - powiedział nagle Dan. - Jutro wraca do domu, więc sądzę, że mogę uprzedzić go o mojej kłótni z łaNem. Ciekaw jestem jego zdania. Nadszedł już zresztą czas, żeby zajął zdecydowane stanowisko.

Clive siedział na łóżku, wsparty na wysoko ułożonych poduszkach. Wyraźnie ucieszył się na widok Dana.

- Myślałem, że zastanę cię chodzącego niecierpliwie po korytarzu. Przecież jutro mają cię wypisać.

- Odpoczywam.

- Nic dziwnego. Zapalenie płuc bardzo osłabia organizm.

- To prawda. Nigdy na to nie chorowałeś?

- Jeszcze nie.

- Ty na pewno dożyjesz setki. Jesteś okazem zdrowia, Dan.

Clive wcale nie przesadzał. Dan, jasnowłosy, wysoki, muskularny, naprawdę wyglądał zdrowo i pogodnie. Po prostu ideał męskiej urody. A jednak Clive nigdy nie czuł wobec niego zazdrości. Dan miał w sobie uczciwość i tym zjednywał sympatię. Ale tym razem Clive zauważył w jego twarzy niepokój i zniechęcenie.

- Coś się stało? - zapytał.

- Nie. Dlaczego pytasz? Wpadłem cię odwiedzić, to wszystko.

Clive zmrużył oczy.

- Widzę przecież, że coś cię zdenerwowało. Dan się uśmiechnął.

- Bystrzak z ciebie. No, tak, dziś rano się pokłóciliśmy,

Ian i ja. Poszło o konsorcjum i moją trudną siostrę. Amanda przysłała list, czy raczej ultimatum. Nie niepokoiłbym cię tą sprawą, gdyby nie to, że jesteś już zdrowy i wracasz do domu.

- Wszystko w porządku. Chcesz wiedzieć, jakie zajmę stanowisko, prawda?

- Tak. Oczywiście ta zagraniczna oferta może okazać się już nieaktualna, ale wszyscy musimy wiedzieć, na czym stoimy.

- Oferta jest aktualna. Przeglądałem ją bardzo dokładnie. Z punktu widzenia inwestora jest jak najbardziej sensowna. Ci ludzie naprawdę chcą jak najszybciej dobić targu.

- Mieszkańcy miasta są zaniepokojeni nieporozumieniami w rodzinie Greyów. Takie pogłoski szybko wydostają się na zewnątrz.

- Wiem, wspominała o tym nawet jedna z pielęgniarek. Tutejsi ludzie, oczywiście z wyjątkiem kupców i właścicieli firm budowlanych, nie chcą zmian. Nie chcą też stracić zatrudnienia w Grey's Foods.

- A więc?

Clive się zamyślił. Dla ojca i Dana przyroda jest najważniejsza. Każde drzewo, każde zwierzę ma niezwykłą wartość. Mój punkt widzenia jest inny. Wystarczy mi niewielki kawałek lasu, w którym mogę jeździć konno. Ale dla nich to cały sen życia. Jeżeli stanę po stronie Dana, przeciwko Ianowi i Amandzie, w rodzinie i firmie dojdzie do rozłamu. Będziemy walczyć w sądach całego kraju, Bóg wie, jak długo. Jeśli przyłączę się do Iana, ojcu pęknie serce. Tak czy inaczej, przysporzymy mu wielkiego cierpienia.

- Nie rozumiem, co dzieje się z Ianem - odezwał się ze zniecierpliwieniem Dan.

- Oferta jest wprawdzie niezwykle kusząca, mówiłem o tym Sally, inwestorzy proponują naprawdę ogromne pieniądze, ale mimo wszystko nie potrafię pojąć, dlaczego tak się zmienił.

- Dla Iana to gra o władzę i prestiż. Swoją drogą mamy do czynienia ze wspaniałym, innowacyjnym projektem. Wkrótce zainteresują się nim dziennikarze, jestem tego pewien.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego wasz ojciec nie interweniuje. Może ta sprawa po prostu go już nie obchodzi?

- Owszem, obchodzi.

- Więc dlaczego nie powie tego wyraźnie?

- Nie wiem.

- Ty też trzymasz się na dystans, Clive. Nie chcesz się zadeklarować. Mogę zapytać, dlaczego?

Dlaczego? Bo jeszcze niedawno byłem odludkiem. Łatwiej było mi się nie angażować, pracować jak doskonała maszyna (wszyscy tak mówili i sam wiem, że tak było), mieszkać spokojnie razem z ojcem i pozwolić wam rządzić firmą. Było mi wszystko jedno. Niczego nie potrzebowałem, wystarczał mi nowy garnitur raz na jakiś czas, książki, niezbyt częste podróże. Teraz wszystko się zmieniło. Mam Roxanne. Teraz muszę się zaangażować. Teraz zabiorę głos.

- Opowiem się po twojej stronie, Dan. Jeżeli okaże się to konieczne, będziemy walczyć. Wszystko wskazuje na to, że nie unikniemy walki.

Dan chwycił dłoń Clive'a i mocno ją uściskał.

- A więc będziemy walczyć! - powiedział radośnie. - Brak mi słów, by ci wyjaśnić, ile znaczy dla mnie twoje poparcie.

- Wiem - odrzekł Clive.

- Trzeba będzie spotkać się z Ianem, przedyskutować wszystko i podjąć decyzję w sprawie następnych kroków.

- Będziecie w stanie rozmawiać?

- Nie jesteśmy przecież dziećmi. Musimy rozmawiać o interesach i wspólnie dbać, aby firma nie utknęła na mieliźnie. Możemy zwołać spotkanie u ciebie, w przyszłym tygodniu, oczywiście jeżeli poczujesz się na siłach...

Clive postanowił zdobyć się na odwagę. Nikomu jeszcze o tym nie mówił, nie rozmawiał z nikim od chwili, gdy przed godziną dwaj lekarze opuścili jego pokój.

- Nie w przyszłym tygodniu, Dan - powiedział, zastanawiając się, jak zabrzmiały te słowa, kiedy wypowiedział je na głos. - Jak wiesz, chorym na zapalenie płuc robi się prześwietlenie, to standardowe badanie. W moim prawym płucu wykryto sporą plamkę. Lekarze zdecydowali się przeprowadzić biopsję. Patolog zbadał fragment tkanki i postawił diagnozę. To rak.

Rak. Wreszcie to powiedział.

- Mój lekarz prowadzący natychmiast sprowadził specjalistę, pulmonologa. Rozmawiali ze mną godzinę temu. Będą musieli usunąć płuco.

Szeroko otwarte oczy Dana pełne były smutku i współczu-

cia. Clive nie miał wątpliwości, że uczucia Dana są najzupełniej szczerze.

- Powiedziałem lekarzowi, że nie chcę, aby cokolwiek przede mną ukrywał. Jeżeli pojawiają się przerzuty, muszę o tym wiedzieć. Obiecał, że nic będzie ukrywał prawdy.

- Spokojnie, spokojnie - łagodnie powiedział Dan. Wyciągnął rękę i lekko dotknął dłoni Clive'a. - Ze statystyk wynika, że ta choroba znacznie częściej kończy się wyleczeniem niż śmiercią.

Clive się uśmiechnął.

- Jesteś optymistą, jak zwykle.

- Nie, jestem realistą. Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Cokolwiek?

- Możesz. Za chwilę będzie lu Roxanne. Nic jej nie mów. Chcę, żeby dowiedziała się o tym ode mnie, kiedy będziemy sami. Biedna dziewczyna.

- Nic jej nie powiem, możesz być pewny.

- A jak tam Tina? Bardzo brakuje mi jej towarzystwa. No i oczywiście towarzystwa Rosalie...

- Z Tiną wszystko w porządku. Sally z nią jeździ.

- To świetnie. Mam nadzieję, że już wkrótce Tina wyruszy ze mną na przejażdżkę. Kocham tę dziewczynkę. Jak tylko stanę na nogi, zaprosimy ją do Red Hill, bo nasz domek jest już wykończony. Twój optymizm jest zaraźliwy, Dan.

Rozdział dwunasty

Wrzesień 1990

Podłączony do różnych rurek i urządzeń Clive przypominał podłużny biały pakunek. W jego ramieniu tkwiła igła kroplówki. Gdzieś na wysokości dolnych żeber umieszczono grubszą rurkę, odprowadzającą żółty płyn, tu i ówdzie zabarwiony krwią. W ustach miał rurkę od respiratora, który stał obok łóżka, rytmicznie wydając cichy dźwięk, łan patrzył na brata z uczuciem litości. Clive wyglądał na jeszcze drobniejszego niż zwykle, jakby się skurczył, a jego twarz miała chorobliwie zielony odcień. Ale czego się spodziewać? W końcu dopiero co usunięto mu jedno płuco. Biedny Clive. Nie zasłużył na coś takiego.

Chory błagalnym, rozpaczliwym gestem dotknął rurki w ustach.

- Jeszcze nie teraz, panie Grey - łagodnie odezwała się pielęgniarka. - Za dwadzieścia cztery godziny wyjmemy ją i wtedy będzie pan mógł rozmawiać do woli.

Po drugiej stronie łóżka siedziała Roxanne. Była wyraźnie przerażona, łan nie widział jej od tamtego sierpniowego dnia, kiedy znalazł ją leżącą w hamaku, ubraną w króciutkie białe szorty. Dziś wyglądała jak młoda dama z dobrej podmiejskiej dzielnicy, dyskretnie elegancka w szarym jesiennym kostiumie, ozdobionym zarzuconym na ramiona koralowym szalem, łan, który dość dobrze znał się na modzie, natychmiast zauważył jej torbę z pięknej, brązowej skóry i brązowe czółenka na niskim obcasie, proste złote kolczyki i jasnoperłowy lakier na paznokciach. Uśmiechnął się do siebie na wspomnienie długich, ciemnoczerwonych szponów, które kiedyś z upodobaniem eksponowała, kładąc dłonie na obrusie. Zawsze wie-

dział, że Roxanne szybko się uczy, ale teraz nawet on był zaskoczony jej zdolnościami.

- Biedak - szepnęła Roxanne. - Mój biedak...

Kiedy przykryła dłonią bezwładną rękę Clive'a, duży diament na jej palcu rozjarzył się gorącym blaskiem. Clive musiał zapłacić za ten kamień masę pieniędzy, pomyślał Ian. W porównaniu z pierścieniem Roxanne, zaręczynowy klejnot, który otrzymała od niego Happy, wyglądał dość niepozornie, a przecież Ian wiedział, że wydał na niego małą fortunę.

- Schudłeś o dobre pięć kilogramów, biedaku. Ale w poniedziałek cię stąd wypuszczą, a wtedy ja zadbam, żebyś szybko przytył. Ugotuję ci najlepszą zupę ziemniaczaną na świecie. Może już jutro przyniosę ci trochę, jeżeli lekarz pozwoli...

- W poniedziałek? - ostro zapytał Ian. Kto powiedział, że wypuszczą go w poniedziałek?

- Lekarz, oczywiście.

Ian wstał i podszedł do drzwi.

- Muszę z nim porozmawiać. Poszukam go.

- Nie musisz. Już z nim rozmawiałam. Jestem żoną Clive'a.

- A ja jego bratem - odparł Ian, nadal tym samym tonem.

- Wiem, że rozmawiał pan już z panią Grey, ale ona jest jego żoną dopiero od paru miesięcy, podczas gdy ja jestem jego bratem od urodzenia...

Kiedy doktor uniósł brwi, Ian zdał sobie sprawę, że odezwał się zbyt ostro, co więcej, nie pozostawił żadnych wątpliwości co do tego, iż nie akceptuje Roxanne. Nie potrafił jednak opanować gniewu na myśl o tym, że Roxanne jest żoną, tak, żoną, jednego z Greyów. Czuł się odpowiedzialny za brata i uważał, że więzy krwi łączące go z Clivem są znacznie silniejsze niż niedawno zawarty związek z Roxanne. Musiał złagodzić ton, ale nie przyszło mu to łatwo.

Usunęliście mu płuco, chciałbym więc wiedzieć, jakie są widoki na wyleczenie...

W płucu pana Greya odkryliśmy komórki nowotworowe. Usunęliśmy całe płuco oraz węzły chłonne. Jesteśmy pewni, że pozbyliśmy się wszystkich komórek nowotworowych w okolicy płuc.

- A zatem to koniec leczenia?

- Niezupełnie. Zastosujemy także chemioterapię, będziemy podawać leki przez dwa, trzy miesiące. I oczywiście pozostaniemy w stałym kontakcie z panem Greyem, przeprowadzimy badania szpiku kostnego i innych tkanek, potem zaś pan Grey będzie musiał regularnie poddawać się rutynowym badaniom. Jeżeli w miarę upływu czasu nie odkryjemy żadnych przerzutów, uznamy, że wszystko jest w porządku. I pogratulujemy jemu i sobie.

- Czy będzie to oznaczało, że został całkowicie wyleczony?

- Panie Grey, nie możemy wykluczyć istnienia jakichś mikroskopijnych komórek, których w tej chwili nie jesteśmy w stanie wykryć. Ale będziemy się cieszyć, jeżeli w trakcie najnowocześniejszych testów, jakie mamy do dyspozycji, nie wykryjemy niczego podejrzanego.

- Dobrze. Chciałbym przekazać pozytywne wiadomości ojcu, który wypoczywa teraz w Europie. Brat zabronił mi go niepokoić. Nie chce przyspieszać powrotu ojca.

W pokoju pielęgniarka obmywała twarz Clive'a zmoczoną chłodną wodą ręcznikiem, Ian i Roxanne stanęli pod oknem, niespokojnie obserwując chorego.

- Niedługo powinien zasnąć - powiedziała pielęgniarka. - Nie ma potrzeby, aby teraz państwo przy nim siedzieli. Wszystko będzie dobrze.

- Wobec tego ja już pójdę - odezwał się Ian. - Zna pani telefon do pani Grey i do mnie. Proszę dzwonić, gdyby coś się działo.

- Może mógłbyś podwieźć mnie do domu, Ianie? - zapytała Roxanne. - Jestem bez samochodu. Tak, kochany - wyjaśniła w odpowiedzi na pytający wyraz w oczach Clive'a. - Oba samochody są nie do użytku. Twój jest nadal na przegładzie, a w moim wysiadł akumulator. W warsztacie powiedzieli mi, że naprawa potrwa jakieś półtorej godziny, ale ja chciałam dotrzeć tu jak najprędzej, więc wzięłam taksówkę. Podrzucisz mnie, Ianie?

- Oczywiście, to żaden kłopot.

Nie mówił prawdy. Czekala go półgodzinna podróż w towarzystwie kobiety, z którą nie chciał rozmawiać. Nie miał jej nic do powiedzenia, a jednocześnie pragnął wyrzucić z sie-

bie wszystko, co go męczyło. Miał ochotę nazwać ją podstępłą czarownicą, drugorzędną aktorką... Ale to też nie byłaby prawda. Roxanne nie była drugorzędną aktorką, była niezrównana. O, proszę, jak pochyła się nad tym biedakiem, jak gładzi go po łysiejącej, spoconej głowie, jak podtrzymuje jego dłoń.

- Do widzenia, kochanie - mówi. Śpij spokojnie. Na pewno dadzą ci coś na sen, gdybyś nie mógł zasnąć, ale widzę, że oczy same ci się zamykają.

Na palcach wyszła z pokoju, łan za nią.

- Biedny Clive - szepnęła. Strasznie wygląda, prawda?

- A czego się spodziewałaś? Że będzie świeżutki, jak po wakacjach?

- Nie masz serca. Clive wygląda bardzo mizernie. Martwię się tym.

- Mam serce, za to ty doskonale odgrywasz rolę zaniepokojonej żony.

- Jeżeli masz zamiar wrzeszczeć na mnie przez całą drogę do domu, wolę zamówić taksówkę - powiedziała, zatrzymując się przy krawężniku.

- Kto wrzeszczy? Ja nigdy nie wrzeszczę.

- Więc pokrzykujesz na mnie. Nie muszę tego znosić.

- To nie znoś.

Obok przejechał powoli czerwony samochód z odkrytym dachem. Siedzący w środku dwaj młodzi mężczyźni gwizdnęli przeciągle.

- Bezczelni - oświadczyła Roxanne, odrzucając włosy do tyłu. - Gdybym poprosiła, na pewno chętnie by mnie podwieźli.

Nie wątpię - warknął łan. - Wsiadaj. Usiadła, starannie zapinając pas, aby nie pognieść zakietu, zgrabnie skrzyżowała nogi w kostkach i położyła ręce na kolanach. Taka postawa w przypadku Happy czy Sally byłaby całkowicie naturalna, natomiast u Roxanne robiła wrażenie sztucznej. Rozbawiło go samo porównanie siedzącej obok niego kobiety z żoną i kuzynką. Ludzie zawsze go bawili. Czasami nie przeszkadzało mu nawet opóźnienie samolotu, bo wtedy mógł spokojnie obserwować współtowarzyszy podróży na lotnisku. Najlepszy przykład istoty gatunku ludzkiego to mężczyzna, pomyślał. Albo kobieta...

Roxanne patrzyła przed siebie z zaabsorbowanym wyrazem twarzy. Przyglądała się wszystkiemu: źle ubranym kobietom, wychodzącym z tanich sklepów z torbami w rękach i zlanym potem mężczyznom, rozładowującym ciężarówki i przenoszącym pudła z towarami. Ruch był coraz większy, ponieważ niektórzy kończyli już pracę i spieszyli do domów. Jeszcze wczoraj Roxanne należała do tego szarego świata...

Pomyślał, że czasami na pewno budzi się w środku nocy u boku Clive'a, w swojej wspaniałej sypialni, której nie widział, ale którą mógł sobie wyobrazić, i ze zdumieniem, a może z przerażeniem myśli o tym, co zrobiła.

- Nie musisz się na mnie boczyć - odezwała się nagle.

- Nie boczę się. Prowadzę samochód.

- Milczysz jak grób.

- Ty też. Wyglądałaś tak poważnie...

- Myślałam, że dziwnie się czuję, siedząc koło ciebie. A z drugiej strony, wcale nie dziwnie.

- Nie wnikajmy w to, Roxanne.

- Masz rację. Mógłbyś zatrzymać się na chwilę obok delikatesów? Kupię sobie kanapkę na obiad.

- Oczywiście. To skromny obiad.

- Nie chce mi się gotować. Dla jednej osoby nie warto nawet włączać kuchenki. Po prostu usiądę przed telewizorem, zjem kanapkę i pójdę spać.

Łan milczał.

- W porze lunchu nie ma to znaczenia, ale wieczorem nie lubię jeść sama. To takie przygnębiające...

- Tak - powiedział.

Do tej chwili nie zastanawiał się, co sam zje na obiad. Happy wyjechała na kilka dni na Rhode Island, do swojej siostry, która właśnie urodziła dziecko. Na pewno przygotowała mu mnóstwo rzeczy do jedzenia, lecz teraz z niechęcią pomyślał o tym, że będzie musiał poszukać czegoś w lodówce, odgrzać, a potem zmyć po sobie.

Nagle światło na rogu zmieniło się z zielonego na czerwone. Tuż obok znajdowała się najlepsza restauracja w mieście, łan odkrył, że jest potwornie głodny. Ślina napłynęła mu do ust.

- Zjadłbym dobry stek - powiedział. - Albo cielęcinę par-migiana. Chcesz wejść?

I wtedy, za późno, przypomniał sobie, że trzy lata temu poznali się właśnie tutaj, w tej restauracji.

- Tak, ale...

- Ale co?

- Nie powinniśmy pokazywać się razem.

- Śmieszna jesteś. Wbij sobie wreszcie do głowy, że nie mam w stosunku do ciebie żadnych grzesznych zamiarów. Nie mamy nic do ukrycia, w każdym razie, teraz już nie mamy. To normalna sytuacja - moja żona wyjechała, a twój mąż, a mój brat, jest w szpitalu, więc zjemy razem obiad, bo jestem zwyczajnie głodny. Ty chyba leż?

- Tak, jestem głodna.

- W porządku. Chodźmy.

Przeszli między stolikami, odprowadzani baczными spojrzeniami. Kiedy na jakąś kobietę w ten sposób patrzą nie tylko mężczyźni, ale i inne kobiety, znaczy to, że jest wyjątkowo atrakcyjna, pomyślał Ian.

- Chcesz podejść do bufetu z sałatkami? - zapytał.

- Nie, zamówię coś na przystawkę - rzuciła, wzruszając lekko ramionami. - Nie byłam tu, odkąd powiedziałam Clive'owi, że nie lubię tego miejsca.

- Przecież to bez sensu. Zaplanowałaś swoje życie, masz wszystko, co chciałaś mieć, więc po co te sentymentalne bzdury? Nie chcę tego słuchać, Roxanne. Nie przyszliśmy tu, żeby wspominać.

- Dobrze już, dobrze. Nie musisz się tak wściekać. Nie wściekam się. Zamawiamy?

Jedzenie było smaczne jak zwykle, stek perfekcyjnie wysmażony, frytki chrupiące i świeże, a potrawka z warzyw iownie pyszna jak ratatouille, które uwielbiał jadać we Francji. Ian jadł z apetytem i powoli sączył wino, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń za głową Roxanne.

Nie powinniśmy tak siedzieć, nie odzywając się ani słowem - odezwała się Roxanne.

Dlaczego?

Bo robimy wrażenie starego małżeństwa - zażartowała. Niewątpliwie, niektóre pary małżeńskie rzeczywiście nie napi o czym ze sobą rozmawiać, ale z całą pewnością nie dotyczy to jego i Happy. Happy zawsze miała mu coś do powiedzenia i nie były to głupie, nieistotne uwagi.

Happy była interesującą osobą. Myśl o niej wzbudziła w nim dziwny niepokój. Nie powinien był przychodzić tutaj z Roxanne, w ogóle nie powinien był nigdzie jej zabierać. Do diabła, doskonale wiedział, że popełnił błąd, więc dlaczego to zrobił?

- W porządku, ponieważ z całą pewnością nie jesteśmy parą, nie powinniśmy sprawiać takiego wrażenia - powiedział. - Wobec tego porozmawiajmy.

- O czym?

- Wszystko jedno, o polityce, o czymkolwiek. Co się dzieje w mieście?

Zastanowiła się.

- O co chodzi z całym tym zamieszaniem wokół lasów? Clive mówił mi, że pokłóciliście się o to z Danem.

- Tak. Wielka szkoda. Nie chcę mieć do niego pretensji i przypuszczam, że to samo dotyczy jego. Zachowuje się jednak jak głupiec, odrzucając takie pieniądze.

- Clive nie mówił mi o tym zbyt wiele. Rzadko opowiada mi o waszych sprawach.

A więc Clive nie oszalał jeszcze do końca. Brakuje tylko, żeby ta dama poznała sytuację finansową Grey's Foods... Następnego dnia rano znalazby ją całe miasto. Z drugiej strony, była chyba jednak za bystra, żeby popełnić taki błąd. Tak czy inaczej, im mniej wie, tym lepiej.

- Cóż, to świetna oferta. Clive nie zamierza chyba wystąpić przeciwko kontraktowi?

- Nie wiem, nic mi o tym nie mówił. A co z Amandą?

- Potrafię sobie z nią poradzić.

Amanda przypomina szerszenia, pomyślał. „Bzyczy i gryzie. Wiadomo jednak przynajmniej, o co jej chodzi: o pieniądze. O cóż by innego? Wszyscy chcą pieniędzy, wyjątek stanowią tylko takie typy jak Dan. Każdy pragnie zgromadzić jak największą górkę forsy. Podróżować, zwiedzać świat, niczym się nie przejmować i nie pracować. Muszę wbić Amandzie do głowy, że dostanie pieniądze tylko wtedy, gdy zdecydowanie poprze sprzedaż lasów. Nie może mieć co do tego żadnych wątpliwości. Jest śliska jak węgorz...

- Amanda to suka - oświadczył. - Ale są różne rodzaje suk.

- Nie mówisz chyba o mnie!

- Nie kokietuj mnie. Tak, mówię również o tobie, ale ty jesteś inna. Z Amandą łączy cię tylko jedno: obie jesteście twarde, inteligentne i szybkie. I potraficie zadbać o swoje interesy.

- Musimy, kiedy gramy z mężczyznami. Przepraszam cię, idę do toalety.

Ledwo odeszła od stolika, a już obok łana pojawił się dawny znajomy z klubu tenisowego.

- Hej, kto to taki? - zapytał szeptem. Co jest grane?

- Nic - ze śmiechem odpowiedział hm. To moja bratowa. Wiesz, że Clive jest w szpitalu.'

- Jasne, posłałem mu nawet kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia. Jak się czuje?

- Chyba wszystko będzie w porządku, dziękuję.

- Dalej nie rozumiem... Twoja bratowa? Nie chcesz chyba powiedzieć, że to żona Clive'a?

- Tak jest.

- Nie do wiary! Nigdy bym nie przypuszczał! Oczywiście nie mam na myśli nic złego - dodał mężczyzna, widząc, że łan marszczy brwi.

Łan wiedział, że jego oczy pełne są gniewu, którego przyczyną nie był wcale ten nietaktowny głupiec, ale sytuacja. Najlepiej będzie wyjść stąd jak najszybciej i unikać następnych pytań.

W samochodzie znowu milczeli, dopóki Roxanne nie pochyliła się naprzód, włączając radio.

- Nie będzie ci przeszkadzać? - zapytała.

- Nie, skądże.

Prowadzący puszczał stare musicalowe melodie z lat czterdziestych i pięćdziesiątych, głównie przeboje z *South Pacific* i *My Fair Lady*. Roxanne bardzo je lubiła, chętnie podśpiewywała wraz z wykonawcami piosenek, w których najczęściej powtarzały się słowa takie jak „wiosna” i „światło księżycy”. Nawet łan nie mógł zaprzeczyć, że dawne przeboje były bardzo sympatyczne.

Włosy Roxanne pachniały jakimś słodkim, kwiatowym zapachem. Zrobiło się chłodno, więc łan nie otwierał okien. W zamkniętej przestrzeni aromat wydawał się wyjątkowo mocny. Używała nowych perfum, nie znał ich.

Wiesz, że Clive kupił mi szczeniaczka? - zapytała.

- Nie.

Czyżby wyobrażała sobie, że szefowie firmy rozmawiają w biurze o prezentach i szczeniakach?

- No, właśnie. Cudnego mopsika. Jest szarobeżowy, z ciemnymi policzkami. Mopsy to ulubiona rasa Windsorów, mają ich całe mnóstwo.

- Naprawdę?

Była bardzo sprytna i wybitnie inteligentna, ale potrafiła też szczebiotać jak idiotka.

- Jesteśmy - powiedziała, kiedy opony zaszurały na żwirze. - Wstąpisz na chwilę, żeby go zobaczyć? Siedział sam prawie przez cały dzień, ale nie mogłam przecież nie pojechać do Clive'a...

Ten zapach był obezwładniający... Zapadła już ciemna, jesienna noc. Dni były teraz coraz krótsze i coraz bardziej ponure, zbliżała się zima. Właściwie to lubił zimę. Oczywiście wolał wiosnę i lato, ale zima też mogła być przyjemna. Tylko jesień go przygnębiała. Nie miał ochoty wracać do pustego domu, jeszcze nie teraz.

Roxanne wysiadła z samochodu i pochyliła się ku niemu.

- Wejdiesz?

- Dobrze. Możesz pokazać mi dom.

Mógł dodać: „Happy mówiła, że jest piękny”, ale nie był w stanie zmusić się do wypowiedzenia jej imienia. Nie tutaj.

Pierwszą rzeczą, na jaką zwrócił uwagę, były kręcone, szerokie, wygodne schody. Nie budowano teraz takich, ponieważ mało kogo było na to stać. Dom niewątpliwie pochodził sprzed drugiej wojny światowej. Tapeta robiła wrażenie dziewiętnastowiecznej. Na pewno wybierał ją Clive. Taki właśnie miał gust, zdaniem lana odrobinę zbyt staroświecki, ale ogólnie rzecz biorąc bardzo dobry.

Natomiast kuchnia była bardzo nowoczesna. Wszędzie lśniła biała porcelana i miedź, wszystko nowiuteńkie. I drogie. Clive nie żałował pieniędzy.

Z materacyka w kącie podniósł się okrągły, tłusty szczeniak. Śmiesznym truchtem ruszył ku Roxanne, ostro szczekając na powitanie. Dziewczyna podniosła go i przytuliła policzek do miękkiej sierści.

- Biedny Angel. Tak się nazywa, wiesz? Angel - aniołek.

To mój pomysł, może trochę głupi, bo to imię raczej dla suczki, a on jest bardzo groźnym, niegrzecznym chłopcem...

- Nie martw się, to dobre imię. Aniołki mogą być też rodzaju męskiego.

- Naprawdę? Clive też tak mówił, ale mu nie uwierzyłam, myślałam, że żartuje. Angel chce dostać obiadek, tak? Zobacz, zrobił siusiu na gazetę. Szybko się uczy. Napijesz się brandy, lanie? Jest w barku w gabinecie. Światło powinno być zapalone...

Mówiła bardzo szybko, chciała go chyba zatrzymać, upewnić się, że nie powie nagle: „Nie, dziękuję, muszę już jechać”. Ale on miał ochotę spokojnie napić się brandy, jak zwykle po obiedzie, i dopiero wtedy wyruszyć do domu. Jeżeli myślała, że wydarzy się między nimi coś więcej, to była w błędzie. Z drugiej strony Ian sam nie wierzył, aby chciała zaryzykować wszystko, co zdobyła, w zamian za jedną noc seksu.

W gabinecie było ciepło i tak być powinno. Kolory dywanów, zasłon i książek zlewały się tu ze sobą jak w witrażowym oknie, tworząc miłą dla oka mieszankę. Trzymając w dłoni kieliszek (piękny francuski kryształ, jakżeby inaczej), powoli przeszedł się po pokoju. Z ciekawości zerknął na stojące na półce książki Clive'a - matematyka, fizyka, czarne dziury, nanosekundy - i starannie odłożył je na miejsce.

Właśnie wtedy po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że Clive nigdy dotąd nie miał własnego miejsca. Serce Iana drgnęło w odruchu litości. Przez całe swoje życie Clive mieszkał w Hawthorne, razem z ojcem. Ale przecież nie była to niczyja wina. Może zresztą w ogóle nie można było mówić tu o winie - po prostu Clive był, jaki był.

Nigdy mnie nie lubił, pomyślał Ian. Od najwcześniejszego dzieciństwa... A ja? Szczerze mówiąc, nie zwracałem na niego uwagi. W moich oczach nie był nikim ważnym. Daj Boże, /chy teraz jego życie ułożyło się lepiej, inaczej. Mam nadzieję, że ta dziwna kobieta da mu szczęście. I że nie jest aż tak i hory, na jakiego wygląda...

Niespokojnie chodził po pokoju, ogrzewając brandy ciepłą dłonią, przyglądając się dwóm dużym krajobrazom na M tanie i fotografii rodziców, młodych i dumnych. Niżej stało niedawno zrobione zdjęcie Clive'a z siedzącą na kucyku có-

reczką Dana. Przyszło mu do głowy, że mała na pewno wyrośnie na piękność, kiedy w drzwiach pojawiła się Roxanne.

Przebrała się w krótką, luźną letnią sukienkę z cienkiego, jasnozielonego materiału. Włosy, wcześniej spięte gładko na karku spinką w kształcie płaskiej kokardy, teraz opadały luźno na ramiona.

- Obiecałam Clive'owi, że ugotuję mu zupę ziemniaczaną. Jutro wyjmą mu z ust tę rurę i chyba będzie mógł coś zjeść. Nie mogłam przecież zabrać się do kucharzenia w kostiumie, prawda?

Jej piersi kołysały się lekko w rytmie kroków... Na miłość boską, była chyba zupełnie naga pod tą sukienką! Ian podniósł szybko oprawione w prostą ramkę zdjęcie.

- Ładne zdjęcie Clive'a i Tiny.

- Clive uwielbia tego dzieciaka.

- Tina jest śliczna. Kiedyś będzie ładniejsza od Sally. Zawsze podziwiałem urodę żony Dana.

Niech sobie nie myśli, że jest jedyną kobietą, która może się podobać, pomyślał.

- Z Tiną dzieje się coś złego.

- Złego? - powtórzył. - Jest uparta i trochę rozpuszczona, to wszystko. Dużo dzieci przechodzi taki etap w życiu, a potem wyrastają na porządnych ludzi.

- Nie, w jej wypadku to coś więcej. Dużo przebywałam z dziećmi i nieźle je rozumiem. Sally zaprosiła mnie któregoś dnia, żebym rzuciła okiem na coś, co zrobiła u nich ta sama kobieta, której Clive zlecił dekorację naszego domu. Tina nie chciała się odezwać. Ani do mnie, ani do Sally, do nikogo. Byłam tam ponad godzinę, a ona przez cały ten czas puszczała tylko jakąś cholerną karuzelę.

Ian poczuł się urażony, że Roxanne śmie mówić, iż z dzieckiem należącym do rodziny Greyów, nawet takim, które sam w myślach nazywał „bachorem”, jest coś nie tak. Happy wspominała mu o jakichś problemach z Tiną. Nie wiedziała, na czym one polegają, była jednak pewna, że Sally i Dan mają zamiar „zwrócić się o pomoc do specjalisty”. Ten eufemistyczny zwrot oznaczał po prostu, że rodzice są bliscy szaleństwa i nie mają pojęcia, jak poradzić sobie z trudnym dzieckiem. Zdaje się, że na zorganizowanej przez Happy przedszkolnej zabawie Tina zachowała się jak rozkapryszony,

wściekły bachor. Szkoda. Mała była naprawdę śliczna z tymi jasnymi oczyma, które odziedziczyła po Danie, i gęstymi, czarnymi włosami Sally. Jeszcze dziesięć lat i stanie się piękną, bardzo piękną, pełną uroku dziewczyną o nieskazitelnych manierach, chociaż być może teraz trudno to sobie wyobrazić.

- Nie jestem psychiatrą, ale...

- Masz rację, nie jesteś - przerwał jej Ian. - Lepiej zmienmy temat.

- Clive chce, żebyśmy mieli dziecko. Bardzo pragnie mieć własną małą dziewczynkę.

- No więc? Co cię powstrzymuje? Masz przecież obrączkę na palcu. Możesz sobie na to pozwolić.

Wiedział, że zachowuje się szorstko i zimno, ale sama myśl o Roxanne w ramionach Clive'a jak zawsze budziła w nim wściekłość.

- Rzeczywiście mogę. I chyba będę musiała. Ale... Tak bardzo bym chciała, żeby to dziecko było twoje. Nasze.

Rzuciła mu błagalne spojrzenie spod długich rzęs. Ian odstawił do połowy opróżniony kieliszek.

- Mówiłem ci już... - zaczął.

- Och, dobrze, przepraszam. Musisz jednak przyznać, że byłoby to bardzo miłe. Z naszym wyglądem na pewno mielibyśmy piękne dziecko.

Zawsze chciałem mieć dziecko, pomyślał Ian. Najlepiej chłopca. Ale jego matką musiałyby być Happy, nie Roxanne. Dlaczego? Z powodu tej rysy w jej charakterze. Nie, nie chodzi o chciwość, w końcu ja sam też jestem chciwy, ale o przebiegłość. Nie chcę, żeby moje dziecko było przebiegłe, podstępne...

- Czy teraz, kiedy masz już to wszystko, dobrze się czujesz w naszej rodzinie? - zapytał z ciekawością. - Przeobraziłaś się w zupełnie inną osobę, jak bardzo utalentowana aktorka, którą zresztą jesteś...

Długą chwilę zastanawiała się nad jego pytaniem.

Czułabym się lepiej, gdyby ten dom należał do ciebie - odpowiedziała poważnie. - Bo wtedy byłby pełen miłości, lozumiesz? - Widząc dezaprobatę na jego twarzy, roześmiała się. - Ale cóż, ponieważ nie pasuję już do rodziny mojego ojca, zostanę tutaj i postaram się nie zmarnować swojej wielkiej szansy.

Przez głowę przemknęła mu myśl, że właściwie wcale jej nie lubi.

- Biedactwo - rzucił sucho.

- Zawsze jesteś sarkastyczny.

- Nie zawsze. - Ziewnął szeroko. - Przepraszam. Mamy za sobą długi dzień, naprawdę muszę już jechać.

- Myślałam, że chcesz obejrzeć dom. Chodźmy na górę, oprowadzę cię. To nie potrwa długo.

Poszedł za nią, odrobinę niechętny, lecz zaciekawiony. Szczeniak wdrapywał się na schody, posapując cicho.

- Pokażę ci, gdzie śpi Angel - powiedziała. - Tu, w nogach naszego łóżka...

Niskie, szerokie łóże przykryte było miękką narzutą w żółte kwiaty. Posłanie psa stanowiło jego miniaturową kopię.

- Śliczne, prawda? Sama znalazłam w gazecie adres firmy, która robi posłania dla psów na wzór łóżek właścicieli. Zobacz, ma tu nawet poduszkę.

Ilan nie patrzył na psie łóżko, lecz na łóże małżeńskie. Wściekłość, ta sama wściekłość, z którą walczył od czerwca i którą prawie opanował, teraz wyrwała się spod kontroli i załapała go gorącą falą. Czuł jej smak w ustach, ostry i palący, jak pieprz.

- A tu jest łazienka. Większa niż pokój, w którym sypiałam w domu. Mamy jacuzzi i świetlik w suficie, zgodnie z projektem Clive'a. O co chodzi, nie podoba ci się?

- Nie, wręcz odwrotnie. Wszystko bardzo mi się podoba.

- Teraz posłuchaj... - Nacisnęła kontakt i pokój wypełniła muzyka. - Tak jest w całym domu, wszędzie możesz włączyć muzykę - oznajmiła z dumą, zupełnie jakby nikt nie słyszał wcześniej o takim wynalazku.

Cóż, najwyraźniej dla niej była to nowość.

- Bardzo przyjemnie - powiedział.

- Clive lubi słuchać muzyki w łóżku. To miłe, chociaż niestety mamy różne upodobania. On lubi Moz... Moz...

- Mozarta.

- Ale lubi też słuchać tego, co ja. Czasami trochę tańczymy. Nauczyłam go. Popatrz.

Pogłośniła muzykę i w pokoju zabrzmiał rytmiczny, ostry rock. Roxanne zawirowała, lekkim krokiem popłynęła długim korytarzem i zawróciła w kierunku lana, potrząsając piersia-

mi i unosząc krótką, szeroką spódniczkę. Teraz wiedział już to, co wcześniej podejrzewał - nie miała na sobie bielizny.

- I jak? - zapytała.

Jej oczy lśniły, oddychała szybko. I nagle rzuciła mu się na szyję.

- Jeden pocałunek, nie wymiguj się. To chyba niewiele.

Jej perfumy pachniały różami, sosną, świeżym sianem, nagrzanymi słońcem owocami, ciepłą kobietą. Jej wargi miały smak malin. Próbował uwolnić się z jej ciasnego uścisku, ale nie mógł, była zbyt silna. On był na pewno silniejszy, ale jednak nie potrafił jej się wyrwać, a później już nie chciał. Nie przerwałby tego, co się między nimi zaczęło, nawet gdyby ktoś przyłożył mu lufę pistoletu do skroni. Nie odrywając ust od jej warg, wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko w pokoju gościnnym.

Nie stać go było na żadną rozsądną myśl, wiedział jednak, że nie mogą zrobić tego w tamtym pokoju, nie tam, gdzie ona leży obok jego brata... Potem nie myślał już o niczym.

Obudził się i spojrzał na zegarek. Dochodziła północ. Roxanne patrzyła na niego, więc oparł się na łokciu i zmarszczył brwi.

- Nie wiesz, że ludzie nie lubią, kiedy obserwuje się ich podczas snu?

- Jak to możliwe? Skoro śpią, to przecież nie wiedzą, że ktoś im się przygląda...

- Och, nie bądź głupia.

- Mężczyźni lubią myśleć, że kobiety są głupie. Musiał się uśmiechnąć. Do diabła, mówiła zupełnie jak

Amanda Grey.

- Jesteś taki słodki, kiedy się uśmiechasz, lanie.

Jego uśmiech zgasł w jednej chwili. Na miłość boską, co on najlepszego zrobił? W co się wpakował? Czy przez te wszystkie lata nie miał dość wyrzutów sumienia, że krzywdzi Happy? A teraz popełnił podwójny grzech. Oby tylko Roxanne nie wpadła na żaden głupi pomysł, bo to by oznaczało, że zniszczył Clive'owi życie. Być może ostatnie lata, jakie pozostały temu biedakowi...

- Nie patrz na mnie z taką rozpaczą - odezwała się, jakby czytając w jego myślach. - Nikomu niczego nie zabieramy.

Wstał pospiesznie i zaczął się ubierać. Był bardzo niespokojny.

- Kiedy przyjechałem tu pierwszy raz, powiedziałaś, że masz zamiar być wierna Clive'owi, że chcesz dotrzymać swojej strony układu. Jeżeli tego nie zrobisz...

- Zamierzam dotrzymać wszystkiego, co obiecałam. Bardzo polubiłam Clive'a, ale to nie ma z nim nic wspólnego. Nigdy się o tym nie dowie - powiedziała spokojnie, wkładając zieloną sukienkę.

Jakie to wszystko było dziwne! Kilka godzin temu nagięła go do swojej woli, sprawiła, że pragnął tego samego, co ona, tymczasem teraz czuł jedynie wielkie zmęczenie oraz strach i chciał jak najszybciej się z nią rozstać. Długą chwilę szukał odpowiednich słów, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

- Ty... Ty aktorko! - wymamrotał.

- Niczego nie udawałam. - Roxanne spojrzała mu w oczy. - Wszystko było prawdziwe. I ty o tym wiesz.

Zbiegł po schodach tak szybko, że dogoniła go dopiero na dole.

- Wiesz, że będziesz chciał zrobić to znowu. Jesteśmy to sobie winni, lanie. Kiedy?

- Dopóki twój mąż jest w szpitalu...

- Niedługo wróci. Co wtedy?

- Znasz odpowiedź.

- Ale my naprawdę jesteśmy to sobie winni - powiedziała błagalnie. - Nikomu nie robimy krzywdy!

- Zapomniałaś o zupie ziemniaczanej! - zawołał już z progu.

- O, mój Boże!

Wsiadając do samochodu, widział, jak obiera ziemniaki w jasno oświetlonej kuchni. Obierała je i płakała. Wpakował się w straszną kabałę.

Kiedy wszedł do pustego domu, cisza prawie go ogłuszyła. Nie było nawet psa - Happy zabrała go ze sobą, żeby nie musiał całymi dniami siedzieć w domu sam.

Od razu zauważył szybko mrugające czerwone światełko na pulpicie sekretarki automatycznej. Wiedział, że za chwilę usłyszy głos Happy.

- Jest jedenasta wieczorem. Ponieważ jeszcze me dzwoniłeś, domyślam się, że z Clivem nie jest dobrze. Wiem, że me będziesz chciał budzić tu wszystkich po północy, ale bardzo proszę cię o telefon z samego rana, choćby o szóstej. Kocham cię. Dobranoc.

lan objął głowę rękoma. O, cholera, cholera, cholera! Położył się, nie mógł jednak przestać myśleć o minionym dniu i mijającej nocy.

Doszedł do wniosku, że zachowuje się jak alkoholik, człowiek który przez pewien czas świetnie sobie radzi bez wódki, ale kiedy zostaje sam na sam z butelką, nie może się powstrzymać. A może po prostu utkwił w wieku dojrzewania i nigdy naprawdę nie wydorósł? O ilez prostsze byłoby jego życie gdyby miał taki spokojny charakter jak Dan... Nie żeby Dan był doskonały, o nie! Był uparty jak osioł. Wystarczy jeden przykład - stanowisko, jakie zajął w sprawie sprzedaży lasów. Tak, był uparty, głupi i sentymentalny.

Umysł lana przeskakiwał od jednej myśli do drugiej, lyle problemów - Amanda, Dan, choroba Clive'a. Wszystko na raz. Dlatego nie mógł zasnąć. Zszedł na dół po poranną gazetę, wrócił do łóżka i zabrał się za lekturę.

Same złe wiadomości. Oczywiście, dziennikarze rozpisują się wyłącznie o katastrofach i tragediach, bo dziś tylko takie wydarzenia przyciągają uwagę. Zadrzał. Ciekawe, czy Roxan-ne może okazać się niebezpieczna. Prawdopodobnie nie, ale z drugiej strony, kto wie. Była porywcza, gwałtowna. Nigdy więcej, naprawdę nigdy więcej nie chce zostać z nią sam

na sam. .

Wiedział jednak, i myśl o tym do głębi go przerażała, że kiedyś znowu może zostać z nią sam, a wtedy... Roztańczone białe nogi, wielkie oczy roześmiane, kpiące, smak malin na jej wargach... Dokąd to wszystko prowadzi? Nic me pozostaje w nie zmienionym kształcie, to jedno było pewne. Cos musi się stać. Ale co?

- Ach, do diabła! - krzyknął.

Rzucił gazetę na podłogę i zgasił lampę. Za oknem wstawał już dzień.

Rozdział trzynasty

Grudzień 1990

Zbierało się na burzę. Wiatr osiągał już siłę huraganu. A jeśli to pożar, zrodzony z małego płomyczka w poszyciu leśnym, który wkrótce miał ogarnąć z hukiem wysokie drzewa? „Może moglibyśmy go jeszcze powstrzymać”, myślał Ian Ale jak?

Zapalił lampę nad biurkiem i po raz trzeci tego ranka zaczął czytać gazetę.

„Mówi się...” - tu Ian parsknął śmiechem, pełen pogardy dla dziennikarzy lokalnej gazety, którzy zajmowali się chyba głównie podsłuchiwaniami - „Mówi się, że dwaj kuzyni, Ian i Daniel Grey, nie rozmawiają ze sobą i porozumiewają się wyłącznie za pośrednictwem sekretarek”.

W zasadzie była to prawda, Ian ominął wzrokiem artykuł wstępny i czytał dalej:

„Sytuację komplikuje oferta złożona przez grupę europejskich biznesmenów, którzy pragną wybudować osadę miejską w południowej części lasów, od ponad wieku pozostających własnością rodziny Greyów. Wewnętrznym dysputom rodzinnym, o których krąży już wiele plotek (i nic dziwnego, biorąc pod uwagę status Greyów), towarzyszy konflikt między ekologami i zwolennikami wyżej wymienionego przedsięwzięcia. Nas samych najbardziej interesuje jednak kwestia przetrwania tej szanowanej firmy, która od tak dawna odgrywa dominującą rolę w życiu ekonomicznym, kulturalnym i charytatywnym naszej społeczności. Scythia, a właściwie cały region, farmerzy, robotnicy i ich rodziny nie chcą upadku Grey's Foods, ponieważ ich egzystencja uzależniona jest od powodzenia firmy. Możemy tylko żywić nadzieję, że Greyowie zapanują nad

emocjami i nie zrobią nic, co mogłoby zaszkodzić rodzinnemu przedsiębiorstwu".

„Zapanują nad emocjami”, dobre sobie. Ilu dobrych obywateli Scythii odrzuciłoby dwadzieścia osiem milionów dolarów? No ilu? A jednak wszyscy spodziewali się, że Ian właśnie tak postąpi.

Na stronie obok znajdowało się duże, płatne ogłoszenie z tekstem podpisanym przez „zaniepokojonych obywateli”, którzy założyli Komitet na rzecz Malowania Lasów Greyów. Na kolejnej stronie opublikowano listy od wielbicieli czystej przyrody i od zwolenników zagranicznej oferty. Większość utrzymana była w tonie oburzenia i goryczy.

Ian odrzucił gazetę i sięgnął po listy. Czytając je, mamrotał do siebie pod nosem. Jeden był od Amandy jeszcze jedno ultimatum, tym razem z ostateczną datą, do pierwszego stycznia nowego roku, kiedy to Amanda sama wybierze się na wschód. Drugi nadesłali jej nowojorscy prawnicy z jednej z najlepszych w kraju firm adwokackich, której pracownicy liczyli sobie pięćset dolarów za godzinę konsultacji. Amanda najwyraźniej nie żartowała, skoro zdecydowała się zainwestować aż tyle. Ian czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Kolejny list, od prawników konsorcjum, z fotokopiami nadesłanych ze Szwecji dokumentów - oni także żądali podjęcia odpowiednich kroków z dniem pierwszym stycznia. Ostrzegali równocześnie, że zawarcie kontraktu nie jest jeszcze absolutnie pewne, ponieważ wiele kwestii wymaga dopracowania. I wreszcie ostatni list, od radców prawnych Grey's Foods, zawierający bite trzy strony ostrożnej analizy umowy.

Zerwał się z miejsca i wypadł z gabinetu, trzaskając drzwiami tak głośno, że sekretarka podskoczyła na krześle i rzuciła za nim przerażone spojrzenie. Wielkimi krokami przemierzył korytarz i bez pukania wszedł go pokoju Dana.

- I co? - krzyknął. - Jesteś już po porannej lekturze?
- Sądzę, że chodzi ci o list Amandy.
- Tak, o list od szybkostrzelnej Amandy. I jej prawników. Huści nas z torbami.
- Niekoniecznie. Nadal uważam, że nie powinniśmy ustępować. Na pewno znajdzie się jakieś wyjście.

Ian miał czasami dosyć spokoju Dana i jego idiotycznego optymizmu.

- Jedyne wyjście to zawarcie umowy ze Szwedami. Tłumaczyłem ci to już sto razy. Z taką gotówką możemy...

Dan uniósł dłoń.

- Błagam cię, daj spokój.

- Dlaczego mnie nie posłuchasz, do diabła?! To nasza jedyna szansa. Szwedzi widzą, że coś kręcimy, a ty siedzisz tu jak idiota! Nie mogę namawiać Clive'a, nakłaniać go ani nawet z nim rozmawiać, bo jest zbyt chory. Jesteśmy w impasie - ja i Amanda przeciwko tobie i Clive'owi. A jeśli nie podpiszemy umowy i zostaniemy z Amandą na karku? Zbankrutujemy. Rozumiesz? Firma Grey's Foods pójdzie na dno!

- Myślałem, że i tak chcesz się pozbyć firmy, żeby prowadzić przyjemne życie i cieszyć się nim, póki jesteś młody -z goryczą powiedział Dan. - Tak mówiłeś.

- Nie. Jestem gotów zapłacić za swoją część i pozwolić ci prowadzić firmę do spółki z Clive'em.

- Dobrze wiesz, że nie poradzimy sobie we dwóch, nawet jeżeli Clive wyzdrowieje.

- Wyzdrowieje. Został mu już tylko miesiąc chemioterapii, może nawet mniej. Naprawdę uważam, że moglibyście pokierować Grey's Foods we dwóch.

- Nie. Poza tym sam przed chwilą powiedziałeś, że jest zbyt chory, aby z nim rozmawiać.

- Przestań wreszcie czepiać się słów! W porządku, nie dacie sobie rady z firmą, więc trzeba ją zamknąć. Zlikwidować. Istnieje jednak ogromna różnica między likwidacją z naszego wyboru a bankructwem, do którego może doprowadzić nas Amanda.

- Zlikwidować... - powtórzył Dan.

Podniósł się zza biurka i podszedł do okna, z którego widać było nowe skrzydło biurowca, magazyny, bocznice kolejową, ciężarówkę załadowaną pomidorami, wjeżdżającą właśnie na dziedziniec, trzy inne, wyjeżdżające z produktami przeznaczonymi dla sklepów na terenie całego kraju oraz starego Feliksa, emerytowanego pracownika Grey's Foods, który codziennie odwiedzał dawną firmę, ponieważ nigdy nie przestała być jego domem. Szczególna panorama.

Jan nie musiał wyglądać przez okno. Dobrze wiedział, co widzi przed sobą Dan. Wiedział także, co myśli jego kuzyn, bo wiele razy słyszał już te słowa. „To rodzinne przedsię-

biorstwo, tak długo i z takim wysiłkiem budowane, miałoby przejść teraz w obce ręce? A może czeka je jeszcze gorszy los? Może zostanie wchłonięte przez jakąś megakorporację, podzielone na drobne części, aż wreszcie zlikwidowane?". W tych słowach krył się nie tylko ból, ale i prawda, Ian odkrył nagle, że cierpi wraz z Danem.

Ale dwadzieścia osiem milionów dolarów...

- Jeżeli musimy zatonać, to zrobmy to przynajmniej z godnością, Dan. Lepiej, żebyśmy załatwili sprawę sami niż rękami Amandy.

Nawet stąd, z drugiego końca dużego pokoju, wyraźnie usłyszał ciężkie westchnienie. Po długiej chwili Dan odwrócił się od okna. Jego twarz była pełna smutku i żalu. Ian pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział kuzyna w stanie tak głębokiego przygnębienia.

- Dobrze, łanie, poddaję się - powiedział spokojnie. - Zajmij się wszystkim. Rób, co uważasz za konieczne.

Popołudnie było niezwykle łagodne, biorąc pod uwagę, że kończył się już pierwszy tydzień grudnia. Ostatnie liście opadały powoli na ziemię. Cichy, bezwietrzny dzień.

Sally, Clive i Dan szli z wolna po padoku szkółki jeździeckiej.

- Zabierzmy Clive'a na przejażdżkę w sobotę po południu - zaproponował poprzedniego dnia Dan. - Już od dawna chce zobaczyć swojego konia, a Roxanne gdzie się chyba wybiera.

Sally pomyślała, że Clive wygląda strasznie. Nie chodziło o to, że stracił prawie wszystkie włosy, z wyjątkiem rzadkiego wianuszka wokół głowy, ale o dziwny odcień skóry, białej jak brzuch zdechłej ryby. Lekarze twierdzili jednak, że wyniki badań są doskonałe, a sam Clive utrzymywał, iż czuje się coraz lepiej. Po każdej chemioterapii musiał co prawda odpoczywać w domu, ale zaczął już regularnie pojawiać się w biurze.

Jak się czujesz? - zapytał Dan. - Jeżeli chcesz, możemy na chwilę usiąść na ławce.

Usiądźmy, bo jestem jeszcze trochę osłabiony. Wydaje

mi się, że minęło już wiele lat, odkąd ostatni raz siedziałem w siodle.

- Wkrótce znowu będziesz jeździł - powiedział Dan. - Szybciej niż myślisz.

- Mam nadzieję. Mocno w to wierzę.

Clive miał w sobie ogromną odwagę i nie pozwalał, aby się nad nim litowano. A jednak Sally się litowała. Odważnym ludziom także należało się przecież współczucie.

- Myślałem, że przywieziecie Tinę - odezwał się Clive. - Tak rzadko ją teraz widuję...

Oboje prosili Tinę, aby przyjechała tu dziś razem z nimi, dziewczynka przechodziła jednak kolejny okres milczenia, nie chcieli więc nalegać. Dobry Boże, jak długo to jeszcze potrwa, westchnęła Sally w myśli.

- Przyjedzie z nami następnym razem - skłamała. - Odwiedziła ją przyjaciółka i tak dobrze się bawiły, że nie chcieliśmy im przerywać.

- Oczywiście - przytaknął Clive.

Siedzieli spokojnie, przyglądając się koniom. Przez głowę Sally przemknęła myśl, że ludzie bardzo chorzy, a także wracający do zdrowia po ciężkiej chorobie żyją chyba przez pewien czas w innym świecie, gdzieś obok zdrowych. Widok zdrowych, silnych zwierząt i aromat czystego powietrza musiał działać na Clive'a jak najlepsze lekarstwo, bo odpoczywał między nimi bez słowa, wyraźnie zadowolony i wdzięczny za tę wyprawę.

- W przyszłym tygodniu wraca ojciec. Dzwoni codziennie, aby dowiedzieć się, jak sobie radzę.

- Dostanie spory rachunek do uregulowania - zażartował Dan.

- Chce spędzić kilka dni w Red Hill, tuż przed świętami. Wiesz o tym?

- Słyszałem.

- Bardzo się z tego cieszę. Od dawna miałem ochotę wybrać się na dłużej do nowego domku. Roxanne i ja będziemy tam nocować, a na posiłki zamierzamy przychodzić do głównego domu. To nasze pierwsze wspólne święta, Roxanne i moje. - Clive się zamyślił. - Żałuję, że nie wyglądam trochę lepiej. Kiedy przechodzę obok lustra, robi mi się niedobrze. Wprawdzie nigdy nie byłem przystojny, ale jednak...

- Chodzi ci o włosy? - wtrąciła szybko Sally. - Z czasem odrosną. Nie przejmuj się tym.

Clive odwrócił się i spojrzał na nią uważnie.

- Jesteś dla mnie bardzo dobra, Sally. Nie miałem ci jeszcze okazji podziękować za to, że tak serdecznie potraktowałaś Roxanne. Ty i Happy. Jeśli chodzi o Iana, to zupełnie go nie rozumiem. Odwiedzał mnie w szpitalu, bardzo mi pomagał i nadal pomaga, ale nigdy do nas nie zagląda, nigdy nawet nie zapyta o moją żonę. Wiem, że był poruszony moim małżeństwem, zresztą wy wszyscy także, lecz nie ma chyba powodu, by tak się zachowywał. Nie rozumiem tego, naprawdę.

- Ian przeżywa teraz trudny okres powiedział Dan. - Nie jestem pewien, czy wiesz...

- Wiem, czytałem dzisiejszą gazetę. Clive uśmiechnął się lekko. - O listach też wiem. Moja sekretarka próbowała ukryć przede mną ich kopie, ale zmusiłem ją, żeby mi je oddała.

- Nie chcieliśmy, żebyś się martwił.

- Rozumiem. - Clive przerwał na chwilę. - Wiem, że mogę rozmawiać z wami zupełnie szczerze, więc powiem, co myślę. Amanda to jeszcze jedna osoba, której postępowania nie pojmuję. To prawda, że znam ją bardzo mało, nie potrafię jednak zrozumieć chciwości jej i Iana. Nie są przecież ubodzy...

- Ja też tego nie rozumiem - oświadczył Dan.

- Iana nie da się przekonać, ale może ojcu się uda nakłonić Amandę do zmiany decyzji.

- Może - powiedział Dan.

Dan zdaje sobie sprawę, że wszystko zaszło już za daleko, pomyślała Sally. Było jej go bardzo żal. Żałowała także cichego, pradawnego lasu, który miała teraz przed sobą.

Dan odchrząknął.

- Clive, podjąłem już decyzję - oświadczył. - Poddaję się. Szwedzi i cała ta reszta, Ian, Amanda - wszystko sprzysięgło się przeciwko nam. Nie wygramy tej bitwy. Nie mamy wyjścia.

Co ty mówisz?

Powiedziałem Ianowi, żeby robił, co uważa za słuszne. Skończyłem z tym i zwalniam cię z danego słowa. Powinniśmy chyba stanąć po stronie Iana i zobaczyć, jak się sprawy potoczą.

- Dan, nie możesz tego zrobić.
- Mam dalej walić głową w mur? A właściwie w dwa mury na raz?
- Opowiadam się za pozostawieniem lasów i przeciwko konsorcjum. Podpisanie tej umowy złamie serce ojcu, a i tobie także.

- Oliver nie zajął żadnego stanowiska, Clive.
- Tylko dlatego, że nie chce nikogo zranić. Taki już jest, lecz ja wiem, co dzieje się w jego sercu. - Clive podniósł głowę i roześmiał się. - Może na to nie wyglądam, ale lubię walkę. To zabawne, nawet Roxanne próbowała ostatnio rozmawiać ze mną o tej sprawie. Nie podejrzewałem, że ją to interesuje. Widać Happy opowiedziała jej o wszystkim. Roxanne uważa, że powinienem poprzeć lana, głosować za konsorcjum.

Dziwne, pomyślała Sally. Happy nigdy nie rozmawia ze mną o interesach. Żadna z nas nie porusza zresztą tego tematu, chociaż nigdy nie ustalałyśmy, że tak właśnie ma być.

- Suma jest kusząca - ciągnął Clive, nadal śmiejąc się cicho. - Dwadzieścia osiem milionów - ogromne pieniądze, zwłaszcza dla kogoś, kto nigdy nie miał ani grosza. Roxanne tak się cieszy wszystkim, co dostaje! Aż miło na nią patrzeć, kiedy krząta się po domu, gotuje, piecze... Wspaniała z niej kucharka i bardzo dba o dom.

Sally ucieszyła się, że Clive zmienił temat. Rozmowa o interesach wyraźnie przygnębiła Dana. Cóż, kłopoty w firmie plus nieustanny niepokój o dziecko - każdy byłby tym wyczerpany.

- Roxanne kocha dom. Czasami wychodzi po południu i wtedy bardzo mi jej brakuje. Dom też zamiera, jakby w oczekiwaniu na jej powrót.

Naprawdę wyglądał na szczęśliwego, jego twarz nosiła wyraz głębokiego spokoju. Sally nigdy nie słyszała, aby mówił o sobie tak otwarcie. Było to sprzeczne z jego charakterem, a jednak Roxanne udało się przełamać w nim jakąś barierę.

- Nie zdawałem sobie sprawy, jak wspaniałe może być życie - ciągnął Clive. - A wszystko zaczęło się zaledwie sześć miesięcy temu. Wyobraźcie sobie na chwilę fajerwerki, które wybuchają na niebie czwartego lipca, te wspaniałe kwia-

ty z iskier, nagle rozkwitające w ciemności. Właśnie coś takiego wydarzyło się w moim życiu.

Zdumiewające, że ten prozaiczny człowiek tworzył w myśli takie poetyckie obrazy. Nigdy nie wiadomo, co można odkryć w innych! Sally ze wstydem przypomniała sobie podejrzenia, które jeszcze niedawno ją dręczyły.

- Chcę powierzyć wam pewien sekret - nieśmiało powiedział Clive. - Roxanne jest w ciąży. To pierwsze tygodnie, więc na razie nie chce, abym to rozgłaszał, ale po prostu musiałem podzielić się z wami tą wiadomością.

- Gratulacje! - ucieszył się Dan. Wspaniale! Cudowna wiadomość!

- To naprawdę wspaniała nowina, Clive powiedziała Sally.

Przyszło jej do głowy, że ojciec dziecka może umrzeć przed jego przyjściem na świat, chociaż lekarze twierdzili, że wraca do zdrowia. Wyglądał jednak tak okropnie...

- Mam nadzieję, że nie będzie podobne do mnie - zupełnie poważnie powiedział Clive.

- Przestań się martwić swoim wyglądem - łagodnie skarciła go Sally. - Nieważne, do kogo będzie podobne, byle tylko było zdrowe.

Krótkie zimowe popołudnie miało się ku końcowi. Sally i Dan odwieźli Clive'a do domu i patrzyli chwilę, jak powoli, z wysiłkiem wchodzi na wzgórze, szuka klucza i wreszcie otwiera drzwi swojego pięknego domu.

- Mój Boże, Dan, jakie to smutne...

- Tak. Ale Clive naprawdę się zmienił. Kiedyś był oschły i złośliwy, teraz jest łagodny i pełen dobroci. Nie poznaję go. Ciekawe, co wywarło na niego tak wielki wpływ - choroba czy żona?

- Jedno i drugie.

Kiedy dotarli do najwyższego punktu drogi, skąd przez nagie gałęzie drzew widać było światła miasta, Dan zwolnił. Pracował tam mój ojciec... - mruknął. - I jego ojciec... Sally bez słowa położyła dłoń na jego ramieniu. Zrozumiała, że jej mąż opłakuje upadek Grey's Foods.

W następnym tygodniu lecę na pięć dni do Szkocji - odezwał się Dan. - Muszę dopilnować wstępnego etapu wy-

tworzenia nowego produktu. Jest to rodzaj mielonego mięsa do zapiekanek. Oczywiście wrócę na długo przed świętami.

- A więc jeszcze nie zrezygnowałeś?

- Jeszcze utrzymujemy się na powierzchni, chociaż nie sędzę, aby potrwało to zbyt długo. Ale dopóki żyjemy...

- Jesteś prawdziwym facetem, Danie Grey. Wiesz o tym?

- Byle wytrwać do pierwszego stycznia. Potem wszystko będzie już jasne.

Mogła przypomnieć mu teraz o obietnicy, że jeśli do końca roku stan Tiny nie ulegnie poprawie, poszukają nowego lekarza. Mogła opowiedzieć mu o awanturze, jaką wczoraj rano urządziła Tina, odmawiając pójścia do przedszkola. Mogła powiedzieć, że Happy, która zastała Sally zmęczoną i rozstrojoną, a Tinę krzyczącą histerycznie, zasugerowała, iż być może dziewczynce potrzebna jest pomoc.

- Byliście z nią u lekarza? - zapytała Happy, a kiedy Sally zaprzeczyła, raz jeszcze powtórzyła nazwisko doktor Lisie.

- Cieszy się doskonałą opinią - dodała. Sally nie odpowiedziała.

Mogła powiedzieć mu to wszystko, ale milczała. Dzień kończył się powoli, chłodny i smutny. Rok dobiegał końca. Pomyślała, że pozwoli, aby ostatnie dni grudnia minęły spokojnie. Potem nadejdzie nowy rok i wiele spraw znajdzie rozwiązanie.

Rozdział czternasty

Grudzień 1990

Ian podniósł brudne żaluzje i wyjrzał na parking. Ostry wiatr gonił liście po asfalcie, Ianowi wydawało się nawet, że słyszy żalosne skrzypienie szyldu motelu „Szczęśliwe chwile”. Była za kwadrans czwarta, ale dzień już się skończył i właściciel motelu zapalił kolorowe świąteczne lampki.

Ian nie cierpiał popołudniowych schadzek. Brakowało im podniecającej atmosfery wieczoru, która potrafiła dodać uroku nawet takiemu przygnębiającemu miejscu jak „Szczęśliwe godziny”.

Roxanne usiadła na łóżku i zadrżała.

- Ten pokój jest zimny i wilgotny jak wnętrze lodówki. Mogliby wstawić tu przynajmniej jakiś piecyk, do cholery.

Swoje rzeczy rzuciła na krzesło, jak zwykle, Ian podniósł jej nowe norki i rzucił okiem na metkę modnego nowojorskiego sklepu futrzarskiego. Futro było o wiele bardziej efektowne od tego, które sam podarował jej w zeszłym roku.

- Owiń się nim - rzucił krótko. - Czy mi się wydawało, czy naprawdę mówiłaś, że odczyłaś się przeklinać?

Roxanne się roześmiała.

- Klnę tylko wtedy, kiedy jestem z tobą. Przy tobie jestem sobą, to proste.

Czuł, że powinien okazać jej chociaż odrobinę czułości, ale nie zrobił tego. Był w ponurym nastroju. „Po odbyciu stosunku mężczyzna jest smutny” - pamiętał, że w szkole przeczytał kiedyś tę łacińską maksymę i chichotał nad nią razem z przyjaciółmi. Na przestrzeni następnych lat rzadko odczuwał ten smutek, a już z pewnością nie w czasie romansu z Roxanne. Tak czy inaczej, teraz miał wrażenie, że na jego barkach spoczął nagle ogromny ciężar.

Siedziała jak królowa, owinięta wspaniałym futrem gołębiego koloru, ze złotym łańcuszkiem połyskującym w rozchyleniu kołnierza. Po zaspokojeniu pożądania (Ian dobrze wiedział, że był jej nie mniej spragniony niż ona jego) miała chyba ochotę na długą, leniwą pogawędkę.

- Wstawaj - powiedział. - Nie wiem jak ty, ale ja muszę być w domu na kolacji. Mamy gości.

- Myślałam, że w tym tygodniu jesteście u waszego ojca w Red Hill. My pojechaliśmy tam wczoraj wieczorem. Dziś po południu musiałam wybrać się do dentysty, cha, cha.

Roxanne nie zdobyła się jeszcze na nazwanie Olivera „tata”, jak robiła to Happy. Może było tak dlatego, że miała własnego ojca, ale przecież Happy też go miała. Problem polegał chyba na tym, że Roxanne podziwiała Olivera i nieco się go obawiała. Nic dziwnego, wiele osób miało podobne odczucia, nawet kiedy starszy pan okazywał im serdeczność.

- Wybieramy się tam wieczorem, po wyjściu gości. Całe to rodzinne zebranie było pomysłem Clive'a. Ian nie

miał na nie szczególnej ochoty, ale biedny Clive na ogół nigdy o nic nie prosił i nawet teraz miał bardzo niewielkie wymagania. Może myślał, że to już jego ostatnie święta? Ian wyobraził sobie nagle Clive'a, siedzącego przed kominkiem z książką w ręku.

- Będzie to moje pierwsze Boże Narodzenie w waszej rodzinie - powiedziała Roxanne. - Nic się nie martw, doskonale dam sobie radę.

Dotknęła palcami warg, jakby chciała przesłać mu pocałunek. Często tak robiła, Ian poczuł, że ogarnia go irytacja.

- Zbieraj się, dobrze? Muszę jeszcze uregulować rachunek, a ty siedzisz i siedzisz.

- Już, już.

Ziewnęła, przeciągnęła się i naga wstała z łóżka. Schyliła się po rzeczy, zapięła biustonosz, wysuwając do przodu piersi i uniosła ramiona, aby włożyć sweter, a każdy jej ruch był powolny i pełen wdzięku, wystudiowany i pewny, jak gesty zawodowej striptizerki.

- Nic jeszcze nie widać - zauważył.

- Oczywiście, że nie. To dopiero drugi miesiąc.

Trzy tygodnie temu poinformowała go, że jest w ciąży, Ian

jednak nadal miał wrażenie, iż wszystko to tylko mu się przyśniło.

- Jesteś pewna, że to nie pomyłka? - pytał gorączkowo. - Na miłość boską, czy jesteś zupełnie pewna?

- Mówiłam ci, że byłam u lekarza. To nie pomyłka.

- Chodzi mi o to, czyje jest dziecko... - wyjąkał, przełykając obrzydzenie do samego siebie.

- Masz tupet, łanie, nie można powiedzieć.

- Mam prawo pytać. Byliśmy ze sobą tylko trzy razy, raz wtedy, u ciebie i dwa razy tutaj.

- Wystarczy raz, mój drogi. Dziwię ci się, że masz jakieś wątpliwości. Popatrz tylko na niego! Nie współżyję z nim od co najmniej trzech miesięcy. Nie mogę. Kusz trochę głową -poradziła, zakładając aksamitną opaskę na włosy. Cóż, miałam bardzo krótki miesiąc miodowy.

- Przestań - powiedział.

Wszystko to było obrzydliwe, łan spojrział na parking, gdzie stało nowe BMW Roxanne.

- Clive dobrze cię traktuje, prawda?

- Patrzysz na samochód? Tak, traktuje mnie bardzo dobrze. Lepiej niż ty mnie traktowałeś, kiedy miałeś na to szansę.

- Przestań - powtórzył.

Oczyma wyobraźni zobaczył Clive'a na szpitalnym łóżku, podłączonego do wszystkich tych urządzeń, Clive'a w trumnie... Odwrócił się gwałtownie.

- Tak mi wstyd, Roxanne! - wykrzyknął. Roxanne malowała właśnie usta.

- Trochę za późno na wyrzuty sumienia, nie sądzisz? -odpowiedziała, odwracając się na chwilę od lustra. - Powiem ci coś, łanie - jesteś zbyt wrażliwy. Gdybyś ożenił się ze mną we właściwym czasie, nie byłoby problemu.

Lęk ogarnął go wielką, lodowatą falą, sięgając najgłębszych zakamarków ciała.

- Czy on... Czy nie będzie miał żadnych wątpliwości?

- Nie. Pozwoliłam mu na trochę pieszczot, kiedy czuł się lepiej, ale nic z tego nie wyszło. Na szczęście on widzi to zupełnie inaczej, wyobraża sobie, że naprawdę się kochaliśmy. Nie będzie nic podejrzewał.

Czuję się jak śmieć, Roxanne.

Mógłbyś choć raz powiedzieć, że cieszysz się dzieckiem,

które ci urodzę. Na pewno od dawna pragnąłeś mieć dziecko. Większość mężczyzn chce mieć dzieci.

- Kobiety więcej o tym myślą - powiedział wymijająco. - Oczywiście mam nadzieję, że będzie zdrowe. I że ty dobrze to wszystko zniesiesz.

- Widzę, że nie sugerujesz aborcji.

- Wybór nie należy do mnie.

- Mógłbyś okazać jednak odrobinę radości - nalegała. Głupia. Jak mógł się cieszyć?

- To przez tę sytuację, Roxanne. Bardzo się martwię. Stali naprzeciwko siebie. Byli gotowi do wyjścia, a jednak

zwlekali. Tak, chciałem mieć dziecko, myślał Ian. Ale nie jej dziecko. Co za gorzka ironia! Nawet jeżeli Roxanne urodzi najwspanialszego chłopca na świecie, nie będzie to jego syn, lecz Clive'a. A jeżeli Clive umrze, Roxanne za kilka lat ponownie wyjdzie za mąż. Pięknej, cudownie odmienionej Roxanne, przedwcześnie owdowiałej pani Grey na pewno nie zabraknie kandydatów do ręki. Ian pomyślał ponuro, że jego myśli gnają naprzód, zupełnie jak nanosekundy z książek Clive'a. A gdyby Roxanne z jakiegoś powodu nie zdecydowała się na ponowne małżeństwo, gdyby nadal się go czepiała? Znalazłby się w pułapce. Mogłaby szantażować go do końca życia, a może nawet zechciałaby szantażować Happy... Na samą myśl o tym jęknął bezgłośnie.

- Wyglądasz jak śmierć na chorągwi - powiedziała.

- I tak też się czuję.

Usłyszał nagle głos ojca: „Żona twojego brata! Dziwka... A co z twoją cudowną żoną, Elizabeth? Myślałem, że wyszumiałeś się przed ślubem, Ianie. Ja też byłem kiedyś młody, ale żyłem uczciwie, nie romansowałem z żoną własnego brata. Po ślubie jedyną kobietą w moim życiu była twoja matka...”.

Takim przemówieniem uraczyłby go ojciec w czasie jednego ze swoich podniosłych momentów w wiktoriańskim stylu. Zupełnie jakby ludzie z jego pokolenia rzeczywiście zawsze żyli bez grzechu! A jednak ojciec byłby przerażony jego postępkami...

- Jeżeli powiesz o nas komukolwiek i Clive pozna prawdę, umrze - powiedział.

- Oszałałeś? Myślisz, że umieszczę ogłoszenie w lokalnej gazecie?

Patrzyła na niego twardo. Była zła i łan rozumiał jej gniew. Kobieta w ciąży potrzebowała czułości i troski, miłości i uznania od ojca cudu, który nosiła w sobie. Przypomniawszy sobie, jak dumny był Dan ze swoich dzieci.

- Nie złość się na mnie - powiedział bardzo łagodnie. - Cieszę się dzieckiem, a jednocześnie nie potrafię opanować niepokoju. Proszę cię, nie zwierzaj się nawet siostrze. Nikomu nie ufaj. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby ktoś się dowiedział. Ojciec, Clive i Happy...

- Będę ostrożna, już choćby ze względu na Happy - przerwała mu. - Nie mówiąc o Clivie, który jest mi bliższy, niż sądzisz. Nie jestem aż tak zepsuta, jak myślisz.

- Nie uważam, że jesteś zepsuta, Roxanne! - zaprotestował.

Nie, z pewnością nie była „dobrą” osobą, jak Happy czy Sally, lecz nikt nie powiedziałby także, że jest „zła”.

- Happy potraktowała mnie bardzo miło, chociaż mogła patrzeć na mnie z góry - powiedziała Roxanne, odrzucając włosy do tyłu. - Nie musisz się o nic martwić, łanie. A zresztą, jeżeli nawet nie wierzysz, że mam w sobie trochę uczciwości, powinieneś wiedzieć, że wiem, co jest dla mnie dobre!

Taką Roxanne znał doskonale. Kiwnął głową.

- Nie wątpię w to. Roxanne zmarszczyła brwi.

- A przy okazji - co ze mną będzie, jeśli Clive umrze?

- On jeszcze żyje. Proszę cię...

- Wiem, ale ludzie umierają. Clive jest chory, a ja spodziewam się dziecka, więc chyba mogę zapytać.

- Pytasz mnie, jaki zrobił testament? - ostro zapytał łan. - Nie mam pojęcia. Zapytaj jego, jeśli chcesz.

Ludzie nie powinni interesować się testamentami do chwili, aż ich bliski umrze. Dopiero wtedy dowiadawali się, co otrzymają w spadku. Tak w każdym razie powinno to wyglądać. Ale łan dobrze wiedział, że jest to tylko teoria.

- Jak mogłabym zapytać o to tak ciężko chorego człowieka, do diabła? Nie mów mi tylko, że nie znasz treści testamentu. Znasz ten testament, ale nie chcesz mi powiedzieć.

łan spojrzał na nią z niechęcią.

- Zawsze powtarzał, że chce zostawić coś Tinie, sądzę też, że niedawno zrobił jakiś zapis na rzecz Susanny...

Ledwo wymknęły mu się te słowa, a już wiedział, że popełnił wielki błąd.

- Cholera jasna! Wszystko, co ma, należy się mnie i mojemu dziecku! Tamte dziewczynki mają własnego ojca!

No, właśnie. Problemy już się zaczęły. Po śmierci Clive'a Roxanne najprawdopodobniej nie dostanie żadnych udziałów w firmie Grey's Foods. Akcje przekazywane były z pokolenia na pokolenie, z ojca na syna. Wszystko zależało więc od tego, jaki majątek posiadał Clive poza akcjami. Ponieważ zawsze był oszczędny i doskonale wiedział, co dzieje się na rynku, na pewno dobrze zainwestował swoje pieniądze. Wydał jednak majątek na dom. Niewykluczone, że wyczerpał wszystkie swoje zasoby. Całkiem możliwe. W takim wypadku wdowa po nim...

Dlaczego mówimy o nim jak o martwym lub umierającym?, pomyślał Ian. Przecież Clive może równie dobrze dożyć dzie więćdziesiątki!

Ale zaraz, wracając do rzeczy - wdowa po nim dostałaby dom. Niestety, dom to za mało, żeby się utrzymać. Mogłaby go sprzedać, ale procenty od sumy otrzymanej ze sprzedaży na pewno nie wystarczyłyby na zaspokojenie jej potrzeb, nie teraz, kiedy zaczęła żyć na wysokim poziomie, Ian poczuł, że kręci mu się w głowie. Roxanne wystąpiłaby do sądu! Przeciwko komu? Wiadomo. Przeciwko ojcu swojego dziecka, Ianowi Greyowi.

Zaczął się pocić. W pokoju było tak zimno, że jeszcze przed chwilą z ulgą włożył płaszcz, lecz teraz po prostu płonął. Ta nowa możliwość przyćmiła nagle wszystkie wcześniejsze problemy. Przyszłość widział teraz w najczarniejszych barwach. Niedawno bał się, że zaprzepaści szansę na podpisanie umowy i zdobycie worka złota, obawiał się też najazdu Amandy na skarbiec firmy, lecz wszystko to zbladło gwałtownie w porównaniu z zagrożeniem, jakim mogła okazać się Roxanne.

A ona wybuchnęła płaczem.

- Boję się, Ianie! Co się ze mną stanie, jeżeli Clive umrze? Nie chcę stracić domu! Wszystko mi zabiorą, znowu zostanę bez grosza przy duszy! Jak Kopciuszek o północy! - Rzuciła

mu się na szyję, wyplakując łzy w klapę płaszcza. - Na pewno uważasz, że jestem strasznie chciwa, ale przecież wiesz, że byłam dla niego dobra, prawda? Nie tylko biorę, ale i daję. Dzięki mnie jest szczęśliwy. Zapytaj go. Sam ci powie, jak bardzo jest szczęśliwy.

Z pewnością nie byłby szczęśliwy, gdyby ją teraz słyszał Szlochala głośno, przerażona, ogarnięta paniką, łan poklepał ją po plecach, starając się uciszyć jej strach.

- Nie muszę pytać, wszystkim opowiada o swoim szczęściu. .

- Dlaczego właśnie teraz, kiedy przyzwyczaiłam się do nowego życia, muszę myśleć o tym, że wszystko stracę?

Nie mogąc wyswobodzić się z uścisku jej ramion, stał bez ruchu na środku pokoju. I mimo wszystkich rozsądnych zastrzeżeń, mimo całej niechęci, jaką czasami czuł do Roxanne, w jego sercu znalazło się miejsce na trochę litości. Roxanne była istotą, którą wyrwano z błota i zasadzono w nowej glebie na szczycie wzgórza. Nic dziwnego, że bała się upadku. Stał więc, gładząc ją po plecach i mamrocząc uspokajające

słowa. ,

- Niepotrzebnie się martwisz. Nie musisz się niczego bac. Podniosła głowę, otarła oczy chusteczką wyciągniętą z jego

kieszeni i głośno wydmuchała nos.

- Kocham cię, łanie. Zawsze będę cię kochała. Mechanicznie pogłaskał ją po włosach. Zdążył już uporządkować myśli.

Do problemów należało podchodzić logicznie, jak w geometrii To wynika z tego, a tamto z czegoś innego, i tak dalej, aż. do otrzymania rozwiązania. Potrzebował pieniędzy, aby zapewnić sobie milczenie Roxanne w każdych okolicznościach. Należało więc wykupić udziały Amandy, bo w przeciwnym razie wszystko mogło wziąć w łeb. Wracamy do umowy sprzedaży lasu. Bogu dzięki, że Dan ustąpił, to prawdziwy cud. Jedyłą przeszkodę stanowi teraz Clive, który jest przekonany, niewątpliwie słusznie, że jeżeli las zostanie sprzedany ojcu pięknie serce. Clive nie zdaje sobie jednak sprawy, że jest coś, co może jeszcze bardziej zaszkodzić ojcu... Należy leniu zapobiec, a klucz do bezpieczeństwa tkwi w rękach Roxanne.

Bardzo cię kocham, łanie. Nie wiesz, jak bardzo.

To prawda, nie wiem, pomyślał. Wszystko jest płynne. Czego można być pewnym, gdy w grę wchodzi pieniądze?

- Musimy porozmawiać - powiedział. - Usiądźmy na chwilę.

- Muszę wracać do domu. Clive cały dzień siedzi sam i czeka na mnie, biedak. Prawie nigdy nie zostawiam go teraz samego. Potrzebuje mnie, a ja mam wyrzuty sumienia. Myśli, że pojechałam do dentysty, a później z siostrą na lunch. Michelle ma teraz przerwę w szkole. Muszę wracać.

- Jeżeli się skupisz, to nie potrwa długo. Clive na pewno mówił ci o kłopotach w firmie. O ludziach, którzy chcą wybudować miasto na terenie lasów Greyów.

- Sam mi coś mówiłeś, czytałam też o tym w gazecie. Clive nie opowiada mi o firmie. Wiem tylko, że chcesz, by cię poparł.

- Dobrze. Zaraz wyjaśnię ci, o co chodzi. Przedstawił jej krótki opis wydarzeń.

- Kim jest ta Amanda, której wszyscy się boicie? - wykrzyknęła, kiedy skończył.

- Nie boimy się jej. Nie chcemy tylko włączyć się po sądach przez następne dziesięć lat.

- Dlaczego wasz ojciec nie może nalać jej trochę oleju do głowy?

Dobre pytanie. Rzeczywiście ciekawe, dlaczego ojciec, przy swojej pozycji i powadze, ze swoim dystyngowanym sposobem bycia, który budzi szacunek, zanim jeszcze starszy pan wymieni swoje nazwisko, nie może poradzić sobie z impulsywną, ekscentryczną młodą kobietą.

- Ma chore serce i nie powinien angażować się w takie spory - odpowiedział łan, zgodnie z prawdą. - Rozumiesz więc, dlaczego tak istotne jest, aby Clive nie opóźniał zawarcia umowy. Tylko wtedy zdobędziemy pieniądze na zaspokojenie żądań Amandy. - Obrzucił Roxanne długim, poważnym spojrzeniem. - Ty też będziesz miała dosyć pieniędzy, niezależnie od tego, czy Clive umrze, czy będzie żył. Założymy dla ciebie fundusz i będziesz zabezpieczona na całe życie.

Szeroko otwarte oczy Roxanne lśniły, na jej twarzy pojawił się lekki, radosny uśmiech.

- Będzie to możliwe tylko wtedy, gdy skłonisz Clive'a do podpisania umowy - ostrzegł ją poważnie, po raz trzeci czy

czwarty z rzędu. - Wracaj teraz do domu i spróbuj to zrobić. Jestem pewien, że ci się uda.

- Nie martw się, Clive robi wszystko, o co go poproszę. Tego także mi nie odmówi.

Miejmy nadzieję, pomyślał Ian. W przeciwnym razie będę miał na karku dwa sępy - Amandę i Roxanne. Obie żądne pieniędzy. Pieniądzy, tego przekleństwa, tego źródła wszelkiego zła. Trudno w to uwierzyć, ale Ianowi wcale nie zależało już na tym wielkim worku pieniędzy. Potrzebował ich tylko po to, żeby pozbyć się obu kobiet.

- Pospiesz się - powiedział. - Jest już późno. W radiu mówili, że spadnie śnieg. Roxanne zarzuciła mu ramiona na szyję i uniosła wargi do pocałunku.

- Nie mamy czasu - rzucił, musnąwszy lekko jej usta.

- To nie był prawdziwy pocałunek! A ja lak cię kocham, szaleję za tobą, wiesz przecież? Jesteś dla mnie wszystkim. Gdybym cię kiedyś straciła...

- Pospiesz się, Roxanne. - Ian niecierpliwie otworzył drzwi.

Roxanne zatrzymała się w progu.

- Polubiłam nawet ten okropny pokój. To przecież jedyne miejsce, gdzie możemy być razem. Kiedy się znowu spotkamy?

- Najpierw zajmijmy się ważniejszymi sprawami. Powiedziałem ci, co masz zrobić - wrócić do domu i przekonać Clive'a.

Na parkingu rozstali się i Ian pospieszył do domu. Pragnął jednego - jak najszybciej wrócić do Happy, inteligentnej, ładnej i dobrej Happy, która nigdy mu się nie narzucała, potrafiła znaleźć satysfakcję w pracy, nie zawracała mu głowy, nie domagała się dowodów miłości i nie żądała pieniędzy.

Clive spędził prawie cały dzień na kanapie. Trochę czytał, drzemał, znowu czytał, oglądał telewizję i patrzył w ogień. Co jakiś czas wstawał i dokładał dREW do kominka. Z przyjemnością obserwował skaczące iskry i pomarańczowoczerwone płomienie. Raz zapuścił się do małej, czyściutkiej ku-

chenki, gdzie zaparzył dzbanek ziołowej herbaty. Zaniósł napój do pokoju i wypił go do cytrynowych ciasteczek Roxanne.

Bardzo lubił domek w Red Hill. Na swój sposób był z niego równie dumny i zadowolony, jak z pięknego domu na przedmieściu Scythii. Wiejski dom z bali zaprojektował sam, bez niczyjej pomocy. Wokół rósł las, tak blisko, że przy otwartych oknach słyszało się głośny szum wiatru w gałęziach drzew. Las szumiał nawet w zupełnie spokojne dni, chociaż większość ludzi nie zdawała sobie z tego sprawy. Konie -były teraz dwa, jeden jego i jeden Roxanne - przebywały tuż za wzgórzem, w stajni obok domu ojca. Tutaj Clive mógł w pełni cieszyć się życiem.

Czuł się coraz lepiej. Odzyskiwał zdrowie i siły, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Przy odrobinie szczęścia wkrótce znowu będzie jeździł konno. I odrosną mu włosy, chociaż nigdy nie były zbyt gęste. Pod wpływem nagłego impulsu zerwał się z miejsca i poszedł do łazienki. W lustrze zobaczył błyszczącą, nagą czaszkę. Na razie nie było na niej nawet śladu włosów. Człowiek nawet nie podejrzewa, że czaszka wcale nie jest łagodnie zaokrąglona, jak jajko. Czaszka jest brzydka, paskudna. On sam też był brzydki. Przy zapadniętych policzkach podbródek jakby się cofnął, chociaż wydawało się to fizycznie niemożliwe. I zęby miał ogromne, jak u konia.

Niespokojnie zmarszczył czoło. Co myślała o nim Roxanne, promienna, piękna młoda kobieta? Tak naprawdę, najszczerzej? Bardzo się tym martwił, chociaż wiedział, że nie ma to sensu: zmartwienie nie stanowiło odpowiedzi na pytanie. Lepiej cieszyć się tym, co się ma i nie zadawać zbyt wielu pytań.

Roxanne nosi w sobie jego dziecko. Wbrew chorobie, która zaatakowała go jak dzika, przyczajona bestia, udało mu się osiągnąć tę cudowną rzecz - spłodzić dziecko, należące do niego, do niego i do Roxanne.

Nie kochali się od wielu tygodni, a może nawet dłużej. Znekany operacją i leczeniem, zupełnie stracił poczucie czasu. Zdrowej, młodej kobiecie na pewno trudno było wytrwać tak długo bez miłości fizycznej. No, ale jeszcze tylko parę miesięcy i wszystko będzie jak dawniej.

- Jestem bardzo szczęśliwy - powiedział głośnie, budząc

ze snu mopsa imieniem Angel, zwiniętego w kłębek w pięknym koszyku.

Przyszło mu do głowy, że już wiele lat temu powinien był zamieszkać we własnym domu. Mógł też wyruszyć w świat, być może nawet wcale nie pracować w rodzinnej firmie albo przynajmniej wyprowadzić się z Hawthorne. Cóż, każdy popełnia błędy.

Dobrze zresztą wiedział, dlaczego je popełnił. Hawthorne chroniło go przed światem. Jako chłopiec z radością wrócił do domu, udęczony pobyt w szkole z internatem. Nie miał wybitnych osiągnięć w sporcie, był sporo niższy od swoich rówieśników, a więc zawsze ciągnął się w ogonie. Ojciec rozumiał, co się z nim dzieje i pozwolił mu chodzić do miejscowej szkoły, skąd co wieczór wraca! do bezpiecznego portu.

Mój syn będzie inny, pomyślał. Mam nadzieję, że będzie podobny do lana. Cieszyłbym się jednak także z dziewczynki, ślicznej małej córeczki, takiej jak Tina. Szkoda, że nie widuję jej teraz częściej. Chciałbym ją zobaczyć.

Do stojącej obok domu szopy wjechał samochód. Roxanne wróciła do domu. Clive z radością podniósł się z kanapy i wyszedł jej na spotkanie.

- Gdzie byłeś tak długo? - zapytał. - Tęskniłem za tobą.

Teraz będzie musiała opowiadać mu wszystko wiele razy, aż do znudzenia i odpowiadać na dziesiątki pytań o szkołę siostry. I czy była u dentysty, i czy będzie musiała pojechać do niego znowu. Clive zawsze chciał wszystko wiedzieć. Interesował się wszystkim, co jej dotyczyło, każdym, nawet najdrobniejszym szczegółem. Zupełnie jakby chciał ją zjeść.

Była w marnym nastroju. Przez całą drogę do domu myślała o kończącym się dniu. Coś się zmieniło, wiedziała o tym. Ian wcale nie był czuły i kochający, zależało mu tylko na szybkim seksie, a jej to nie wystarczało. Jeżeli była to jedyna więź między kobietą i mężczyzną, to tak naprawdę nie łączyło ich nic...

Mówiłam ci... - zaczęła i słysząc zniecierpliwienie w swoim głosie, odwróciła się do niego z uśmiechem.

Naprawdę lubiła Clive'a i nie chciała wyładowywać się na tym biedaku.

- Poszłam do dentysty, który uzupełnił plombę, na szczęście nie było to nic poważnego. Potem spotkałam się z siostrą, zjadłyśmy późny lunch, pogadałyśmy do trzeciej, no i jestem.

- Cieszę się, że miałaś miły dzień. Jak tam Michelle?

- Świetnie, jest pięknie opalona. Nic dziwnego, przecież mieszka teraz na Florydzie - szybko przypomniała sobie, że powinna podkreślić wdzięczność Michelle za dobroć, jaką okazał jej Clive. - Michelle przesyła ci ucałowania i moc podziękowań. Szkoła jest wspaniała, stopnie ma dobre, zresztą sam zobaczysz, kiedy pokaże ci swoją kartę semestralną.

Clive się rozpromienił.

- Bardzo się cieszę - powiedział.

Nietrudno było zauważyć, że los Michelle szczerze go obchodzi. Roxanne była tym bardzo zaskoczona. Dlaczego martwił się o dziewczynę, której prawie nie znał? Clive był zagadkowym człowiekiem.

- Musiałam jechać bardzo powoli. Zaczynał prószyć śnieg, a ja bardzo się denerwuję, kiedy jest ślisko.

- Strasznie się wystroiłaś na tę wizytę u dentysty i lunch w mieście.

- Chciałam pokazać Michelle moje futro - wyjaśniła, strząsając z kołnierza kilka topniejących płatków śniegu i odwieszając norki do szafy.

- Podobało się jej?

Był po prostu niemożliwy. Gadał i gadał, jakby uważał, że musi bez przerwy mówić, żeby ją zatrzymać, żeby nie stracić jej z pola widzenia. Dziś wydał jej się wyjątkowo irytujący. Dziwne, że można kogoś lubić, czuć dla niego wdzięczność i sympatię, a jednocześnie mieć czasami dość samej jego obecności.

- Bardzo. To zrozumiałe, sama nigdy nie widziałam piękniejszego futra.

- Wyglądasz w nim jak lalka. We wszystkim jest ci do twarzy, ale najkorzystniej wyglądasz bez niczego.

Jeszcze raz przywołała na twarz odpowiedni uśmiech.

- Tak sądzisz? - zapytała kokieteryjnie.

- Tak. Ostatnio rzadko widywałem cię w tym stroju...

- No jasne. Byłeś przecież chory.

- Ale teraz wychodzę już na ostatnią prostą. Kiedy dotrę

do mety, wszystko wróci do normy. Nadrobię stracony czas, obiecuję ci.

Skuliła się wewnętrznie. Naprawdę myślał, że ona tęskni za jego uściskami, że niecierpliwie czeka na pieszczoty. Przecież sama umacniała go w mniemaniu, że jej namiętne reakcje są całkowicie spontaniczne. Dziś, po randce z Ianem, z podziwem myślała, że tak jej się to udawało. Jakim cudem tak dobrze udawała namiętność? Teraz zaczynała czuć do Clive^ obrzydzenie. Z trudem zmuszała się, żeby go dotknąć. Biedak...

- Na pewno umierasz z głodu powiedziała. - Za dwadzieścia minut jemy obiad.

- Myślałem, że w tym tygodniu będziemy jadać u ojca.

- Od jutra. Dziś chciałabym wypróbować naszą własną kuchnię.

- Słusznie. Myślisz o wszystkim, Roxanne.

Angel podbiegł do niej i przednimi łapami wspiał się na jej kolana. Roxanne podniosła go i ucałowała w czubek głowy.

- Kochany malec. On też jest głodny.

- Ja również poproszę całusa - powiedział Clive. - Potrzebuję go bardziej niż Angel.

Miała zamiar pocałować go w głowę, chociaż jego skóra nie była tak miękka i jedwabista jak u psiaka, lecz napotkała zwróconą ku sobie twarz i rozchylone wargi. Były mokre, a kiedy wreszcie mogła się cofnąć, z najwyższym trudem powstrzymała się, by nie otrzeć ust wierzchem dłoni.

- Pozwól mi przygotować obiad - rzuciła wesoło, widząc, że Clive szykuje się do następnego pocałunku.

Kuchnia była na szczęście za mała, aby mogły zmieścić się w niej dwie osoby. W domu Clive nauczył się ostatnio dotrzymywać jej towarzystwa w kuchni. Doprowadzało ją to do szaleństwa, bo ani na chwilę nie spuszczał z niej wzroku. Niecierpliwie czekała na dzień, kiedy Clive na dobre wróci do pracy.

Dręczył ją teraz nowy lęk. Przez wiele miesięcy była wolna od strachu, kiedyś znalazła nawet w sobie dość odwagi, aby zostawić Iana i spróbować szczęścia z Clivem. Potem zyskała poczucie bezpieczeństwa i spokoju oraz przekonanie, że uda jej się być dobrą żoną dla Clive'a. Teraz lęk wrócił i usadowił się w jej ciele, niczym drżąca żywa istota.

Jej dłonie automatycznie wykonywały serię zwykłych ruchów, mieszały sałatkę, doprawiały stek z tuńczyka i kroiły chleb, lecz umysł przeskakiwał gorączkowo od jednej myśli do drugiej.

Będziesz zabezpieczona na całe życie, powiedział Ian. Ale tylko pod warunkiem, że uda ci się przekonać Clive'a. A jeżeli jej się nie powiedzie? Wtedy straci wszystko... Nieświadomie wykonała ręką szeroki gest, ogarniając nim cały dom. Jeżeli Clive umrze, straci nawet to miejsce. Ci ludzie umieli poruszać się w sądach, znali prawników. Tak, nie miała już żadnych wątpliwości: dziś po południu jej bezpieczna egzystencja została zagrożona. Zagroził jej Ian.

„Wracaj do domu i zrób to. Na pewno ci się uda”. Powiedział to tak ostro i twardo, zupełnie inaczej niż kiedyś. Nie powinien wciągać ją w rodzinne kłótnie i finansowe spory, bo przecież nie miała o nich pojęcia. Powinien ją osłaniać, była matką jego dziecka. Roxanne dotknęła brzucha, czując nie miłość do istoty, która w niej rosła, lecz gniew i bunt przeciwko sytuacji, w jakiej się znalazła. Teraz zrozumiała wreszcie, co ją czeka. Straci Iana, jego silne ciało, jego przystojną twarz, jego poczucie humoru, jego męskość.

A przecież tak bardzo go kochała! Jej oczy napęłniły się łzami i musiała szybko zamrużyć, by Clive nie zauważył, że płacze. Kochałabym go, nawet gdyby nie miał ani grosza, pomyślała, lecz zaraz zadała sobie pytanie: Czy naprawdę? Przez chwilę rozważała tę kwestię i w końcu doszła do wniosku, że przecież nie było nic złego w tym, iż jego majątek miał dla niej pewne znaczenie. Czy on kochałby ją, gdyby była tłustą, zaniedbaną kobietą? Nie. Ale teraz wszystko się już skończyło.

Może jednak nie całkiem! To prawda, że traciła Iana i zaczynała wpadać w panikę, ale jeśli uda jej się nakłonić Clive'a do poparcia umowy z konsorcjum, może zdoła odzyskać Iana.

W jakiś sposób będzie musiała to zrobić. Ustawiając mały okrągły stolik naprzeciwko kominka, przy którym Clive zapadł w drzemkę z otwartymi ustami, próbowała dodać sobie odwagi. Powoli wracała jej pewność siebie. Clive zawsze spełniał wszystkie jej życzenia, więc dlaczego nie miałby spełnić i tego? Problem polegał na tym, jak rozpocząć rozmowę, aby niczego nie zaczął podejrzewać.

Dotknęła jego ramienia i radosnym głosem obwieściła, że obiad gotowy. Clive natychmiast oprzytomniał. Na widok starannie nakrytego stołu, dwóch zapalonych świec i barwnego półmiska z rybą i warzywami, wyraźnie się ożywił.

- Ty naprawdę wszystko umiesz zrobić! - wykrzyknął.

- Staram się - odpowiedziała wdzięcznie. - Chcę, żebyś był zadowolony i szczęśliwy.

Clive westchnął z rozkoszą.

- Jak mógłbym nie być szczęśliwy z tobą?

Do deseru Roxanne nie udało się poruszyć interesującego ją tematu. Właśnie wtedy powiew wiatru szarpnął mocno ramą okienną.

- Czekają nas chyba burza śnieżna powiedział Clive. - Właściwie tej zimy nie mieliśmy leszcze dużych opadów. Trudno wyobrazić sobie, jakie piękne i ciche są te lasy następnego ranka po śnieżycy. Wychodzisz z domu i zapadasz się po kolana w lekki, nieskazitelnie biały śnieg.

Teraz Roxanne miała wreszcie okazję.

- Wiem, że kochasz te lasy - powiedziała. - Czy to tę część chcą kupić ci inwestorzy z Europy?

- Nie, na szczęście nie. Interesuje ich teren po drugiej stronie rzeki, bliżej Scythii.

- A więc nie jest tak źle.

- Nie jest tak źle? Te lasy powinny zostać nienaruszone.

- Dużo osób myśli inaczej. Mówią, że ta nowa firma zapewni im pracę przy obsłudze nowych domów.

- Tak, to krótkoterminowy zysk, ale te lasy mogą przetrwać jeszcze wiele wieków, jeżeli nie będzie się ich wycinać. Kiedy je zniszczymy, nie da się już nic zrobić.

Mówił w sposób tak zdecydowany, że Roxanne poczuła ukłucie lęku w sercu.

- Przecież ten las jest taki wielki, że nawet jeśli sprzedacie część, reszta pozostanie nietknięta. Nie można zrobić tak, by i wilk był syty, i owca cała?

Nie - odrzekł Clive. - Kiedy zaczniemy go wyprzedać, stworzymy precedens i las zniknie, kawałek po kawałku.

Nie musi tak być - oświadczyła Roxanne. - Moglibyście zastrzec sobie, że więcej nic już nie sprzedacie...

Zdawała sobie sprawę, że jej argumenty brzmią nieprzekonująco.

Clive się uśmiechnął.

- O co chodzi? Chcesz się zaangażować w ten projekt?

- Nie, ale ciekawi mnie to. Chodzi o ogromne pieniądze.

- Tak, wiem. Dla firm budowlanych.

- Chyba dla Greyów - odpowiedziała.

- Odkąd to interesujesz się finansami Greyów?

Był rozbawiony. Nigdy dotąd nie rozmawiała z nim o pieniądzach, dlatego to nagle zainteresowanie sprawami firmy nie pasowało do jego wyobrażeń na jej temat.

- Zaczęło mnie to interesować, ponieważ mam zostać matką. Jestem po prostu ciekawa, nic więcej.

- Nasze dziecko będzie dobrze odżywione i ubrane, będzie miało dach nad głową i będzie kochane - powiedział Clive, nadal z rozbawieniem. - Nie musimy się tym martwić.

- Pomyślałam sobie, że przy całym tym zamieszaniu z winy siostry Dana być może nie jest to takie pewne.

Wyraz rozbawienia zmienił się w zainteresowanie.

- Co wiesz o siostrze Dana? Roxanne niedbale wzruszyła ramionami.

- Niewiele. Tyle tylko, że sprawia wam kłopoty.

- W jaki sposób?

Poczuła się nagle nieswojo. Próbowała przypomnieć sobie, ile może powiedzieć, nie pakując się w pułapkę.

- Żąda dużej sumy, prawda? Równowartości swojego udziału w firmie. Więc jeżeli sprzedacie lasy, będziecie mogli ją spłacić. Dlatego wydaje mi się, że powinniście to zrobić.

- Nie sprzedamy lasów! - Clive podniósł głos. - Mogę temu zapobiec i będę głosował przeciwko. Jeżeli zostanę zmuszony, przeciągnę tę sprawę w sądzie do następnego stulecia, jako kwestię sporną. Nic mnie nie obchodzi, co sobie o mnie pomyślą. Ojciec nie chce sprzedaży lasów, więc nie dopuszczę, aby do tego doszło. Zasłużył na to, by go lepiej traktować. Wstydę się za nich wszystkich - za mojego brata, Dana, Amandę, za wszystkich. Naprawdę jest mi za nich wstyd...

Zabrakło mu tchu. Nagle popatrzył na nią i zmarszczył brwi.

- Skąd tyle wiesz o Amandzie i konsorcjum? Nigdy ci o tym nie mówiłem!

Roxanne czuła szybkie uderzenia serca w gardle. Posunęła się za daleko, za dużo powiedziała.

- Piszą o tym w gazetach. Przeczytałam kilka artykułów...

- Nie. Gazety nie pisały o żądaniach Amandy. Jej imię ani razu nie pojawiło się w prasie.

- Więc chyba mi się coś pomyliło. Musiałam usłyszeć o niej u Dana.

- Dan ci o tym mówił? Jestem zaskoczony. Nigdy nie był gadatliwy, to zupełnie nie w jego stylu. Kiedy u nich byłaś?

- Niedawno, parę dni temu. Wpadłam wtedy na chwilę do Sally.

Roxanne nie знаła takiego Clive'a, nigdy dotąd nie musiała stawiać czoła jego dociekliwości.

- Tak, to było chyba w środę- wyjąkała, pragnąc przerwać ciszę i rozproszyć jego skupienie. - Tak mi się wydaje...

- Jesteś pewna?

- Tak, w środę. Dlaczego tak mi się przyglądasz?

- Bardzo dziwne - powoli powiedział Clive. Bo w poniedziałek Dan poleciał do Szkocji.

Serce biło jej coraz szybciej.

- A więc to nie mogła być środa - rzuciła lekko. - Nie mam zbyt dobrej pamięci do dat. Kto ją zresztą ma? Wyobraź sobie, że zapytałabym cię, co robiłeś w zeszły piątek. Nie mógłbyś sobie przypomnieć, prawda? Zwykle tak jest. A zresztą, jakie to ma znaczenie?

- Tylko takie, że mnie okłamujesz. Ciekaw jestem, dlaczego.

- Clive, nigdy cię nie okłamałam. „Kłamstwo” to paskudne słowo. Nieładnie, że oskarżasz mnie o coś takiego. I całe to zamieszanie wokół tego, co kto powiedział, kiedy i gdzie. To idiotyczne. Idę teraz po deser i mam ochotę zjeść go w spokoju.

W kuchni wstawiła talerze do zlewu, wyjęła paterę do ciastek i nałóżła kawę do filiżanek. Kolana jej drżały. „Na pewno ci się uda”, zapewnił ją Ian, ale jej się nie udało, Ian będzie wściekły. Clive był najwyraźniej zdecydowany obstawać przy swoim. On także się na nią rozzłościł. Śmieszne, że tak bała się gniewu tego chorego słabeusza, gniewu, który widziała w jego oczach. A może wcale nie było to śmieszne? Miała przecież tyle do ukrycia...

Postanowiła uśmiechnąć się i niczym się nie przejmować. Uśmiech jest zaraźliwy, wystarczy się uśmiechnąć, a cały

świat zaczyna się uśmiechać. Od razu poczuła się lepiej. Może jednak sprawy nie układały się aż tak źle, jak przedstawił to Ian. Musi teraz poprawić Clive'owi humor, trochę go rozbawić...

- Oto jestem! - zawołała. - Madame Roxanne z pałacowej cukierni! Madame Roxanne i jej ciasteczka! Ekierki, napo-leonki...

Dzwonek telefonu.

- Siedź spokojnie, kochany, nie podnoś się. Odstawię tylko tacę i już odbieram. Clive podszedł do stolika i podniósł słuchawkę.

- Michelle! Jak to miło, że dzwonicz! Roxanne mówiła mi, że świetnie sobie radzisz i że jesteś pięknie opalona. Musisz uważać na skórę...

Michelle. Szybko, szybko, zanim powie coś, co mogłoby ją zdradzić. Roxanne wyciągnęła rękę po słuchawkę.

- Moja siostra! - zawołała. - Daj mi z nią porozmawiać! Ale Clive nie zamierzał dopuścić jej do telefonu.

- Co takiego? Jeszcze się nie widziałyście, więc skąd może wiedzieć? Chwileczkę, czegoś tu nie rozumiem.

- Daj mi słuchawkę, Clive! - nalegała Roxanne, lecz łokieć męża zagraadzał jej dostęp do stolika.

- Nie spotkałaś się dzisiaj z Roxanne. Rozumiem. Tak, to nieporozumienie, oczywiście. Cieszę się, że mogłem zamienić z tobą kilka słów. Nie, nie może podejść teraz do telefonu. Zadzzwoni do ciebie. Świetnie. Uważaj na siebie, Michelle.

Clive odłożył słuchawkę na widełki, bardzo powoli i delikatnie. Potem odwrócił się bez słowa i spojrzał na Roxanne.

Przed jej oczyma zaczęły nagle przewijać się niezrozumiałe obrazy. Miała wrażenie, że znalazła się w jaskini, głębokiej, wilgotnej i ciemnej jaskini o niezliczonych korytarzach i przejściach. Czowała się zagubiona, przerażona, usiłowała znaleźć z niej jakieś wyjście, ale bez skutku. „Życie na marginesie, w półświatku”, powiedział niedawno Clive, kiedy oglądali w telewizji jakąś sztukę. Dziwny zwrot. „Życie na marginesie”...

- Nigdy mnie nie okłamałaś, tak?

Gardło miała zupełnie wyschnięte, było jej niedobrze, ledwo mogła oddychać.

- Byłyśmy umówione, ale musiałam odwołać spotkanie,

bo wizyta u dentysty bardzo się przeciągnęła. Zdaję sobie sprawę, że brzmi to głupio, ale pomyślałam, że będziesz rozczarowany, jeżeli nie będę ci miała nic do powiedzenia o Michelle, więc wymyśliłam tę historyjkę o lunchu. Jesteś dla niej taki dobry, tak się nią interesujesz...

- Nie obrażaj mojej inteligencji, Roxanne - Clive mówił całkowicie spokojnie. - Powiedz mi tylko w kilku prostych słowach, gdzie byłaś przez cały dzień.

- Na zakupach. Kiedy wyszłam od dentysty, było już bardzo późno, więc tylko przeszłam się po sklepach.

- Nie wierzę ci, Roxanne powiedział, nadal zupełnie spokojnie.

- To prawda. Nic na to nie poradzę, jeżeli mi nie wierzysz...

- Coś się w tym kryje - mruknął do siebie. - Ale nie wiem, co.

Usiadł przy stole i oparł podbródek na splecionych dłoniach. Roxanne obserwowała go w milczeniu. Wzięła do ust kawałek ciastka, ale zaraz z niesmakiem odsunęła patelnię.

- Coś w tym jest - powtórzył Clive. - Jakiś ślad... Tyle informacji, bardzo prywatnych informacji i ta dzisiejsza „wyprawa na zakupy” do centrum Scythii, w futrze z nerek... W futrze...

Przyglądał się jej uważnie. Jego oczy widziały wszystko: złoty naszyjnik, ręcznie kutą, z dwudziestodwukaratowego złota, grecki, urodzinowy prezent od niego, różową sukienkę, tylko częściowo zasłoniętą fartuszką, kupioną tydzień temu i dziś włożoną po raz pierwszy, o czym doskonale wiedział, bo zwracał uwagę na wszystko, co jej dotyczyło...

- Z kim byłaś dziś umówiona, Roxanne?

- Z dentystą.

- W tym stroju?

- A co chciałbyś, żebym na siebie włożyła? Dres?

- Kim jest ten mężczyzna, Roxanne?

- Kto? Dentysta? Właściwie to dentystka, doktor Helen Kraus.

- Nie żartuję, Roxanne. Kto to?

- Obrażasz mnie. Nie masz prawa mnie obrażać! Kim jesteś, że wydaje ci się, iż możesz mnie obrażać?!

Wiem, kim jestem. Zastanawiam się teraz, kim ty jesteś...

Potał czoło, jakby bolała go głowa.

- Posłuchaj, Clive, robisz z igły widły - powiedziała. -Rozchorujesz się od tego. Nie warto...

- Nie warto? Nie warto było ci ufać? Chcę ci ufać, zrobiłbym wszystko, byle tylko móc ci znowu zaufać.

Clive wstał, opierając się o brzeg stołu i pochylając się do przodu tak mocno, że jego twarz prawie dotykała jej twarzy.

- Zrobiłbym wszystko, rozumiesz?

- Możesz mi zaufać, Clive - powiedziała łagodnie.

- Nie. Najpierw muszę wyjaśnić tę sprawę. Widziałaś się z kimś dziś po południu. Na pewno nie spędziłaś kilku godzin na wędrówce po sklepach w Scythii, bo nie ma tam żadnego sklepu, który by cię usatysfakcjonował, nie teraz, kiedy przywykłaś do rzeczy w dobrym gatunku...

- Nie musisz ze mnie drwić i wciąż mi przypominać, skąd pochodzę!

- Nie odwracaj kota ogonem. Proszę tylko, żebyś powiedziała mi, gdzie dzisiaj byłaś. Chcę też wiedzieć, kto opowiedział ci o Amandzie i problemach w firmie.

Z ust cuchnęło mu rybą. Odepchnęła krzesło i cofnęła się, ale on pochylił się jeszcze dalej i wpił palce w jej ramiona, nie na tyle mocno, aby zrobić jej krzywdę, jednak wystarczająco mocno, by nie mogła się wyrwać.

- Chcę znać prawdę. Prawdę, Roxanne. Wyjaśnij mi wszystko. Nie chcę cię o nic podejrzewać. Nie rób mi tego. Nie mogę tego znieść.

Ten namiętny apel przeraził ją. Jego oczy były dziwne, nie do końca przytomne.

- Puść mnie - jęknęła.

- Nie. - Clive wzmochnął uścisk. - Nie wolno ci bawić się ze mną w żadne gierki, Roxanne. Kocham cię.

Jego dłonie ześlizgnęły się na jej piersi, jego wargi spoczęły na jej ustach. Było to ohydne, nieznośne. Odepchnęła go, zupełnie zapominając o tym, że powinna zetrzeć z twarzy wyraz obrzydzenia.

- Czy brzydzisz się mną dlatego, że myślisz o innym mężczyźnie? Tak, to dlatego. Rozpoznaję te objawy. Znalazłaś sobie innego.

- Nie. Brzydzę się twoim zachowaniem, twoimi podejrzeniami!

- Więc rozwiej je.

Przyparł ją do ściany i nie pozwalał jej się ruszyć. Jak na chorego, był zdumiewająco silny. Przyszło jej do głowy, że przez resztę życia będzie skazana na intymną bliskość tego człowieka, obrzydliwą bliskość. A wszystko to z winy lana. Mogło być inaczej, mogło być cudownie...

- Rozwiej moje wątpliwości - powtórzył Clive. Stał tak blisko, że czuła jego oddech na swojej twarzy. - No, dalej, czekam.

Wszystkie jej lęki, cała wściekłość i rozczarowanie skoncentrowały się w wybuchu, którego nie była w stanie powstrzymać.

- Powiedziałaś ci, gdzie byłam po popołudniu! A jeśli chodzi o tamto, to nie wiem, co w tym strasznego, że dowiedziałam się czegoś o kłopotach twojej firmy. Na miłość boską, nie wyobrażasz sobie chyba, że on...

Przerwała.

- On? Kto?

Clive patrzył na nią rozszerzonymi oczyma, a jego twarz nie była już nawet chorobliwie blada, lecz szara jak popiół.

A więc zdradziła się. W zdenerwowaniu popełniła najgłupszy błąd. Była jak ogłuszona, przez kilka sekund w ogóle nie mogła myśleć. Jej umysł wysiadł jak zepsuty komputer.

- Rozmawiałeś z moim bratem - powiedział. Otrzeźwiała i znowu zaczęła myśleć. Lepiej chyba będzie,

jeżeli powie półprawdę, a potem porozumie się z lanem, aby ich wersje się pokrywały.

- Tak, to prawda, wpadłam na niego przypadkiem i zaczęliśmy rozmawiać o firmie.

Clive osunął się na krzesło. Przez chwilę myślała, że dostanie zawału i umrze na jej oczach. Oparł głowę o poduszkę i przymknął oczy. Roxanne czekała, nadal sztywno wyprostowana pod ścianą.

- Poleciał ci, żebyś skłoniła mnie do podpisania umowy. Oczywiście. Jestem głupi, że nie zorientowałem się od razu. To dla niego tak się dziś wystroiłaś. Który to już raz, Roxanne?

Jego głos brzmiał głucho, jak z bardzo dużej odległości. A może to tętniąca w jej uszach krew zmieniała jego brzmienie...

- To był jedyny raz - powiedziała.

- Same kłamstwa!

Nagle opuściła ją cała energia, ręce opadły bezwładnie i nawet słowa nie chciały wydobywać się z ust, jakby ich artykułowanie okazało się zbyt wielkim wysiłkiem. Jej odpowiedź była niewiarygodna, nieprzekonująca. Wiedziała o tym.

- Powtarzam, że nigdy cię nie okłamałam. To nieporozumienie, nic więcej.

Gdyby jego oczy były strzałami, przeszłyby jej ciało na wskroś. Nie potrafiła odwrócić głowy, aby uniknąć jego spojrzenia i stała jak zahipnotyzowana, drżąc na całym ciele.

- To ja ci powtarzam, Roxanne - nie obrażaj mojej inteligencji. Wpadłaś na niego przypadkiem i zaczęliście rozmawiać o firmie, tak? „Przypadkiem”, co? Gdzie? W biurze, w jego domu? Za kogo mnie bierzesz? A może po prostu minęliście się na autostradzie i stuknęliście się błotnikami, co? Ty, wystrojona jak na podwieczorek w hotelu Waldorf --Astoria, tylko że w Scythii nie ma takiego hotelu. Odpowiadaj! Gdzie?

Starła się myśleć szybko. Nigdy nie umiała przekonująco kłamać, a w tej przerażającej chwili była zupełnie nieprzygotowana.

- Nie rozumiesz, że dobrze znam swojego brata? Nigdy nie potrafił trzymać rąk z daleka od pięknych kobiet, więc dlaczego miałyby zrobić wyjątek akurat dla ciebie?

- On... Nie, mylisz się... My nie... My tylko...

- Daj spokój, Roxanne, nie wysilaj się. Powiedz mi tylko, czy było ci z nim dobrze? Tak, nie wątpię, że tak. O wiele lepiej niż ze mną.

Niespodziewanie gniewne błyski, które o mało nie poraniły jej ciała, zgasły w jego oczach. Zastąpiły je łzy wściekłości, gromadzące się między zaczerwienionymi, obrzmiałymi powiekami.

Był taki odrażający i tak bardzo godny współczucia! Gdy tak patrzyła na niego, ogarnęło ją przerażenie, że człowiek może być aż tak głęboko nieszczęśliwy. Clive umierał z żalu na jej oczach.

Zaczęła mówić szybko, wszystko jedno co, coraz szybciej.

- Nie możesz tak do tego podchodzić. Proszę. Nic między nami nie było, słowo daję! Nic nie zrobiliśmy...

Wybuchnął wściekłością, zupełnie bez ostrzeżenia. Zerwał się na równe nogi z zaciśniętymi pięściami.

- Nic nie zrobiliście, rzeczywiście! Ty... Ty kłamliwa suko! Sądzisz, że nie wiem?! Wiesz, co z tobą zrobię? Wyrzucę cię z domu. Powinienem wyrzucić cię natychmiast, w śnieg. Jak mogłem dać się tak nabrać?! Tamtego dnia, kiedy przyjechaliśmy do Hawthorne, w dzień po ślubie, zachowywał się w sposób tak oczywisty! Jak mogłem się nie domyślić...

Rękawem strącił ze stołu filiżankę do kawy, która roztrzaskała się na podłodze, w kałużę brunatnego płynu. Chwycił drugą filiżankę i z całej siły rzucił ją o podłogę.

- Do diabła z tym wszystkim! Cały dom może się zawalić, nic mnie to nie obchodzi!

Była przerażona, bała się być z nim tu sama. Kiedy odwrócił się do niej, skuliła się ze strachu.

- Nie zrobię ci krzywdy, za kogo mnie masz? Ale wyrzucę cię z domu, ze swojego życia. Gdyby nie śnieżyca, zrobiłbym to już teraz. Pozbyłbym się ciebie i dziecka, które me jest moje.

- Oszalałeś - szepnęła.

- Więc powiedz mi, że jest moje. Przysięgnij na jego życie, że to ja jestem ojcem.

Nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Zrozumiała, że nic nie da się już naprawić. To koniec. Będzie musiała zwrócić się do łana, pomyślała, łan jest sprytny i przedsiębiorczy, tak, właśnie przedsiębiorczy. Wymyśli jakiś sposób, żeby to naprawić, a jeżeli rzeczywiście nie da się nic zrobić, na pewno wpadnie na jakiś inny pomysł.

- No, przysięgnij na życie dziecka.

Nigdy nie była przesądna, ale jednak nie mogła się na to zdobyć.

- Nie - powiedziała.

- Oczywiście, że nie. Cóż, jedno jest pewne: będzie znacznie ładniejsze niż dziecko, które ja mógłbym ci dać.

Jego głos zabrzmiał ze zdwojoną siłą. Była przekonana, że ściany domu drżą od jego furii.

- Nie kłam już! Jesteś suką i robisz z siebie idiotkę, ale już nigdy nie uda ci się zrobić ze mnie głupca! Zejdź mi z oczu! Nie chcę, żebyś przebywała ze mną w tym samym pokoju. Zasługujesz na śmierć. Mógłbym cię zabić... Wynoś

się do tamtego pokoju, żebym nie musiał dłużej oddychać tym samym powietrzem co ty!

Wpadła do sypialni, którą Clive w odległych, pogodnych czasach przeznaczył dla gości. Gdyby miała dokąd pójść, uciekłyby z tego domu, ale śnieg był coraz gęściejszy, prawie zupełnie zalepił już szyby, a wiatr huczał jak burza. Znalazła się w pułapce.

Zza ściany dobiegł trzask rozbijanych naczyń. Oślepiiony furją potknął się o stół, a może celowo przystąpił do niszczenia domu? Przypomniała sobie, że nie zamknęła drzwi i szybko podniosła się z łóżka. Przez szparę zobaczyła obrócony w ruinę pokój, a potem wybiegającego prosto w burzę śnieżną Clive'a. Drzwi domu zatrzęsły się hukiem, od którego tym razem naprawdę zatrzęsły się ściany.

Roxanne wślizgnęła się z powrotem do pokoju i skulona usiadła na brzegu łóżka. Była zbyt wyczerpana, aby zdobyć się na jakąkolwiek myśl. Pragnęła tylko przetrwać tę straszną noc.

Rozdział piętnasty

Grudzień 1990

Wcześniej tego samego popołudnia, kiedy pierwsze płatki śniegu zaczynały dopiero opadać na ziemię, Amanda Grey kończyła pić herbatę w salonie Sally.

- Tak mi przykro, że nie zastałam Dana - powiedziała. Sally, która zawsze była ciekawa prawie nie znanej siostry

męża, teraz obserwowała ją uważnie, choć dyskretnie. Amanda miała te same gęste włosy i przejrzyście jasne włosy, była po prostu kobiecą wersją Dana. Natomiast ani trochę nie przypominała go pełnym napięciem zachowaniem i za szybkim sposobem mówienia.

- Mój adwokat i księgowy przylecą z Nowego Jorku w poniedziałek - oświadczyła. - A ja w ostatniej chwili postanowiłam ich wyprzedzić i odwiedzić brata oraz jego rodzinę.

Sally zacisnęła lekko wargi. Słowa „brat” i „rodzina” wydawały się nie na miejscu w ustach osoby, która przez cały ubiegły rok zajadłe atakowała swoich bliskich.

- Chyba zaskoczyłam cię swoim przyjazdem... Powinnaś być wcześniej zadzwonić.

Sally rzeczywiście była zaskoczona, ale postanowiła unikać wszelkich ewentualnych nieporozumień z Amandą.

- Gdybyś zadzwoniła, na pewno nie zgodziłabym się, żebyś wynajęła pokój w hotelu. Mogłaś zatrzymać się tutaj, to duży dom.

Tak, widzę. Jest piękny. Utrzymany w tak pogodnych kolorach, że nawet przy tej pogodzie żyje w nim lato.

To normalna pogoda o tej porze roku. Kilka płatków śniegu, nic więcej.

Zapominasz, zresztą ja też zapomniałam, jak dawno tu

nie byłam. - Amanda przerwała na długą chwilę. - Tak, upłynęło dużo, dużo czasu...

Jej głos opadł smutno pod koniec zdania. Sally odniosła wrażenie, że Amanda mówi jak staruszka, pod koniec życia wspominająca minione lata. Ten ton zupełnie nie pasował do młodej kobiety o ustach rozjaśnionych koralową szminką i ubranej w elegancki kostium tej samej barwy.

Nagle Amanda się ożywiła.

- A więc to już prawie święta! Nie ma sensu patrzeć wstecz. Robię się czasem sentymentalna, a nie powinnam.

- Nie wiem, dlaczego, skoro tak się właśnie czujesz... Na kanapie obok Amandy leżał stos pudełek w kolorowych, lśniących opakowaniach.

- Na pewno nie zechcesz rozpakowywać teraz prezentów, ale lepiej powiem ci, co przywiozłam, żeby w razie czego zdążyła jeszcze coś wymienić. Dla Dana książki i pudełko skórki pomarańczowej w czekoladzie. To ostatnie ze względów czysto sentymentalnych, ponieważ pamiętam, że kiedyś, gdy jeszcze żyli nasi rodzice, Dan podkradł takie czekoladki ze spiżarni i pożarł całe opakowanie. Mam nadzieję, że nadal je lubi. Dla Susanny szmaciana lalka z namalowanymi oczkami, bez żadnych guziczków, które mogłaby połknąć, a dla Tiny lalka-niemowlę i zestaw ubranek. Z własnego doświadczenia pamiętam, że małe dziewczynki wołają lalki, które mogą same kąpać i ubierać od wystrojonych pięknotek, z którymi nie bardzo wiadomo, co robić, bo zaraz gniotą się ich wspaniałe suknie. A dla ciebie, Sally, czarno-biały sweter (zapamiętałam twoje czarne włosy), który zrobiła na drutach jedna z moich dziewcząt. Razem z kilkoma innymi prowadzi sklepik z ubraniami dla dzieci i jest wyraźnie utalentowana. Dziewczyna ma przyszłość.

- Jesteś zbyt hojna.

Sally czuła się zmieszana i zdumiona szczodrością kobiety, która przecież zamierzała ich wszystkich zrujnować. Zdecydowała, że będzie z nią zupełnie szczerą.

- Muszę przyznać, że cię nie rozumiem - powiedziała. - Wydawało mi się, że stoimy po przeciwnych stronach barykady, że jesteś bardzo rozgniewana na Dana. Tymczasem ty przywozisz nam prezenty...

- Jeśli chodzi o interesy, rzeczywiście jestem zła, więcej

wściekła. Ale przecież w żaden sposób nie dotyczy to Dana, mojego brata.

- Przykro mi, nadal nie jest to dla mnie jasne. Dan-biz-nesmen i Dan-brat to dla ciebie dwie różne osoby? Twój brat to po prostu biznesmen, współwłaściciel firmy, z którą walczysz.

- To prawda. Nic nie powstrzyma mnie od upominania się o swoje prawa.

- Nikt nie chce cię ich pozbawić, Amando - sztywno powiedziała Sally.

- Chyba nie wiesz, co się naprawdę dzieje. Zwlekają z zawarciem kontraktu z zagranicznym klientem, a ja jestem zmuszona czekać na własne pieniądze. Nie wierzę już w ani jedno ich słowo. Dałam im czas do pierwszego dnia nowego roku. Zostało już tylko dziesięć dni, więc...

- Znam fakty, Amando. Nie ma sensu, żebyś mi o tym opowiadała, bo ja nie mam nic wspólnego z Grey's Foods.

Ta kobieta była wykończona nerwowo! Jedną stopą postukiwała rytmicznie o podłogę, palcami ręki zaś uderzała nerwowo o oparcie kanapy.

- Dan będzie w domu jutro, późnym popołudniem - odezwała się Sally, próbując ułagodzić szwagierkę. - Może kiedy staniecie twarzą w twarz, uda się wam zawrzeć pokój. Przez telefon dosyć trudno jest się porozumieć.

Amanda milczała.

- Chciałabym, żebyście się wszyscy pogodzili - ciągnęła Sally. - Dan jest bardzo przygnębiony tymi sporami, a biedny Oliver na pewno odchodzi od zmysłów, chociaż stara się tego nie okazywać.

Amanda wpatrywała się w przestrzeń i sprawiała wrażenie, jakby nie dotarło do niej ani jedno słowo. Nagle zadrżała i skuliła się lekko.

- Zimno ci? - zapytała Sally. - Poczekaj, podam ci szal...

- Nie, to nie ten rodzaj chłodu. Wyziębłam od środka. Chyba jednak nie powinnam była tu przyjeżdżać. Od śmierci rodziców nie przeżyłam w Scythii ani jednej szczęśliwej chwili.

Ludzie rzadko przychodzą do kogoś i odsłaniają się aż tak bardzo w ciągu pierwszych trzydziestu minut, pomyślała Sally.

- Nic dziwnego, że nie masz stąd żadnych dobrych wspomnień - powiedziała ze współczuciem. - Byłaś przecież młodzieńką dziewczyną, która dopiero co straciła rodziców. Dla ciebie musiało to być o wiele cięższe przeżycie niż dla małego chłopca, jakim był wtedy Dan. I na dodatek miałaś wokół siebie samych mężczyzn...

- Nie, była jeszcze ciocia Lucille. Słyszałaś o niej?

- Znam ją tylko z portretu, który wisi w jadalni w Hawthorne.

- Popęłniła samobójstwo.

Sally siedziała bez ruchu, całkowicie zaskoczona.

- Nikt mi o tym nie mówił!

- Oczywiście. Zgodnie z oficjalną wersją, w mgliste zimowe popołudnie zjechała z mostku prosto do rzeki. Albo miała atak serca. Do wyboru. Ale ja wiem lepiej.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś jedyną osobą, która zna prawdę?

- Może nie jedyną. Jestem jednak pewna, że Dan niczego nie podejrzewa, bo powiedziałby ci o tym.

Amanda była chyba psychicznie chora, a w najlepszym razie mocno „ekscentryczna”, jak to czasem nazywano... Teraz czekała na jakiś komentarz, więc Sally zdobyła się na zwięzły i jak najmniej emocjonalny.

- Musiało to być straszne dla was wszystkich.

- Nie było mnie już wtedy w Hawthorne. Tragedia wydarzyła się w dzień po moim wyjeździe do szkoły z internatem. Chciałam wrócić na pogrzeb, bo bardzo ją kochałam, ale dorośli uznali, że nie powinnam. Dyrekcja szkoły uważała, że to za długa i męcząca podróż, a moi krewni - mieszkający w Kalifornii kuzyni mojej matki, którzy serdecznie się mną zajęli - zgodzili się z tą opinią. Ciocia Lucille była kochaną, spokojną kobietą, bardzo czułą i wyrozumiałą wobec mnie, a już zwłaszcza wobec Clive'a. Pamiętam, że był trochę dziwny. Biedny Clive.

Sally poczuła się urażona ostatnią uwagą Amandy, chociaż sama myślała o Clivie w ten właśnie sposób. Postanowiła stanąć w jego obronie.

- Teraz jest zupełnie normalny, ożenił się i jest szczęśliwy, chociaż dopiero wraca do zdrowia po bardzo ciężkiej chorobie.

- Bardzo się cieszę, że życie zaczęło mu się lepiej układać. Słyszałam, że jest przeciwny sprzedaży lasów.

- Nie wiem - odpowiedziała Sally, zirytowana próbą wyciągnięcia z niej informacji. - Mówiłam ci już, że nie mieszam się w sprawy firmy.

Zaraz jednak złagodziła poprzednią ostrą wypowiedź, odwołując się do wspomnień Dana.

- Dan chwali się tobą i twoimi osiągnięciami na uczelni - powiedziała. - Mówi, że przez całe studia utrzymywałaś się w ścisłej czołówce.

- To prawda, ale nie dało mi to zbyt wiele radości. Nigdy nie cieszyłam się popularnością, nie byłam chyba lubiana i atrakcyjna.

- Trudno mi w to uwierzyć. Teraz jesteś przecież bardzo atrakcyjną osobą.

Sally czuła się coraz bardziej niepewnie. Wysłuchiwanie intymnych, raczej ponurych zwierzeń Amandy nie sprawiało jej przyjemności. Spróbowała zmienić temat.

- Chciałabyś obejrzeć dom? Jeśli chcesz, z przyjemnością cię oprowadzę.

- Chcę zobaczyć dom i dzieci, przede wszystkim dzieci.

Amanda oglądała zdjęcia autorstwa Sally, wiszące nad biurkiem Dana w gabinecie na górze, gdy do pokoju wbiegła ubrana w różowy szlafroczek Susanna. W ślad za nią pojawiła się Niania.

- Nie do wiary, ona już jest dla mnie za szybka! - wykrzyknęła. - Poczekaj no, panienko, masz jeszcze mokre włosy. Zaraz je wysuszymy.

Susanna zaśmiewała się na cały głos, wrywając się spod dłoni Niani i ręcznika.

- No, teraz możesz iść do mamusi. Sally wzięła małą na rękę.

- To jest Amanda. Myślisz, że mogłabyś jej pomachać rączką, o, tak?

Pięć małych paluszków poruszyło się szybko, raz i drugi. Amanda odpowiedziała identycznym gestem.

Mogę ją potrzymać, czy będzie się bała?

Raczej nie. Większość dzieci w tym wieku boi się obcych, ale Susanna nie okazuje strachu. Spróbuj ją wziąć.

Amanda wyciągnęła ramiona i Su sanna bez protestu zmieniła miejsce pobytu.

- Moja śliczna! - wykrzyknęła Amanda. - Jesteś po prostu urocza! Ona jest cudowna, Sally. Ile ma miesięcy?

- Skończyła rok - powiedziała z dumą Sally. - Wygląda na to, że w ogóle niczego się nie boi.

Amanda pokiwała głową.

- Sądzę, że nie będzie miała wielu problemów w życiu. Tylko spójrz na ten uśmiech... A gdzie jest Tina?

- Bawi się - odpowiedziała Niania, rzucając Sally dyskretne spojrzenie. - Jest dzisiaj trochę humorzasta. Próbuję ją namówić, żeby zeszła na kolację.

- Wobec tego lepiej zostawmy ją w spokoju - orzekła Sally.

- Chodźmy do niej - nieoczekiwanie zaproponowała Amanda. - Kto by się przejmował humorami? Wszyscy je mamy. W każdym razie ja nie potrafię ich unikać.

Sally uznała, że powinna wyjaśnić Amandzie, iż w przypadku Tiny chodzi o coś więcej niż zwykłe dziecięce humory.

- Mamy z nią ostatnio trochę kłopotów - powiedziała ostrożnie. - Nic poważnego, po prostu co jakiś czas nie chce się do nikogo odzywać. Nic poważnego - powtórzyła. - Ale to dość irytujące...

- Nie dla mnie - odrzekła Amanda.

Już w holu usłyszały pozytywkę, wygrywającą walca *Nad pięknym, modrym Dunajem*.

Tina stała przed karuzelą. Na widok matki w towarzystwie obcej osoby szybko wybiegła z pokoju.

- Tino, wróć i przywitaj się - powiedziała Sally, doskonale wiedząc, że upomnienie nie przyniesie żadnego skutku. -Przepraszam cię, Amando, Tina rzeczywiście ma „humorzasty” dzień. Zejdzie z Nianą na kolację i może potem będzie w lepszym nastroju - wyjaśniła, choć wcale nie była pewna swoich słów.

Karuzela nadal grała.

- Nieznośna zabawka. - Sally wyłączyła pozytywkę. -Prezent dla Tiny z Hawthorne. Mam już dosyć tej melodii...

Amanda stała tuż za nią z twarzą ukrytą w dłoniach, drżąc na całym ciele.

- Co się stało? - z przerażeniem krzyknęła Sally.

- Ta okropna rzecz... Należała do mnie, dostałam ją w prezencie.

- Nie rozumiem.

Amanda wpatrywała się w karuzelę jak zahipnotyzowana.

- Co się stało? - powtórzyła Sally. - Co ci jest? Amanda potrząsnęła głową.

- Nic. Nic ważnego. Przepraszam. Myślałam o czymś... Przepraszam cię.

- Ależ ty źle się czujesz! Śmiertelnie mnie wystraszyłaś!

- Przepraszam, to naprawdę nic ważnego. Nie chcę robić zamieszania w twoim domu.

Zachowywała się bardzo dziwnie. Sally żałowała, że nie ma Dana, który na pewno wiedziałby, jak poradzić sobie z własną siostrą. Wzięła Amandę pod rękę.

- Jeżeli mogę ci pomóc, nie przejmuj się zamieszaniem - powiedziała serdecznie.

- Ale jeśli zostawisz mnie w niepewności i nie powiesz, o co chodzi, będę naprawdę zła. Proszę, muszę wiedzieć.

- Bardzo zaskoczył mnie widok karuzeli, to wszystko. Przykro mi, że urządziłam taką scenę w waszym domu, naprawdę nie chcę...

Amanda przyglądała się Sally z takim wyrazem twarzy, jakby oceniała wartość jakiegoś przedmiotu lub zastanawiała się, czy powinna dokonać zakupu. Błyszczące oczy, oczy Dana, patrzyły prosto w oczy Sally.

- Nigdy w życiu nikomu tego nie mówiłam. Nie jestem zresztą pewna, czy powinnam...

- Jak chcesz. Ale niezależnie od tego, czy to ważne, czy nie, powinnas powiedzieć to komuś życzliwemu, zanim wybuchnie i rozsadzi cię od środka niczym ładunek wybuchowy, Amando.

- Wiem. Jesteś bardzo dobrą, wyrozumiałą kobietą, Sally. .luż ci to kiedyś powiedziałam, chyba wtedy, gdy obejrzałam twoje zdjęcia...

- Dziękuję. Staram się, jak mogę.

Po policzkach Amandy spłynęły powoli dwie duże łzy.

Wiele, wiele razy powtarzałam sobie, że muszę powierzyć komuś tę tajemnicę, ale kiedy nadchodził decydujący moment, nie mogłam się na to zdobyć.

A teraz?

Sally czuła ciekawość, każdy czułby ją w tej sytuacji, lecz jednocześnie wcale nie chciała poznać historii Amandy. Jej własne zmartwienia były wystarczająco przytłaczające.

Amanda odetchnęła głęboko.

- Tak - powiedziała. - Teraz mogę. - Roześmiała się niewesoło. - Lepiej usiądź wygodnie, bo to długa opowieść.

- Widok karuzeli przywołał wszystkie wspomnienia - zaczęła. - Dostałam ją, kiedy miałam dwanaście lat. Była to łapówka, kosztowna łapówka za milczenie, zupełnie niepotrzebna. I tak bym milczała. Milczałam przecież bardzo długo.

Na pogrzeb moich rodziców przyszło mnóstwo osób, krewnych, przyjaciół i znajomych. Wszyscy chcieli dla nas jak najlepiej. Wszyscy powtarzali: „Będiesz dorastać w najlepszym domu, jaki może wymarzyć sobie młoda dziewczyna, w takiej kochającej rodzinie”. Mówili mi to nawet zatrudnieni w Hawthorne służący.

Nikt nie rozumiał, dlaczego tak często płakałam w ciągu tego roku, który tam spędziłam, dlaczego byłam zbuntowana i pełna gniewu. A ja się bałam, bardzo się bałam. Przesiadywałam sama w swoim pokoju albo pod drzewem z książką w rękę, chociaż nie mogłam czytać, bo wszystkie słowa zlewały się w jedno.

Oczy Amandy były przymknięte, słowa płynęły monotonnym strumieniem, jej palce bawiły się zapięciem od torebki. Sally nie spuszczała z niej wzroku, zahipnotyzowana widokiem cierpienia. Czuła się tak, jakby oglądała film o uchodźcach, rannych, udręczonych, zrozpaczonych... Na takie obrazy nie chce się patrzeć, a jednak nie sposób odwrócić oczu...

- Starano się znaleźć rozsądne wyjaśnienie mojego zachowania, mówiono, że jestem w szoku po strasznej śmierci rodziców i że mam przecież dwanaście lat i właśnie wkraczam w trudny wiek dojrzewania. Ciocia Lucille była wspaniała. Codziennie spędzała ze mną wiele godzin, zabierała mnie na spacer i przejażdżki, pomagała w nauce, kupowała mi nowe sukienki i książki. Nie wiedziała, co działo się ze mną wieczorami, kiedy ona grała na fortepianie lub wybierała się na cotygodniowe zebranie swojego klubu.

Szybciej, mów szybciej, ponaglała ją w myślach Sally. Na miłość boską, pospiesz się i powiedz wreszcie, co masz

do powiedzenia. Ale Amanda dalej mówiła powoli, jakby przez sen.

- Leżałam w łóżku, kiedy przyszedł pierwszy raz. Przysiadł na brzegu i wziął mnie za rękę. Rozmawialiśmy, a ja byłam wdzięczna za ciepło jego dłoni. „Jesteś samotna”, powiedział. „Będę do ciebie zaglądał”. Następnego dnia przyszedł znowu. Tym razem zatkał mi usta ręką, żebym nie krzyczała. Dwunastoletnie dziewczynki uważają, że wiedzą wszystko o życiu i seksie, prawda? Ale nie wiedzą nic. Nie mają pojęcia, co może je spotkać.

Sally zdała sobie nagle sprawę, że jej serce wali jak oszalałe, a kręgosłup zupełnie zeszywniał. Pochyliła się do przodu, jakby pragnęła wyraźniej słyszeć opowieść Amandy, i ciasno owinęła się długim swetrem. Przerazone oczy utkwiała w twarzy drugiej kobiety, która nieruchomo patrzyła przed siebie.

- Do dziś pamiętam każdy szczegół tego pokoju. W jedno z okien przez całą zimę miarowo uderzała naga gałąź. Zasłony były białe, w drobne czerwone kropki, na dzień przytrzymywało się je metalowymi obręczkami w malowane stokrotki. Zegar na komodzie dzwonił co pół godziny. Leżałam, nasłuchując tykania zegara, cichych kroków w korytarzu i wreszcie zgrzytnięcia przekręcanej klamki. W drzwiach nie było zamka.

Pewnego wieczoru przyniósł mi srebrną karuzelę. Podziwiałam ją i często się nią bawiłam, więc mi ją dał. Jak łapówkę. Stosował też groźby. „Jeżeli powiesz o tym komuś, nikt ci nie uwierzy, Amando. A Bóg i tak ukarze cię za to, co zrobiłaś”. Tak mówił.

Sally nie potrafiła opanować dłużej strasznego gniewu, który ścisnął jej gardło. W ustach czuła smak krwi. Jeżeli Clive zrobił to Amandzie, to dlaczego nie miały zrobić tego Tinie? Clive - powiedziała. - Clive...

Amanda podniosła głowę.

Słucham? Clive? Ach, biedny, smutny Clive. Oczywiście, że to nie on. Nie zorientowałaś się, że mówię o Oliverze?

Sally zamarła. Patrzyła na Amandę tępo, z otwartymi usłami.

Miał rację - powiedziała Amanda z goryczą. - Mówił, że nikt mi nie uwierzy i rzeczywiście. Nie wierzysz mi, praw-

da? Myślisz, że bredzę albo że cierpię na „odzyskane wspomnienia”, które wmówił mi jakiś niekompetentny lub nieuczciwy psychoanalityk. Istnieją ludzie, którzy naprawdę odzyskują wspomnienia, są też oszuści i histerycy. Ja nie zaliczam się do żadnej z tych grup. Niczego nie zapomniałam, niczego nie muszę odzyskiwać, przeżyłam w pełni świadomie każdy dzień, wtedy w Hawthorne i później. Przysięgam, że mówię prawdę.

- Ale Oliver... Oliver Grey?

- Czujesz się jak dziecko, które właśnie się dowiedziało, że pan w stroju świętego Mikołaja wcale nie jest świętym Mikołajem, prawda?

Amanda wstała i niespokojnie przeszła się po pokoju. Wyrzała przez okno, wzięła do ręki książkę i zaraz odłożyła ją na miejsce, przesunęła tam i z powrotem przycisk do papieru.

- Powiem ci, jak to się skończyło. Ciocia Lucille przyłapała go, kiedy wychodził z mojego pokoju. Musiała chyba obserwować go już wcześniej, bo kiedy otworzył drzwi, stała naprzeciwko, tuż obok lampy w holu. Czekala na niego. Potem usłyszałam głosy z ich pokoju, tuż za ścianą. Okropnie się kłócili, ciocia płakała. Leżałam bez ruchu, śmiertelnie przerażona i zastanawiałam się, co się dalej wydarzy. Myślałam nawet, że może zostanie ukarana. Ale przede wszystkim nienawidziłam go z całego serca i miałam nadzieję, że ona go zabije.

Rano zawołała mnie do swojego pokoju. Miała zaczerwienione oczy; powiedziała mi, że dostała uczulenia. Przytuliła mnie i zapytała, czy chciałabym pojechać do szkoły z internatem. „Wiele dziewcząt uczy się w takich szkołach”, powiedziała. „Myślę, że mogłoby ci się to spodobać, prawda? Może znajdziemy taką szkołę w Kalifornii, gdzieś w pobliżu domu krewnych twojej mamy”.

Żadna z nas nie była w stanie powiedzieć wprost, co się stało. Musisz pamiętać, że były to lata sześćdziesiąte. Ludzie nie mówili jeszcze otwarcie o takich tragediach. Ciocia była łagodną, uległą kobietą. Miałam zaledwie trzynaście lat, ale wiedziałam, że taka właśnie jest. Przytuliła mnie do siebie, lecz ani razu nie spojrzaliśmy sobie w oczy. Mówiła, że bardzo mnie kocha i że wie, iż będę zadowolona, bo szkoła,

o której myśli, jest niewielka i panuje w niej wyjątkowo miła atmosfera. Mogę nawet zabrać swojego psa.

W przeddzień wyjazdu zebrałam wszystkie „łapówki”, które od niego dostałam - złoty zegarek, bransoletkę, a przede wszystkim srebrną karuzelę - i postawiłam je na podłodze w jego gabinecie. Zabrałam tylko mojego miniaturowego pudła imieniem Coco. Nie chciałam opuszczać Dana, który był wtedy jeszcze małym chłopcem, ale potrafiłam myśleć tylko o tym, jak bardzo chcę uciec przed Oliverem. Więc wyjechałam. Pamiętam Dana, jego szeroko otwarte, przestraszone, pełne łez oczy. „Wyjeżdżasz, Amando?” Nie wiem, co mu odpowiedziałam.

Oliver Grey!, myślała Sally. Jeżeli Amanda mówi prawdę, to znaczy, że zrobił to także naszej Tinie. Zrobiło jej się słabo. Mocno oparła się o fotel i natychmiast odrzuciła myśl, która przed chwilą pojawiła się w jej głowie. Cała ta historia była zupełnie nieprawdopodobna! Oliver Grey?

- Nie bałam się zostawić Dana, bo wiedziałam, że bardzo zaprzyjaźnił się z oboma starszymi chłopcami. No i była tam ciocia Lucille... - Amanda przerwała, jakby nie mogła odważyć się na dokończenie opowieści. - Jednak już wkrótce... Musisz wiedzieć, że była ostrożnym, dobrym kierowcą. Pamiętam, jak któregoś dnia zwolniła w tym miejscu i powiedziała: „Trzeba tu bardzo uważać. Widzisz, jest tu ostry zakręt, a zaraz potem przepust na odpływ wody. Samochód może z łatwością wpaść wprost do rzeki. Straszne, że jeszcze nie zabezpieczono tego fragmentu drogi”. Dokładnie pamiętam jej słowa.

- I wierzysz, że popełniła samobójstwo.

- Albo to, albo była tak poruszona, że nie patrzyła, jak jedzie. Uważam jednak, że zrobiła to celowo, bo on zupełnie ją zniszczył. Nie chciała go więcej widzieć, nie mogła patrzeć na własnego męża. Wiem, co czułabym na jej miejscu.

Sally otworzyła usta i zaraz znowu je zamknęła.

- Widzę, że nadal mi niedowierzasz. Nie mam do ciebie pretensji. Oliver Grey, wielki filantrop... Życie jest dziwne, prawda?

Sally odzyskała głos.

- Dlaczego nigdy nikomu nic nie powiedziałaś? Gdybyś tylko z kimś porozmawiała, gdybyś nie tłumiała tego w sobie

przez wszystkie te lata... A teraz nagle zjawiasz się tutaj i mówisz akurat mnie!

- Nie miałam zamiaru ci o tym mówić. Zobaczyłam tę karuzelę i po prostu musiałam... Nadal mam przed oczami tę lśniąca, wspaniałą zabawkę. Stoi na stole w bibliotece, jej odbicie drży w lustrze. Lustro było z weneckiego kryształu, z delikatnie ciętym brzegiem. Ten potwór miał zawsze nieskazitelny gust.

- A gdybyś nie zobaczyła karuzeli? Czy wtedy nadal dławilibyś to w sobie?

- Nie, chyba nie. Na początku, w szkole, byłam zbyt wstrząśnięta i zawstydzona. Nie powiedziałabym nikomu ani słowa, nawet na torturach. Potem kilka razy próbowałam rozmawiać z terapeutami, od których oczekiwałam, że pokażą mi, jak ufać ludziom, jak ich kochać. Ale kiedy przychodziła właściwa chwila, nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Niepokoiłam się też o Dana i chłopców, nie chciałam skazać ich na publiczne upokorzenie. - Amanda się uśmiechnęła. - Może zresztą ja też mam w sobie przekłętą dumę Greyów.

Sally poczuła nagle, że brak jej tchu. Ściany zbliżyły się ku niej, powietrze było duszne i gorące. Jeżeli Amanda mówi prawdę, to co jeszcze może się okazać? Że Oliver zrobił to samo Tinie, jej malutkiej córeczce?

- Nie widziałam go od wyjazdu - Amanda przerwała krótkie milczenie. - Nie przyjechałam na wasze wesele, bo nie mogłam znieść myśli, że będę zmuszona na niego patrzeć. Ale teraz zobaczę się z nim. Nie mogę wyegzekwować swoich praw od jego synów, więc zmuszę jego, aby je respektował.

Sally wróciła do rzeczywistości, na chwilę zostawiając za sobą koszmar, w który nadal nie mogła uwierzyć.

- Twoje prawa? Chodzi ci o wykup udziałów, tak?

- Tak, o każdego dolara i centa. Oliver Grey zapłaci mi za wszystko.

- On nie ma nic wspólnego z tą sprawą. Zostawił wszystko w rękach lana, Clive'a i Dana.

- Oczywiście. Za bardzo się mnie boi. To jedyna rzecz, która sprawia mi satysfakcję - świadomość, że on dzień i noc żyje w obezwładniającym strachu.

- Ale przecież to szantaż!

- Można to tak nazwać.

- A co z resztą rodziny, z chłopcami, jak o nich mówisz? Co będzie z nimi?

- Nic na to nie poradzę.

A więc zniszczy nas wszystkich, żeby się na nim zemścić, pomyślała Sally. Zrobiło jej się żal Dana, jego pracy i dumy, z jaką prowadził starą rodzinną firmę.

Ale czy można było winić Amandę za chęć zemsty?

- Drzę na samą myśl, że będę musiała przekroczyć próg tego domu, zobaczyć tę sypialnię, jadalnię z portretem Lucille... Tę wielką szafę, w której chowałam się za rozwieszonymi na drążkach obrusami... Bałam się, bałam się tak bardzo, że nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa.

Przed oczyma Sally pojawił się na chwilę podobny obraz: Tina, ukryta zeszłego lata pod fortepianem, za zasłonami, milcząca, nieruchoma...

- Nigdy nie byłam szczerą i otwartą wobec mężczyzn, nawet tych, których kochałam. Nocami nadal dręczę mnie koszmary.

Koszmary... Przeróżliwy krzyk z pokoju naprzeciwko: „Mamusiu! Mamusiu!”.

Amanda znowu odwróciła się do okna.

- Śnieg jest coraz gęściejszy. Chyba powinnam wracać do hotelu. . .

- Chyba tak - przytaknęła Sally, nie próbując jej zatrzymać.

- Zepsułam ci dzień. Bardzo przepraszam, Sally. Nie była to ładna opowieść, prawda?

- Nie.

Stały u szczytu schodów, kiedy nagle odezwała się pozytywka. Tina wróciła do pokoju. *Nad pięknym, modrym Dunajem...*

Amanda zawahała się, cofnęła dłoń z poręczy schodów.

- Może nie powinnam tego mówić, ale...

- Powiedz! - ostro odezwała się Sally. - Powiedz. Niezależnie od tego, co to jest.

- Dobrze. Mówiłaś, że Oliver podarował jej tę karuzelę Sally miała wrażenie, że stacza się po schodach. Z całej siły chwyciła się poręczy.

- Nie pamiętam, co mówiłam. To był prezent dla Tiny,

z Hawthorne. Myśleliśmy, że dostała ją od Clive'a. On ją uwielbia, dał jej kucyka... - Sally przerwała, nie mogąc mówić dalej.

- Srebrna karuzela, cenny antyk. Dziwny podarunek dla dziecka.

- Tina... Tina chciała ją mieć. Powtarzała to wiele razy. Amanda obrzuciła ją długim spojrzeniem.

- Radzę ci sprawdzić, jak to było, Sally. Tak, powinnaś to zrobić.

Kiedy drzwi zamknęły się za Amanda, Sally pobiegła na górę.

- Opanuj się - powiedziała do siebie głośno. - Nie panikuj! Spokojnym krokiem weszła do pokoju, gdzie karuzela wydzwaniała swoją melodyjkę.

- Czas na kąpiel - powiedziała lekko i pogodnie. Chciała dotrzeć do prawdy, a więc nie mogła się spieszyć,

nalegać ani naciskać. Nie mogła przestraszyć dziecka.

- Nie - odrzekła Tina. - Nie chcę się kąpać.

- Zobacz, na dworze jest tak zimno, a w ciepłej kąpielii będzie ci miło i przytulnie.

- Mówię, że nie.

Nie można przekupywać dzieci, to zła metoda wychowawcza. Ale tym razem Sally postanowiła po nią sięgnąć.

- W pokoju taty jest nowe pudełko cukierków - oświadczyła. - Dostaniesz dwa, jeżeli wykąpiesz się bez awantur.

Razem poszły do gabinetu Dana, gdzie Sally wyjęła pudełko i pozwoliła Tinie wziąć obiecane dwa cukierki. Dziewczynka bez dalszych protestów dała się rozebrać. Matka drżącymi rękami zdjęła z niej różowe majteczki z falbankami, kolejny prezent od Happy, pomogła Tinie wejść do wanny, umyła ją namydloną gąbką i dokładnie opłukała. Oczy matki uważnie obserwowały ciało dziecka, szukając złowrogich znaków. Ale przecież tyle krzywdy można wyrządzić, nie zostawiając żadnego śladu...

Sally czuła, że dławi ją wściekłość i obrzydzenie. Jeżeli ktokolwiek ośmielił się dotknąć jej dziecko... Ołiverze Grey, jeżeli zrobiłeś jej krzywdę, przysięgam, że cię zabiję! To niemożliwe, niewiarygodne. Amanda Grey była szalona. A jeśli nie?

- Czy prosiłaś kogoś o tę karuzelę, Tino? - zapytała.

- Chciałam ją mieć. Zabierzesz mi ją?
- Nie, oczywiście, że nie. Zastanawiałam się tylko, kto ci ją obiecał.
- Oliver. - W głosie Tyny zabrzmiał wyraźny niepokój. - Ale może mi ją zabrać...
- Dlaczego miałby ci ją odbierać?
- Nie wiem. Tak powiedział.
- Co powiedział?
- Że ją zabierze! - ze zniecierpliwieniem krzyknęła Tina. - Przecież ci mówiłam!
Powoli. Jej słowa i ruchy muszą być pełne spokoju. Otuliła Tinę ręcznikiem, wyjęła ją z wanny i posadziła na krzeselku, aby przeczesać jej włosy.
- Wiesz, co sobie myślę? - powiedziała wesoło. - Myślę, że masz jakieś tajemnice.
- Nie, nie mam.
- Och, chyba jednak masz. Wydaje mi się, że jeśli się zdarza, ktoś zrobi ci coś, co ci się nie podoba, w ogóle mi o tym nie mówisz.
W oczach Tyny pojawił się cień strachu. Dziewczynka szybko spuściła głowę.
- Wiesz przecież, że nikt nie kocha cię bardziej niż tatuś i ja. Nikt.
Tina milczała.
Sally odłożyła szczotkę do włosów. Objęła córeczkę i mocno przytuliła ją do siebie.
- Wiesz o tym, prawda, kochanie? Możesz nam wszystko powiedzieć, nigdy nie będziemy się na ciebie złościć. Jeżeli ktoś jest czasem dla ciebie niemiły...
- Nikt nie jest dla mnie niemiły.
- To świetnie. Ale czasami jesteś zdenerwowana i wtedy przychodzi mi do głowy, że może ktoś zranił twoje uczucia. Chciałabym, żebyś powiedziała mi o tym, zamiast smucić się w samotności.
Tina nie odpowiadała, lecz Sally mówiła dalej, pewna, że dotknęła czułego miejsca.
Pamiętasz, jak kiedyś jakieś dziecko w przedszkolu stanęło ci na rączce? Po powrocie do domu nie poskarżyłaś się ani słowem, chociaż miałaś wyraźny ślad na dłoni.

Cisza. Sally nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że wchodzi w coraz głębszą wodę.

- A kiedy dostałaś karuzelę, zaczęłaś płakać i nie chciałaś powiedzieć, dlaczego - ciągnęła spokojnie. - „Dziwne”, pomyślałam sobie. „Taki piękny prezent, a Tina płacze”. Ale może karuzela wcale ci się nie podobała. Może właśnie dlatego płakałaś.

Tina ześlizgnęła się z jej kolan.

- Podoba mi się, zawsze mi się podobała! - krzyknęła. - Chcesz mi ją zabrać. Powiedział, że ją zabierzesz, jeśli...

- Powiedział? Kto powiedział?

- Stryj Oliver. Zabierzesz mi ją, jeżeli ci o tym powiem.

- O czym, Tino?

- No wiesz, o tym, co robi stryj Oliver. Sally potrząsnęła głową.

- O niczym nie wiem. Powiedz mi.

- On zdejmuję mi majteczki i dotyka mnie. A jeżeli komuś o tym powiem, on naskarży na mnie, że jestem niegrzeczna i robię złe rzeczy. A ty mnie ukarzesz.

Spokojnie, pomyślała Sally. Nie mogę pokazać po sobie, że właśnie wbiła mi nóż w serce.

- To była tajemnica! Powiedziałam ci i teraz... Sally wzięła Tinę na rękę.

- Nie, nie, nie - szepnęła. - Wszystko w porządku. Nie zrobiłaś nic złego, Tino. To on zrobił źle.

I chociaż twardo postanowiła, że nie ulegnie emocjom, rozpłakała się głośno.

- Dlaczego płaczesz, mamusiu?

- Bo tak bardzo cię kocham... Jesteś naszą grzeczną córeczką. Najgrzeczniejszą dziewczynką na świecie.

Och, Amando, wybacz, że ci nie wierzyłam!

- Nie myśl o tym więcej. Nikt cię już tak nie będzie dotykał, nigdy. Nie pozwolisz na to, prawda? Mówiliśmy ci o tym tyle razy, tata, Niania i ja...

Przestań!, upomniała się surowo. Wpadasz w histerię! Powiedz to spokojnie i postaraj się wymazać to z jej pamięci, jeżeli ci się uda. Jeżeli to możliwe.

- Nigdy więcej nie pozwól, żeby ktoś zdejmował z ciebie ubranie i dotykał cię, Tino. A teraz chodźmy na kolację.

Pogoda była paskudna. Suchy, lekki śnieg trzymał się zamrożonej nawierzchni drogi. Od Red Hill dzieliło ją pięćdziesiąt kilometrów, musiała jechać na północ, ciągle pod górę, wąską, wijącą się drogą. Na następny dzień zapowiadano wielką burzę śnieżną, ale następny dzień był jeszcze daleko.

Oczyściła umysł z wszelkich myśli, pozostawiając w nim tylko wściekłość. Nie miała pojęcia, co mu powie, kiedy już dotrze na miejsce. Na razie musiała skoncentrować się na jeździe.

Śnieg, który jeszcze niedawno dopiero zaczynał padać, teraz pokrywał każdy centymetr kwadratowy ziemi. Ostry wiatr podrywał sypkie chmury i ciskał nimi w przednią szybę. Gałęzie sosen i wielkie łapy świerków chyliły się ku ziemi, obciążone śniegiem, a czarna zazwyczaj droga była zupełnie biała.

Wichura przybrała na sile i wycieraczki ledwo nadały z odgarnianiem śniegu. Było jeszcze wcześniej, dochodziła siódma, ale po drodze mijało ją niewiele samochodów, zmierzających ostrożnie do domu. Sally wiedziała, że tylko lekkomyślni głupcy wybierają się w podróż w taką noc, lecz z uporem brnęła dalej. Jej wóz z potężnym silnikiem i napędem na cztery koła musi sobie poradzić.

Siedziała skulona, jak się siedzi na grzbiecie pędzącego konia, którego jeszcze pogania się szpicrutą, aby szybciej dotarł do celu.

Liczyła minuty. Minęło ich pięć, dziesięć. Upływały tak powoli... Spojrzała na wskazówkę szybkościomierza: czterdzieści pięć kilometrów na godzinę, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt. Samochód wpadł w poślizg, bezwładnie przesunął się w poprzek drogi. Odzyskała kontrolę nad kierownicą, zwolniła. Ruszyła dalej.

Domów było tu niewiele, im dalej, tym mniej. Zaczynał się las. Ludzie, którzy mieszkali w tej okolicy, byli albo samotnikami, albo zamożnymi ludźmi z miasta, których piękne domy kryły się za drzewami na końcu długich podjazdów. Większość z nich przyjeżdżała tu tylko na weekendy lub wakacje.

Przed sobą zobaczyła kamienne słupy i otwartą bramę. Red Hill. Skreśliła, mijając nowy domek Clive'a. Myślała teraz o nim z prawdziwą sympatią. „Smutny Clive”, powiedziała

Amanda. Sally miała ogromnie wyrzuty sumienia, że żywiła wobec niego takie straszne podejrzenia. Postanowiła, że musi mu to jakoś wynagrodzić.

Zanim pokonała niewielką odległość od samochodu do drzwi wejściowych, śnieg pokrył lekkim puchem jej kozuch. Kiedy naciskała dzwonek, nadal nie wiedziała, co powie Oli-verowi.

Ku jej zdumieniu, drzwi otworzył jej sam Oliver, chociaż dżentelmen w aksamitnej bonzurce nie powinien przecież tego robić. Wyraźnie zaskoczony, uniósł brwi.

- Sally! Przyjechałaś sama? Co się stało? Czy z Danem wszystko w porządku?

- Tak, wraca jutro.

- Przestraszyłaś mnie. Mieliście przyjechać obydwój, więc nie spodziewałem się ciebie samej. I to jeszcze w taką pogodę! Siadaj przy ogniu, proszę. Ogień w kominku to właśnie to, czego potrzeba nam w taką noc.

Weszła za nim do dużego pokoju na parterze. Nad kominkiem z surowego kamienia wisiały głowy jeleni, a przeciwległą ścianę zdobił obraz przedstawiający Red Hill, zeszłoroczny prezent urodzinowy od całej rodziny. Kanapy, krzesła i fotele przykrywały indiańskie pledy. Długi stół z bali zastawiony był metalowymi przedmiotami - statuetkami, starymi pistoletami i mosiężnymi pucharami, pamiątkami z dawno rozegranych turniejów tenisowych i gimnastycznych.

- Czyszczę je - wyjaśnił Oliver. - Lubię robić to sam. Miłe zajęcie na samotny wieczór, nie sądzisz?

Nie odpowiedziała. Stała, uważnie wpatrując się w jego twarz. Oliver wydawał się tego nie zauważać.

- Nie ma tu nikogo poza dozorcą. Jutro ma przyjechać kucharka. Przywiezie deser, bo tutejszy piec jej nie odpowiada, mówi, że ciasto źle się w nim piecze. Nie wiem, dlaczego tak uważa, ale na pewno ma rację. Ja nie mam przecież pojęcia o wypiekach. Siadaj, proszę - zachęcił, bo Sally nadal stała w kozuchu, czapce i rękawiczkach. - Rozbierz się i powiedz mi, co się stało.

- Nie zostanę tu długo - odezwała się. Oliver odłożył ściereczkę.

- O co chodzi, Sally? Co się stało?

Nie spuszczała z niego wzroku. Siwe włosy, zdrowa opa-

lenizna - pamiątka po urlopie spędzonym na nartach w pobliżu Chamonix, biały kołnierzyk na aksamitnej czerni, pytająco przekrzywiona głowa. Inteligencja. Urok.

- Co się stało, na miłość boską?

- Dziś po południu rozmawiałam z Amandą.

Nie tak chciała zacząć, ale teraz nie mogła przypomnieć sobie, jak właściwie miała plan. Oliver znowu uniósł brwi.

- Z Amandą? Tu, w mieście?

- Przyjechała do nas, ponieważ chciała zobaczyć się z Danem. Jej prawnicy będą tu w poniedziałek.

- Ach, znowu ta sprawa. Oliver potrząsnął głową. -Szkoda, że wy, młodzi, nie bardzo umiecie rozwiązywać konflikty. Ta sytuacja trwa już za długo, ale ja nie chcę się w nic mieszać, Sally. Wiesz, że firma nie należy już do mnie...

- Słyszeliśmy to wiele razy - przerwała mu.

Nikt nie przerywał nigdy Oliverowi i nikt nie zwracał się do niego tak nieuprzejmym tonem. Zmierzył Sally zdumionym spojrzeniem, ale ona nie spuściła oczu.

- Jak się czuje Amanda? - zapytał spokojnie.

- A jak może się czuć po tym, co jej zrobiłeś?

- Co jej zrobiłem? Nie rozumiem...

- Doskonale mnie rozumiesz, Oliverze. - Sally miała wrażenie, że jej skóra płonie, w głowie kręciło jej się jak w gorączce. Odetchnęła głęboko. - Jesteś szatanem, Oliverze, zbrodniarzem. Zwykłym śmieciem.

- Czy na pewno dobrze się czujesz, Sally?

- Pytasz, czy nie zwariowałam? Nie, jestem zupełnie przytomna i trzeźwa, chociaż nie mogę powiedzieć, bym czuła się dobrze po tym, co zrobiłeś Tinie. - Grubą rękawicą otarła spływające po policzkach łzy. - Wiele bym dała, żebyś leżał już w grobie, zapomniany przez wszystkich.

To poważne stwierdzenie, Sally. Powiedz mi wreszcie, o co ci chodzi.

Daj spokój tym gierkom! Wykorzystałeś moje dziecko! Kozebrałeś ją, dotykałeś swoimi brudnymi łapami i Bóg wie, co jeszcze! Nie udawaj! Lekarka powiedziała nam, co dolega linie, ale my nie uwierzyliśmy! Dopiero dzisiaj usłyszałam to z jej własnych ust, z ust Tiny! O, Boże!

Oliver pokiwał głową. W jego oczach malowała się tolerancja, mądrość, współczucie.

- Naoglądała się telewizji, Sally. To wszystko. Te filmidła wywierają większy wpływ na umysł dziecka, niż nam się wydaje. Dziwię się, że pozwalacie jej oglądać takie rzeczy...

- Nie pozwalamy, nie ogląda ich, rozumiesz? Sama pokazała mi, co zrobiłaś. W swojej niewinności i niewiedzy pokazała mi... Wiedziała, że to coś złego. „Jestem niegrzeczną dziewczynką”, powiedziała, bo ty jej to wmówiłeś i... I dałeś jej tę cholerną karuzelę, żeby milczała. „To tajemnica”, tak mówiła. I że jeśli komuś o tym opowie, odbierzesz jej karuzelę. - Głos Sally przycichł ze zmęczenia. - Ty draniu! Ty obrzydliwy staruchu!

- To najbardziej oburzająca rzecz, jaką w życiu słyszałem, a słyszałem niejedno.

Wyniosły i pełen godności stał przed nią, z jedną ręką w kieszeni. Jego poczucie wyższości nie zmalowało ani na chwilę. Było to nieznośne.

- Usłyszysz znacznie więcej, kiedy Amanda wystąpi przeciwko tobie z formalnym oskarżeniem. Ją także molestowałeś. Opowiedziała mi, co z nią robiłeś.

- Och, teraz wracamy do Amandy. Amanda jest trochę szalona, ale tylko odrobinę. Zawsze taka była.

- Amanda jest najzupełniej normalna, chociaż nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby rzeczywiście była szalona. Ale ty dobrze wiesz, jaka jest prawda i dlatego nie chcesz zająć stanowiska w sprawie firmy. Och, jakie to szlachetne z twojej strony, że usuwasz się, „aby młodzi mogli przejąć interesy”! -zadrwiła Sally. - Tymczasem chodzi o to, że nie śmiesz wystąpić przeciwko Amandzie, boisz się nawet do niej zbliżyć. Przez wszystkie te lata żyłeś w strachu...

Na twarzy mężczyzny pojawił się lekki, krzywy uśmiezek. Nonszalancko pobrzękiwał ukrytymi w kieszeni monetami albo kluczami. „Chce mi pokazać, jaki jest silny, jak dobrze się bawi i jaka słaba, bezbronna jestem ja sama”.

- Szkoda, że nie dostrzegasz własnej śmieszności - powiedział.

- Tak sądzisz? Niedługo dowiesz się, jaka zabawna potrafi być Amanda. Ty, który nocą wkradałeś się do jej pokoju, przekupywałeś ją prezentami... Jej pierwszej podarowałeś ka-

rużelę. Ale twoja żona dowiedziała się o wszystkim i wysłała Amandę w bezpieczne miejsce. Potem zaś popełniła samobójstwo, prawda, Oliverze?

Mięśnie w jego policzkach napięły się mocno, z ust zniknął uśmiech.

- W gęstej mgłę zjechała z drogi, którą znała jak własną kieszeń i wpadła do rzeki. Z twojego powodu, Oliverze.

Zapadło długie, dziwne milczenie. Kiedy Oliver przerwał je, cała jego sylwetka wyrażała niepokój. Sally zorientowała się, że jej ostatnie słowa trafiły w czuły punkt.

- Nie wiem, czego chcesz, Sally, ale widocznie zależy ci na tym, aby ranić mnie tymi okrutnymi oskarżeniami. Nie rozumiem cię.

- Chcę, żeby cały świat się dowiedział, kim naprawdę jesteś. Chcę odsłonić prawdziwą twarz wielkiego filantropa, uczonego i dżentelmena. Niech wszyscy zobaczą, że jesteś chorym, zboczonym, złym człowiekiem. Tego chcę.

- Nie sądzisz chyba, że ktokolwiek da wiarę twoim słowom. - Patrzył na nią twardo, jakby liczył, że zmusi ją do pokornego spuszczenia głowy.

Odpowiedziała mu hardym spojrzeniem, chociaż łzy przesłaniały jej oczy. Oliver tkwił w tym domu, od lat chroniony przez swoje cenne przedmioty, przez swoją reputację i działalność charytatywną, popełniając niewypowiedziane zbrodnie wewnątrz tego bezpiecznego kokonu...

Nie poznawała samej siebie. Ten ostry głos, brutalne słowa - to nie mogła być ona.

- Poczekaj! Urządę cię tak, że się nie pozbierasz!

- Wątpię.

- Amanda zacznie mówić, a ja...

- Proszę bardzo. Myślisz, że się ciebie boję? Zaprzeczę wszystkim oskarżeniom i na tym skończy się cała sprawa. Rób, co chcesz.

- Zniesławię cię... - zaczęła.

Moje zniesławienie odbije się na tobie.

Nie, bo poprze mnie lekarka, która zdiagnozowała stan

Tiny.

Bzdura. Każdy wie, że dziecko powtórzy wszystko, co mu się każe.

Jaki motyw mogłaby mieć lekarka? Przecież ta kobieta

nigdy cię nie widziała. A ja? Nigdy niczego od ciebie nie chciałam. Myślałam... Podziwiałam cię, ale dziś wieczorem, kiedy Tina... - Podłoga zakołysała się pod jej stopami. - Moje dziecko! Moja córeczka! - wykrzyknęła, kryjąc twarz w dłoniach.

Nagle zrozumiała, że przekroczyła już granicę rozpacz i wyczerpania.

- O podobne zbrodnie oskarżono już wiele osób publicznych, znacznie sławniejszych od ciebie, Oliverze - powiedziała cicho. - Niektóre z nich okazały się na tyle uczciwe, że przyznały się do winy i poprosiły o wybaczenie.

- I słusznie. To godne pochwały zachowanie, oczywiście zakładając, że miały się do czego przyznać.

- Poczujesz się lepiej, kiedy zrzucisz z siebie ten ciężar. Będzie ci łatwiej.

Oliver milczał.

- Podajesz się za religijnego człowieka.

- Jestem religijny.

- Więc pozwól, że cię zapytam: czy przysięgniesz, że nigdy nie zrobiłeś Tinie nic, co zasługiwałoby na nagane?

- Nie muszę przysięgać. Moje słowo, słowo człowieka honoru, uważane jest za wystarczającą gwarancję.

- Nawet ludzie honoru składają przysięgę w sądzie. Oliver nie odpowiedział. Krew napłynęła mu do twarzy,

czoło pokryły krople potu, kolana drżały. Sally wiedziała, że jest śmiertelnie przerażony.

- Przysięgnij na Boga, któremu co tydzień oddajesz cześć w kościele. Przysięgnij, że nie tknąłeś mojego dziecka, że jej nie wykorzystałeś. Przyniosę Pismo Święte z biblioteki. Przysięgnij.

- Nie.

Patrzyli sobie w oczy - Oliver oparty o ścianę, z dłońmi rozpostartymi na białej powierzchni, jakby nie mógł obyć się bez wsparcia, Sally wyprostowana za stołem.

- Odmawiasz.

- Odmawiam.

Próbował się pozbierać. Uważnie obserwowała, jak ten rozsądny, miły i dystyngowany starszy pan, któremu niespodziewanie zdarto maskę, prostuje się powoli, podnosi głowę i spogląda na nią wyzywająco.

- Czego jeszcze chcesz, Sally? Zaczynam mieć tego dosyć.
- Powiedziałam ci. Chcę pokazać światu twoją prawdziwą twarz i zrobię to.
- Spróbuj, a pożalujesz.
- Nie sądzę, Oliverze.
- Jeżeli to zrobisz, oskarżę Dana o molestowanie seksualne własnej córki.

Znieruchomiała. Minęło kilka sekund, zanim jej umysł przyjął jego słowa. Potem świadomość całego zła, które kryło się w "tym człowieku, odebrała jej panowanie nad sobą. Ale nadal kontrolowała się na tyle, że nie skoczyła mu do gardła. Zamiast tego sięgnęła po cenne przedmioty leżące na stole i zaczęła je zrzucać ze stołu. Gdyby mogła, zburzyłaby ściany tego domu. Poczła gwałtowny przypływ siły. Na ślepo, zanim zdążył dopaść stołu i powstrzymać ją, wydarła kartki z oprawnej w skórę starej książki, zrzuciła na podłogę srebrną figurkę i puchar z wygrawerowanym jego imieniem, i wreszcie rewolwer o srebrnej kolbie...

Rewolwer wystrzelił, thuk zupełnie ją ogłuszył. Jak przez mgłę usłyszała krzyk Olivera, zobaczyła, jak potyka się i bezwładnie opiera o ścianę... Potem wybiegła z domu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Ocknęła się na drodze. Nie pamiętała, jak wsiadła do samochodu i odjechała spod domu. Musiała jednak włączyć silnik, bo oto siedziała za kierownicą i ostrożnie przedzierała się przez śnieg. Była już za zakrętem, gdzie droga odbijała w kierunku Red Hill.

Zabiłam człowieka. Popełniłam morderstwo. O, mój Boże...

Pod kożuchem pot spływał z niej strugami. Drżała na całym ciele, tętno waliło jej jak szalone. Wiedziała, że musi się uspokoić i przemyśleć swoją sytuację.

Jej umysł zaczął wreszcie pracować jak mały silniczek, podsycany paniką. Dozorca mieszkał w skrzydle, którego okna nie wychodziły na podjazd. Jak na razie, minęła tylko dwa, najwyżej trzy samochody. W ciemności i wśród zamieci żaden kierowca nie byłby w stanie zobaczyć numeru rejestracyjnego jej wozu. Ludzie nie przyglądali się zresztą cudzym tablicom rejestracyjnym. Nagle przypomniała sobie, że w do-

mu Oli vera ani na chwilę nie zdjęła rękawiczek. Ogarnęło ją poczucie niezmiernej ulgi.

Samochód wpadł w poślizg, kreśląc duże „S” na zdradliwej drodze. Brakuje jeszcze tego, aby wpadła do rowu i utknęła w zaspie; jak wyjaśniłaby wtedy swoją obecność w pobliżu Hawthorne?

Mocno chwyciła kierownicę. Boże, nie pozwól, abym zjechała z drogi, modliła się. Daj mi dojechać do domu. Czekają na mnie dzieci.

Było tak zimno, że śnieg twardniał na przedniej szybie. Białe płatki tańczyły w blasku świateł, ograniczając widoczność do kilku metrów. W ciągu paru minut, jakie spędziła w tym przeklętym domu, śnieżycą przybrała na sile.

Kiedy poruszyła się, coś twardego dotknęło jej uda. Rewolwer. Wybiegła z domu z naładowanym rewolwerem w rękę.

Ogarnęła ją nowa fala paniki. Na plecach poczuła dreszcz, jakby stała w zupełnej ciemności, słysząc zbliżające się powoli kroki. Miała ochotę zatrzymać samochód i sprawdzić, czy ktoś nie czai się na tylnym siedzeniu, ale w ostatniej chwili udało jej się zapanować nad nerwami. Co kilka sekund zerknęła w tylne lustro, pewna, że ktoś jedzie za nią.

- Ty idiotko, jedziesz do domu z tym cholernym rewolwerem w samochodzie! - krzyknęła nagle.

Znajdowała się w pobliżu rzeki. Instynkt podpowiadał jej, aby wrzucić rewolwer do wody. Brzeg był stromy, to właśnie tu biedna Lucille zjechała z drogi. Nikomu nie udałoby się zejść w tej śnieżycy nad samą wodę i wspiąć się z powrotem. Mogłaby zwolnić, wychylić się i wyrzucić broń przez okno. A jeśli chybi i rewolwer upadnie na drogę albo wpadnie w zaspę i zostanie znaleziony po pierwszych roztopach? Nie. Będzie musiała zatrzymać samochód, ryzykując, że nie uda jej się powtórnie zapalić, wysiąść i rzucić go z mostu prosto do wody. Istnieje wprawdzie niebezpieczeństwo, że zobaczy ją jakiś samotny kierowca, który oczywiście zapamięta kobietę, stojącą na moście podczas zawiei. Trudno.

Nikt nie nadjechał. Udało się, miała szczęście. Szczęście! Jeśli przed dzisiejszym wieczorem uważała, że ma kłopoty, to co ma myśleć teraz?

Jej umysł był zaskakująco trzeźwy. Pomyślała, że w przypadku morderstwa policja przesłuchuje przecież wszystkich

rodzinę, przyjaciół, znajomych, pracowników zmarłego. Na pewno zapytają ją, gdzie spędziła ten wieczór. Niania powie, że wybrała się do kina, zgodnie z tym, co sama powiedziała jej przed wyjściem. A więc powinna pójść do kina.

A może lepiej by było, gdyby od razu zgłosiła się na policję i powiedziała, co się stało? Ona, Sally Grey, była przecież porządną obywatelką, która nigdy nie dostała nawet mandatu za przekroczenie dozwolonej prędkości. Na pewno zrozumieją, że to był wypadek... A jeśli nic?

Gdyby tylko Dan był już w domu! Jak może pójść na posterunek sama, zapłakana? Z trudem przełknęła ślinę. Wyjąka swoje zeznanie, patrząc w ich surowe, nieprzyjazne twarze... Nie, nie dzisiaj. Nie jest w stanie tego zrobić.

W podmiejskim centrum handlowym nadal wesoło płonęły wszystkie światła. Na parkingu pod kinem stało kilkadziesiąt samochodów. Drogeria była jeszcze otwarta. Sally zaparkowała i wmieszała się w pierwszą grupę opuszczających kino osób. Przez chwilę stała na chodniku, udając niezdecydowanie.

- Sally Grey! Czy to możliwe, żeby tyle śniegu napadało w ciągu dwóch i pół godziny? Gdybyśmy wiedzieli, że tak będzie, nie wystawilibyśmy nosa z domu.

Obok niej zatrzymali się Erie i Lauren Smith. Oboje z przerażeniem przyglądali się wielkim zaspom.

- Ciekawe, jak dostaniemy się do domu - powiedziała Sally.

- Ty pojedziesz przodem, a my za tobą - zaproponował Erie. - Jeżeli utkniesz w zaspie, pomożemy ci.

Sally się roześmiała.

- A jeżeli wy utkniecie? Obawiam się, że nie okażę się zbyt pomocna.

Nagle przyszedł jej do głowy znakomity pomysł.

- Czy moglibyście poczekać na mnie chwilę? Wstąpię tylko do drogerii po lekarstwo na przeziębienie. Wydaje mi się, że złapałam jakąś infekcję.

Sprzedawca będzie jeszcze jedną osobą, która potwierdzi, że wieczorem Sally rzeczywiście była w mieście.

Świetny film, prawda? - zagadnął, wydając jej resztę. - Ta kobieta jest po prostu wspaniała, chodzę na wszystkie jej filmy.

- Doskonały - przytaknęła Sally. - Bardzo mi się podobał.

Musi pamiętać, aby w domu przeczytać jakieś recenzje filmu, który jakoby obejrzała.

Samochody powoli brnęły w kierunku domu. Wiatr usypał już wysokie zaspę, wsparte o ściany domu. Sally wstawiła samochód do garażu i z trudem, po kolana w śniegu, dotarła do drzwi. Przez chwilę stała w progu, obserwując księżycowy krajobraz, biały, zlodowaciały bezmiar. Do jutra śnieg zasypie ślady opon, pomyślała. Zamknęła za sobą drzwi i, teraz wreszcie nieprzytomna ze zmęczenia, wdrapała się na górę i upadła na łóżko.

Parę godzin później wstała i poszła do pokoi dziewczynek. Na widok pograżonych w głębokim śnie niewinnych istot z oczu popłynęły jej gorące łzy. Teraz nawet wspomnienie strasznego czynu, jakiego dopuścił się na Tinie ten zły człowiek, wydało jej się niczym w porównaniu z tym, co mogła przynieść dziewczynkom najbliższa przyszłość. Im i Danowi. Sally wróciła myślami do wszystkich wydarzeń wieczoru. Analizowała każdy swój ruch. Nie zostawiła odcisków palców, rewolwer spoczywał na dnie wzburzonej rzeki, Smithowie i sprzedawca w drogerii mogli poświadczyć jej obecność w mieście.

Miała wrażenie, że jest bezpieczna, ale przecież niczego nie mogła być absolutnie pewna. Mógł umknąć jej jakiś drobiazg, który być może zadecyduje o jej losie. W gazetach ciągle piszą o takich sytuacjach.

Wracając do łóżka, minęła pokój zabaw swoich córeczek. Bez żadnego określonego powodu weszła do środka i zapaliła światło. Na stole pyszniła się karuzela, piękna i lśniąca w swojej absurdalnej ekstrawagancji. Sally pochyliła się i dotknęła jej lekko. Srebrne koło obróciło się o kilka centymetrów, a pozytywka wydzwoniła ostatnie takty walca *Nad pięknym, modrym Dunajem*. Sally z przerażeniem cofnęła rękę, czując się tak, jakby dotknęła węża albo zła ucieleśnionego w Oliverze Greyu.

Oliver nie żył. Zasługiwał na śmierć, chociaż Sally nie chciała stać się jej przyczyną. Ale stało się. Los tak zrządził.

Rozdział szesnasty

Grudzień 1990

Na dwie godziny zapadła w głęboki, nieprzytomny sen. Kiedy się obudziła, natychmiast spojrzała w okno. Śnieg przestał padać. Na podjeździe nic było śladów opon. Szybko wzięła prysznic i ubrała się, starając się zachować spokój w obecności Niani. Nie ufaj nikomu!, powtarzała sobie raz po raz, czekając na telefon.

Zadzwoił o siódmej. W słuchawce usłyszała zdenerwowany, trudny do rozpoznania głos Happy.

- Sally! Nie wiem, od czego zacząć, zdarzyło się coś strasznego! To jakiś koszmar! Ktoś strzelał do ojca!

- Strzelał?! Czy ojciec jest ranny?

- Ojciec nie żyje! Przyjechaliśmy tu późnym wieczorem i znaleźliśmy go...

Happy zaczęła szlochać.

- Mój Boże... - powiedziała Sally. - Jak to się stało? Czy coś wiadomo?

- Chwileczkę, napiję się wody i usiądę, łan jest tam teraz z lekarzem, czekają na karetkę, która zabierze ciało. I oczywiście na policję. Przez całą noc byliśmy na nogach. Och, to po prostu nie do wiary...

- Boże... - powtórzyła Sally. - W domu nie było przecież żadnych cennych rzeczy, ale może myśleli, że ma przy sobie gotówkę...

- Policja uważa, że to wcale nie byli złodzieje. Oliver miał w portfelu siedemset dolarów, nie zdjęli mu także zegarka, nie zabrali niczego.

- Więc kto to zrobił? Nie wyobrażam sobie, aby Oliver miał wrogów...

- Bóg jeden wie. Podejrzewamy, że może jakiś szaleniec.

Ian i ja byliśmy umówieni na obiad, ale odwołaliśmy spotkanie ze względu na pogodę. Ledwo przedarliśmy się przez śnieżycę. Weszliśmy do domu w chwili, gdy dozorca kładł ojca na kanapie. Mówił nam, że zdrzemnął się po kolacji i nagle obudził go odgłos wystrzału. Jego żona utrzymywała, że to pewnie gałąź, która pękła na mrozie, ale on mimo wszystko wstał i wyszedł sprawdzić, co się stało. Kiedy znalazł ojca, natychmiast wezwał policję. Dotarli tu dopiero po dwóch godzinach. Do tego czasu wszystko zasypał już śnieg...

Happy przerwała, bo zabrakło jej tchu.

Sally wiedziała, że musi coś powiedzieć, zdawała sobie jednak sprawę, iż nie wolno jej się z niczym zdradzić.

- U nas też napadało mnóstwo śniegu. Powinnam przyjechać do was i zrobię to, kiedy tylko oczyszczą drogi.

- Nie, nie trzeba. Poczekamy, aż detektywi skończą pracę - zbierają ślady we wszystkich pomieszczeniach - i pojedziemy do domu. To koszmar, Sally. A planowaliśmy, że wszyscy razem spędzimy tu parę wspaniałych dni, głównie ze względu na Clive'a...

- Jak on to przyjął? Był chyba najmocniej przywiązany do ojca...

- Bardzo źle. Roxanne mówi, że zupełnie się rozkleił. Na szczęście ona jest przy nim przez cały czas. To cudowna dziewczyna, naprawdę nieoceniona... Przyjdą tu, kiedy uda się odkopać ścieżkę. Clive nalega.

- Dałabym wszystko, żeby Dan był już w domu - powiedziała Sally.

- Przylatuje dzisiaj, prawda?

- Wieczorem. Ale nie wiem, czy po tej śnieżycy lotnisko będzie czynne.

- Czeka go straszny wstrząs. Och, Ian mnie woła. Zadzwoń później. Jeszcze jedno - Ian mówi, że policja będzie chciała rozmawiać z nami wszystkimi, przesłuchać nas. To absurdalne, ale niestety nieuniknione, więc nie denerwuj się.

- Postaram się. To wszystko jest takie straszne.

Nie mogła pozwolić sobie na zdenerwowanie, musiała odegrać swoją rolę. Co zrobiłaby w sytuacji, gdyby wiadomość o śmierci Olivera rzeczywiście była dla niej zaskoczeniem? Zadzwoiłaby do Amandy. Tak, właśnie tak.

Okazało się, że Amanda wie już o wszystkim z lokalnego radia.

- Niesamowite! - powiedziała. - Taka przypadkowa śmierć, a raczej morderstwo.

I to akurat teraz, kiedy przyjechałam się z nim zobaczyć... Kto to zrobił?

- Nie wiedzą.

- Czy to było włamanie? Napad rabunkowy?

- Raczej nie. Nic nie zginęło.

- Nie sądzę, aby miał jakichś wrogów. Nie Oliver Grey, nie on! Chyba że tobie przychodzi coś do głowy?

- Nie - krótko powiedziała Sally.

Jeżeli Amanda miała zamiar nakłonić ją do zwierzeń, to popełniła duży błąd. „Nie ufaj nikomu”. Amanda była jedyną osobą, która, z powodu wczorajszej rozmowy, mogła łączyć ją ze śmiercią Olivera.

- Tak bardzo poruszyło mnie to, co powiedziałaś mi wczoraj o sobie i Lucille, że musiałam na trochę wyrwać się z domu. Mimo tej okropnej pogody wybrałam się do kina.

- Na pewno będzie miał bardzo uroczysty pogrzeb.

- Tak sądzę.

- Nie darzyłaś go chyba zbyt dużą sympatią...

- Dlaczego tak mówisz? Aż do wczoraj, kiedy dowiedziałam się, jak cię traktował, miałam do niego dużo szacunku. I lubiłam go.

- Cóż, nigdy się nie wie o ludziach wszystkiego. Mam nadzieję, że zawiadomicie mnie o terminie pogrzebu, żebym mogła przysłać wieniec.

- Nie przyjedziesz, prawda?

- Nie. Wracam do domu, gdy tylko lotnisko zacznie normalnie działać.

- A sprawa, którą miałaś przedyskutować z Greyami?

- Nie wypada, żebym teraz rozmawiała z nimi o pieniądzach. Wrócę za kilka tygodni, kiedy wszystko się uspokoi. To żaden problem - uwielbiam latać.

Sally odniosła wrażenie, że Amanda ma ochotę jak najszybciej zakończyć rozmowę. Mówiła bardzo szybko i była wyraźnie zdenerwowana. Na pewno żałowała, że los uniemożliwił jej zemstę, do której miała wszelkie prawo.

- Wyślij wieniec do parafialnego kościoła Olivera - po-

wiedziała. - Co prawda, nie bardzo rozumiem, dlaczego miałabyś to robić, ale...
Amanda się roześmiała.

- Jestem jedną z Greyów. Nie zapominaj, że wszyscy zostaliśmy wychowani według sztywnych zasad. Aha, jeszcze jedno - na pewno niedługo pojawi się u ciebie policja. Nie daj się zdenerwować.

- Nie mam się czym denerwować - odrzekła Sally.

Policjanci zjawili się bardzo szybko. Kiedy Sally zeszła na dół, zastała ich w kuchni, pogrążonych w rozmowie z Nianią. Chwilę wcześniej Sally rozmawiała przez telefon ze zrozpaczonym i wstrząśniętym Clive'em, który leżał w łóżku, zbyt osłabiony, aby się podnieść.

Już ze szczytu schodów usłyszała głosy policjantów i w tych okolicznościach nie czuła najmniejszych wyrzutów sumienia, że podsłuchuje.

- Więc ta pani przyjechała z Kalifornii, tak?

- Mówiłam już, że tak mi się wydaje. Nie przysłuchiwałam się rozmowie. - W głosie Niani brzmiało oburzenie. - Jeżeli chcą panowie dowiedzieć się czegoś o sprawach tej rodziny, proszę zapytać panią lub pana.

A więc policja rzeczywiście zamierza dokładnie prześledzić poczynania wszystkich osób, które mogłyby mieć coś wspólnego ze śmiercią Olivera. Sally zmobilizowała wszystkie siły i zeszła na dół, gotowa odpowiadać na pytania.

- Detektyw Murray - przedstawił się pierwszy policjant, schludnie ubrany, łysejący mężczyzna, który przypominał jej dentystę.

- Detektyw Huber - rzucił drugi, młodszy, o wyglądzie fryzjera.

Spodziewała się, że będą wyglądać nieco inaczej, może bardziej imponująco, zaraz jednak doszła do wniosku, iż te oczekiwania były zupełnie absurdalne.

- Proszę siadać - powiedziała uprzejmie.

- Przykro nam, że niepokoimy panią w taki dzień, pani Grey - zaczął młodszy. - Należy pani jednak do rodziny i musimy zadać pani kilka rutynowych pytań, proszę nas zrozumieć.

- Rozumiem.

Ciekawe czy zawsze zachowywali się z taką kurtuazją, czy też traktowali ją w sposób wyjątkowy, ponieważ była żoną jednego z Greyów.

- Pani mąż jest siostrzeńcem zmarłego? Skinęła głową.

- Poinformowano nas, że nic ma go w mieście.

- Wraca samolotem dziś wieczorem.

- Kiedy rozmawiała z nim pani ostatni raz?

- Wczoraj. Dzwonił ze Szkocji wczoraj rano.

- Na ten numer?

- Oczywiście.

Detektyw z łysiną, Murray, zanotował numer. Sally me wątpiła, że skontaktują się z firmą telekomunikacyjną, aby sprawdzić, czy Dan faktycznie dzwonił ze Szkocji.

- Jest pani pewna, że z powodu złej pogody me przyleciał wcześniej, na przykład wczoraj?

- Jestem zupełnie pewna.

- Mogłaby pani podać nam nazwę linii lotniczych i numer lotu?

- Oczywiście. Zaraz poszukam w biurku kartki z tymi informacjami.

- Czy można powiedzieć, że pani mąż i Oliver Grey byli sobie bliscy? Jak układały się ich stosunki?

- Byli jak ojciec i syn. Dobry ojciec i dobry syn.

- Wiadomość o morderstwie na pewno głęboko wstrząśnie pani mężem.

- Wszyscy jesteśmy w szoku. To straszna tragedia.

- Pani mąż ma w Kalifornii siostrę, prawda? Państwa pokojówka wspomniała nam o jej wizycie. Pozostali członkowie rodziny najwyraźniej nie zostali powiadomieni o jej przyjeździe.

- Zjawiała się niespodziewanie.

- A więc państwo także jej nie oczekiwaliście? Ostrożnie. Niepotrzebnie użyła słowa „niespodziewanie”.

- Była to dla pani niespodzianka?

- Tak. Niespodzianka.

- Czy siostra pani męża ma zwyczaj robić tego rodzaju niespodzianki?

Czy ma taki zwyczaj? Nie.

Murray podniósł głowę znad notatek.

- Często przyjeżdża tak niespodziewanie?
- Nie. - Im mniej będzie mówić, tym lepiej.
- Jak często? Kiedy odwiedziła państwa ostatni raz?
- Nigdy tu jeszcze nie była.
- Naprawdę?

Nie podobała jej się nuta niedowierzania w głosie detektywa.

- Więc podczas swoich wizyt zatrzymywała się w Hawthorne, tak?

Sally dałaby wiele, aby oszczędzić Amandzie nieprzyjemnych pytań, które niewątpliwie ją czekały, kłamstwo miało się jednak z celem, Ian lub Clive na pewno udzielił policjantom wszystkich informacji.

- Nie - powiedziała. - Nie była w Scythii od czasu, gdy skończyła trzynaście lat.
- To dość dziwne, nie uważa pani? Że po tych wszystkich latach nagle zjawiała się w domu państwa?

- Sama nie wiem.

- Musiała mieć jakiś powód. Mówiła, dlaczego przyjechała? ^J

- Chciała zobaczyć nasze dzieci. Przywiozła gwiazdkowe prezenty.

- To dosyć niezwykle. - Zmrużone oczy Hubera wydawały się rzucać Sally wyzwanie. - Przez tyle lat w ogóle nie przyjeżdżała, a teraz nagle wybrała się w podróż przez cały kraj po to tylko, żeby przywieźć prezenty, bez żadnego innego powodu. Nie sądzi pani, że to dziwne?

- Nie wiem. Będą panowie musieli sami ją zapytać.

- Pani pokojówka powiedziała, że panna Grey zatrzymała się w mieście.

- Tak, w hotelu King.

- Dziękuję. Czy pamięta pani, o której wyszła?

- Koło piątej. Dzieci jadły właśnie wieczorny posiłek no może było trochę później...

- A więc dała pani dzieciom kolację. Co robiła pani później?

- Wykąpałam je. Potem wybrałam się do kina.

- W taką paskudną pogodę?

- Kiedy wyszłam z domu, nie było jeszcze tak źle. Poza tym jestem przyzwyczajona do takiej pogody.

- A centrum jest dość blisko, oczywiście, jeżeli to tam pani pojechała...

- Tak. Obejrzałam *Córkę Judy*.

- Podobał się pani film? Co sądzi pani o zakończeniu? Dzięki Bogu, że przeczytała recenzję!

- Było zupełnie nieoczekiwane! Nie spodziewałam się, że on wróci z wojny.

- To długi film, kończy się chyba po jedenastej. I dzięki Bogu, że spojrziała wtedy na zegar.

- O dziesiątej trzydzieści. W każdym razie taką godzinę pokazywał zegar w drogerii.

Oczywiście sprawdzą, czy rzeczywiście była w drogerii, o której Amanda zwróciła wypożyczony samochód i na pewno dokładnie ją wypytają o rozmowę z Sally Grey. Amanda była bystra i inteligentna, w żadnym wypadku nie należało jednak nie doceniać tych detektywów. Sally miała nadzieję, że Amanda nie powie nic, co mogłoby zasiać ziarno wątpliwości w ich umysłach.

Po ich wyjściu uświadomiła sobie, że czuje się podobnie jak wtedy, gdy czekała na wynik egzaminu. Nie wiedziała tylko, czy tym razem zdała.

Potrzebowała teraz samotności. Przerażone zwierzę zawsze szuka schronienia w swojej norze. Podczas burzy chowa się w najciemniejszym zakamarku... Wiedziona tym samym instynktem, Sally zeszła do kuchni, aby uprzedzić Nianię, że nie czuje się dobrze.

- Pójdę do siebie i się położę - powiedziała. - Zajmie pani czymś dziewczynki?

- Proszę myśleć tylko o swoim zdrowiu, pani Grey. Wygląda pani na ledwo żywą i nic dziwnego. Co za straszna historia! Musiał zrobić to jakiś szaleniec z gór. Co za czasy! Tylu wariatów jest teraz na wolności - Niania potrząsnęła głową, ubolewając nad stanem świata.

Z okna w sypialni Sally patrzyła nieruchomo na bezmiar bieli. Śnieg przykrył wszystkie ślady życia, nie było na nim widać nawet śladów dzikich królików. Tu i ówdzie wiatr porywał do góry chmurę śniegu i przenosił ją dalej po zamrożonej powierzchni ziemi. Popołudnie pełne było melancholii

i dziwnego smutku. Sally zaciągnęła zasłony, aby odgrodzić się od świata i położyła się.

Za kilka godzin wróci Dan. Próbowwała wyobrazić sobie, w jaki sposób przekaże mu złą wiadomość. Czytając prasę i oglądając telewizję, często stawiała się na miejscu osób dotkniętych straszliwymi katastrofami. Nieraz zastanawiała się, jak można powiedzieć komuś, że, na przykład, jego dom został zbombardowany, a dzieci zginęły. Teraz sama będzie musiała wydobyć z siebie niewiarygodne słowa: „To ja zabiłam stryja Olivera”.

Oliver, starszy człowiek o patrycjuszowskim wyglądzie. Zamknęła oczy i natychmiast zobaczyła jego twarz - tę dobrze znaną, wyniosłą i nieco chłodną, ale także nową - twarz wściekłego, przestraszonego, a w końcu zdemaskowanego człowieka. Z racji swego zawodu uważała, że dość dobrze zna się na twarzach, które jej zdaniem rzeczywiście stanowiły klucz do charakteru człowieka. Potrafiła czytać z wyrazu twarzy i dlatego jej zdjęcia tak dobrze oddawały dominujące cechy osoby portretowanej. Fotografie Sally mówiły jasno: oto odważny astronauta, duchowy bliźniak beztroskiego ha-zardzisty, oto starzejąca się piękność, która boi się przemijania. A jednak nie udało jej się odczytać wyrazu twarzy Olivera - jeżeli w jego twarzy kryła się jakakolwiek tajemnica, równie dobrze mogła zostać zapisana w sanskrycie.

Nagle przypomniała sobie trochę zgorzkniałą twarz doktor Lisie, której sposób bycia, tak podobny do zachowania niezadowolonej z ucznia nauczycielki, wydał jej się obraźliwy. Teraz rozumiała już wszystko - lekarka za wszelką cenę starała się przekonać Sally do prawdy i czuła się sfrustrowana jej uporem. Muszę ją przeprosić i na pewno to zrobię, pomyślała Sally.

Po pewnym czasie z nerwowej drzemki wyrwał ją odgłos powoli wjeżdżających na wzgórze pługów śnieżnych. Była to jakaś oznaka życia i dlatego Sally przywitała ją z zadowoleniem, ale też zapowiedź, że oto wszystko wraca do normy i nie da się już uciec od rzeczywistości. Po burzy śnieżnej nadejdzie czas pogrzebu i dalszego przesłuchiwanie przez policję.

W pierwszej chwili Sally miała ochotę rzucić się w ramiona Dana i znaleźć tam ukojenie, bardzo szybko zrozumiała jednak, że to jej mąż potrzebuje pocieszenia, którego nie może dać mu nikt poza nią.

Dan rozpacział i szalał z wściekłości na świat.

- Dlaczego pozwalamy, aby te bestie w ludzkiej skórze chodziły po ziemi i skracały życie niewinnych ludzi? Życie kogoś takiego jak Oliver, który tyle dał z siebie innym, a mógł dać jeszcze więcej? Dlaczego, dlaczego? - powtarzał. - Gdybym mógł złapać za gardło tego, kto to zrobił, kazałbym mu zapłacić za każdą sekundę cierpienia Olivera.

Dan ukrył twarz w dłoniach, próbując zapanować nad miotającymi nim uczuciami.

- Oliver nie cierpiał - powiedziała przez gardło zaciśnięte tak mocno, że słowa ledwie się z niego wydobywały.

- Nie możesz tego wiedzieć.

- Kula... Wydawało mi się, że śmierć od kuli jest szybka...

- Przestań, Sally. Wiem, że masz dobre intencje, ale lepiej przestań.

Siedziała z wzrokiem utkwionym w twarzy męża, usiłując postawić się na jego miejscu. Ten człowiek był dla niego jak ojciec... Im dłużej tak siedziała, tym wyraźniej zdawała sobie sprawę, że nie może powiedzieć mu prawdy. W ciepłym, dobrze znanym pokoju ogarnęło ją nagle poczucie osamotnienia i poczuła zimno, jakby znalazła się po kołem polarnym, zagubiona i pozostawiona własnemu losowi.

Po chwili Dan podniósł głowę i zaczął się głośno zastanawiać.

- Skoro nie był to napad rabunkowy, a tak właśnie twierdzi Ian, musiał zrobić to jakiś przypadkowy włóczęga, najprawdopodobniej szaleniec. Przypuszczam, że teraz, po wszystkich tych artykułach w prasie o nieporozumieniach w rodzinie, policja zacznie grzebać w dokumentach firmy. Trudno spodziewać się czego innego.

Sally pomyślała, że musi powiedzieć Danowi o Amandzie, ponieważ jutro tak czy inaczej dowie się o jej wizycie.

Wiem, że jesteś wyczerpany, ale zdarzyło się jeszcze coś: wczoraj była tu Amanda.

Amanda! A czegoż ona tu chciała, do diabła?

Spokojnie, musi być ostrożna, posuwać się powoli, krok po kroku.

- Chciała zobaczyć się z Oliverem.

- Żeby dręczyć go swoimi sprawami! Jest nieznośna! Dobrze wie, że on nie chce... Nie chciał angażować się w ten spór. Nie miała prawa! Czy to możliwe, że pojechała tam po rozmowie z tobą? Mój Boże, Sally, policja powinna o tym wiedzieć...

- Nie podejrzewasz chyba Amandy?

- Czy to możliwe? Czy mogła do tego stopnia stracić panowanie nad sobą? Wiele wskazuje, że ostatnio miała jakieś problemy emocjonalne. Biedna Amanda... Boże, mam nadzieję, że to nie ona...

- Dan, Amanda nie pojechała do Red Hill i nie zastrzeliła Olivera. Błagam, nie wspominaj nawet nikomu o takich podejrzeniach. Ośmieszylbyś się tylko, nic więcej.

Jego sposób rozumowania ostatecznie odwiódł Sally od wykonania następnego kroku. Po pogrzebie, kiedy emocje nieco opadną, stopniowo wszystko mu powie – najpierw o wykorzystywaniu Amandy przez Olivera, a potem całą resztę. Będzie potrzebowała dużo odwagi, by samotnie dźwigać ten straszliwy ciężar i strach, ale jakoś sobie z tym poradzi. Później zaś odda się w ręce policji.

Nadeszły trzy okropne dni. Policjanci kręcili się wszędzie, nie tylko na Red Hill, ale także w Hawthorne. Praktycznie nie wychodzili też z domów lana, Clive'a i Dana. Drobiazgowo przesłuchiwali wszystkich członków rodziny, służbę, dostawców, a nawet sąsiadów. Ubrani po cywilnemu detektywi ciągle wypytywali o zamki, klucze i broń, o sytuację firmy i umowę z zagranicznymi inwestorami.

- Chcą wiedzieć wszystko - powiedział Dan. - Nie interesuje ich jedynie, co jadamy na śniadanie.

Prowadzący śledztwo jednym słowem nie zdradzali się, czy udało im się rzucić światło na sprawę morderstwa.

- Nie mówią nic, bo liczą, że ktoś wreszcie nie wytrzyma tego napięcia - oświadczył łan.

Chociaż był to już tydzień przedświąteczny i mogłoby się wydawać, że ludzie mają inne, znacznie miłsze zajęcia, na Red Hill zaczęły pojawiać się tłumy ciekawskich.

- To prawdziwa próba ognia - narzekał Dan. - Nie wy-

obrażalem sobie, że tyle osób zdecyduje się przyjechać do Red Hill tylko po to, aby stać pod bramą i gapić się na dom. Na co oni liczą?

Niezależnie od tego, czy to się komuś podobało, czy nie, spragnieni wrażeń mieszkańcy Scythii i okolicznych miejscowości przybywali tłumie do Red Hill i Hawthorne, zatrzymywali się też pod domami trzech młodszych Greyów. Obserwowali bawiące się na dworze dzieci Dana i pokazywali sobie palcami samochód, który przywoził Clive'a do domu z Red Hill, oraz dostawców zaopatrujących dom lana.

- Chorobliwa ciekawość - powtarzał Dan, podenerwowany stałą obecnością dziennikarzy, błyskających fleszami i zadających pytania na temat rozłamu w rodzinie. - Dobrze przynajmniej, że artykuły o Oliverze są pełne pochwał. Miasto doceniło wreszcie, ile dla niego zrobił Oliver.

Dom pogrzebowy był pełen ludzi. Wśród wiązanek i wieńców szczególną uwagę zwracał imponujący wieniec z róż i storczyków, z szarfą ozdobioną lakonicznym napisem: „Od Amandy Grey”.

- Zastanawiające - powiedział lan, który wiedział już o pojawieniu się Amandy w mieście i jej szybkim wyjeździe.

- Bardzo dziwne - skomentowała Happy, która nigdy nie poznała Amandy Grey.

Clive milczał. Nie zauważał niczyjej obecności, nie przyjmował kondolencji. Zachowywał się tak, jakby nie widział niczego poza trumną, jakby pragnął zapamiętać każdy najdrobniejszy szczegół jej wypolerowanej powierzchni. Skulony, otoczony ramieniem Roxanne, trzymał się jej rozpaczliwie, wychudzony i niewiele większy od dziecka. Roxanne była matką, która go pocieszała, chroniła i współczuła mu z całego serca.

W ciągu paru minionych dni Clive postarzał się o wiele lat.

W dniu pogrzebu kościół był przepelniony. Na nabożeństwo wejść można było tylko za zaproszeniem, nie byli to więc ciekawscy, lecz przyjaciele i bliscy współpracownicy. Przed kościołem stał spory tłum mieszkańców miasta zatrudnionych w Grey's Foods i członków ich rodzin. Nabożeństwo trwało długo, ponieważ wiele osób chciało wygłosić mowy pogrze-

bowe i oddać w ten sposób hołd Oliverowi. Zapach złożonych obok trumny kwiatów był tak intensywny, że Sally zrobiło się słabo. Przyszło jej do głowy, że być może bliska jest szaleństwa - każdy ma przecież jakąś granicę wytrzymałości. Czowała, że znajduje się zaledwie o krok od swojej.

Po godzinie spędzonej na mroźnym wietrze przy grobie, rodzina zgromadziła się w domu Clive'a wokół ekspresu z kawą. Na polecenie doktora Clive wypił kieliszek brandy i teraz, nieco silniejszy, na wpół siedział, na wpół leżał w dużym fotelu, obserwując gości. Myślał o tym, że przez całe życie, z wyjątkiem ostatnich kilku miesięcy, był jedynie obserwatorem. Zabawiał się przypuszczeniami na temat motywów, kierujących postępowaniem ludzi, przyczyn skłaniających ich do flirtu, pochlebstw czy obrzucania innych zakamuflowanymi obelgami. Teraz znowu był obserwatorem.

Z fotela widział Iana, który kręcił się koło drzwi wejściowych, jakby bał się wejść do domu brata. Najwyraźniej Roxanne złożyła mu szczegółowe sprawozdanie z tamtej strasznej nocy.

Sama Roxanne bez przerwy czuwała w pobliżu z poduszkami, lekami i jedzeniem. W ciągu ostatnich trzech dni była na każde jego wezwanie. Na pewno przeraziły ją nie tylko tamte wstrząsające przeżycia, ale i perspektywa przyszłości. Clive myślał z goryczą, że Roxanne drży ze strachu na myśl, iż zdradzony mąż zmieni testament. Niech się trochę podenerwuje. Z czasem odkryje, że Clive nie zmienił testamentu i pozwolił jej odziedziczyć pieniądze. Zniszczyła jego wiarę w ludzi, zniszczyła jego samego, lecz jednocześnie dała mu największą radość, jakiej kiedykolwiek zaznał. Niech więc weźmie sobie jego pieniądze.

Czy to nie dziwne, jak wydarzenia splatają się ze sobą, jak te późniejsze zmieniają znaczenie wcześniejszych? Gdy stracił ojca, zniknął też jego bezsilny gniew, wywołany zdradą ze strony Roxanne i Iana, pozostawiając jedynie wyczerpanie i gorycz.

Przeniósł spojrzenie na Happy. Ona także została zdradzona, chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy. Zajęta jak zawsze, podawała teraz gościom kanapki. Clive zastanawiał się, co stanie się z tą biedną kobietą, kiedy Roxanne i Ian podejmą ostateczne decyzje w sprawie swojej przyszłości.

A tymczasem ja umieram, powiedział sobie w myśli. Mimo optymistycznych prognoz lekarzy, dobrze wiem, że tak właśnie jest.

Dobrze, że przynajmniej Sally i Dan, uczciwi, porządni ludzie, nie mieli powodów do zmartwień.

Tuż przed końcem roku Sally ponownie pojawiła się w gabinecie doktor Katie Lisie. Nic się tu nie zmieniło - ani pospolita, nie przyciągająca uwagi twarz lekarki, ani ponury magazyn za oknem.

- Na pewno jest pani zaskoczona, widząc mnie tutaj -zaczęła.

- Nie. Ludzie przychodzą i odchodzą.

- Chodzi mi o to, że po ostatniej wizycie pożegnałam się z panią trochę szorstko - nerwowo ciągnęła Sally.

Lekarka czekała.

- To, co mi pani wtedy powiedziała, tak mnie poruszyło, że po prostu nie mogłam w to uwierzyć i chyba byłam nawet na panią trochę zła. Wiem, że to idiotyczne, ale byłam absolutnie przekonana, iż popełniła pani błąd...

Za oknem przejechał samochód straży pożarnej, za nim drugi. Przeróżliwe wycie syreny wypełniło powietrze. Sally przerwała. W chwili przymusowego milczenia obie kobiety mogły tylko przyglądać się sobie uważnie.

Jeżeli byłabym w stanie powierzyć komukolwiek prawdę, czego oczywiście nie zrobię, to właśnie tej pełnej dystansu, inteligentnej kobiecie, pomyślała Sally. Zaledwie godzinę wcześniej usłyszała przypadkiem w supermarkecie, jak grupa ludzi zażarcie dyskutuje o morderstwie. „Co za zwierzę zabiło takiego wspaniałego starszego człowieka!”. Sally poczuła wtedy, jak serce przestaje jej bić.

- Mówiła pani, że była pani pewna, iż popełniłam błąd -przypomniała jej lekarka.

- Tak, ale teraz jestem tu dlatego, że miała pani rację. Sally spuściła głowę, aby ukryć pełne łez oczy, i otworzyła

torebkę, nadaremnie szukając w niej chusteczki.

- Proszę, tu są chusteczki - powiedziała Katie Lisie. - Nie musi się pani spieszyć.

Nieoczekiwana łagodność w głosie lekarki pobudziła Sally

do płaczu. Niewyraźnie wymamrotała przeprosiny, które były głównym celem jej wizyty.

- Traci pani tylko czas przeze mnie... - wyszeptała.

- Mamy całe dwie godziny. Gdy pani zadzwoniła, pomyślałam, że może nam się przyda dodatkowa godzina.

- Dziękuję...

Jak bardzo pomyliła się w ocenie tej kobiety!

- Zaraz dojdę do siebie i wszystko opowiem.

Po chwili zagłębiła się w historię Tiny i karuzeli. Nie wspomniała ani słowem o przeżyciach Amandy, ponieważ nie miały one bezpośredniego związku z tragedią Tiny. Nie używała żadnych nazwisk, o Oliverze mówiła per „on”.

- Jeżeli mam pracować z Tiną, muszę znać nazwisko tego człowieka, pani Grey.

Sally pomyślała, że gdyby lekarka należała do establishmentu miasta, nie ujawniłaby jej tej informacji z obawy przed podejrzeniem o zamordowanie Olivera. Ale przecież, tak czy inaczej, wszyscy mieszkańcy Scythii czytali lokalną prasę. Sally nie miała wyjścia.

- To był stryj mojego męża, Oliver Grey - powiedziała bardzo cicho.

Lekarka nie zareagowała. Zgodnie ze swoim zwyczajem, spokojnie czekała na dalszy ciąg.

A więc teraz Sally zostawiła ślad, wskazała na swój udział w przerażającej sprawie. Katie Lisle mogła zrobić z tym, co chciała. Zresztą, nawet jeśli ona nie zrobi nic, znajdą się inni, na przykład ktoś, kto przypadkiem mijał ją wtedy na drodze i po latach przypomni sobie o tym. A może wystarczą wypowiedziane nieuważnie słowa, kto wie, czy nie jej własne... Nigdy już nie będzie bezpieczna, nigdy nie poczuje się wolna.

- Tak, ten, który został... który zginął w zeszłym tygodniu. To niewiarygodny zbieg okoliczności, oczywiście jedno nie ma nic wspólnego z drugim - dodała pospiesznie i natychmiast sobie uświadomiła, jak beznadziejnie głupia była ta uwaga.

- Nie przyszło mi to wcale do głowy - powiedziała doktor Lisie.

- Nie, oczywiście...

Coraz gorzej. Była zupełnie wykończona nerwowo.

- Pani doktor, dlaczego Tina nie powiedziała mi o tym ani słowa, a zwierzyła się pani?

- Po pierwsze, nie opowiedziała mi o tym gładko i bez zahamowań. Kiedy wyciągnęłam wnioski z jej zabaw, poszłam dalej tym tropem i tylko dzięki temu udało mi się osiągnąć efekty. A jeżeli chodzi o to, dlaczego nic nie powiedziała pani... Cóż, najprawdopodobniej bała się, że ją pani ukarze.

- Ale my nie należymy do rodziców, którzy często karzą dzieci. Raczej odwrotnie...

- Tina jest bardzo inteligentną dziewczynką. Kiedyś powiedziała jej pani, żeby nie pozwalała, by ktokolwiek dotykał intymnych części jej ciała, doszła więc do wniosku, że w pewien sposób okazała się nieposłuszna. Poza tym, sama pani mówi, że ten człowiek jej groził i próbował ją przekupić srebrną karuzelą. To bardzo skomplikowana sytuacja, pani Grey.

Nieprawda, jest bardzo prosta, z rozpaczą pomyślała Sally. Przypomina długi, prosty, ciemny tunel, którego końca nie oświetla żadne światło. Właśnie tak.

- Pytała pani Tinę, czy zgodzi się do mnie wrócić?

- Zgodzi się. Gdyby pani była mężczyzną, byłoby trudniej, ale kiedy zapytałam, czy zechce pobawić się z panią, odpowiedziała twierdząco. Doktor Lisie, proszę mi powiedzieć, czy... Czy ona kiedykolwiek odzyska równowagę po tych przeżyciach? Czy to w ogóle możliwe... - Głos Sally załamał się nagle.

- Ludzie nie zapominają takich doświadczeń, uczą się jednak żyć z nimi, a po pewnym czasie, kiedy są już wystarczająco dorośli, podchodzą do nich z odpowiednim dystansem.

- Zauważyłam, że ani słowem nie wspomniała pani o przebaczeniu.

- Cóż, tu wkraczamy już w obszar doznań duchowych - powiedziała Katie Lisie i uśmiechnęła się lekko. - Nie jestem kaznodzieją, mogę jedynie starać się zaleczyć rany.

- Czy naprawdę uważa pani, że kiedy Tina dorośnie, będzie mogła być szczęśliwa? Że będzie taka jak inne kobiety?

Lekarka znowu się uśmiechnęła.

- Tak. Naprawdę tak uważam.

Malutka Tino! Zrobiłam dla ciebie wszystko, co mogłam.

W drodze do domu Sally minęła cmentarz, na którym w granitowym mauzoleum spoczywał Oliver Grey. Podniosła mocno zaciśniętą pięść.

- Nie chciałam tego zrobić, ale zrobiłam, a ty w pełni sobie na to zasłużyłeś, Oliverze Grey.

Przez kilka ostatnich nocy męczyły ją sny o wysokiej, szarej twierdzy-więzieniu na wzgórzu, czasami widywała ją także na jawie, wystarczyło, że zamknęła na chwilę oczy. Ponure więzienie pojawiała się jak obraz na ekranie komputera i zaraz znikało. Sally nie miała wątpliwości, że widzi swoją przyszłość.

Nadszedł czas, aby powiedzieć o wszystkim Danowi. Zacznie od opowieści Amandy, aby potem przejdzie do historii Tyny.

- Widziałam się dziś z doktor Lisie - powiedziała. - Pamiętasz, że postanowiliśmy poczekać do końca roku?

- Tak. - Dan popatrzył na nią uważnie spod zmarszczonych brwi. - Biedna Sal, jesteś wycieńczona. Zwalilo się na ciebie zbyt wiele spraw, najpierw te problemy z Tyną, teraz śmierć Oli vera... Bardzo chciałbym zabrać cię gdzieś daleko, gdzie mogłabyś leżeć na plaży i nic nie robić.

- Zabierz mnie na spacer po śniegu. Muszę z tobą porozmawiać.

Twardy śnieg skrzypiał pod butami, a gwiazdy jasno świeciły na ciemnym niebie. Byli jedynymi spacerowiczami. Noc była tak spokojna i czysta, że słowa, które miała wypowiedzieć, wydały się Sally aktem wandalizmu. Musiała to jednak zrobić.

- Kiedy po śmierci waszych rodziców Amanda przyjechała do Hawthorne... - zaczęła powoli.

Dan wysłuchał jej opowieści do końca, nie przerywając ani razu.

- Po jej wyjeździe zginęła w wypadku Lucille. Amanda wierzy, że popełniła samobójstwo.

- To wszystko? - zapytał Dan.

- Tak.

- Powiem ci, co o tym myślę. Uważam, że Amanda oszalała, że straciła wszelki kontakt z rzeczywistością. Zawsze

była ekscentryczką. Byłem o tym przekonany od chwili, kiedy dojrzałem na tyle, aby samodzielnie osądzać zachowanie innych. Była ekscentryczką, osobą nie zrównoważoną.

- Nie rozumiesz, że właśnie te przeżycia stały się przyczyną jej nie zrównoważenia?

Dan zatrzymał się i spojrzał Sally prosto w oczy.

- Nie, zupełnie tego nie rozumiem. To kolejna wymyślona afera, jeszcze jeden przykład tak zwanych odzyskanych wspomnień. Nie mówię, że wszystkie te sprawy są wyssane z palca, ale co do tej jednej nie mam żadnych wątpliwości. - Ze złością kopnął zwał śniegu na poboczu drogi. - Rozmawialiśmy o tym dawno temu, kiedy Tina zaczęła chodzić do tej kobiety.

Sally wolałaby, aby Dan nie nazywał doktor Lisie „tą kobietą”, ale w tej chwili miała na głowie znacznie ważniejsze sprawy.

- Dan, to nie jest historia wyssana z palca - powiedziała tylko. - Nie mówiłbyś tak, gdybyś widział wtedy twarz Amandy i jej łzy! Była załamana.

- Ja też jestem załamany, kiedy myślę o Oliverze, o człowieku w wieku sześćdziesięciu paru lat, który mógł jeszcze zrobić tyle dobrego dla innych! Nie mam zamiaru marnować współczucia na Amandę! To zmyślona historia i dziwię się, że dałaś się tak nabrać.

Sally chwyciła Dana za kołnierz kurtki i z bliska zajrzała mu w oczy. Noc była jasna, więc bez trudu wyczytała w nich szczere oburzenie.

- Uwierz mi, Dan, Amanda nie kłamała. Pewne rzeczy po prostu można wyczuć. Wiem, że mówiła prawdę.

- Moja słodka Sally, jesteś łatwowierna - powiedział miękko. - Zawsze taka byłaś.

- Nigdy mi tego nie mówiłeś, zawsze uważałeś mnie za sprytną kobietę, która potrafi dopilnować swoich interesów.

- Niemniej jesteś naiwna i między innymi dlatego cię kocham. Nie pozwolę jednak, aby ktoś cię nabrał, roniąc kilka krokodylich łez. Amanda jest wściekła jak osa, ponieważ nie daliśmy jej jeszcze pieniędzy, więc postanowiła narobić kłopotów Oliverowi. Cholera jasna! - Dan jeszcze raz kopnął śnieżny pagórek. - Trudno, będzie musiała trochę poczekać, ale natychmiast po sprzedaży lasu dostanie swoją forszę!

- Żałuję, że nie chcesz mi uwierzyć, Dan.

Sally zdawała sobie sprawę, że jej głos nie brzmi przekonująco, lecz oczyma wyobraźni znowu widziała przed sobą szarą, kamienną twierdzę. Straciła już siłę do walki.

- Czy to możliwe, żeby Amanda pojechała do Red Hill po rozmowie z tobą? - ze złością zapytał Dan, lecz widząc przerażenie na twarzy Sally, natychmiast się opamiętał. - Zapomniałem, że już cię o to pytałem. Ten pomysł jest równie zwariowany jak historia Amandy. Wracajmy do domu. Strasznie dziś zimno.

Tak szybko uznał, że Sally nie ma racji! Z drugiej strony, trudno było mu się dziwić. Gdyby ktoś powiedział jej, że jej własny ojciec... Nie mogła sobie tego nawet wyobrazić.

Za jakiś czas spróbuje porozmawiać z nim znowu. Będzie wtedy musiała opowiedzieć ostatnią, najgorszą część historii. Ale jeszcze nie teraz. Była spragniona snu, choćby paru godzin zapomnienia. Oby tylko udało jej się nie myśleć o kamiennej twierdzy...

Rozdział siedemnasty

Luty 1991

Amanda wyskoczyła z tramwaju na szczycie Nob Hill. Kojące wiosenne powietrze sprawiło, że wcale nie miała ochoty wracać do domu. Usiadła na ławce w niewielkim parku, w pobliżu placu zabaw dla dzieci. Słuchając ich radosnych głosów, pozwoliła ogarnąć się poczuciu niezwyklej lekkości.

Miała za sobą długi i męczący dzień pracy. W agencji odbyła więcej niż zwykle przykrych rozmów. Szczególnego skupienia i napięcia wymagało od niej spotkanie z szesnastoletnią uciekinierką z domu, dziewczyną delikatną, wrażliwą i zamkniętą w sobie. Amanda widziała ją już dwukrotnie, ale nie udało jej się wydobyć od niej żadnych informacji. Dopiero dzisiaj poczuła, jakby ktoś zapalił lampę w jej głowie i zanim się zorientowała, słowa same popłynęły z jej ust.

- Byłam wykorzystywana seksualnie - wyznała. - Zrobił to mój wuj. Byłam wtedy młodsza od ciebie i za bardzo się wstydziłam, aby komuś o tym powiedzieć. Na tym polegał mój błąd.

Dziewczyna spojrzała na nią zaszczutym wzrokiem biednego, schwytanego w pułapkę zwierzęcia i wybuchnęła płaczem. Po chwili, kiedy Amanda objęła ją, zaczęła mówić.

Najprawdopodobniej z psychologicznego punktu widzenia nie było to właściwe zachowanie, ale okazało się skuteczne. Dziewczyna zgodziła się na wizytę u psychologa i tymczasowy pobyt w schronisku Amandy.

Kiedy zastanawiała się nad tym wszystkim, znowu ogarnęło ją niezwykle poczucie lekkości. Siedziała w parku aż do zapadnięcia zmroku, myśląc o wielu sprawach. Przez cały czas, nawet po powrocie do domu, nadal towarzyszyło jej wrażenie, że unosi się nad ziemią.

- Szeba, to chyba dlatego, że tajemnica to ogromny ciężar a ja swój dźwigałam zbyt długo - powiedziała do kotki, która w czasie kolacji ocierała się pieszczotliwie o jej nogi. - Musiałam się go pozbyć. Nie sądzę jednak, że tym samym od razu poczuję się szczęśliwa. Ale uwolniona od ciężaru będę mogła sprawniej pracować. Taką mam nadzieję.

Kiedy skończyła jeść, usiadła przy oknie, patrząc na most i zatokę, rozciągając się daleko ku wschodowi. Kotka wskoczyła na oparcie fotela, unosząc ku Amandzie pyszczek w kształcie serca i mądre, zielone oczy.

- Nie wyobrażam sobie, jak ten człowiek mógł żyć ze swoją straszną tajemnicą. Mam nadzieję, że przez wiele bezsennych nocy pocił się ze strachu, ale najprawdopodobniej wcale tak nie było. Zabawne, że trzeba było aż tylu lat, abym wreszcie zdecydowała się pojechać tam, stanąć z nim twarzą w twarz, oskarżyć go i zażądać zadośćuczynienia. Oczywiście, jak powiedziała Sally, byłby to szantaż, a to paskudna rzecz. Tak więc jego śmierć uratowała mnie przed zrobieniem czegoś tak brudnego, a może raczej pozbawiła mnie pewnej satysfakcji? Tak czy inaczej, już po wszystkim. I jeszcze coś-nie chcę tych pieniędzy. Mam ich dosyć, nawet więcej niż dosyć. Todd powiedział mi kiedyś... A właśnie, ciekawe, co się z nim dzieje? Ostatni raz był tu prawie rok temu, siedział w tym fotelu. Więc Todd powiedział mi, że dostaję tyle, ile mi się należy, i miał rację. Gdy wczoraj zadzwoniłam do adwokata i powiadomiłam go, że chcę umorzyć postępowanie przeciwko Grey's Foods, ten biedny człowiek pomyślał, że oszalałam. „Mają mnóstwo pieniędzy”, powiedział. „Muszą pani zapłacić, choćby tylko dla świętego spokoju”. Dla świętego spokoju! Nie, nie chcę więcej być przyczyną niczyjego niepokoju. Za wysoko cenię samą siebie. „Możemy przejąć firmę”, oświadczył adwokat. „Mam już nawet odpowiednich ludzi z gotówką”. Nie, dla mnie sprawa dobiegła końca. Od razu poczułam się lepiej, Szebo. Nigdy nie chciałam przecież skrzywdzić Dana ani żadnego z chłopców. Nie zrobili mi nic złego. Dobrze, że zrezygnowałam, bo coś mi mówi, że Dan jest w strasznych tarapatkach.

Podeszła do telefonu, podniosła słuchawkę i odłożyła ją niepewna, co powinna zrobić. To, co miała do powiedzenia Danowi, nie wymagało specjalnego zastanowienia. Szczerze

mówiąc, miło będzie znowu poczuć, że jest rozsądna i wspaniałomyślna. Od wyjazdu ze Scythii dręczyło ją jednak coś zupełnie innego.

Jestem pewna, że to Sally go zabiła, powiedziała sobie po raz setny. Doskonale pamiętam, jak poinformowała mnie, że tamtego wieczoru wybrała się do kina. Była tak zdenerwowana, że ledwo mogła mówić. Wiem, że to ona. A może się mylę? Może te podejrzenia świadczą wyłącznie o mojej głupocie?

Czuła jednak, że w całej sprawie zbyt wielką rolę odgrywa zbieg okoliczności. Śmierć Olivera, jej własna historia, którą Sally przyjęła z wyraźnym przerażeniem, karuzela, dające do myślenia zachowanie Tiny i wreszcie ta chwila na schodach i znowu niewyobrażalne przerażenie w oczach Sally, gdy uświadomiła sobie, jaka jest prawda... Wszystko pasowało do siebie jak kawałki układanki.

Ci detektywi na pewno to zauważą. Zasypali mnie pytaniami i to tylko dlatego, że wynajęty samochód oddałam dopiero następnego ranka po wizycie u Sally. Niemożliwe, aby nie odkryli, co się naprawdę stało. Pewnie przyczają się na kilka miesięcy, ale potem przedstawią dowody i zaarrestują ją. Mój Boże, biedna dziewczyna, biedne dzieci, biedny Dan!

Tym razem Amanda nie odłożyła słuchawki, tylko wybrała numer. Na wschodzie był już wieczór, więc powinna zastać Dana w domu. Odebrała jakąś kobietą, chyba Niania, więc Amanda poprosiła brata do telefonu. Po krótkiej chwili w słuchawce usłyszała głos Sally, która przywitała się z nią i powiedziała, że przekaże Danowi wiadomość.

- Dotyczy to spraw firmy, a ty mówiłaś, że starasz się trzymać od nich z daleka - z wahaniem odezwała się Amanda.

- To prawda, ale powtórzę Danowi twoje słowa. - Sally przerwała na chwilę. - Prawdę mówiąc, Amando, Dan nie chce z tobą rozmawiać. Jest bardzo rozgniewany i głęboko zraniony. Powiedziałam mu o Ołiverze, ale on nie chce w to wierzyć.

- A ty mi wierzysz?

- Tak. Tak, wierzę ci. Widzisz, Dan bardzo kochał Ołivera. Czuje do niego wdzięczność i szacunek, dlatego jest wściekły, że mówisz o nim takie rzeczy.

Mimo całej łagodności Sally miała w sobie siłę i ogień. Nie bała się przykrych prawdy. Mogła przecież powiedzieć Amandzie, że Dan ma gości czy nie czuje się zbyt dobrze, lecz nie zrobiła tego. Była bezpośrednia i Amandzie bardzo się to podobało. I nagle, dokładnie w tej samej chwili, przyszło jej do głowy, że to właśnie ta cecha skłoniła Sally do wzięcia sprawy we własne ręce.

- Rozumiem - powiedziała szczerze. - Wobec tego powtórz Danowi, a on może powiedzieć to pozostałym, że wycofuję się z postępowania sądowego. Satisfakcjonują mnie finansowe rozwiązania, które obowiązywały do tej pory. Jeśli o mnie chodzi, mogą robić z lasem, co im się podoba.

Sally nie kryła zaskoczenia.

- Ale co z twoim projektem, co z pracą na rzecz dziewcząt, które potrzebują pomocy? Co z ziemią, którą chciałaś kupić i z innymi planami?

- Podczas jednej z naszych kłótni Dan powiedział, że moje plany są zakrojone na zbyt wielką skalę, i miał rację. Pomoc, którą niosę, nie będzie ani mniejsza, ani mniej skuteczna, jeżeli trochę ograniczę swoje zamierzenia.

Dan zarzucił jej również, że zależy jej na podziwieniu ze strony innych. I w tym wypadku miał rację.

- W rzeczywistości wcale nie potrzebowałam tych pieniędzy, chciałam tylko dokuczyć Oliverowi...

- Bardzo dobrze cię rozumiem - powiedziała Sally tak cicho, że Amanda nie była pewna, czy się nie przesłyszała i poprosiła o powtórzenie.

- Czy u ciebie na pewno wszystko w porządku? - zapytała, kiedy Sally spełniła jej prośbę.

W głosie Sally natychmiast pojawił się ton pewności siebie.

- Oczywiście. Dlaczego miałoby być inaczej?

Zadając to pozornie niewinne pytanie Sally, posunęła się za daleko. Teraz Amanda nie miała już wątpliwości. Sally miała się na baczności.

- A jak Tina? - zapytała.

- Och, świetnie. Przykro mi, że zastałaś ją w takim złym nastroju, ale sama powiedziałaś, iż wszyscy miewamy czasem humory.

- Oczywiście.

- Przekażę Danowi tę cudowną wiadomość. Bardzo się

ucieszy, zwłaszcza że te ostatnie wydarzenia i ciężka choroba Clive'a bardzo go przygnębiły. Jestem przekonana, że zadzwoni do ciebie, kiedy tylko odzyska równowagę. Będzie ci bardzo, bardzo wdzięczny.

W ten sposób uprzejma rozmowa dobiegła końca. Amanda niczego się nie dowiedziała. Z drugiej strony, nie mogła się przecież spodziewać, że Sally oświadczy nagle: „Zabiłam Olivera Greya”.

W pewne słoneczne, sobotnie popołudnie Amanda usiadła przy oknie z książką w ręku. Dzień był zbyt piękny, aby spędzać go w domu, ale Amandę ogarnął dziwny nastrój, nie tyle melancholii, ile pewności, że nie załatwiła do końca jakichś ważnych spraw, choć powinna zrobić to już dawno.

Nie zamierzała uganiać się za żadnym mężczyzną, a zwłaszcza za Toddem, chociaż przyczyna jej zachowania mogła wydawać się paradoksalna: naprawdę go kochała. Możliwe, że w ciągu ostatniego roku Todd spotkał kobietę swego życia i poślubił ją. Czuli wstyd na myśl, że jego wspomnienia o niej wiążą się na pewno z ostatnimi kilkoma godzinami ich związku, które z pewnością nie należały do najlepszego okresu w jej życiu. Pragnęła, aby wiedział, że wycofała się z roszczeń w stosunku do swojej rodziny, dokładnie tak, jak jej radził.

Usiadła więc i napisała krótki list, zaledwie kilkanaście linijek, w którym poinformowała go o swojej decyzji.

Dwa dni później w jej mieszkaniu zadzwonił telefon. Kiedy usłyszała jego głos, ten piękny, bogaty głos aktora, nie prawnika, nagle straciła całą pewność siebie. Nie zapomniała jednak o swojej dumie.

- Nie miałam zamiaru ci się narzucać... - zaczęła.
- Wcale mi się nie narzucasz! To był piękny list. Chcę ci za niego podziękować.
- Cóż, po prostu musiałam ci o tym powiedzieć.
- Napisałaś bardzo piękny list, Amando.

Milczeli chwilę, połączeni skomplikowaną plataniną kabli, i najwyraźniej nie byli w stanie rozłączyć się z godnością. Powiedzieli sobie tak dużo, że nie mieli już nic więcej do dodania. Amanda postanowiła przerwać niewygodną ciszę.

- Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku? - zapytała pośpiesznie.

- Och, tak, jak zwykle mnóstwo pracy. W zeszłym miesiącu wybrałem się z bratem i jego rodziną na wycieczkę do Meksyku. To chyba wszystko...

A więc nie ożenił się i może nawet nie był z nikim związany, inaczej nie spędzałby wakacji z rodziną. Nagle zawstydzila się własnych myśli. Przecież minął już rok, uczucie, które kiedyś ich łączyło, należało do przeszłości.

- A ty? - zapytał Todd. - Na pewno robiłaś coś interesującego, prawda?

Interesującego? Jej życiem rządziła wściekłość. Był też poważny kryzys i morderstwo.

- Można tak powiedzieć, ale to długa historia, zbyt długa i nudna na telefon.

- Niełatwo mnie znudzić. Może wpadłbym wieczorem, żeby jej posłuchać? - i zanim zdążyła odpowiedzieć, dodał: -Nie wiem, czy chcesz się ze mną spotkać, więc może...

- Nie, nie. Wpadnij, będzie mi bardzo miło.

Amanda nigdy nie zastanawiała się godzinami, co ma na siebie włożyć. „Jestem, jaka jestem”, odpowiedziałaby, gdyby ktoś poruszył przy niej ten temat. Ten wieczór miał być jednak zupełnie inny, dlatego chociaż godzina przyjścia Todda zbliżała się nieuchronnie, nadal tkwiła przy szafie. Przejrzała wszystkie swetry i kolorowe spódnice (zbyt szkolne), uważnym spojrzeniem obrzuciła aksamitną podomkę (zbyt uwodzicielska i w tych okolicznościach zupełnie nieodpowiednia), elegancką sukienkę na ramiączkach z czarnego jedwabiu (zbyt formalna) i różową wełnianą suknię (zbyt słodki róż). Nagle usłyszała dźwięk dzwonka i w progu stanął Todd z małą doniczką z różowymi tulipanami w ręku.

- Sprzedawali je na rogu - powiedział. - Przeczuwałem, że możesz mieć na sobie coś różowego.

- To moje ulubione kwiaty! - zawołała.

Były cudownie różowe i znakomicie pasowały do jej sukienki.

Usiedli w salonie, przy oknie, z którego roztaczał się wspaniały widok na zatokę. Zabawne, byli tacy sztywni i tak nieswojo się czuli! Ktoś mógłby powiedzieć, że to smutne -kiedyś byli sobie tacy bliscy, ale widać nie dość bliscy.

- Widzę, że Szeba jest jak zwykle smukła i śliczna - zaczął Todd, głaszcząc kotkę, która właśnie weszła do salonu i natychmiast wskoczyła mu na kolana.

- No, tak, dbam o nią, jak mogę. Dostaje witaminy i inne odżywki.

Zapadła cisza. Znowu nie mieli sobie nic do powiedzenia. A może raczej za dużo...

- Mówiłaś, że przydarzyła ci się jakaś historia, zbyt długa na telefon.

Pomyślała, że rok temu wołałaby umrzeć, niż ujawnić tę okropną, wstydliwą tajemnicę właśnie Toddowi. I teraz myśl ta przemknęła jej przez głowę, ale się zmobilizowała i odważnie zaczęła opowiadać. Starła się mówić jak najprościej.

- Po śmierci moich rodziców, kiedy zamieszkałam w Hawthorne...

Todd siedział nieruchomo. Zdawała sobie sprawę, że ani na chwilę nie spuszcza wzroku z jej twarzy, chociaż jej oczy utkwione były gdzieś daleko, w chmurach nad mostem i zatoką.

- Tak to właśnie było, dlatego tak się zachowywałam - powiedziała, skończywszy opowieść. - Chciałam go zniszczyć, wyciąć jego ukochany las, odebrać mu część firmy i wywołać chaos.

Todd słuchał w skupieniu.

- Żałuję, że nie powiedziałaś mi o tym wcześniej - powiedział poważnie. - Zrozumiałbym wiele spraw... - Pochylił się i ujął jej ręce w swoje dłonie. - Czy nie potrzebujesz pomocy? Może powinnaś porozmawiać o tym z psychologiem? Chyba trudno uporać się z tym samemu.

- Myślę, że sobie poradzę. Jeżeli uznam, że pomoc jest mi niezbędna, poproszę o nią. To niewiarygodne, ale z chwilą, gdy opowiedziałam o tym Sally, kamień spadł mi z serca. Byłam jak w niewoli od chwili, kiedy mnie to spotkało, a po rozmowie z nią nagle poczułam się wolna jak ptak. Nie czułam się wspaniale, ale byłam wolna.

- Zaslugujesz na to, aby czuć się wspaniale, Amando. Zachodzące słońce namalowało szeroki pas posrebrzanego

złota na powierzchni lustra, wiszącego na przeciwległej ścianie. Spojrzała w nie i nagle zobaczyła obraz, który przykuł jej uwagę: siedząca kobieta i mężczyzna, pochylony ku niej

z wyrazem zainteresowania, może współczucia, a może pożądania... Teraz, kiedy wreszcie mogę należeć do mężczyzny, należeć w najlepszy z możliwych sposobów, bez zahamowań i strachu, mam ogromną nadzieję, że jest to pożądanie, pomyślała.

- Muszę ci coś wyznać - powiedział nagle Todd. - W ciągu ostatnich miesięcy myślałem o tobie prawie bez przerwy. Wiele razy sięgałem po telefon, aby nakręcić twój numer i cofałem rękę. Pragnąłem cię zobaczyć, ale coś mnie powstrzymywało. Bałem się.

- Czego? - zapytała.

- Że czeka mnie jeszcze więcej cierpienia. Tamta rozmowa wydawała mi się taka ostateczna. Nie sądziłem, że możesz mnie jeszcze pragnąć...

- Ja czułam dokładnie to samo! Nawet kiedy wysłałam do ciebie ten list, kiedy wrzuciłam go do skrzynki, natychmiast pożałowałam, że to zrobiłam.

- Ale dlaczego?

Wiedziała, że teraz musi być całkowicie uczciwa i szczerą.

- Myślałam, że znalazłeś kogoś mniej skomplikowanego, kogoś, z kim łatwiej będzie ci żyć.

Todd potrząsnął głową.

- Nie. Poznałem wiele kobiet, ale żadna z nich nie zajęła twojego miejsca.

Ich oczy się spotkały. Zapomniała już, że jego były tak intensywnie niebieskie, jak ocean i tak niespodziewanie łagodne w twarzy o zdecydowanych rysach.

- Zmieniłam się, sam zobaczysz - powiedziała.

- Mam nadzieję, że nie za bardzo.

- Tylko w jednej dziedzinie. - Amanda wstała. - Powiem ci coś, czego nigdy przedtem nie byłam w stanie z siebie wydobyć.

- Powiedz to szybko, najdroższa!

- Chciałabym kochać się z tobą. Jeżeli mnie jeszcze chcesz. Jeśli nie, powiedz to od razu, a ja nigdy więcej nie będę cię już niepokoić.

Zamiast odpowiedzieć, wziął ją w ramiona, zaprowadził do sypialni i powoli położył na łóżku, z czułością całując jej szyję, usta i oczy. Potem pochylił się nad nią, wyłączył telefon i posiadał ją.

Rozdział osiemnasty

Luty 1990

Od pogrzebu ojca myśli Clive'a krążyły wokół śmierci. Roxanne uważała, że nie ma w tym nic dziwnego - morderstwo Olivera i pozostałe tragiczne przeżycia pozbawiłyby energii i chęci do życia wielu mężczyzn znacznie silniejszych od Clive'a.

- Co za różnica, czy żyję, czy nie? - pytał gniewnie. - Nic po mnie nie zostanie. Piękny dom - to tylko skorupa. Piękna kobieta w ciąży - nie jest moja, ani ona, ani dziecko.

Jak mogła go pocieszyć? Wszystko to było niewypowiedziane tragiczne. Tragiczne i smutne, bo Clive musiał aż zachorować, aby jego najbliżsi zwrócili na niego uwagę: Happy przywiozła mu japoński ogródek bonsai w zielonym jak malachit naczyniu, Amanda regularnie telefonowała z Kalifornii, a Sally, w swej nieświadomości, podarowała mu zdjęcie Roxanne. Roxanne wyglądała na nim jak anioł, zwrócona półprofilem w kierunku obiektywu, z głową pochyloną nad małym, obwiązany wstążkami bukietem różanych pączków. Sally oprawiła fotografię w srebrną ramkę i postawiła ją na stole, aby Clive mógł bez trudu patrzeć na nią ze swojego głębokiego fotela.

- Nie chcesz, żeby tu stała, prawda? - zapytała Roxanne.

- Zostaw ją. Podoba mi się ramka.

Jego język, który kiedyś wypowiadał same najczulsze słowa, teraz ciął jak nóż. Roxanne rozumiała, że Clive chce jej uświadomić, jak to jest być odrzuconym, odepchniętym i pozbawionym wszelkiej nadziei.

Jan chciałby się z tobą zobaczyć - powiedziała nieśmiało pewnego dnia.

A więc jesteście w kontakcie?

Tylko telefonicznie. On chce z tobą porozmawiać.

- Ciekawe o czym.

- O tym, co się wydarzyło.

- Nie ma o czym mówić. I przekaż mu, żeby tu nie przychodził, bo każę go wyrzucić. Rozumiesz?

- Tak. Tamtej nocy powiedziałaś... Powiedziałaś, że mnie wyrzucisz, ale nie zrobiłaś tego. Może chcesz, żebym odeszła?

- Jak sobie życzysz.

- Potrzebna ci jest opieka, ktoś musi zadbać, żebyś odzyskał siły. Mogę przynajmniej dla ciebie gotować - powiedziała, słysząc pokorę w swoim głosie, chociaż wcale nie zamierzała być pokorna.

Clive rzucił jej drwiące spojrzenie.

- Dobrze wiesz, że nietrudno znaleźć dobrą kucharkę. Zwiesiła głowę. Czuli się upokorzona i było to zupełnie nowe doświadczenie.

- O co chodzi? - zapytał. - Ian zerwał z tobą.

- Tak, zerwał.

- Nie do wiary. Powiedział ci o tym?

- Nie, ale ja to czuję. Kobieta potrafi wiele odgadnąć.

- No, tak, kobieta potrafi wiele odgadnąć - zakpił. - Dlaczego płaczesz? Możesz zostać. Nie potrwa to długo. Zanim nadejdzie lato, znowu wybierzesz się na cmentarz.

Od tamtej okropnej nocy prawie w ogóle nie płakała. Była chyba zbyt wstrząśnięta i przerażona, aby zdobyć się na łzy. Ostatnio łzy czyhały jednak tuż pod powiekami, dniem i nocą. Clive przyglądał się, jak ociera je wierzchem dłoni.

- Ja nie płaczę, więc z jakiego powodu ty miałabyś to robić? Może z mojej śmierci wyniknie coś dobrego. Moje ciało, chociaż to wrak, oddaję na usługi nauki. Może jakiś mądry człowiek dokona jakiegoś odkrycia na zwłokach Clive^ Greya. „Aha, oto rozwiązanie zagadki raka”, powie. „Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, że właśnie tu udało się je znaleźć”.

- Och, przestań!

Roxanne wybuchnęła płaczem i pobiegła na górę, do pokoju, w którym od tamtej nocy sypiała sama. Pokój był zimny i ona sama była zimna, wyziębiona, przemarznięta... Szybko wyjęła z szafy gruby sweter. „Ręcznie robiony”, głosił napis na metce. „Wykonano we Francji”. Jeden z prezentów od Clive'a. Przecież wszystko, co miała, dostała od niego! Po-

czuła, jak jej policzki zalewa fala wstydu. Wszystko to było takie paskudne. Takie brzydkie.

Stała przy oknie, patrząc na pokryty śniegiem ogród i różany klomb. Zastanawiała się, co stanie się z nią i z Clive'em do czasu, nim róże znowu zakwitną. Może miał rację, mówiąc, że nie będzie go wtedy na świecie, że jego smutne, godne litości życie wcześniej dobiegnie końca. Naprawdę nie zasługiwał na taki koniec. A ona wcale nie chciała, aby wszystko potoczyło się właśnie tak. Nie wiedziała, o czym myślała, planując małżeństwo z Clive'em, ani czy w ogóle myślała. Było w niej tylko mnóstwo pragnień i poczucie zagrożenia...

Stojący na podeście schodów wysoki zegar uderzył dwa razy. Pamiętała dzień, w którym go kupili, i radość Clive'a. Mówił, że ten zegar to prawdziwy klejnot. Nakręcał go co tydzień, w niedzielny poranek i zawsze tłumaczył jej wtedy, jak bardzo trzeba uważać, aby nie przekręcić sprężyny. Taki dobry z niego człowiek! Gdyby tylko mogła pokochać go tak, jak tego pragnęła! Bardzo mnie kochał, pomyślała. Byłam dla niego tym, czym Ian dla mnie.

Przez mgiełkę łąz wpatrywała się w zapadający zmrok. Nagle usłyszała kroki Clive'a na schodach. Wszedł do pokoju, ale ona odwróciła się dopiero wtedy, gdy poczuła jego dłoń na swoim ramieniu.

- Nie powinienem tak się do ciebie odzywać - powiedział łagodnie. - Bardzo cię przepraszam. Strasznie mi wstyd.

- Wszystko w porządku. Rozumiem.

- To przez te myśli. Próbuję je odegnąć i zwykle mi się to udaje, ale po jakimś czasie znowu wracają. Zadaję sobie pytanie, czy może ty i Ian znaliście się przed naszym ślubem. Kiedy przywiozłem cię do Hawthorne i przedstawiłem ojcu, Ian zachował się bardzo dziwnie. Ale potem dochodzę do wniosku, że to niemożliwe.

Roxanne milczała. Czy prawda mogła przynieść mu teraz ukojenie?

- Gdybym tylko mógł pozbyć się myśli o was dwojgu w łóżku! - Clive przymknął oczy, jakby próbował wydrzeć ten obraz z podświadomości, zaraz jednak je otworzył. - Ale to niczego nie rozwiąże i na pewno nam nie pomoże. Wiem o tym.

Wszystko w porządku, rozumiem - powtórzyła.

- Chyba rzeczywiście rozumiesz. Od tamtego dnia jesteś dla mnie bardzo dobra.
 - Chcę być dla ciebie dobra. Potrzebuję tego.
 - Chryste, życie jest takie ciężkie.
 - Nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć - szepnęła.
 - Niepokoisz się o swoją przyszłość? - zapytał. - Nie musisz. Wszystko dobrze się ułoży. Naprawdę.
 - O cmentarzu... Powiedziałeś to, byle powiedzieć, czy naprawdę myślisz...
 - Nie. W złości ludzie mówią różne rzeczy.
 - Mam nadzieję, że wcale tak nie myślisz, Clive. Jesteś za młody, żeby umierać.
 - Sam Jenks, który mieszka w sąsiedztwie, też pewnie tak uważa o sobie - powiedział Clive. - No, ale on ma dopiero dziewięćdziesiąt jeden lat...
 - Pewnie tak...
 - No, uśmiechnij się. Nie chcę, żebyś była smutna. I nie mów więcej o odejściu, Roxanne. To jest twój dom. Jeżeli ty chcesz tu zostać, to i ja tego chcę.
 - Dziękuję. Chcę zostać.
 - Więc chodźmy na dół. Obejrzymy razem wiadomości. Daj rękę.
 - To dziwne, ale wydaje się, że podtrzymuje go przy życiu przede wszystkim obecność Roxanne - powiedział Dan.
- Było niedzielne popołudnie i wybrali się właśnie odwiedzić Clive'a. W ciągu ubiegłego tygodnia Clive był w biurze tylko raz, i to zaledwie przez pół dnia.
- Tak, na początku nie przyszłoby mi do głowy, że okaże się tak pełna poświęcenia i taka dobra - ciągnął Dan. - Staje na głowie, żeby wyciągnąć go z choroby. I wiesz, jestem gotów się założyć, że on z tego wyjdzie. Wygląda wprawdzie fatalnie, ale po chemioterapii można się było tego spodziewać. Niestety, śmierć Olivera pogorszyła jego stan. Do diabła, policja nadal nie wpadła na żaden ślad. Nie znaleźli nawet narzędzia zbrodni.
 - Co zrobią, jeśli je znajdą? - zapytała Sally.
 - Zależy, gdzie znajdą pistolet, gdzie go kupiono, czy ktoś miał zezwolenie na jego posiadanie i tak dalej.

Kiedy mam mu powiedzieć?, myślała. I w jaki sposób? Zrzucić na niego ten ciężar, uczynić go współnikiem po fakcie... Nie mogę. Nie mogę też powiedzieć lekarzowi, że jestem chora, że prawie w ogóle nie śpiam, że nie jestem w stanie nic przełknąć i że czasami wymiotuję. Jestem chora.

Przejeżdżali obok centrum handlowego. Ludzie robili zakupy. Na tylnych siedzeniach samochodów siedziały dzieci i psy. Wystawę cukierni udekorowano pudełkami walentynkowych czekoladek i czerwonymi serduszkami w obramowaniu falbanek z białego papieru. Musi pamiętać, aby kupić dwa czekoladowe serca dla dziewczynek. Susanna była już duża i z wyciągniętymi rączkami domagała się wszystkiego, co dostawała Tina.

Co się z nimi stanie, kiedy mnie aresztują i zamkną w więzieniu? Co się stanie z Danem? I z moimi biednymi rodzicami?

- Dziwi mnie, że Ian nadal ma taki stosunek do ich małżeństwa - odezwał się Dan. - Zwyczajnie ignoruje Roxanne. To nie w porządku. Zupełnie jakby był księciem, którego brat poślubił dziewczynę niskiego urodzenia. Nigdy nie przypuszczałem, że jest takim snobem!

Wszystko to nieważne, myślała Sally. Nawet jeżeli jakimś cudem nie odkryją, że to ona jest morderczynią (nie wierzyła w to, bo takie rzeczy zawsze wychodziły na jaw), będzie musiała żyć z tym ciężarem niczym ze śmiertelną chorobą, równie wycieńczającą jak rak Clive'a. Zadawała sobie pytanie, czy można z tym żyć i nie załamać się, nie oszaleć i nie wyrzucić tego z siebie w jakimś miejscu publicznym, na ulicy lub na targu. A co stanie się, jeżeli pewnej nocy opowie o wszystkim przez sen?

- Jesteś bardzo milcząca - zauważył Dan. - O co chodzi? Nieruchomo wpatrywała się w przednią szybę, ale gdy

poczuła na sobie jego spojrzenie, natychmiast odwróciła się z uśmiechem.

- O nic. Nie mam dziś po prostu zbyt wiele do powiedzenia. Dan się roześmiał.

- To niepodobne do ciebie! Zgaduję, o czym myślisz. O Tinie, jak zwykle.

- Myślałam o tym, że widzę pewne oznaki poprawy -powiedziała szczerze.

- Powiedz mi, jakie, dobrze?

- W ciągu ostatnich dwóch tygodni nie miała ani jednego okresu milczenia. Coraz rzadziej siedzi przy tej przeklętej karuzeli. A dziś rano sam widziałeś, jak bawiła się z Susanną miękką piłką.

- Za to wczoraj urządziła niezłą awanturę.

- To nie stanie się natychmiast, Dan. Musimy posuwać się krok po kroku.

Podczas ostatniej rozmowy doktor Lisie poradziła Sally, aby nie poruszała z Tiną bolesnego tematu. Gdyby dziewczynka sama o tym wspomniała, Sally ma jej powiedzieć, że zły człowiek wyjechał i Tina nigdy więcej go nie zobaczy. Czasami Sally miała nadzieję, że Tina rozwiąże jej dylemat i sama powie Danowi o swoich przeżyciach, lecz Tina w ogóle o nich nie rozmawiała i tak było chyba najlepiej, bo gdyby Dan dowiedział się o wszystkim z ust małego dziecka, mógłby nie uwierzyć. Tak w każdym razie myślała Sally, lecz szczerze mówiąc, niczego nie była już pewna.

Kiedy weszli, Clive leżał na rozkładanym fotelu w swoim gabinecie, przykryty ciepłym pledem.

- Happy sama go zrobiła - wyjaśniła Roxanne. - To tradycyjny wzór plemienia Czarnych Stóp. Nauczyła mnie tkąć i zaczęłam już nawet narzutę do salonu. Żółty wzór na ciemnym tle, bardzo prosty, dużo łatwiejszy od tego. Kiedy mam zajęte ręce, mniej marznę.

Robiła wrażenie nieskończenie cierpliwej, kiedy siedziała tak z kawałkiem tkaniny na kolanach. Słońce ją opromieniało, a pokój lśnił niczym niebieski klejnot. Sally przypomniała sobie pierwsze spotkanie z Roxanne i wrażenie, jakie wtedy zrobiła na niej dziewczyna. Zmiana, jaka w niej zaszła, była po prostu zdumiewająca.

Siedzieli półkolem wokół chorego. Dan dbał, aby rozmowa toczyła się wyłącznie wokół tematów neutralnych, jak najbardziej odległych od choroby nowotworowej, od śmierci Oli vera i od wszystkiego, co mogłoby zaniepokoić Clive'a.

W pewnej chwili uznał jednak za stosowne wspomnieć o Amandzie i o tym, że zdecydowała się wycofać roszczenia wobec Grey's Foods. Nigdy nie potrafił długo chować urazy i ku uldze Sally parę dni temu odbył z siostrą rozmowę, w trakcie której z całego serca jej podziękował.

- Naturalnie nigdy nie zapomnę jej tego, że oskarżyła Olivera o takie straszne rzeczy - powiedział później do Sally. - Trudno mi nawet o tym mówić. Postąpiła jednak bardzo uczciwie, więc mogę uznać, że przeżyła jakiś chwilowy rozstrój nerwowy, i więcej nie będę do tego wracał.

- Jakie jest jej stanowisko w kwestii sprzedaży lasu? - zapytał Clive.

- Żadne. Nie interesuje ją, co zrobimy.

- A twoje, Dan?

- Już ci mówiłem. Niech Ian robi, co uważa za słuszne, ja zaakceptuję jego posunięcia. Firma źle wyjdzie na następnych nieporozumieniach.

Clive usiadł.

- Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił, Dan - powiedział z naciskiem. - Proszę, zgłoś się przeciwko sprzedaży.

Boże, dopomóż, pomyślała Sally, słysząc ciężkie westchnienie Clive'a. Znowu się zaczyna, i to w chwili, gdy wydawało się, że mamy to już za sobą.

- Nie chcę, Clive - cicho odezwał się Dan. - Bez zastrzeżeń uznałem słuszność argumentów Iana. Ta sprawa spowodowała niemal rozłam w firmie.

- Jeżeli przychylił się do mojego zdania, możemy go przegłosować. Teraz, kiedy Amanda chce opowiedzieć się za większością, Ian nie zechce wystąpić przeciwko nam na drogę sądową.

- Może tak, a może nie. Nie chodzi mi zresztą tylko o firmę, ale także o rozłam w rodzinie.

- Nie chcesz chyba, żeby banda inwestorów, w dodatku obcokrajowców, sprowadziła do tego lasu buldożery - oburzył się Clive.

- Nie chcę, ale nie cofnę danego słowa. Wiesz przecież, że Ian i ja nie odzywaliśmy się do siebie przez parę tygodni. W pełni pogodziła nas dopiero śmierć waszego ojca. Nie chcę tego robić, Clive. Naprawdę nie chcę.

- Dan, nigdy dotąd o nic cię nie prosiłem, prawda?

- Tak.

Dan również nigdy cię o nic nie prosił, pomyślała Sally, solidarnie stając po stronie męża.

- Dlaczego więc, skoro całkowicie się ze mną zgadzasz, musisz tańczyć tak, jak Ian zagra? Najwyższy czas, aby mój

brat nauczył się, że nie może dostać każdej gwiazdki z nieba, że nie wolno mu sięgać po cudzą własność, bo ma na to ochotę. Najwyższy czas. - Clive opadł na fotel, jakby podjęty wysiłek okazał się dla niego zbyt wielki. - Chciwość! - wykrzyknął po chwili. - Chciwość... I po co to wszystko? Uniósł ramiona, jakby domagał się odpowiedzi od niebios.

- Po to, aby położyć łapę na dwudziestu ośmiu milionach dolarów - sucho powiedział Dan.

- Niech zgnije w piekle razem ze swoimi dwudziestoma ośmioma milionami!

Wybuch Clive'a uciszył wszystkich. Roxanne odłożyła ręczną robótkę i kłębek żółtej włóczki potoczył się niezauważony po podłodze. Leżący na dywanie szczeniak natychmiast dostrzegł go i chwycił w zęby. Sally, zażenowana i zaskoczona nietypowym zachowaniem Clive'a, utkwiała wzrok w obrazie przedstawiającym dwa żrebaki.

- Jestem trochę zdumiony zapalem, z jakim bronisz tego lasu - powiedział Dan. - Zawsze mi się wydawało, że kilka kilometrów kwadratowych zadrzewionego terenu w tę czy w tamtą to dla ciebie żadna różnica. Parę razy słyszałem nawet, że tak właśnie mówiłeś.

- To prawda, ale tym razem nie chodzi o mnie. Robię to ze względu na ojca.

Clive znowu się wyprostował, drżący z osłabienia. Ukryte za okularami oczy pełne były łez.

- Ze względu na ojca - powtórzył. - Ojciec kochał ten las. Przez całe moje życie i większość twojego, Dan, ta miłość stanowiła część jego istnienia. Chodził tam z nami na spacer, pokazywał nam ptaki i drzewa. Nigdy szczególnie mnie to nie interesowało, wiedziałem jednak, ile to dla niego znaczy. „Nie oddawajcie go w obce ręce”, mówił. „Zachowajcie go dla następnych pokoleń. Obiecuj mi, że kiedy dorośniesz, nie zapomnisz o moich słowach”.

Po policzkach Clive'a spłynęły wolno dwie łzy.

- Proszę, Dan, zrób to dla mnie. Chcę, żeby wiedział, jeśli jakaś forma jego świadomości gdzieś istnieje, że pamiętam o nim. A nawet jeśli nie istnieje...

- To bardzo trudne - zaczął Dan.

- On był ojcem także i dla ciebie, Dan - przerwał mu Clive.

- Wiem o tym.

Serce Sally zaczęło bić mocno, gorączkowo, w sposób, który zdążyła już dobrze poznać. Przestraszyła się. Ale gdyby dostała teraz zawału, czy nie byłoby to najlepsze rozwiązanie?

- Proszę cię, Dan, ze względu na ojca.

Clive budził litość. Sally nie miała najmniejszych wątpliwości, że jej mąż ustąpi. Dan znowu ciężko westchnął.

- Dobrze, Clive, porozmawiam z łanem. Niczego nie mogę ci obiecać, ale zrobię, co w mojej mocy. Kto wie, może nawet zgodzi się ze mną - powiedział Dan ze sztuczną wesołością.

- A więc wróciliście do punktu wyjścia - oświadczyła Sally po powrocie do domu. - Clive nie powinien był cię o to prosić. Masz za sobą straszny rok, nie może tego od ciebie wymagać.

- Inwestorzy z Europy mają przyjechać tu w przyszłym miesiącu. Umowa jest już sfinalizowana, sprawy finansowe zostały ostatecznie omówione, łan wpadnie w furję, kiedy powiem mu, że zmieniłem decyzję.

- Nie rób tego.

- Muszę, Sally. Słyszałaś Clive'a i wiesz, że prawo jest po jego stronie. Przynajmniej tyle mogę... możemy zrobić ze względu na pamięć o Oliverze.

Mój Boże, całe moje obecne życie to gra, pomyślała. Udaję, że jestem zdrowa, że mam dobry humor i energię, udaję nawet radość, jaka powinna towarzyszyć miłosnemu aktowi. Bo leżąc w ramionach Dana, widzę przed sobą twarz tego człowieka i słowa, które wypowiada: „Zrób to, a oskarżę Dana o molestowanie seksualne jego własnej córki...”.

- Masz tu kopie materiałów, które nadeszły dziś rano ze Szwecji - oznajmił łan, wchodząc do gabinetu Dana. - Przejrzyj je przed spotkaniem i zastanów się, co chciałbyś w nich ewentualnie zmienić.

Przez cały weekend Dan z niechęcią myślał o czekającej go rozmowie z kuzynem, doskonale zdawał sobie jednak sprawę, że nie zdoła jej uniknąć.

Mam zamiar zmienić wszystko, łanie - powiedział te-taz. - Chodzi o to, że zmieniłem zdanie.

Co takiego?

Doszedłem do wniosku, że jednak nie mogę poprzeć

utworzenia konsorcjum. Wróciłem do swojego pierwotnego stanowiska. Nie chcę sprzedaży lasu.

Łan rzucił papiery na biurko, rozsiewając wokół ołówki długopisy i spinacze.

- Cholera jasna! - krzyknął. - Masz czelność mówić mi o tym teraz? „Rób, co uważasz za słuszne. Zostawiam sprawę w twoich rękach”. Czy to nie twoje słowa, Dan?

- Moje i bardzo nie podoba mi się, że muszę się z nich wycofać. Nie jest to dla mnie łatwe, łanie. Clive przedstawił jednak wszystko w taki sposób... Nic na to nie poradzę. Rozmawiał ze mną o waszym ojcu i o tym, jakie znaczenie miały dla niego lasy Greyów, i przekonał mnie. Jego rozpacz poruszyłaby każdego.

- Oczywiście - niecierpliwie przytaknął Łan. - Widziałem go przecież. On umiera, Dan. Umrze, zanim przystąpimy do realizacji umowy.

- Nie zgadzam się z tobą. Póki życia, póty nadziei. I nie mów, że to wytarty slogan.

- No, właśnie, oto nasz nieugięty optymista. Zaczynaj liczyć się z rzeczywistością. Clive umrze, ma to wypisane na twarzy a my mówimy o dwudziestu ośmiu milionach dolarów!

- Ja ich nie potrzebuję, i ty także nie. Zupełnie nieźle nam się powodzi. Szkoda, że nie potrafię cię o tym przekonać

Łan jęknął głośno.

- Znowu to samo! Słuchaj, zaczynam tracić cierpliwość. Przestań wreszcie gadać bzdury i przystąpmy do rzeczy. Musisz raz jeszcze dać mi słowo, że nie będziesz robił trudności i me wyskoczysz z niczym w czasie spotkania, które odbędzie się w przyszłym miesiącu.

- Nie mogę dać ci słowa. Chodzi o zasady. Bardzo żałuję że me trzymałem się swojego stanowiska. Rezygnując z niej' popełniłem ogromny błąd. Nie wiem, co mam jeszcze zrobić, abyś uwierzył, że nie zmienię zdania.

Obaj mężczyźni wpatrywali się w siebie bez słowa. Po chwili Łan podszedł do okna i wbił wzrok w przestrzeń z namysłem pocierając podbródek.

- A gdybym powiedział ci coś, co zmusiłoby cię do zmiany zdania? - zapytał, nie odwracając się do Dana.

Czy ta rozmowa miała ciągnąć się cały dzień? Dan był już zmęczony.

- Nikt nie może mnie do niczego zmusić - oświadczył krótko. - Znasz mnie dość długo, aby wiedzieć, że mówię prawdę.

- W porządku, nie chodzi mi o bezpośredni przymus. Ale ponieważ ja zrobiłem coś dla ciebie, może ty powinienes teraz zrobić coś dla mnie.

- A co takiego dla mnie zrobiłeś? - zapytał Dan.

- Posłuchaj - powiedział powoli Ian. - Co byś zrobił, gdybyś dowiedział się, że to twoja żona zabiła mojego ojca?

- Co powiedziałaś?

- Że to Sally zamordowała Olivera.

Niebo za oknem, naprzeciwko którego siedział Dan, miało jaskrawy odcień błękitu. Było kobaltowe, bez jednej chmurki i jego promienna jasność raziła go w oczy.

W głosie Iana nie było ani gniewu, ani rozpacz. Brzmiał zupełnie płasko, neutralnie, zupełnie jakby Ian powiadomił właśnie kuzyna, że po południu zaczną padać.

- Mówię, że to Sally zastrzeliła Olivera. Tamtej nocy, kiedy skręciłem do Red Hill, minąłem jej samochód.

Dan zerwał się z miejsca i jednym skokiem znalazł się obok Iana. Jego pięści były zaciśnięte i twarde, jedynym jego pragnieniem było wymierzyć cios w nienawistną twarz, zniszczyć ją, okaleczyć. Dan oszalał, Ian uchwycił jego ręce, zanim zdążyły go dosięgnąć, i obaj zwarli się na środku pokoju, zataczając się i dysząc ciężko. Krzesło upadło z trzaskiem na podłogę, Ian i Dan zaplątali się w kabel telefoniczny i ciężko uderzyli o biurko, którego kant boleśnie zranił kolano Iana i rozciął twarz Dana. Zmagali się dalej na podłodze, wydając nieartykułowane dźwięki.

Niespodziewanie Dan stracił wolę walki. Wstał i bezsilnie opadł na krzesło za biurkiem.

- Jesteś złym człowiekiem - przemówił, z trudem łapiąc oddech. - Zawsze wiedziałem, że za bardzo kochasz pieniądze i kobiety. Nigdy nikomu o tym nie mówiłem, bo to przecież Iwoja sprawa. Nie przyszłoby mi jednak do głowy, że jest w tobie tyle zła, że stać cię na takie brudne kłamstwo.

Ian nalał sobie szklankę wody z karafki, wypił ją i drżącymi rękami poprawił krawat.

- Jedź do domu i zapytaj ją - powiedział cicho. - Sally

potwierdzi moje słowa. Nie umie kłamać, a przynajmniej tak mi się wydaje.

Dan ukrył twarz w dłoniach. Jego ciałem wstrząsnął suchy szloch.

- Nigdy nie przypuszczałem... Czy jesteś aż tak podły, aby wymyślić taką historię? Nigdy nie przypuszczałem... Byliśmy przecież jak bracia... Bliżsi sobie niż niejedni bracia...

Łan położył rękę na ramieniu Dana. On także był bliski łez.

- Słuchaj, jak mógłbym wymyślić coś takiego, i to po to, aby cię zranić? Jak mogłeś tak pomyśleć, Dan? Przy tej drodze są tylko trzy domy. Żadna z mieszkających tam rodzin nie ma takiego dżipa, przez szybę widziałem zresztą jej twarz i tę futrzaną czapkę, którą nosi. Jechałem na długich światłach, więc widziałem ją dokładnie. Klnę się na Boga, że ją widziałem. Proszę, nie bój się, nikt nigdy się o tym nie dowie. Minęło już tyle dni, prawie dwa miesiące, i nikomu nie powiedziałem. Wróc do domu i zapytaj ją. Powie ci prawdę.

Moja Sally, moja żona!, myślał Dan. I to Łan mówi mi, że ona nie kłamie! Sally, która dotąd była dla mnie jak otwarta księga!

Z wysiłkiem podniósł się z krzesła.

- Jadę do domu - powiedział, zdejmując palto z wieszaka. W progu odwrócił się do łana. - Dałbym wiele, żeby więcej cię już nie zobaczyć.

Wszedł do sypialni i zamknął za sobą drzwi na klucz, aby nikt im nie przeszkadzał. Sally czytała książkę na kanapie.

- Co masz na twarzy?! - krzyknęła, podnosząc wzrok.

- Zasnęta krew. Mój kuzyn Łan i ja mieliśmy ostrą wymianę zdań.

- Biliście się? Dlaczego?

- Powiem ci, dlaczego, nie mam chyba innego wyjścia. - Dan nadal drżał na całym ciele. - Śmiał powiedzieć, że... że to ty zabiłaś Olivera.

Stało się, nie musiała już mu o tym mówić. No, cóż, czy nie powtarzała sobie, że zawsze może zdarzyć się coś niepo-dziewanego? Było jej słabo, ale zdołała się opanować.

- Dlaczego tak uważa?

- Mówi, że rozpoznał twój samochód, no i ciebie, na drodze prowadzącej z Red Hill.

Nie spodziewała się, że jej tajemnicę odkryje ktoś z najbliższego, dosłownie najbliższego otoczenia. „Nigdy mc me wiadomo”, jak mawiała Happy. Sally położyła głowę na oparciu i zamknęła oczy.

- Tak, Dan, to prawda.

Zapadła długa, długa cisza. Kiedy podniosła powieki, Dan nadal stał przy drzwiach. Nie zdjął palta, a jego oczy i twarz miały ten sam wyraz, jaki Sally widywała na ekranie telewizora u ludzi z Bośni i innych przeklętych miejsc na tej krwawej kuli ziemskiej, u rodziców, którzy trzymają w ramionach martwe dziecko. Potem Dan podszedł do niej, osunął się na kolana i otoczył ją ramionami.

- Mój Boże... Och, moja najdroższa...

Zacząła mówić, lecz nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jej głos dociera do niej z bardzo daleka.

- Tego dnia, kiedy przyjechała Amanda i powiedziała mi o tym, w co nie chciałeś uwierzyć, ale teraz będziesz musiał... - zaczęła.

Wydawało jej się, że mówi od wielu godzin.

- Gdybyś widział wtedy jej twarz, nie miałbyś żadnych wątpliwości - powiedziała na koniec. - Wierz mi, Dan. A gdybyś jeszcze słyszał Tinę, a przede wszystkim widział ją, kiedy pokazywała mi, co jej zrobił...

Gdy podniósł głowę, przez chwilę myślała, że ma przed sobą obcego człowieka. W ciągu trzech minut - może pięciu, a może całego wieku - postarzał się o kilkanaście lat. Nie patrzył na Sally ani na żaden przedmiot w pokoju; wpatrywał się w czarną, niewyobrażalnie głęboką otchłań, w której nie istniały takie pojęcia jak wiara i zaufanie. Ach, jak dobrze wiedziała, co czuje!

- To prawda, Dan, niezaprzeczalna prawda. Tina sama mi o tym powiedziała. Niczego jej nie sugerowałam, nie podsuwałam jej żadnych pomysłów. Słuchałam tylko jej słów i obserwowałam jej gesty, które powiedziały mi wszystko. Opisy jej i Amandy są identyczne, chociaż jedna miała dwanaście lat, a druga pięć.

- Pięć lat! - Dan podniósł się z podłogi.

Podszedł do komody, na której stała ich ślubna fotografia.

W mniej więcej dwudziestoosobowej grupie, skupionej wokół państwa młodych, stały druhny Sally i najbliżsi przyjaciele Dana, kuzyni i rodzeństwo obojga (z wyjątkiem Amandy), tuż za nimi zaś widać było twarze rodziców Sally i Olivera. Zawsze chętnie wymieniali żarty na temat swego iście królewskiego ślubu.

- Brakuje tu tylko takiego balkonu, jak w pałacu Buckingham - mówili, pokpiwając ze zdjęcia, które mimo wszystko bardzo lubili.

- Jak to możliwe?! - zawołał teraz Dan. - Jak to możliwe? Sally wiedziała, że wpatruje się w szlachetną, przystojną

twarz Olivera. Kiedy odwrócił się, zobaczyła łzy na jego policzkach.

- Jak to możliwe? Pięcioletnia dziewczynka...

- Tak - powiedziała Sally. - To ta sama historia. Srebrna karuzela - które dziecko nie pragnęłoby jej mieć na własność? Przekupstwo, groźby... Nadal stosował te same metody.

- I niczemu nie zaprzeczył?

- Próbował, lecz wiedział, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Dlatego raz jeszcze sięgnął po groźby - miał zamiar zrzucić winę na ciebie.

- Powiedzieć, że... Że to ja skrzywdziłem Tinę?

- Tak. Właśnie wtedy zaczęłam zrzucać wszystko na ziemię. Zrzuciłam też ten pistolet czy rewolwer, sama nie wiem. Był naładowany.

Nie mogła znieść widoku jego twarzy. Nigdy nie płakał w jej obecności. Podbiegła i objęła go mocno. Co stanie się z nim i naszymi dziećmi, kiedy mnie zabiorą?, myślała z rozpaczą. Bo teraz na pewno mnie aresztują, przecież łąn wie o wszystkim. Jeżeli nie jutro, to w przyszłym tygodniu, może w przyszłym miesiącu.

- Doktor Lisie twierdzi, że z Tiną wszystko będzie w porządku - szepnęła, czując jego łzy na swoich policzkach. - Musisz tylko dopilnować, żeby nadal do niej chodziła. Te wizyty bardzo jej pomagają. Happy na pewno pomoże ci przy dzieciach. No i moja mama będzie do was przyjeżdżać...

Wypuścił ją z ramion.

- Co ty mówisz? - zapytał z przerażeniem. - Nie dam ci nigdzie pójść! O czym ty mówisz?

- Kochany, przecież wiesz, co się ze mną stanie. Na miłość boską, zabiłam człowieka!

- Nic ci się nie stanie. Nie dopuszczę do tego.

- To nie zależy od ciebie. Jeżeli wie Ian, wkrótce dowiedzą się inni.

- Ian nikomu nie powie. Upłynęły już dwa miesiące. Gdyby chciał to zrobić, nie czekałby tak długo.

Nie wierzyła w dobre intencje Iana i miała poważne wątpliwości, czy Dan w nie wierzy. Więzienny budynek z szarego kamienia był teraz znacznie bliżej...

- Milczałaś tak długo... Dlaczego... Nie wiem, jak z tym żyłaś. Jesteś ze stali.

- Co robisz? - zapytała, patrząc, jak Dan rozpina jej sweter.

- Rozbieram cię. Położę cię do łóżka. Spójrz na siebie, zebra ci wystają. Trzęsiesz się z zimna, jesteś chora, a jednak nic mi nie powiedziałaś, nie poprosiłaś o pomoc.

Dan gorączkowo krzątał się po pokoju. Zaciągał zasłony, rozkładał pościel.

- Zaraz przyniosę ci coś do jedzenia. Połóż się i odpoczywaj.

- Nie jestem głodna. W ogóle nie chce mi się jeść.

- Musisz jeść. Otworzę puszkę zupy, zjesz ją z kanapką. I filiżanka herbaty, tak, koniecznie. Jesteś całkiem przemarznięta, to wszystko ze zdenerwowania. Powiem Niani, żeby położyła dziewczynki spać i nie zawracała ci głowy.

Szalał z niepokoju.

- Do niczego się nie przyznasz - zaprotestował później, kiedy leżeli już w łóżku.

- Nie pozwolę ci.

- Wiesz, że będę musiała, wcześniej czy później. Poczuję się lepiej, kiedy dobrowolnie przyznam się do winy.

- Nie!

- Dan, proszę cię... Twoje zdenerwowanie wcale mi nie pomaga.

- Dobrze, wyjaśnię ci to na spokojnie. Pomyśl o Time. Oboje jesteśmy zgodni co do tego, że jeśli wystąpi w procesie jako ofiara, jej życie stanie się bardzo trudne. Tu będzie dorastać, więc w imię czego każdy dzieciak w szkole ma wiedzieć, co ją spotkało? Gdyby on... Nie mogę nawet wymówić jego imienia... Gdyby żył, sytuacja byłaby zupełnie inna. Postawilibyśmy go przed sądem i nic by nas przed tym

nie powstrzymało. Teraz mogę tylko pójść na cmentarz i przekląć go. - Dan jęknął. - Dla Tiny najlepiej będzie, jeżeli nikt się o tym nie dowie. Zgodziliśmy się, że musimy się tego trzymać.

- Nie muszę nic o niej mówić. Powiem tylko, że poszłam porozmawiać z nim o Amandzie, doprowadzić do zgody między nimi, a pistolet wypalił przypadkiem...

Dan nie mógł powstrzymać kolejnego jęku.

- W taką pogodę, po ciemku, sama, uznałaś, że koniecznie musisz pomówić z nim o Amandzie? Nie mogłaś poczekać do rana? Nie sądzisz chyba, że ktokolwiek przy zdrowych zmysłach uwierzy w tę historyjkę?

- Mogą wierzyć albo nie, wszystko mi jedno: Nie mogę z tym dłużej żyć, to za duży ciężar. Ciągłe wydaje mi się, że ludzie wytykają mnie palcami. „Ta kobieta zabiła człowieka”. Czuję się jak napiętnowana.

Dan delikatnie głaskał jej czoło.

- To wszystko podpowiada ci twoje sumienie, twoje uparte, zdrowe sumienie. Zapytaj je jednak, co będzie z Tiną i Su-sanną, jeżeli się przyznasz.

- Wystarczy już - szepnęła, zbyt zmęczona, aby spierać się dalej. - Porozmawiamy jutro. Może teraz uda mi się zasnąć...

- To dobrze. Obiecuj mi tylko, że wszystko pozostanie między nami, że nie zrobisz niczego beze mnie.

- Obiecuję.

- Gdybyś nie obiecała, nie opuściłbym domu nawet na chwilę. Nie poszedłbym do pracy, żeby nie spuszczać cię z oka.

- Obiecuję - powtórzyła. - Teraz pozwól mi zasnąć.

- Uderzyłem cię, lanie, a teraz muszę cię za to przeprosić, ponieważ miałaś rację - powiedział Dan. - To była Sally.

Kołnierzyk koszuli zrobił się nagle za ciasny, więc szarpnął za guzik i zerwał krawat, łan wstał i podniósł go z podłogi. Potem podszedł do barku, nalał brandy do kieliszka i podał go Danowi.

- Napij się. Jesteś błąd jak ściana.

- Nie spałem. Ale ona zasnęła, po raz pierwszy od wielu

tygodni. Nie wiem, jak mogłem nie zauważyć jej cierpienia. Tak bardzo ją kocham.

I Dan odwrócił się, aby ukryć łzy.

- Siadaj. Spokojnie.

- Ma zamiar przyznać się dobrowolnie. Chce to zrobić. Powiedziałem, że jej nie pozwolę, ale ona się upiera. Mówi, że sumienie nie daje jej spokoju. Przecież to był wypadek!

- Spokojnie, spokojnie, napij się jeszcze. Teraz powiedz mi, co tak naprawdę się stało.

- Każdemu może zdarzyć się coś takiego, prawda?

- Jak to się stało?

- Pojechała do niego porozmawiać o sprawach rodzinnych. Chciała pogodzić go z Amandą. Oliver czyścił broń, pistolet, ona dotknęła go przypadkiem i wypalił...

- To nieprawda - powiedział łan.

- To prawda.

- Nie. Ale przecież cię nie zmuszę, żebyś mi zaufał. Policzki Dana drgnęły nerwowo. Miał wrażenie, że każdy

mięsień jego ciała napięty jest do ostateczności. Tylko mózg nie chciał działać. Dwaj mężczyźni, którzy poprzedniego dnia walczyli ze sobą, teraz wpatrywali się w siebie bez słowa.

- Sally nie jest psychicznie chora, więc musiała mieć jakiś powód - odezwał się łan. - Co to było?

- Nie mogę ci powiedzieć.

Uzgodnili przecież, że będą osłaniać Tinę, że nie zdradzą nikomu, przez co przeszło ich dziecko. Nagle Dan ujrzał przed sobą swoją małą córeczkę, z czerwonymi wstążkami w czarnych warkoczykach, ze źle włożonymi majteczkami pod spódniczką... Wykorzystaną, udręczoną Tinę...

- Szkoda, że nie mogę go wskrzesić, bo wtedy rozerwałbym go tymi rękami! - krzyknął z wściekłością. - Własnymi rękami, łanie!

łan pochylił się do przodu, spięty jak gotowe do skoku zwierzę.

- Ponieważ mówisz w ten sposób o moim ojcu, mam prawo wiedzieć, dlaczego. Powiedz mi.

Dan opowiedział mu całą historię. Był dobrym mówcą i zwykle wystrzegał się wahań, niepotrzebnych przerw i niedokładności, lecz tym razem z największym trudem doznał do końca. Miał wrażenie, jakby ściany gabinetu spoglądały

na niego z niedowierzaniem, przyzwyczajone do nieskomplikowanych rozmów o załadunku towarów, o taryfach, cłach, płatkach zbożowych i kawie.

Gdy skończył, w pokoju zapanowało długie milczenie, Ian odchrząknął nerwowo, Dan zaś, starannie omijając wzrokiem twarz kuzyna, wbił oczy w podłogę i lśniące czubki czarnych butów Iana. Nie zdziwiłby się, gdyby Ian, syn człowieka, o którym przed chwilą mówił, zerwał się z krzesła i wykrzyczał mu w twarz, że jest kłamcą. Szczerze mówiąc, nawet się tego spodziewał.

- Nie wiem, co powiedzieć - odezwał się Ian. Dan podniósł głowę.

- Ja także - odrzekł.

Znowu zapadła cisza, Ian wstał i podszedł do barku.

- Nigdy nie piję rano. Prawdę mówiąc, w ogóle nie piję, ale teraz muszę.

Dan patrzył na niego, myśląc, że to milczenie jest sztuczne.

- Nie oskarżasz mnie o kłamstwo - powiedział w końcu. - Przyjmujesz po prostu moje słowa do wiadomości. A może się mylę?

- Chciałbym powiedzieć, że ci nie wierzę. Że to jakieś szaleństwo, że jesteś szalony, ty albo Amanda. Kiedy miałem jej dosyć, sam setki razy mówiłem, że to wariacka, ale dobrze wiem, jak jest naprawdę. Sally zaś z pewnością nie jest histeryczką...

Ian otarł powoli czoło.

- Sally mówi, że Oliver w zasadzie niczemu nie zaprzeczył - spokojnie powiedział Dan. - Widać zrozumiał, że to koniec gry, ponieważ Amanda i Tina przedstawiły identyczny opis sytuacji.

- Tak, wszystko wydaje się oczywiste, prawda? A ja szybko kojarzę fakty.

Rzeczywiście, umysł Iana przypominał stalową pułapkę, która w mgnieniu oka chwyta wszystko, co do niej wpada.

- Dziecko, Amanda, lekarka, i jeszcze ta przekłeta karuzela. - Ian położył dłoń na ramieniu Dana. - Staram się to zrozumieć, ale nadal nie mieści mi się w głowie. Oczywiście ty odbierasz to inaczej, bo to twoja córeczka, lecz mimo wszystko...

Odszedł i zatrzymał się pośrodku pokoju, zwrócony plecami-

mi do Dana. Jego ramiona zadygotały nagle i Dan zdał sobie sprawę, że jego kuzyn płacze, Ian jest dumny, dumniejszy ode mnie, przebiegło mu przez głowę i właśnie ta myśl nappełniła go litością. Po chwili usłyszał, jak Ian mówi cicho, chyba sam do siebie.

- To choroba, obezwładniająca choroba... Nawet księża... Jak bardzo muszą nienawidzić samych siebie, jak bardzo sobą pogardzają...

Odwrócił się szybko.

- Nikt nie może się dowiedzieć! Niech przynajmniej jego imię pozostanie czyste. Zrobił dużo dobrego, nie możemy pozwolić, aby go publicznie oskarżano! Wiem, że nic cię to nie obchodzi, ale...

- To prawda, nie dbam o jego dobre imię. Powiedz mi jedno: dlaczego milczałeś, skoro przez cały czas wiedziałeś, że to Sally?

- Ponieważ on mnie o to poprosił.

- On?

- Tak. Konał, kiedy go znalazłem, krew płynęła mu z ust. Poznał mnie. Pochyliłem się nad nim, a on powiedział - ledwo wydobywał z siebie słowa, ale słyszałem go bardzo wyraźnie: „To niczyja wina, nikt nie jest winny. Rozumiesz?”. Powtórzył to jeszcze raz. Wtedy obiecałem, że postąpię zgodnie z jego życzeniem. Zaraz potem umarł.

- Boże... - odezwał się Dan. - Jesteś pewien, że dobrze usłyszałeś?

- Wyobrażasz sobie, że mógłbym zapomnieć tę scenę?

- Happy też go słyszała?

- Nie. Była w holu, telefonowała po pomoc.

- Więc dotrzymałeś obietnicy - powiedział Dan. - Ale wczoraj ją złamałeś.

Dlaczego?

Ian spojrzał mu prosto w oczy.

- Byłem wściekły, kiedy zmieniłeś zdanie w sprawie sprzedaży. Przyszło mi na myśl, że jeżeli powiem ci o Sally, z wdzięczności za moje milczenie zrobisz to, na czym mi zależy. Pomyślałem, że może docenisz moje zachowanie podczas śledztwa.

- Tak. - Dan uśmiechnął się gorzko. - Nie zrozumieliśmy się.

- Właśnie.

- Ale gdybym nie postąpił zgodnie z twoim życzeniem, przerwałbyś milczenie, tak?

- Nigdy! Przysięgam, że nie zrobiłbym tego. Co by mi przyszło z tego, że Sally poszłaby do więzienia? Zniszczenie życia waszych dzieci nie wskrzesiłoby przecież ojca. Nawet jeżeli nie był to wypadek.

- To był wypadek, lanie,

- W porządku, wierzę ci. Teraz wiem, że wiele osób uznałoby, iż w pełni zasłużył na śmierć.

Dan milczał. Czy Oliver zasłużył na śmierć? I znowu jego wyobraźnia podsunęła mu ten sam obraz: mała Tina z czarnymi warkoczykami i czerwonymi kokardami, pulchne nóżki w białych skarpetkach... Poczul, że oczy ma pełne łez, nie po raz pierwszy w ciągu ostatniej doby. On, który nie płakał od dnia pogrzebu swoich rodziców.

- Co by mi z tego przyszło? - zawołał Ian, wyrzucając w górę ramiona. - Jest już po wszystkim, nie da się naprawić zła. Ojciec został pogrzebany, a wraz z nim dobro i krzywdy, które wyrządził. Nie wskrzesimy go. Gdybym mógł, zapytałbym go, dlaczego? Na miłość boską, dlaczego? Ale nigdy nie poznam odpowiedzi. Na pewno zabraliście Tinę do kogoś, kto pomoże jej odzyskać równowagę.

- Tak, ale zatrzymaj to dla siebie. Nie chcemy, aby stała się ofiarą opinii publicznej.

- Nie musisz mi tego mówić, Dan. Uważasz, że mógłbym skrzywdzić twoje dziecko? Mam swoje wady, ale są granice, których nie przekroczę.

Dan był wyczerpany. Umysł i ciało, przyzwyczajone do codziennej rutyny i znanego otoczenia, nie chciały zaakceptować, że na rodzinę Greyów z Hawthorne spadła nagle bomba. Potrzeba na to było więcej czasu, dużo więcej niż dwadzieścia cztery godziny.

Rozejrzał się po gabinecie, gdzie trzy pokolenia Greyów wypełniały swoje obowiązki. Jego wzrok zatrzymał się na wazonie z żonkilami, stojącym na biurku lana. Kwiaty przypominały, że dni robią się coraz dłuższe, a szare niebo za oknem wkrótce znowu będzie błękitne. Wiosna. Co im przyniesie?

- Sally chce się przyznać - powiedział nagle.

- Dlaczego? To zupełnie bez sensu.

- Mówi, że nie może tak żyć.
- Pozwól mi z nią porozmawiać.
- To niedobry pomysł.
- Dan...
- Tak?
- Teraz to nieważne, ale... Musimy jednak dać tym ludziom jakąś odpowiedź.
- Chodzi ci o sprzedaż. - Dan był łak daleko myślami, że powrót do rzeczywistości kosztował go niemało wysiłku. -Dla mnie nie ma to znaczenia, tyle tylko, że obiecałem Cli-ve'owi...

Uniósł dłonie w neutralnym geście.

- To czysto akademicki problem - powiedział Ian. - Tak jak mówiłem, temu biedakowi pozostało niewiele czasu.

- Nie wiem... Ale jeżeli masz rację, to jest to odpowiedź na twoje pytanie, prawda?

- W porządku. Wobec tego poczekamy. Szwedzi przyjeżdżają dopiero za miesiąc.

- Nadal zależy ci na tych pieniądzach? - z ciekawością zapytał Dan.

- Dwadzieścia osiem milionów, bracie. Połowa pójdzie na konsorcjum, a drugą podzielimy między siebie i...

Dziwne, że człowiek może być jednocześnie tak wspaniałomyślny, otwarty i tak chciwy! Musi tym kierować jakiś gen, podobnie jak zdolnościami muzycznymi czy uczuleniem na skorupiaki.

- I nadal będziesz miał majątek, więcej, niż ci potrzeba -dokończył za Iana.

- Przykro mi o tym mówić, Dan, ale jeżeli Sally zrobi jakieś głupstwo, każdy grosz przyda ci się na adwokatów.

Dan z trudem przełknął ślinę. Miał wrażenie, że coś utkwilo mu w gardle i uniemożliwia normalne oddychanie.

- Nie nadaję się dzisiaj do pracy - powiedział. - Muszę wracać, chcę być przy niej.

- Jasne.

Wyciągnął dłoń, którą Ian uściskał z całej siły, i wyszedł, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w domu.

Rozdział dziewiętnasty

Marzec 1991

Sally chodziła po cichym, milczącym domu, a ogromny, cierpliwy nowofundland nie odstępował jej ani na krok. Miała zawieźć dzieci na przyjęcie urodzinowe, ale najzwyczajniej w świecie zabrakło jej siły, więc Niania zastąpiła ją w obowiązkach. Jak zwykle. Ostatnio Sally nie miała dość energii, aby podołać najprostszym czynnościom.

Przystawała przed każdym lustrem w bezsensownej nadziei, że następne ukaże jej mniej przerażający obraz. Nie chodziło o próżność, tego rodzaju sprawy należały do innego etapu życia, etapu, który już nie wróci. Chodziło o to, że Sally coraz bardziej się bała.

Właśnie tak albo jeszcze gorzej będzie wyglądała w więzieniu. Od tamtej grudniowej nocy straciła już dziesięć kilogramów i niewątpliwie straci jeszcze więcej. Studium w szarości i czerni, pomyślała. Szara skóra i czarne włosy, rozpostarte po obu stronach twarzy jak wachlarze. Włosy, które kiedyś przywiodły Danowi na myśl staroegipski portret.

Pamiętała każdą minutę tamtego dnia, od pierwszej wymiany spojrzeń w sklepie z karuzelą aż po wyprawę do kawiarni, gdzie siedzieli do późnego wieczoru, pijąc jedną filiżankę kawy za drugą. Pamiętała spokojny spacer pod drzewami o wezbranych pąkach, sławny widok z tarasu Jeu de Paume na Łuk Triumfalny, maleńkiego chłopczyka i pieska, siedzących zgodnie w spacerowym wózku i starą kobietę z wiklinowym koszem, pełnym bukietów fiołków.

Sally drżała z zimna, chociaż ubrana była w dwa swetry i grubą tweedową spódnicę. Wicher, który targał drzewami, wdierał się do domu każdą szczeliną w drewnie i ceglach.

A może tylko jej się tak wydawało, bo była taka chuda i zmarznięta...

W kuchni było trochę cieplej. Postawiła czajnik na płycie i usiadła, czekając, aż zagotuje się woda na herbatę. Kuchnie bywają zazwyczaj przytulne, ma się wrażenie, że tu, w samym sercu domu, nie może spotkać nikogo żadna krzywda. Czajnik śpiewał, żółte banany piętrzyły się w starej, niebieskiej misie, a pies smacznie spał pod stołem.

W domu, to znaczy w domu jej rodziców, zawsze były koty. Biała kotka, słusznie zwana Blanche, zagarnęła kuchenny parapet, na którym starannie myła się w słońcu, unosząc łapki o różowych poduszczkach. Po Blanche do domu wprowadziła się Cordelia, potem Emma, a wreszcie Mathilda. Sobotnie poranki pachniały naleśnikami i smażonym bekonem. W dzbanie stało zawsze coś zielonego - latem kwiaty, a zimą gałązki ostrokrzewu lub sosny.

Wszystkie takie rzeczy wrastają w człowieka, stają się jego częścią raz na zawsze. Można znaleźć się za grubymi kratami w szarej twierdzy-więzieniu, lecz domy i ludzie z dzieciństwa i okresu młodości nigdy nie znikną. Tak jak nigdy nie przestaną istnieć pierwsze radości Sally, jej miłość do Dana i dni narodzin jej dzieci.

Ogrzała dłonie, zaciskając je wokół kubka z gorącą herbatą, lecz chłód nie dał się wypłoszyć z jej żył. Był to chłód strachu. Nie bała się, co się z nią stanie, choć to też nie było bez znaczenia. Z największym przerażeniem myślała jednak o losie dzieci i Dana oraz swoich rodziców, którzy jak na razie żyli w przekonaniu, że jest szczęśliwa. Gdyby chodziło wyłącznie o jej cierpienie, potrafiłaby sobie z tym poradzić, tak jak Clive radzi sobie z rakiem, który wcześniej czy później go zabije.

Przed dom zajechał samochód. Sally wiedziała, że to Dan -wcześniej skończył pracę, aby odebrać Nianię i dziewczynki z przyjęcia. Pomyślała, że utrudnia mu pracę, być może nawet całkowicie ją uniemożliwia. Gdyby tylko mógł, przestałby jeździć do biura i całymi dniami przesiadywał w domu, nie spuszczać z niej oka. Tego ranka stanowczo zabronił jej wychodzić. Nie była pewna, czy to dlatego, że wyglądała na ciężko chorą, czy też może wyczuł w niej zmianę, szóstym

zmysłem odgadując, iż ostatecznie postanowiła przyznać do winy.

Spojrzała na zegar i przypadkiem zauważyła datę na kalendarzu. Pamiętna data - tego dnia, dokładnie rok temu, doktor Lisie powiedziała jej, że Tina była wykorzystywana seksualnie. Były to również urodziny potwora, który skrzywdził jej dziecko. I jak dzisiaj wiał wtedy ostry, marcowy wiatr... Wszyscy członkowie rodziny siedzieli w pokoju, okna były zasłonięte jedwabnymi zasłonami, i ktoś powiedział coś o karuzeli, identycznej jak ta, dzięki której Sally poznała Dana. Pamiętała wszystko.

Ale dzisiejszy dzień zasługiwał na zapamiętanie ze znacznie ważniejszego powodu: Tina zaczęła w końcu robić prawdziwe postępy. To prawda, że czekała ją jeszcze długa droga, ale wszystko wskazywało na to, że podąża we właściwym kierunku.

Rodzina Sally z rozmachem wpadła do kuchni. Niania już na progu uniosła kciuki, dając Sally do zrozumienia, że Tina zachowywała się wspaniale na przyjęciu. Obie dziewczynki odłożyły torebki z łupami, pełne batoników, plastikowych laleczek, piłeczek i marmoladek, pozwalając, aby Sally rozpięta ich odświeżone płaszczyki.

- Powiedziałam Jennifer, że moja siostra jest lepsza niż jej - oznajmiła Tina.

- Dlaczego tak uważasz? - zapytała Sally.

- Bo tak. Moja siostra jest większa i zna więcej słów. A jej siostra jest głupia.

- Głupia - powiedziała Susanna. - Głupia, głupia, głupia. Tina roześmiała się głośno.

- Widzisz?

Śmiech Tiny! Dźwięk na wagę złota. Czyste złoto, diamenty i perły. Dawno nie słyszany chichot, któremu zawsze towarzyszył lekko kpiący błysk oczu.

Sally objęła dziewczynki ramionami, tuląc je, ściskając, kołyszając i śmiejąc się razem z nimi. Dan patrzył na nie z wyrazem twarzy, na którego widok o mało nie pękło jej serce.

Prawie każdego wieczoru, niezależnie od tego, jak bardzo się starali, nieodmiennie wracali do tego samego tematu.

- Nie mogę nadziwić się, jak Amanda to wytrzymała - mówiła Sally. - Żyła z tym przez te wszystkie lata! I nikt

nie miał dość wycucia i wrażliwości, aby dostrzec jej cierpienie i spróbować poznać jego przyczynę.

- Sama powiedziałaś, że nie chciała się nikomu zwierzyć.

- Tak. „Wszystkiemu winna duma Greyów”, powiedziała.

- Duma... - mruknął Dan z goryczą. - Ta duma uczyniła z niej gniewną, zbuntowaną kobietę.

- Miała powód do gniewu. Nie masz żadnych wspomnień z okresu jej pobytu w Hawthorne, Dan?

- Pamiętam tylko szept służby, niejasne słowa, wypowiedane długo po jej wyjeździe. Wszyscy nazywali ją „trudną dziewczyną”. Nie zastanawiałem się nad tym. Słabo pamiętam dzień jej wyjazdu. Wszystko stało się lak nagle... Nikt mnie nie uprzedził, że Amanda nie będzie już mieszkała w Hawthorne, że mnie zostawi. Przypominam sobie, jak stała w holu na dole, z walizkami i małym pudelkiem w koszyku. Starłem się nie płakać - stryj Oliver powiedział mi, że chłopcy nie płaczą - ale oczywiście w końcu wybuchnąłem płaczem. Było mi ciężko. Najpierw zniknięcie taty i mamy, potem wyjazd Amandy. - Dan pokiwał głową. - Tak, było ciężko, lecz w końcu przyzwyczałem się do nowej sytuacji, jak to dziecko. Byłem szczęśliwy. Nie mam żadnych złych wspomnień z Hawthorne.

- I nie wydawało ci się to dziwne, że Amanda nigdy nie przyjechała do domu?

- Mamy bardzo miłych krewnych w Kalifornii, gdzie odwiedzałem ją każdego lata. Amanda nie chciała przyjeżdżać do Hawthorne, a stryj Oliver powiedział, że nie należy jej do niczego zmuszać.

Sally odkryła, że znajduje pewne pocieszenie, myśląc o Amandzie. Amanda przetrwała najgorsze, nie załamała się, chociaż nikt jej nie pomógł, więc Tina, otoczona miłością

i zrozumieniem, powinna poradzić sobie znacznie lepiej.

- Żałuję, że tak późno poznałam Amandę - powiedziała. - Musi być dzielną i pełną miłości kobietą. Pomyśl, jak wycofała się ze swoich roszczeń i przeprosiła, że kiedykolwiek je wysuwała.

Dan przytaknął.

- Kiedy tylko zrobi się cieplej, zaprosimy ją na dłuższy pobyt. Sprawি mi to dużo radości. Zaraz do niej zadzwonię...

Sally powstrzymała go ruchem ręki.

- Poczekaj, nie wiemy, co wydarzy się w ciągu najbliższego miesiąca.
- Jeżeli znowu wracasz do tego tematu, to nie chcę cię słuchać, Sally.
- Dan, musisz mnie wysłuchać - przyciszonym głosem powiedziała Sally. - Nie zniosę tego dłużej. Nie mogę.

Byli w swojej sypialni. Sally leżała na małej sofie w nogach łóżka, a Dan przyklęknął u jej stóp.

- To ty mnie wysłuchaj i powiedz mi, czy mam rację. Niepokoisz się z powodu lana, prawda?

- Nie. Ufam łanowi. Nie wyrządziłby krzywdy ani dzieciom, ani mnie. Moja decyzja nie ma z nim nic wspólnego.

- Sally, przecież to był wypadek! - z wyrzutem wykrzyknął Dan. - Niepotrzebnie się zadreczasz. Czy nie mogłabyś zamknąć tego w pamięci, jak w pudełku, i schować gdzieś głęboko?

- Nie mówiłbyś tak, gdybyś był prawnikiem.
- Więc cieszę się, że nim nie jestem.
- Ale wszyscy żyjemy w świecie, gdzie przestrzega się określonych praw.
- Nie rób mi wykładu, bardzo proszę.
- Może to rzeczywiście brzmi, jakbym cię pouczała, ale zrozum mnie - istnieje coś takiego jak sumienie, które męczy mnie dniem i nocą. Bez przerwy, Dan.
- Zasługiwał na śmierć.
- Wiem, ale nie z moich rąk.

Dan pochylił się i ucałował jej dłoń.

- Sally, zabijesz mnie i nasze dziewczynki - wymamrotał. - Błagam cię, nie rób tego. Co dobrego przyniesie nam twój proces i, nie daj Boże, wyrok skazujący cię na więzienie? Czego chcesz w ten sposób dowieść?

- Tylko tego, że nie możemy pozwolić, aby zbrodnia pozostawała bez kary.
- Na miłość boską, nie jesteś zbrodniarką! To był wypadek!
- Ciągłe wracamy do tego samego. Jestem już zmęczona, Dan.

Dan wstał i spojrzał na nią z rozpaczą.

- Wiem o tym. Wyglądasz na ciężko chorą. Zamierzam zabrać ciebie i dziewczynki, i Nianię, w jakieś ciepłe miejsce,

gdzie będziesz mogła leżeć w słońcu, odpoczywać i przybrać trochę na wadze.

- Powtarzasz to już któryś raz, mój kochany biedaku. Niestety, słońce nie rozwiąże tego problemu. Muszę przyznać się do wszystkiego, tak jak zrobiła to Amanda.

- To zupełnie co innego.

- Nie do końca. Chodzi o to, że takie sprawy narastają w tobie, aż zaczyna brakować miejsca i wtedy trzeba je z siebie wyrzucić.

- Rozmawialiśmy już o tym wiele razy i nie doszliśmy do żadnych wniosków. Pozwól, żebyś łan z tobą porozmawiał. W końcu to był... On był ojcem lana. Może jego posłuchasz.

- Kochany, sam mówisz, że mamy za sobą wiele takich rozmów. To bez sensu. Postanowiłam przyznać się do winy w poniedziałek.

Dan chwycił się za czoło.

- Mój Boże, zaraz oszaleję...

Przeszedł się po pokoju, zawrócił i spojrzał jej w oczy.

- Nie w poniedziałek. Najpierw musisz spotkać się z adwokatem. Tak każe zdrowy rozsądek, Sally. Wiem przypadkiem, że Larson wraca z urlopu w środę. Wtedy się z nim umówimy. Obiecujesz poczekać do środy?

Za nic nie chciała się rozplakać. Ogromnym wysiłkiem woli w ostatniej chwili powstrzymała łzy.

- Tak. ale nie pójdę do niego tylko po to, aby słuchać, jak odradza mi przyznanie się do winy.

- Dałbym wszystko, żeby mu się to udało - ponuro powiedział Dan.

Sally jednak doskonale wiedziała, że żaden szanujący się prawnik nie będzie starał się wpłynąć na jej decyzję. Adwokat może nią najwyżej pokierować, a potem Los poprowadzi ją tam, gdzie zechce.

Clive przebywał w szpitalu od wczesnego ranka, a teraz kończyło się już popołudnie. Siedział, przeglądając czasopisma, w małym przedpokoju obok gabinetu lekarza. Pomieszczenie to stanowiło, jak przypuszczał, prywatną poczekalnię dla uprzywilejowanych pacjentów. Kręgosłup bolał go tak bardzo, że mimo częstych zmian pozycji z trudem wytrzy-

mywał. Kiedy w końcu wstał, okazało się, że wcale nie przyniosło mu to ulgi. Ból rozszerzał się na uda, z każdym dniem był coraz silniejszy. Nasilał się od... Od ilu dni? Dziesięciu? Jedenastu? Clive stracił już rachubę. Ból odbierał mu zdolność trzeźwego myślenia.

- Doktor Day czeka na pana - powiedział ktoś głośno. Clive wszedł do gabinetu. Lekarz siedział za biurkiem,

przeglądając plik dokumentów. Kiedy podniósł wzrok, Clive odczytał wszystko z jego twarzy. Lekarze byli tacy przejrzyści, niczego nie potrafili ukryć. Czasem patrzyli na pacjenta z radosnym błyskiem w oku, który mówił: „Dobre wyniki!”, kiedy indziej mierzyli chorego niepewnym spojrzeniem, które równało się stwierdzeniu: „Mam złe wiadomości i nie bardzo wiem, jak je przekazać”.

- Nic dobrego, prawda? - zapytał Clive.

- Zawsze istnieje... - zaczął lekarz, ale Clive uniósł dłoń.

- Przepraszam, że jestem dziś taki nieuprzejmy, ale źle się czuję, są urodziny mojego nieżyjącego ojca, i wiem, że umieram - powiedział szybko. - Proszę się nie wahać. Jestem gotowy.

Doktor rozłożył ręce i wzruszył lekko ramionami, jakby nie chciał przyznać się do porażki.

- Bardzo mi przykro, Clive. Do diabła, to takie trudne... W porządku, a więc tak: tu mam wyniki prześwietleń, badań szpiku kostnego i krwi. Przerzuty są wszędzie. Kości, nerki, wątroba - wszystko zaatakowane.

- Rozumiem.

- Zrobiliśmy, co w ludzkiej mocy. Cholera jasna, po resekcji płuca wszystko wskazywało, że będzie dobrze. Przez całą zimę świetnie sobie radziłeś, a teraz to... - Lekarz znowu wzruszył ramionami. - Rak jest jak pożar, którego nie można ugasić.

Clive patrzył na niego bez lęku.

- Jak długo?

Dopiero teraz zwrócił uwagę na głośne tykanie stojącego na biurku zegara. Głośne, coraz głośniejsze... Tyk, tyk. Tyk tyk...

- Możesz umrzeć w każdej chwili.

Clive z wysiłkiem wstał z krzesła i zdobył się na kilka uprzejmych słów.

- Dziękuję za wszystko. Naprawdę, zrobiłeś wszystko, co w ludzkiej mocy.
- Dokąd jedziesz, Clive?
- Do domu. A gdzieżby indziej? Chcę być w domu.
- Jak się tam dostaniesz?
- Żona mnie zawiezie. Od rana czeka w holu na dole. Lekarz próbował coś powiedzieć, ale zabrakło mu słów.

Zerwał się z miejsca i otworzył drzwi, potem potrząsnął dłonią Clive'a i pokręcił głową.

- Czeka cały dzień? Co za cierpliwa żona! Może chcesz, żebym zszedł z tobą i zamienił z nią kilka słów, może mógłbym...

- Nie, nie. Nie trzeba, ale oczywiście bardzo dziękuję. Potem Clive włożył płaszcz i mimo bólu szybko zbiegł po schodach.

Kiedy już krótko powiedział Roxanne, czego dowiedział się od lekarza, kiedy wysłuchał, jak z przerażeniem wciąga powietrze i pospiesznie mówi: „Och, ale lekarze często się mylą, moją ciotkę dziewięć lat temu ostrzegli, że zostało jej tylko pół roku życia, a tymczasem ona wciąż żyje”, spokojnym tonem poprosił, by była cicho.

- Masz dobre intencje, ale to wszystko bzdury i dobrze o tym wiesz - powiedział.

- Kiedy... Czy powiedział ci, kiedy...

- W każdej chwili.

Czuł, że Roxanne modli się, aby nie stało się to teraz, w samochodzie, ani w ogóle w jej obecności. Nie mógł jej za to winić. Na jej miejscu też by się tego bał.

W tej chwili chciał wrócić do domu i zażyć coś na ból, ale jednocześnie jakaś część jego osobowości pragnęła, by podróż trwała jak najdłużej, bo przecież mogła okazać się jego ostatnią. „Nigdy” - co za niezwykle słowo, kiedy zastosuje się je do siebie. Clive chłonał widok nieba, pokrytego ciężkimi, zimowymi chmurami, słuchał wiatru, który bezlitośnie szarpał drzewami, i uważnie przyglądał się martwemu jeleniowi, leżącemu na poboczu drogi. Ostra zima była przyczyną wielu takich śmierci, ale już za sześćdziesiąt dni nadejdzie maj, a z nim dobre chwile, młode listki i radosny

śpiew ptaków. W maju klacz Clive'a, czując wiosnę, sama poderwie się do galopu.

- Wiem, że nie masz ochoty na rozmowę, ale może miałbyś ochotę na coś specjalnego do jedzenia... Mogłabym wstąpić na chwilę do sklepu, zajmie to tylko parę sekund.

Sięgnęła po jego dłoń i przytrzymała ją przez chwilę, a kiedy podniósł głowę, zauważył łzy na jej rzesach.

- Dziękuję ci - powiedział ze wzruszeniem. - Wracajmy do domu.

Była dla niego bardzo dobra. Nigdy w życiu nikt nie opiekował się nim tak czule i troskliwie. Bezszelestnie poruszała się po domu, podawała mu napoje i jedzenie, zdejmowała książki z półek i odkładała je na miejsce, włączała muzykę i porządkowała płyty. Kiedy niczego nie potrzebował, cicho odchodziła do pokoju, w którym teraz mieszkała, i zostawiała go samego.

Któregoś dnia zapytała, czy chce usłyszeć całą historię jej znajomości z Ianem, ale odmówił. Nie chciał dodawać barw obrazom, które były i tak bardzo żywe i upokarzające. Nie miało to już żadnego znaczenia. Pomyślał ze zdumieniem, że zbliżająca się śmierć rzeczywiście „wspaniale mobilizuje umysł”.

Wkrótce byli w domu. Światło paliło się tylko w kuchni, gdzie czekał na nich stęskniony Angel. Psiak niecierpliwie drapał buty Roxanne, domagając się, aby wzięła go na ręce.

- Usiądź w fotelu w gabinecie - poradziła Roxanne. - Tam będzie wygodniej niż tu, przy stole. Obiad podam ci na tacy.

Powoli przejmowała kontrolę, co było zupełnie naturalne w obliczu nadchodzącej śmierci. Usłuchał jej. Zastanawiając się nad kierującymi nią emocjami, doszedł do wniosku, że stanowią one mieszankę głębokiego lęku i szczerego współczucia. Wobrazil sobie nagle, jak po jego pogrzebie stoi wieczorem w holu, wspominając dzień, kiedy wprowadziła się do domu, biorąc go w posiadanie.

Postawiła tacę na stoliku przy fotelu i gdy się odwróciła, aby wrócić do kuchni, gdzie samotnie jadła teraz posiłki, poprosił, by zjadła razem z nim.

- Czas, żebyśmy porozmawiali - powiedział.

- Codziennie chciałam z tobą porozmawiać. Muszę ci wszystko opowiedzieć.
- Nie chcę słuchać wszystkiego. Nie chcę detali.
- W porządku, bez detali. Musisz wiedzieć jedno: uważam, że to, co się stało, było okropne, ale ty, właśnie ty powinieneś zrozumieć, jak to jest, kiedy się w kimś zadurzysz...

Przerwał jej. „Właśnie ty powinieneś zrozumieć...”. Jak mogła jednak mówić o zadurzeniu, kiedy to, czego doświadczył, było tak niewypowiedziane wspaniałe. Cóż mogła o tym wiedzieć? Nigdy nie czuła jak on, nie była do tego zdolna.

A może jednak była? Może po prostu brakowało jej słów, aby wyrazić swoje uczucia? Tak czy inaczej, teraz musieli zająć się sprawami praktycznymi.

- Nie o to mi chodziło - powiedział. - Chciałem tylko wiedzieć, co zamierzasz zrobić po mojej śmierci?

- Wyjadę. Na pewno tutaj nie zostanę.

- Wyjedziesz? Z lanem?

- Nie! Tamto już skończone, musisz mi uwierzyć.

- Rozumiem. A co z dzieckiem?

- Nie wiem. Nie rozmawialiśmy o tym.

Siedziała pochylona, jej profil wyraźnie rysował się na tle światła. Najprawdziwszy grecki profil, pomyślał. Klasyczna głowa...

- Nie bierz od niego żadnych pieniędzy - powiedział z naciskiem. - Zostawiłem ci dosyć. W oczach świata dziecko jest moje. Nie karz go skandalem jeszcze przed urodzeniem

i proszę, nie rań Happy.

- Och, nie, nigdy bym tego nie zrobiła. Zachowała się wobec mnie jak przyjaciółka. Jest staroświecka, inna niż ja. Gdyby coś takiego zdarzyło się mnie, wyciągnęłabym z tego drania wszystko, co się da, i wyrzuciłabym go z domu. Ale ona... Ją by to zupełnie złamało, a ja nic bym z tego nie miała, prawda? Mówiłam o tym kiedyś Michelle. Rozmawiałyśmy o lanie i o mnie...

- Nic nie mów. Wystarczy mi, że ci wierzę.

- Wierz mi. Pojadę chyba na Florydę i zamieszkać z Michelle. To znaczy, jeżeli...

- Jeżeli będziesz miała pieniądze na jej szkołę? Będziesz je miała. Dlaczego miałbym karać Michelle? To miła dziewcz-

czyzna. Świetnie sobie radzi, więc zadbaj, aby skończyła szkołę i znalazła dla siebie jakieś miejsce w życiu. Roxanne się rozplakała.

- Nie wiem, nie mam pojęcia, co myśleć! Jesteś taki dobry! Nie przypuszczałam, że na świecie są tacy ludzie jak ty. Tak mi żal, że nie mogę ci pomóc! Zrobiłabym wszystko! Pojechałabym do Chin, do Afryki, gdziekolwiek...

- Możesz coś dla mnie zrobić. Zadzwoń do Dana i Sally oraz do Happy i lana.

- Do lana?

- Tak, tak, do lana. Chcę, żeby wszyscy stawili się tu jutro o dziesiątej rano, to bardzo ważne. Muszą przyjechać. Potem zadzwoń do mojego adwokata, Timothy Larsona i powiedz mu, że będę jutro potrzebował jego pomocy. Numer znajdziesz w moim notesie.

Lek zaczynał już działać. Ból zmaleł, był teraz do zniesienia. Clive rozejrzał się po pokoju, ogarniając wzrokiem przytłumione czerwienie i błękity starych dywanów, książki, obrazy i fotografię swojej klaczy, która na pewno by go już nie poznała. Miał nadzieję, że znajdzie dobrych nowych właścicieli, może zresztą Dan i Sally zdecydują się zatrzymać ją do czasu, kiedy Tina będzie wystarczająco duża, aby na niej jeździć.

- Pana Larsona nie ma, wróci dopiero w środę - zawołała Roxanne.

- Więc niech przyślą jego współpracownika, wszystko mi jedno, kogo.

Gdy wróciła, natychmiast zauważył niepokój w jej twarzy.

- Wyglądasz na przerażoną, moja biedna - powiedział łagodnie. - Nie masz się czego obawiać, uwierz mi.

- Skoro tak mówisz... Chciałabym jednak wiedzieć, o co chodzi...

- Wkrótce się dowiesz.

Usiedli półkolem, zwrócenii twarzami do Clive'a. Sytuacja ta miała w sobie spory potencjał dramaturgiczny, ponieważ to on przewodniczył spotkaniu i kontrolował jego przebieg, podczas gdy oni czekali na jego instrukcje. Całkowity spokój zachowywała tylko Happy i pan Jardiner, adwokat.

Ian bawił się złotym scyzorykiem; siedział obok Happy, natomiast Roxanne zajęła miejsce na końcu półkola. Może rzeczywiście wszystko było już między nimi skończone? Roxanne tak powiedziała, a Clive bardzo chciał jej wierzyć. Wyglądało na to, że mówiła prawdę, ponieważ obydwójce starannie omijali się wzrokiem. Pozory bywały jednak mylące, któż wiedział o tym lepiej od niego...

Sally i Dan robili wrażenie całkowicie wyczerpanych, zupełnie jakby nie spali od wielu tygodni. Clive zastanawiał się, co ich dręczy. Spośród wszystkich tu zebranych tylko oni nie zasługiwali na kłopoty, ale cóż, los rzadko bywa sprawiedliwy.

- Panie Jardiner, poprosiłem pana o przybycie, ponieważ zależy mi, aby moich słów wysłuchał obeznany z prawem świadek.

Pan Jardiner, który był bardzo młodym człowiekiem, najprawdopodobniej ubiegłorocznym absolwentem wydziału prawa, z odpowiednią powagą skinął głową.

- Czekamy jeszcze na dwóch gości. O, właśnie widzę samochód. Mogłabyś otworzyć drzwi, Roxanne?

Do pokoju weszło dwóch pewnych siebie mężczyzn. Kiedy zajęli miejsca, Clive przedstawił ich obecnym.

- Detektywi Murray i Huber z wydziału zabójstw, pan Jardiner, mój adwokat. Pozostali członkowie mojej rodziny mieli już okazję panów poznać.

Wydawało się, że wszyscy zebrani pochyłili się do przodu, jakby mieli zamiar zsunąć się z krzeseł albo przynajmniej dotknąć rękami czubków palców u nóg. Postronny obserwator na pewno z rozbawieniem przyglądałby się, jak Clive pociąga za sznurki.

- Ma pan dla nas jakąś wskazówkę? - zapytał Huber.

- Nie. Mam rozwiązanie - odpowiedział Clive.

Po półkolu przebiegł dreszcz lęku. Wszyscy wbili w Clive rozszerzone oczy. Ian przestał bawić się scyzorykiem, Dan mocno uchwycił dłoń Sally.

- Jak wiadomo moim bliskim, jestem poważnie chory. Pozostało mi niewiele dni. W tym stanie trzeba zdobyć się na przemyślenie swojej sytuacji.

Clive przerwał. Niech poczekają. Powie im we właściwym czasie.

- Przy tej okazji przyszło mi do głowy, że w bliżej nieokreślonej przyszłości, być może dopiero za kilka lat, jakiś nieszczęsny włóczęga zostanie oskarżony o zamordowanie mojego ojca. Jest to niewykluczone, takie rzeczy już się zdarzały. - Clive spojrzał na detektywów. - Czy mam rację?

- Jest to możliwe, chociaż mało prawdopodobne - oświadczył Huber.

- Tak czy inaczej, zaprosiłem was tu, aby wyjaśnić tę zagadkę. To ja zastrzeliłem Olivera Greya. Ja i tylko ja.

Wszyscy wciągnęli powietrze. Happy wydała krótki okrzyk, Ian wstał i znowu usiadł, Dan zaczął coś mówić, ale przerwał mu detektyw Huber, który podniósł dłoń, usiłując uciszyć zebranych.

- Tak - podjął Clive. - Byłem szalony, nieprzytomny, wszystko, co chcecie. Zamierzałem zabić mojego brata. Wydarzyło się wiele rzeczy, które... Ale to nie ma już znaczenia.

Clive przerwał i westchnął ciężko. Po chwili znowu zaczął mówić, przychodziło mu to jednak z tak wyraźnym wysiłkiem, że wszyscy musieli mocno wyteńczyć słuch.

- Wziąłem ze sobą broń. Nie wiem, o czym myślałem i czy w ogóle o czymś myślałem. Wybiegłem na śnieg. Pamiętam, że upadłem, zmierzając na wzgórze. Zdjąłem buty, aby nie zostawić śladów w domu, i wszedłem tylnymi drzwiami. Wiedziałem, że ojciec wcześniej kładzie się spać i że Ian miał u niego nocować. Iana jeszcze nie było, ale ja o tym nie wiedziałem. Szalałem z wściekłości, rozumiecie? W holu było prawie ciemno i dlatego wziąłem mojego ojca za Iana. Tak, mojego ojca. Oszalałem.

Clive potoczył wzrokiem po zaskoczonych twarzach swoich gości.

- Strzeliłem do niego z rewolweru kaliber .38. Broń znajduje się w tym domu. Roxanne, zaprowadź panów z wydziału zabójstw na górę. Na górnej półce w mojej szafie jest zielona książka, zatytułowana *Principia Mathematica*. W środku jest pusta. Tam ukryłem rewolwer.

Wszyscy poza panem Jardinerem, który bez chwili zwłoki przystąpił do robienia notatek, robili wrażenie ogłuszonych. W pokoju panowała zupełna cisza. Po powrocie Roxanne i detektywów siedzący półkołem skupili się jeszcze bliżej, pragnąc zobaczyć otwartą książkę z rewolwerem w środku.

- A więc zamierzał pan zabić brata - odezwał się Murray. -Dlaczego?

Jak odpowiedzieć na to pytanie? Ponieważ przez całe życie miał wszystko, czego zapragnął. Wszystko.

- Dlaczego? - powtórzył Murray.

- Wolałbym o tym nie mówić, zwłaszcza że Ian nie popełnił żadnego przestępstwa. W oczach prawa jest niewinny.

To musi im wystarczyć. Nie powinni wiedzieć nic więcej.

- Radziłbym panu odpowiedzieć, oczywiście jeżeli pan może - przemówił pan Jardiner.

- Mogę, ale nie chcę tego zrobić. Macie broń i dobrowolne przyznanie., się do winy.

Detektywi nie byli jednak usatysfakcjonowani.

- Pańscy obrońcy mieliby większe szanse, gdyby przedstawił pan jakąś przyczynę nienawiści, o której pan wspomniął.

- Nie chcę obrońców. Zanim zdążycie powołać ławę przysięgłych, nie będzie mnie już na świecie. I to nie za sprawą samobójstwa - dodał Clive, jakby czytając w ich myślach.

Pokój, dom, pogodny świat za oknem, wszystko to wydało mu się nagle zbyt ciasne, aby pomieścić miotające nim uczucia. Wędrując spojrzeniem po pełnych napięcia twarzach, popatrzył w końcu na Iana i Roxanne.

- Jeżeli ktokolwiek wie, dlaczego próbowałem to zrobić, to tym kimś jest mój brat. Nikt poza nim nie musi tego wiedzieć. Cieszę się, że nie zrobiłem ci krzywdy, Ianie. Masz przed sobą długie życie. To już wszystko, co miałem do powiedzenia. Mogę teraz odejść we względnym spokoju.

- Czy zamierzał pan ponownie użyć broni? - zapytał Huber. - W większości wypadków zabójcy zwykle się jej pozbywają.

- Zrobiłbym to, gdybym znalazł jakiś sposób, ale nie byłem w stanie prowadzić samochodu, więc nic nie wyszłoby z moich planów. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Teraz możecie potwierdzić, że ranę spowodował wystrzał z tej broni.

Echo ostatniego zdania dotarło właśnie do jego uszu, trafiło do samego serca. Rana... Czerwona, rozdartą, krwawiącą. Przerażająca.

- Mój dobry ojciec! - zawołał nagle, jakby znajdował się

zupełnie sam w pokoju. - Jedyne człowiek, który kocha... Który kochał mnie po śmierci matki... On, który nigdy nikogo nie skrzywdził i przez całe życie czynił tylko dobro! Mój Boże, Boże...

Clive zakłócił się w przód i w tył, szlochając głośno.

Zerwał się z fotela. Ostry ból powrócił, sięgając wyżej i głębiej, rozdzierając tkanki, próbując złamać go na pół. Wyprostował się i zrobił krok do przodu, jakby chciał uciec od cierpienia. Potem zachwiał się, potknął i runął na podłogę.

Roxanne odjechała karetką razem z Clive'em.

- Mamy miejsce tylko dla jednej osoby - powiedział pielęgniarz. - Możemy zabrać żonę chorego.

- Lekarz twierdzi, że kość nie wytrzymała - oświadczył łan w pół godziny później, odkładając słuchawkę. - Pękła jak patyk. Wcale go to nie zaskoczyło.

Pan Jardiner próbował zachować spokój, chociaż w gruncie rzeczy był równie wstrząśnięty jak pozostali.

- Niewątpliwie nie wytrzymał też umysł biedaka - skomentował.

Słowa godne adwokata przygotowującego obronę klienta, pomyślał łan.

- Tak, spodziewałem się czegoś takiego już od dłuższego czasu, nie mówiłem o tym jednak, bo przecież nie jestem lekarzem, by stawiać diagnozy - przytaknął szybko. - Widziałem, że Clive zupełnie załamał się po decyzji o sprzedaży lasów, tylko tak można to nazwać. Obrzucał mnie wyzwiskami, dostawał ataków wściekłości, nie był... Cóż, najkrócej mówiąc, nie zachowywał się normalnie. Trzeba mu to wybaczyć.

Pan Jardiner notował gorączkowo. Głęboko poruszony i jednocześnie uradowany swoją ważną rolą, kurczowo trzymał się łana. Dan daremnie usiłował przypomnieć sobie sceny, o których mówił łan. Clive w ataku wściekłości, Clive, obrzucający wyzwiskami? Clive?!

Dopiero teraz dotarło do niego, że Sally jest wolna, wolna od wszelkich zarzutów. Naturalnie, wystrzał, który usłyszała, to był ślepy nabój. Nikt nie ładowałby prawdziwych pocisków do tych pięknych, posrebrzanych pistoletów...

Wszyscy stali w holu, przy drzwiach, przez które niedawno wyniesiono Clive'a, lecz Sally weszła po kilku schodkach na niski podest i usiadła tam. Dan nie miał wątpliwości, że jego żona jest jeszcze w szoku. Teraz naprawdę mogę cię stąd zabrać, jak najdalej, co najmniej na tydzień, pomyślał. Tina jest w świetnym stanie, więc można śmiało zostawić ją pod opieką Niani. Cały tydzień tylko we dwoje... Wreszcie odzyskasz trochę sił, moja najdroższa!

Detektyw Huber, który do tej pory rozmawiał przez telefon, przyłączył się do grupy.

- Szef był kompletnie zaskoczony. W pierwszej chwili w ogóle nie chciał mi uwierzyć. Jezu, pierwszy raz w życiu mam do czynienia z taką sprawą! Szef kazał postawić dwóch ludzi na straży pod pokojem tego biedaka. Coś takiego...

- Oczywiście wiedzieliśmy, że zrobił to ktoś z firmy, może pracownik, który poczuł się skrzywdzony, a może nawet członek rodziny - powiedział Murray, czerwieniąc się mocno. - Takie rzeczy zdarzają się nawet w najlepszych rodzinach, proszę mi wierzyć. Więc wiedzieliśmy, z czym mamy do czynienia. Dom pełen cennych przedmiotów, z których ani jeden nie zginął. Na stole leżały pieniądze, siedem studolarowych banknotów. Tak, kulę wystrzelono z pistoletu kaliber .38, właśnie z tego - oświadczył, poklepując zieloną książkę. - No, cóż, długo czekaliśmy, ale, jak mówią, w końcu prawda wypływa na wierzch.

- Nie zawsze tak się dzieje - sprostował Huber. - Ale na szczęście dość często... Gdybyśmy tylko znali prawdę trzy miesiące temu, pomyślał Dan.

Happy znowu miała przed oczami leżące na podłodze ciało... Tylko zbieg okoliczności sprawił, że nie był to Ian, jej mąż, jej jedyna miłość.

Clive umrze, wierząc, że ojciec był wyjątkowym człowiekiem, pomyślał Ian. Dobrze i to. Bo ja będę żył ze świadomością, że w rzeczywistości był zbrodniarzem.

Biedny Clive, myślała Sally. Miałam rację, uważając, że coś jest z nim nie w porządku.

- Wydaje mi się, że wszyscy powinniście się napić czegoś mocnego - oświadczył Huber, kiedy obaj policjanci zbierali się do odejścia.

- Na pewno - przytaknął Murray. Jardiner schował notes do kieszeni, włożył płaszcz i udzielił Greyom ostatnich rad.

- Będziecie musieli państwo uporać się z dziennikarzami, którzy spadną na was jak chmara szarańczy. Nic im nie mówcie. Niech ktoś ze służby otwiera drzwi i informuje, że nikogo z rodziny nie ma w domu. Na pewno nie dadzą wam spokoju nawet w pracy. Fakty są proste: wszyscy wiedzą, że wśród członków rodziny doszło do nieporozumień na temat planów budowy nowego miasta w lesie. Clive Grey chorował na raka. Po pewnym czasie przerzuty pojawiły się również w mózgu i dlatego podczas zwykłej dyskusji chory stracił panowanie nad sobą. Nie odpowiadał za swoje czyny, to wszystko. Cóż jeszcze mogę powiedzieć? To straszna, naprawdę straszna historia. Nie wiem, jak mam powiedzieć o tym w swojej firmie. Zdaję sobie sprawę, że panowie - tu skinął głową w stronę Iana i Dana - reprezentują trzecie pokolenie klientów naszej kancelarii. Pan Larson będzie wstrząśnięty, kiedy o wszystkim się dowie.

- Wstrząśnięty... - powtórzyła Happy, kiedy drzwi zamknęły się za młodym adwokatem. - To słowo najlepiej chyba oddaje stan ducha nas wszystkich. - Otarła zaczerwienione oczy i wydmuchała nos. - Jak my sobie z tym poradzimy?

Cała czwórka stała w holu, chwilowo niezdolna do podjęcia żadnej decyzji. Jesteśmy jak rozbitkowie, którzy nie wiedzą czy najpierw wywiesić białą flagę, poszukać pożywienia, czy może zacząć budować schronienie, pomyślała Sally. Dom Clive'a wydawał im się cichy i nieprzyjazny jak bezludna wyspa.

- Biedna Roxanne - odezwała się Sally. - Pobrali się niecały rok temu...

- Wyobraźcie sobie tych policjantów, warujących przy jego szpitalnym pokoju. - Happy westchnęła. - Nie miałam pojęcia, co się z nim dzieje. Nigdy mi nic nie mówiłeś, Ianie, a ja sama nic nie zauważyłam. A ty, Sally?

- Nic konkretnego, chociaż zawsze wydawało mi się że Clive jest trochę dziwny.

- Nie mówcie tak - oburzył się Dan. - Wszystko było z nim w jak najlepszym porządku do chwili, kiedy zachorował na raka. Jadę do szpitala. Zabrać cię, Ianie?

- Oczywiście. Happy?

Happy, która najwyraźniej musiała zająć się czymś konkretnym, oświadczyła, że zostanie, aby posprzątać w kuchni.

- Roxanne nie zdążyła jeszcze zmyć po śniadaniu. Myślę, że psa trzeba zabrać do nas, Ianie. Roxanne wróci na pewno dopiero wieczorem, a psiak narobi tutaj nieporządku, jeżeli nikt nie wyprowadzi go na spacer.

Sally rozumiała tę potrzebę skupienia się na jakiejś pracy, nawet jeżeli tak naprawdę nie było nic do roboty.

- Pomogę ci - zaproponowała, Ian westchnął ciężko.

- Proces... To go zabije, jeżeli rak nie zrobi tego wcześniej.

- Sądząc po jego wyglądzie, nie dożyje do procesu - poważnie powiedział Dan.

Ian bezskutecznie próbował wyobrazić sobie, że ma brata, który pragnie go zamordować.

- Dan, poproś Sally, aby poświęciła mi parę chwil - cicho zwrócił się do niego Ian, kiedy kobiety wyszły do kuchni. - Powinienem przeprosić ją na kolanach...

- Jestem pewien, że ona wcale tak nie uważa. Widziałeś to, co widziałeś i wyciągnąłeś logiczne wnioski.

- Naraziłem was oboje na straszne przeżycia. Powtórz jej przynajmniej, że przepraszam ją z całego serca i że nigdy sobie tego nie wybaczę.

- Wszystko w porządku, Ianie. Cała ta sprawa to koszmar, ale nie ma w tym twojej winy.

- Nie mów tak - zaprotestował Ian.

- O co ci chodzi?

Ian odwrócił się i wszedł do salonu. Dan patrzył, jak jego kuzyn z nisko pochyloną głową staje przed kominkiem, potem podchodzi do okna, nerwowo uderza palcami o szybę i wraca do holu z wyrazem najgłębszej rozpacz na twarzy. Zaniepokojony Dan chwycił go za ramię i potrząsnął nim lekko.

- Chodź stąd - powiedział. - Wszystko to razem wyprowadziłoby z równowagi nawet najbardziej gruboskórnego człowieka. Musisz wrócić do domu i trochę odpocząć. Sam pojedę do szpitala i dam ci znać, co się dzieje...

- Muszę z tobą porozmawiać - przerwał mu Ian. - Głowa mi pęknie, jeżeli komuś tego nie powiem, a nie mam nikogo poza tobą.

O co mu chodzi? Czy ten dzień wyznaczenia nigdy się nie skończy?

- Włóż płaszcz, Dan. Pogadamy na dworze.

Schronili się przed wiatrem w zakątku między domem i garażem. Dan czekał cierpliwie, obserwując, jak Ian kopie górkę topniejącego śniegu na podjeździe. Rozumiał, że Ian potrzebuje czasu aby zdobyć się na szczerość, a może po prostu się rozmyślił.

- Powiedz, jeżeli zmieniłeś zdanie - odezwał się spokojnie

- Nie. - Ian spojrział mu prosto w oczy. - Nie Muszę to z siebie wydusić. Jest mi ciężko, ale cóż... Widzisz sek w tym, że Roxanne i ja... Roxanne i ja poznaliśmy się na długo przed jej ślubem z Clive'em. Kiedy tamtego dnia przywiózł ją do Hawthorne i przedstawił jako swoją żonę, byłem wstrząśnięty i całkowicie zaskoczony. Nie, czułem się znacznie gorzej, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Parę tygodni wcześniej rozstaliśmy się po kłótni i Roxanne zrobiła to aby mi dokuczyć.

Dan z trudem przełknął ślinę.

- I Clive o niczym nie wiedział?

- Nie wiedział aż do dnia, kiedy zastrzelił ojca. Nie miał również pojęcia, że znowu zaczęliśmy się spotykać - tylko kilka razy ale jednak - i że to nie on jest ojcem dziecka, lecz ja. Wiesz chyba, że Roxanne jest w ciąży?

- Boże wszechmogący - powiedział Dan.

- Poznałem ją prawie trzy lata temu, w restauracji Ale to nieważne. Takie rzeczy się zdarzają, Dan. Spójrz na nią a zrozumiesz, jak do tego doszło. Może zresztą nie zrozumiemy. Przypuszczam, że ty i Sally... Ale z drugiej strony co ja mogę o tym wiedzieć? - Ian skrzywił się boleśnie. - Slogan numer jeden: „Nic nie jest takie, jak by się mogło wydawać”

Dan nie miał najmniejszego zamiaru osądzać kuzyna Nigdy nie osądzał postępowania innych, lecz teraz, wobec zwierzeń Iana, uznał, że musi bronić siebie i swojego małżeństwa

- Sally jest dla mnie wszystkim - powiedział cicho -Całym światem...

- Możesz mi nie wierzyć, ale to samo czuję do Happy. Dlatego pokłóciłem się z Roxanne. Chciała, żebym odszedł od Happy. Boże! Wolałbym odciąć sobie rękę!

- Co będzie, jeżeli Happy się dowie?

- Nie dowie się. Roxanne nie chce jej zranić, ponieważ ją lubi. Uważa, że Happy potraktowała ją bardzo serdecznie. To dziwne, ale Roxanne ma w sobie naturalną uczciwość. Myślę, że sama jest tym zaskoczona. W gruncie rzeczy nie znamy siebie, prawda? Slogan numer dwa.

Dan miał wrażenie, że Ian nie może przestać mówić.

- Wiem, że to żadne usprawiedliwienie, ale czasami myślę, że gdyby ojciec nie należał, abym jak najszybciej ożenił się z Happy, gdybym miał więcej czasu na tak zwane doświadczenia młodości, może nie uganiałbym się tak za innymi kobietami. Ale, jak powiedziałem, to żadne usprawiedliwienie. Boże, postaram się wyciągnąć wnioski z tej nauki! To przeze mnie Clive oszalał! Zniszczyłem własnego brata! Muszę powiedzieć mu to przed śmiercią, muszę zdążyć...

Po policzkach Iana popłynęły łzy.

- Ale przecież nie mogę mu o tym powiedzieć, właśnie jemu, nie mogę powiedzieć, jak naprawdę było ze mną i z Roxanne. Nigdy nie miałem takiej kobiety... Wiedziałem, że powinienem to skończyć, a jednocześnie pragnąłem, aby nasz romans trwał bez końca. I w końcu wiesz, co się stało? Namiętność umarła. Zawsze tak się dzieje. Dałbyś głowę, że nigdy do tego nie dojdzie, a jednak... Nagle coś się wydarza i namiętność umiera. Dan, jesteś jedynym człowiekiem, któremu o tym mówię. Nikt inny nie dowie się prawdy. To chyba świadczy o moim stosunku do ciebie. Zaufałem ci tak, jak ty mi zaufałeś, powierzając mi tajemnicę Tiny. Jak ona się czuje?

- Lepiej. Naprawdę radzi sobie coraz lepiej.

- To dobrze. Dzięki Bogu. Kiedy Clive powiedział, że ojciec nigdy nikogo nie skrzywdził, mało nie zapadłem się pod ziemię ze wstydu. Myślałem o Tinie i Amandzie. Wiem, że takie rzeczy się zdarzają, że tacy ludzie chodzą po świecie, ale nadal nie jestem w stanie przyjąć tego do wiadomości. Mam wrażenie, że mój ojciec stał się nagle kimś obcym. Boże, do końca życia będę żałował swoich skoków w bok, ale kiedy pomyślę o tym, co on zrobił...

Ian jęknął.

- Nie możesz czuć się za to odpowiedzialny - powiedział szybko Dan. - Nie ma to z tobą nic wspólnego.

- Dan, wiem, że trudno ze mną wytrzymać. Jestem niecierpliwy, powierzchowny i zbyt głupi, aby docenić to, co

mam. Może nie uwierzysz, ale całe to trzęsienie ziemi spowodowało, że wziąłem się trochę w garść. Nie wiem, jak to powiedzieć, ale czuję się inaczej. Jestem inny. Zmieniłem się, zobaczysz.

Marcowy wiatr wypadł z za rogu domu, rzucając na podjazd garść gałązek, Ian zapiął płaszcz i zadrżał. Nagle zęby zaczęły mu szczekać.

- Zmarłeś - powiedział Ian. - Wsiadaj do samochodu.

- Nie, to tylko nerwy. Zaraz się pozbieram.

- Poproś Happy, żeby zabrała cię do domu. My też już jedziemy. Wszyscy dużo dzisiaj przeszliśmy, a to jeszcze nie koniec.

Trzeciego ranka pielęgniarzka, która na krótką chwilę wyszła z pokoju Clive'a, po powrocie zastała go martwego. Lekarz stwierdził rozległy krwotok wewnętrzny. Kilka minut później do szpitala przyjechała Roxanne, a zaraz po niej Ian. Jako żona pierwsza weszła do pokoju, lecz zaraz opuściła go niepewnym krokiem, ustępując miejsca bratu zmarłego.

W pamięci Iana na zawsze utrwalił się obraz drobnego ciała, składającego się wyłącznie z poźółkłej skóry i kości, i drobnej, już stygnącej dłoni. Do końca życia żałował, że nie odbył z bratem ostatniej rozmowy.

Gdy lekarze zamknęli drzwi separatu, a strzegący wejścia policjanci zostali wreszcie zwolnieni, Roxanne i Ian zeszli na dół i przystanęli na parkingu.

- Może zastanawiasz się, co teraz zrobię - powiedziała Roxanne. - Wyjeżdżam. Nie będziesz musiał niepokoić się moją obecnością. Nigdy więcej nie chcę widzieć tego miasta. Czuję się tu jak śmieć.

- Ja również nie mam o sobie zbyt dobrego mniemania - odezwał się Ian.

- Nie możesz porównywać naszej sytuacji. Ty przynajmniej nigdy mnie nie okłamałeś.

- Okłamywałem wszystkich swoich bliskich.

- Więc teraz im to wynagrodzisz.

- Tylko jemu nie zdołam już niczego wynagrodzić.

- Wasze problemy zaczęły się już w przedszkolu. Gdybyś

nie był tak cholernie atrakcyjny, Clive byłby innym człowiekiem. Jego ciało spletało mu paskudnego figla.

Natomiast twoje jest prawdziwym darem bogów, pomyślał Ian. I wtedy nagle zdał sobie sprawę, że urok Roxanne już na niego nie działa. Straciła nad nim władzę, był tego zupełnie pewny. Jej gęste włosy lśniły w słońcu, twarz w kształcie serca otulona była jedwabnym szalem w fiołki, a w powietrzu unosił się zapach jej perfum, lecz Ian pozostał całkowicie obojętny.

Ostrożnie spojrział na jej brzuch. Roxanne, jak zwykle szybka, zrozumiała natychmiast.

- Nic się nie martw. Jestem wdową po nim, a to jego dziecko. Chciał, żeby tak było. Był dobrym człowiekiem. Wiem, że próbował cię zabić, ale zrobił to w chwili szaleństwa.

- Tak.

- Zostawił dużo pieniędzy mnie i mojej siostrze. Sprzedam dom i przeprowadzę się na Florydę. Michelle nigdy już nie będzie wyklócać się z młodszym rodzeństwem i wysłuchiwać bzdur bełkoczącego po pijanemu dziadka. Na pewno ucieszy cię wiadomość, że nigdy tu nie wrócimy.

Nie mógł temu zaprzeczyć, lecz gdzieś głęboko dręczącemu poczuciu winy towarzyszyło współczucie i zrozumienie.

- Cieszę się, że Clive o ciebie zadbał - powiedział. - Nie dostaniesz wprawdzie tyle, ile obiecałem ci po sprzedaży lasów, ale...

- Nie masz zamiaru sfinalizować umowy?

- Nie. Wycofałem się z niej.

- A pieniądze? - zapytała z zainteresowaniem.

- Już mnie nie interesują. Doszedłem do wniosku, że to szaleństwo chcieć aż tyle. To tak, jakbym chciał zjeść sześć steków z polędwicy na raz, doskonale wiedząc, że jeden zupełnie mi wystarczy.

- No, no, zmieniłeś się!

- Tak, ale dużo musiałem przeżyć...

- Powiedzieć ci coś zabawnego? Ja też się zmieniłam. Naprawdę cię kochałam, a teraz nie ma już śladu po tej miłości. Rozwiązała się w mgnieniu oka. - Roxanne strzeliła palcami. - Możesz wierzyć lub nie, ale będzie mi brakowało Clive'a.

- Wiem.

Nie był w stanie powiedzieć nic więcej.

- Nie zobaczymy się więcej sam na sam - powiedziała Roxanne. - Czeka nas jeszcze pogrzeb i może jakieś inne spotkania, ale nigdy już nie będziemy sami, dlatego pożegnaj się z tobą już teraz. Życzę ci szczęścia, chłopcze. Cieszę się, że cię poznałam.

Leżeli na plaży, w słońcu, obserwując leniwe fale. Przez cały ranek Sally czytała książkę, pierwszą, nad którą udało jej się skupić od grudnia. Powoli wracała do normalnego życia. Teraz odłożyła oprawiony w płótno tom i uważnie spojrzała na Dana.

- Nadal nie rozumiem, jak Clive mógł pragnąć śmierci własnego brata. Musiał naprawdę oszaleć.

- Niekoniecznie - powiedział Dan.

- Jak to?

- No... Nic, masz rację.

- Coś przede mną ukrywasz, widzę to.

- Aha...

- Tamtego dnia długo rozmawiałeś z Ianem u Clive'a. O czym?

- O interesach.

- Nie wierzę ci, Dan. Jest w tym jakaś tajemnica.

- Jeżeli nawet tak jest, Sally, to nie prosz, bym się nią z tobą podzielił, bo nigdy tego nie zrobię. Nigdy.

Wyczuła jego determinację i poddała się bez dalszej walki. Wyciągnęła się na ręczniku, pozwalając, aby słońce ogrzało jej ciało.

Dan przerwał długie milczenie.

- Trudno mi uwierzyć, że jesteśmy tutaj, na tej pięknej plaży. Naszą historię można by opisać w książce pod tytułem „Dzień, który wstrząsnął naszym światem”.

- Jestem ciekawa, czy doktor Lisie podejrzewała mnie o zamordowanie Olivera. Nie jestem pewna... Ale dałabym sobie głowę uciąć, że Amanda była o tym przekonana.

- Teraz obie wiedzą, jak było naprawdę.

- Ale dlaczego Oliver oparł się o ścianę, skoro go nie postrzeliłam?

- Myślę, że był przerażony i stracił równowagę. Wiedział, że jego tajemnica została odkryta. Sally, pomyśl tylko

w środę mieliśmy spotkać się z Larsonem, aby omówić twoje przyznanie się do winy. Ile wycierpiałaś, jaka byłaś dzielna. Gdyby kiedykolwiek stało ci się coś złego...

- Nic złego nigdy mi się nie stanie, kochany.

Dan usiadł.

- Wracajmy do pokoju. Przyjechaliśmy tu przecież po to, aby świętować.

Sally wybuchnęła śmiechem.

- Jest dopiero druga po południu!

- Nic mnie nie obchodzi, która jest godzina. No, chodź, pościgamy się.

Rozdział dwudziesty

Wrzesień 1993

Wielki dom obudził się do życia. Przy wejściu, na wysokim kamiennym słupie, umieszczono napis z eleganckich, mosiężnych liter: „Muzeum ekologiczne i ośrodek badawczy Hawthorne”. W ciepłe, niedzielne popołudnie tłumy zgromadziły się na ceremonii otwarcia w audytorium, przerobionym z dużej jadalni i biblioteki, w których kiedyś Greyowie zasiadali do stołu, czytali książki i zabawiali gości. Wszystkie krzesła były zajęte, mnóstwo osób stało pod ścianami i w holu. Na podium głos zabierali kolejni mówcy, eksperci z uniwersytetów, liderzy lokalnych społeczności, a wreszcie sam burmistrz Scythii. Wszyscy z ogromną elokwencją wychwalali ideę ochrony przyrody, edukację młodzieży w duchu ekologii i wielką wizję Olivera Greya.

- Nie oszczędzał się. Wszyscy otrzymaliśmy dar jego wizji i wielkiego serca. Staliśmy się także spadkobiercami tego domu i wspaniałych lasów, które jego rodzina na zawsze przekazuje dziś władzom stanu. Taki jest jego najtrwalszy pomnik.

Na ścianie wisiał pośmiertny portret Olivera Greya. Sally uważała, że malarz doskonale oddał jego rysy i wyraz twarzy, równocześnie surowy i łagodny. Jak niezwykle był dzisiejszy dzień! Nad głowami Tiny i Susanny, które siedziały między mmi, napotkała uśmiechnięte oczy Dana i natychmiast odpowiedziała uśmiechem. Wszyscy przeszli długą drogę.

Po przemówieniach zebrani rozproszyli się po domu, oglądając sale wykładowe oraz liczne ekspozycje roślin i skał. Na znacznie powiększonym tarasie czekały napoje i przekąski. Właśnie tam Greyowie mieli przez godzinę pełnić honory domu.

Happy, blondynka o rozjaśnionych słońcem włosach, wyglądała dziś szczególnie ładnie. Sally nie omieszkała jej tego powiedzieć.

- Do twarzy ci w różowym - dodała.

- To ostatnia letnia sukienka, w którą się jeszcze mieszczę. Happy była w ciąży i wprost pękała z radości, ponieważ wiedziała już, że urodzi syna.

- Tak, po wszystkich tych latach! Tak długo czekałam na dziecko! Ian jest taki podniecony, że prawie go nie poznaję.

Ian rzeczywiście bardzo się zmienił. Przesadna pewność siebie znikła bez śladu, ustępując miejsca umiarkowaniu, zupełnie jakby z dnia na dzień stał się wreszcie dorosłym mężczyzną.

Wokół nich tłoczyli się znajomi, przyjaciele i zwykli ciekawscy. Minie jeszcze wiele lat, zanim morderstwo w rodzinie Greyów przestanie wzbudzać emocje. Greyowie stali więc cierpliwie, spokojnie ściskając dziesiątki dłoni i zamieniając z każdym kilka uprzejmych zdań. Tego właśnie od nich oczekiwano.

- Pamiętacie mnie? - zapytała nagle wysoka kobieta. - Nazywam się Joan Lennon, mieszkałam w trzecim domu za Clivem i Roxanne. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy i naprawdę żałuję, że nasza znajomość trwała tak krótko. Taka tragedia!

Tak, pamiętali ją.

- Właśnie wróciłam z Florydy, gdzie mieszka moja matka i pomyślałam, że może chcielibyście wiedzieć, co dzieje się z Roxanne.

Sally i Happy natychmiast zainteresowały się jej opowieścią. Nigdy nie mogły zrozumieć, dlaczego Roxanne nie dała im znać, gdzie przebywa, chociaż Ian i Dan najwyraźniej wcale się tym nie przejmowali.

- Prosiła, żebym przekazała wam pozdrowienia od niej. Wygląda absolutnie wspaniale, ale to nic nowego, prawda? Mieszka w pięknym apartamencie razem z siostrą, śliczną i miłą dziewczyną. I ma kogoś - przystojnego, dużo starszego od niej mężczyznę, który zupełnie oszalał na jej punkcie. Słyszałam, że chce się z nią ożenić. Bardzo się cieszę, bo Roxanne przeżyła tyle ciężkich chwil. Najpierw straciła Clive'a, a zaraz potem dziecko. Straszne. Ktoś mówił mi, że

była to aborcja, nie poronienie, ale oczywiście wy znacie tę historię znacznie lepiej ode mnie.

- Nie - odpowiedziała Sally. - Nic o tym nie wiemy.

- Nie? No, cóż, w końcu to prywatna sprawa kobiety, prawda?

- Ciekawe, dlaczego nigdy się do nas nie odzywa - rzekła Happy, kiedy Joan Lennon oddaliła się w stronę bufetu.

- Zawsze miałam niejasne wrażenie, że w życiu Roxanne była tajemnica, której nie chciała nam powierzyć - zauważyła Sally. - Jakaś historia, której się wstydziła.

Happy lekko wzruszyła ramionami. Podobnie jak Dan, nie lubiła takich rozważań i zawsze podchodziła do wszystkich i wszystkiego z pogodnym optymizmem.

- Och, są Amanda i Todd! - zawołała na widok przedzierającej się ku nim pary. - Bardzo się spóźniliście. Już myśleliśmy, że zmieniliście plany.

- Nigdy w życiu nie zrezygnowałabym z takiej okazji! - oświadczyła Amanda. - Zobaczyć to ponure gmaszysko, przekształcone w pełną życia instytucję! Warto było przyjechać. A poza tym chciałam, żeby Todd was poznał. Na naszym ślubie zdążyliście się tylko przywitać i pożegnać.

Amanda i Todd stanowili świetnie dobraną parę, Sally zauważyła to już przy pierwszym spotkaniu. Oczy świadczyły o charakterze człowieka, a jej bardzo podobał się sposób, w jaki oczy Todda wesoło zerkały zza okularów. Miał większe poczucie humoru niż Amanda, za to ona była taka energiczna

i aktywna. Naprawdę, doskonale do siebie pasowali.

- Gdzie dziewczynki? - zapytała Amanda.

- Niania zabrała je nad staw. Będą karmić kaczki czerstwym chlebem.

- Niania jest jeszcze u was?

- Tak, jest bardzo potrzebna. Wróciłam do pracy, pracuję właśnie nad zdjęciami do albumu o zwierzętach. Mam mnóstwo roboty. A ty?

- Rozbudowuję dom. Todd znalazł świetnego architekta, więc postanowiliśmy dobudować skrzydło, w którym znajdą się pokoje dla dwudziestu dziewcząt.

Cieszyła je świadomość, że wiodą aktywne, produktywne życie. Rozmawiały o pracy i życiu domowym, dopóki Todd i Happy nie oddalili się w kierunku innej grupki. Wtedy obie

równocześnie wróciły do tematu tamtego grudniowego popołudnia, od którego upłynęły już trzy lata.

Amanda chciała wiedzieć, co stało się z meblami z Hawthorne.

- Wszystko wystawiono na aukcji w Nowym Jorku. Zdobyliśmy mnóstwo pieniędzy dla fundacji, na pensje dla nauczycieli i dla innych pracowników.

Amanda objęła wzrokiem trawniki, ogród i kamienny mur, porośnięty dzikim winem aż do wysokości drugiego piętra.

- To było okno mojego pokoju, tamto drugie od rogu - powiedziała.

Po plecach Sally przebiegł zimny dreszcz. Milczała.

- A co zrobiliście z karuzelą?

- Sprzedaliśmy ją razem z całą resztą. Dostaliśmy za nią ponad siedzemdzieściąt pięć tysięcy dolarów.

- Muszę ci się przyznać, że kiedyś myślałam, że... - z wahaniem zaczęła Amanda. - Że może wiesz coś o...

Obie kobiety patrzyły na siebie przez długą chwilę. W oczach Amandy malowało się zażenowanie i niepokój, jakby nagle zdała sobie sprawę, że powiedziała za dużo.

- Myślałaś, że to ja zastrzeliłam Olivera - spokojnie dokończyła Sally.

- Nie, to znaczy... - wyjąkała Amanda. - To jakiś aburd! Wybacz mi, że pomyślałam o czymś takim.

Sally się uśmiechnęła.

- Już ci wybaczyłam.

Oliver Grey nie żył i nie było powodu, aby ktokolwiek, nawet ktoś tak bliski jak Happy, wiedział, co spotkało Tinę. Całą prawdę znała tylko Amanda.

Sally często myślała o tym, jak cienka jest nić ludzkiego losu. Gdyby Clive w chwili szaleństwa nie sięgnął po pistolet, ona, Sally Grey, najprawdopodobniej byłaby dziś zupełnie gdzie indziej. Być może doktor Lisie nie uznałaby Tiny za wyleczoną, a nauczycielka drugiej klasy nie zatrzymałaby Sally na ulicy, aby powiedzieć jej, jaką wspaniałą, dzielną dziewczynką jest jej córeczka. A gdyby Dan Grey nie zatrzymał się tamtego dnia przed wystawą paryskiego sklepu, żeby spojrzeć na srebrną karuzelę...

Gdyby, gdyby... Można było snuć te przypuszczenia w nie-

skończoność. Liczyła się jednak teraźniejszość i przyszłość, w którą trzeba patrzeć z optymizmem.

Sally spojrzała przed siebie i zobaczyła, jak jej ubrane w białe sukienki córki idą ku niej przez trawnik. Tina prowadziła za rękę małą Susannę i obie zaśmiewały się z czegoś do utraty tchu. Za nimi pięły się ku niebu rude wzgórza, drzewa i bezkresny las we wspaniałej jesiennej szacie.